

ERIC LUSTBADER

OPALOWY KSIĘŻYC

Przełożył

Aleksander Klamerko

Dla Ralphine

Więc walczymy, aby
nasza historia stała się
zbawieniem naszych
dzieci.

(z tablic Iskaekzyków)

PROLOG

Na ulicy Zielonego Delfina

Mężczyzna z bliźniami wjeżdża do Sha'angh'sei o zachodzie słońca. Na moment przystaje przed wyniosłym cynobrowym skarpowaniem zachodniej bramy i obraca się w zakurzonej siodle. Para czarnych jak heban padlinozernych ptaków szybuje nad nim wysoko. Groteskowo długie skrzydła rysują się wyraźnie na tle rozpalonego nieba. Chmury pędzą po przestworzach niczym rydwany karmazynowego ognia, przysłaniając co chwila opuchnięty owal słońca, leniwie opadający ku linii horyzontu. Wyżej położone dzielnice miasta spowija gęstniejąca mgiełka, w którą się zanurza zachodzące słońce. Sha'angh'sei szczyci się jedynymi w swoim rodzaju zachodami. Miasto zalewa najpierw najczystsza purpura, która potem przybiera barwę ametystów, by na koniec stać się oznajmiającym noc fioletem.

Oczy mężczyzny z bliźniami, wąskie szparki o tęczówkach równie matowych co suche kamienie ze strumyka, nie patrzą na zachód słońca. Uważnie obserwują wijącą się do miasta drogę, którą płynie w jego stronę nieprzerwany strumień podróżnych - ciągnięte przez muły wozy pełne ryżu i jedwabiu, jeźdźcy i żołnierze, wędrowni handlarze, kupcy, idący pieszo chłopci. Wypływający z miasta tłum nic go nie obchodzi. Jego koń parska i potrząsa głową. Mężczyzna z bliźniami chudą, czerwoną dłonią głaszcze delikatnie jego szyję. Sierść ogiera jest matowa od pyłu drogi, oblepiona błotem wąskich dróżek, za-brudzona tłuszczem z jedzonych w pośpiechu posiłków. Mężczyzna z bliźniami poprawia zszyty niechlujnie kawałek filcu, którego używa jako czapki. Materiał przynajmniej zasłania jego podłużną, zmęczoną twarz. Gdy jest już zadowolony ze swojego wyglądu, odwraca się z powrotem. Pochylając się w wysokim siodle, przyciska boki konia piętami i przejeżdża przez bramę. Patrzy przy tym do góry, obserwując zmieniającą się perspektywę. Z przyjemnością ogląda pod różnymi kątami ciągnące się w nieskończoność płaskorzeźby wryte w ciemnym cynobrze zachodniej bramy. Masywna budowla jest epickim pomnikiem ku czci podstawowej sprzeczności: triumfu i okrucieństwa wojny. Mężczyzna z bliźniami trzęsie się, choć nie jest mu zimno. Nie wierzy w przesady, ale zwraca uwagę na fakt, że wjechał przez zachodnią bramę, wzniesioną po to, by na zawsze przypominała o ciemnej stronie ludzkiej natury. Pyta jednak samego siebie, czy rzeczy miałyby się inaczej, gdyby wjechał przez onyksową bramę południową, alabastrową bramę wschodnią czy też wzniesioną z czerwonego drewna łąkowego i ciemnego żelaza bramę północną? Odchyła głowę do tyłu i śmieje się gorzko. Nie. Nie. Nawet najmniejszej. O tej porze, w promieniach za-chodzącego słońca, wszystkie są karmazynowe.

Mężczyzna z bliznami wbija się w morze ludzi wielkiego miasta, a tłum, niczym pole falujących maków, spowalnia jazdę. Podróżny czuje, że kończy się dla niego okres odosobnienia, kiedy to był z dala od wszelkiego towarzystwa. Jeszcze do niedawna sądził, że czas, w którym jego jedyną rodziną są wierzchowiec, gwiazdy i księżyc, będzie trwał wieki. Jednak wjeżdżając w zgiełk miasta, widząc, jak koń lawiruje między grupami mężczyzn, kobiet i dzieci, grubych i chudych, dużych i małych, młodych i starych, brzydkich i ładnych, mijając przepełnione towarami sklepy, stoiska, stragany z płóciennymi dachami, płataninę budynków z tablicami reklamującymi kuszące produkty sprzedawane w ich wnętrzach, zdaje sobie sprawę, że jeszcze nigdy ciepło ludzkiej rodziny nie było mu tak obce. To dziwne uczucie odrębności przepelnia go całkowicie, tak że dostaje dreszczy, jakby był chory.

Wbija pięty w bok wierzchowca i potrząsa wodzami, chcąc nagle jak najszybciej dotrzeć do celu. Jedzie przez pole kinetycznej energii, wsłuchując się w trzaskanie zakurzonej skóry siodła, pokryty grubą warstwą podróżnego pyłu. Grupka brudnych i chudych jak trupy dzieci ociera się o jego nogi niczym odrębny prąd w tej cuchnącej fali. Musi mocniej przycisnąć tydki do boków ogiera, inaczej zostanie ściągnięty na ziemię przez tłum wyjących dzieci. Wyjmuje więc miedziaka zza szerokiego pasa i podrzuca wysoko w powietrze. Moneta odbija ostatnie promienie słońca i znika w falującym tłumie pieszych, a dzieci zostawiają jeźdźca w spokoju. Przeczesując na czworaka ludzką masę, gorliwie szukają miedziaka w grubej warstwie odpadków pokrywającej ulicę. Mężczyzna jedzie dalej skręcając pod ostrym kątem w bok ulicą. Wdycha silny zapach kolendry i cytryn, ciężką woń pieczonego mięsa, nieco lżejsze zapachy świeżych ryb i warzyw smażonych w głębokim oleju. Mijając wlot do ciemnego zaułka, czuje mocną i słodką woń makowej żywicy, tak intensywną, że oszołomiony, na moment traci oddech.

Spędziwszy w drodze tak wiele czasu samotnie, w zgiełku miasta odczuwa klaustrofobię. Ciągła kakofonia krzyku, płaczu, zawodzenia, nawoływania, śmiechu, szeptu, monotonnego śpiewu - wspaniały bełkot, testament potęgi nieposkromionej ludzkości. Zasłonięta filcową czapą twarz mężczyzny jest zapadnięta. Długi zgarbiony nos unosi się nad skrzywionymi wargami. Wygląda tak, jakby w młodości walczył na pięści wewnątrz konopnego koła, jak to czynią niektórzy ludy z zachodnich równin kontynentu człowieka. Srebrne, jedwabiste włosy opadają na plecy, pozostawiając czoło odsłonięte dzięki wąskiej miedzianej opasce. Dokładnie ogolona twarz o wyzywającym spojrzeniu pokryta jest białymi bliznami marszczącymi skórę policzków i szyi niczym deszcz powierzchnię stawu. Z jego ramion opada obszerny ciemny płaszcz, tak zabrudzony, że oryginalnej barwy można się tylko domyślać. Pod płaszczem ma ciemnobrązową tunikę i spodnie. W pochwie przypiętej do prostego skózanego pasa trzyma zakrzywiony miecz o szerokim ostrzu.

Mężczyzna z bliznami zatrzymuje się przy budce z winem na Potrójnie Błogosławionej drodze. Zsiada z konia i prowadzi go na bok tłumy przelewającego się ulicą przelotową. Wchodząc w mrok pod wzorzystym dachem, zauważa sprzedawcę. Sklepiarz ma twarz jak księżyc i oczy w kształcie migdałów. Właśnie targuje się z dwiema kobietami o cenę skózanego bukłaka wina. Podróżny przygląda się gibkim ciałom kobiet oraz wykrzywionym przez złość twarzom. Oczy ma jednak niespokojne, więc słuchając i czekając, nieco niecierpliwie rozgląda się dookoła, zatrzymując się na moment na czyjeś twarzy, jakiejś dłoni unoszącej się w oddali. Przez chwilę obserwuje mężczyznę o oliwkowych oczach i ciemnych kręconych włosach opadających na ramiona, lecz ten odchodzi z człowiekiem, na którego czekał. Mężczyzna z bliznami odwraca głowę na dźwięk tupotu; na zewnątrz ktoś przebiega krzycząc, łokciami toruje sobie drogę. Sprzedawca wina jest już wolny, więc przybysz zamawia kubek korzennego wina, które wypija jednym łykiem. Z radością odkrywa, że nie jest to popularne w tym rejonie wino ryżowe, zbyt słabe jak na jego gust, ale mocniejszy burgund z północy. Kupuje więc cały bukłak. Słońce rzuca już ostatnie promienie nad linii horyzontu, a noc śmiało nadciąga ze wschodu.

Mężczyzna z bliźniami prowadzi swego konia w lewo, do wąskiej uliczki pełnej odpadków i kału. Gdzieś tu muszą być kości, ukryte zapewne w wysokich stertach śmiecia pod ścianami budynków. Ludzkie kości odarte z ciała i wszelkiej tożsamości. Smród jest tak odrzucający, że mężczyzna oddycha płytko, jakby bojąc się, że samo powietrze może być zatrute przez miazmaty. Wierzchowiec rzy cicho, więc uspokajająco klepie go po karku. W końcu uliczka się kończy i mężczyzna wychodzi na pełną sklepów ulicę Zielonego Delfina. Powietrze ponownie rozbrzmiewa kakofonią miejskich dźwięków, a zapach przypraw tłumi ohydne wonie. Pół kilometra dalej podróżny znajduje pełną siana stajnię. Wprowadza wierzchowca do boksu, zdejmując z niego juki, które zarzuca sobie na ramię. W ciemną rękę spoconego stajennego wkłada dwie monety i wychodzi na ulicę Zielonego Delfina. Jakiś czas idzie w dół ulicy, co chwila zatrzymując się, by zajrzeć przez okno do sklepu lub obejrzyć towar na straganie. Zmienia często stronę ulicy i regularnie odwraca się za siebie. Wreszcie dociera do kołyszącego się szyldu w kształcie zwierzęcej twarzy. Pod Krzyczącą Małpą. Wchodzi do wnętrza mrocznej, zadymionej gospody, mija zajęte stoły i wnęki, rozmawia przez chwilę z właścicielem lokalu. Może z powodu panującego w tawernie hałasu przykładą usta tak blisko ucha gospodarza. Ten kiwa głową, po czym srebrna moneta zmienia szybko właściciela. Mężczyzna z bliźniami przechodzi przez pokój i wspina się po wąskich drewnianych schodach. Przystanąwszy na półpiętrze, lustruje wzrokiem gwarną salę. Nie interesują go miejscowi z okolic Sha'angh'sei; wzrokiem wyszukuje cudzoziemców. Dokładnie, choć skrycie, im się przygląda, dopiero później wstępuje na sam szczyt schodów.

Cicho kroczy wzdłuż ciemnego korytarza, skrupulatnie licząc mijane drzwi. Sprawdza jeszcze, czy tylne wyjście jest otwarte, po czym wchodzi do ostatniego pokoju z lewej strony. Zamyka drzwi i przez jakiś czas stoi tuż za nimi, nie wydając żadnego dźwięku - nasłuchuje, wchłania płynące w tło dźwięki. Przygotowuje się, chcąc, by jego podświadomość, gdy sam będzie zajęty, wychwyciła najmniejszą zmianę.

Potem podchodzi do wielkiego łoża i rzuca na nie juki. Chwilę później zbliża się do okna i szczerze zaciąga zasłony. Odczekawszy trochę, palcem odsuwa lekko jedną z nich i przez szparę wygląda na ciemną już uliczkę, prostopadłą do ulicy Zielonego Delfina. Wie dobrze, że jest w środku miasta, z dala od przystani w delcie Sha'angh'sei. Skupiwszy się, słyszy jednak monotonne pieśni pracujących kubaru, przebijające się przez miejski gwar. Kątem oka widzi ulicę Zielonego Delfina. Handlarz sprzedający przyprawioną wołowinę właśnie zamyka sklep, tuż obok gasną światła w zakurzonej sklepie z dywanami, a trzech identycznie ubrani bracia zaciągają żaluzje. Handlarze dywanami muszą być bogaci - myśli mężczyzna z bliźniami, pozwalając, by zasłona ponownie opadła. Im lepiej się takim powodzi, tym grubszy się stają, jak gdyby tyli wraz z gromadzącą się fortuną.

Mężczyzna z bliźniami zapala lampkę oliwną na porysowanym nocnym stoliku, wiedząc, że grube zasłony skryją światło. Jeden z rogów stolika jest przypalony - któryś z poprzednich gości najwyraźniej wyrzucił lampę. Mężczyzna sięga do juków, wyciąga świeżo kupiony bukłak wina i pociąga z niego długi łyk. Myje się, dopóki woda w miednicy nie robi się zupełnie czarna. Nagle słyszy ciche kroki na schodach. Głowa instynktownie się unosi, a ręka opiera na rękojeści miecza. Bezszelestnie staje tuż przy ścianie obok drzwi i czeka, prawie nie oddychając. Pukanie.

Młody chłopak, wysoki i ciemnowłosy, wchodzi z tacą parującego jedzenia. Zatrzymuje się widząc, że pokój jest pusty. Mężczyzna z bliźniami warczy cicho i chłopak powoli się odwraca. Próbuje nie patrzeć na gości, ale nie umie się powstrzymać. - Dziękuję - mówi mężczyzna. - Postaw na stole. Chłopak przełyka z trudem ślinę i kiwa głową. Nie może oderwać wzroku od przybysza.

- Twój ojciec twierdzi, że można na tobie polegać. - Mężczyzna ignoruje natrętny wzrok chłopaka.
- Czy to prawda? - Jego głos brzmi tak, jakby coś utknęło mu w gardle.

Strach miesza się z fascynacją. Mężczyzna z bliźniami widzi, jak zazwyczaj obce sobie emocje pojawiają się jednocześnie na młodej twarzy.

- Co jest? Czyżbyś stracił głos?

- Nie, panie - jąka się chłopak. - Potrafię mówić.

- Zamknij drzwi.

Chłopiec natychmiast wykonuje polecenie.

- Masz jakieś imię? - Mężczyzna stoi już przy nocnym stoliku i palcami chwyta kawałki kurczaka. Miesza mięsem gęsty sos, jakby nie zauważył leżących na tacy drewnianych pałeczek. Umaczane w sosie mięso wtyka do ust i zjada. - Wyśmienite - komentuje, oblizując wargi i palce. - W sam raz świeżo zmielonego czarnego pieprzu. - Nagle przypomina sobie o chłopaku. -No...

- Kuo - mówi chłopiec cicho.

- Aha. - Mężczyzna z bliźniami przygląda mu się intensywnie. Kuo boi się, ale wie, że nie może tego po sobie okazać. Stoi prosty niczym kij, koncentrując się na kontroli oddechu. Próbuje ignorować łomoczące serce, choć zdaje mu się, że utknęło w tchawicy.

- To dla ciebie, Kuo. Jeśli zrobisz to, co ci powiem. - W palcach mężczyzny z bliźniami ni stąd, ni zowąd pojawia się srebrna moneta. Chłopak kiwa głową, zahipnotyzowany błyszczącym srebrem.

Jest warte więcej niż to, co zarobił przez całe życie. - A teraz słuchaj mnie uważnie, Kuo. Mój koń stoi w stajni w dole ulicy Zielonego Delfina. Gdy tylko wybije godzina dzika, musisz przyprowadzić go do bocznej uliczki obok gospody. Tej tutaj. - Pokazuje palcem w stronę zasłoniętego okna. - Nikt nie może cię widzieć, Kuo. Gdy już tu dotrzesz, stań w cieniu budynku i czekaj na mnie. Gdy przyjdę, będę miał dla ciebie kolejną srebrną monetę. Czy wszystko jasne?

- Tak, proszę pana. - Kuo kiwa głową. - Wyjątkowo jasne. - Tajemniczość misji podnieca chłopca. Jego koledzy będą mu strasznie zazdrościć.

- Nikt nie może się o tym dowiedzieć, Kuo. - Mężczyzna z bliźniami szybkim krokiem podchodzi do chłopca. - Twoi przyjaciele, bracia i siostry, nawet ojciec. Nikt. - Nie mam przecież o czym opowiadać - odpowiada Kuo, zachwycony sam sobą. - Kogo interesowałby fakt, że zaniósłem na górę kolejny posiłek?

- Nawet o tym nie wspominaj!

Chłopak niemal podskakuje, słysząc te słowa.

- Oczywiście, panie.

Mężczyzna pstryka palcami i wystrzelona z katapulty kciuka moneta wylatuje łukiem w powietrze. Kuo chwyta pieniądz, po czym odchodzi, szybko i cicho.

Podróżny nasłuchuje pod drzwiami. Gdy odgłosy stóp Kuo cichną w oddali, powraca do przerwane go posiłku. Przez jakiś czas jedzenie całkowicie pochłania jego uwagę.

Z ulicy dobiegają odgłosy, dziwnie zniekształcone przez zaciąg-nięte zasłony. Nawoływania nocnych sprzedawców, pijacki śmiech, skrzypienie wozów załadowanych towarami na jutrzejszy targ, parskanie koni, stuk kopyt o bruk; lekki wiatr szeleści liśćmi drzew na pobliskiej ulicy Żółtego Zęba. Noc.

Ciche kroki na schodach wystarczają, by mężczyzna z bliźniami zerwał się na nogi, pospiesznie wycierając pobrudzone tłuszczem dłonie. Schyla się i gasi oliwną lampkę. Cicho obchodzi łóżko i odsłania zasłony. Słabe światło sączy się do pokoju tak, jak krew sączy się z trupa.

Kroki zamierają.

Mężczyzna zajął miejsce w najciemniejszym kącie pokoju, skąd dobrze widać zamknięte drzwi. Stoi nieruchomo, rękę zaciska na rękojeści miecza.

Drzwi otwierają się do wewnątrz i pojawia się w nich hebanowa sylwetka.

- Mistral - szeptem cicho.
- Kto jest posłańcem? - pyta mężczyzna z bliźniami.
- Wiatr.
- Wejdz, Omojiru - mówi mężczyzna, na co przybysz zamyka drzwi. Słychać szcęk zamka.
- Cascaras, znalazłeś ją?

Mężczyzna z bliźniami słyszy, że Omojiru z trudem kontroluje drżenie swego głosu. W słabym świetle widzi wysokie czoło, płaskie kości policzkowe, wąskie wargi, inteligentne oczy. Myśli sobie, że właśnie z powodu tych oczu wszedł z nim w konszachty. Ale teraz już wie, że pozbawiony wpływów ojca, Omojiru byłby nikim. Żałuje, że go w to zaangażował. Nie dlatego, że jest okrutny i bez zasad. Przede wszystkim nie jest przebiegły, choć za takiego się uważa i głęboko w to wierzy. A to bywa niebezpieczne. Widzi, jak Omojiru zaciska usta, powstrzymując wybuch wściekłości. Przypo-mina sobie gwałtowną naturę tego człowieka. Jak bardzo różnisz się od swych krewnych, Omojiru - myśli mężczyzna z bliźniami. Gdyby tylko twój ojciec wiedział, co ze mną zaplanowałaś... - Powiedz mi! - syczy Omojiru, a słowa wylatują z jego ust jakby pod ciśnieniem.

Mężczyzna odwraca się na moment, zawstydzony zachowaniem współpracownika.

- Znalazłem.
- Wreszcie! - Omojiru instynktownie przysuwa się do rozmówcy, a jego głos drży z emocji.
- Chciwość - myśli mężczyzna z bliźniami. I żądza władzy. Ile osób by zabił, żeby to osiągnąć.
- Jeszcze jej nie mam.
- Co? - Nawet w ciemności wyraźnie widać rozczarowanie na jego twarzy.
- Ale wiem, gdzie jest.
- Ach! Więc jedźmy tam.
- Tak - zgadza się mężczyzna z bliźniami. - Tak się przecież umówiliśmy. - Zastanawia się, w którym momencie Omojiru spróbuje go zabić.
- Gdzie to jest? - szeptem tamten.

Jego rozmówca śmieje się cicho. Zamiary współpracownika można przejrzeć na wylot. Zrobi to teraz, nie ryzykując. - Pojedziemy tam razem, Omojiru - powtarza cierpliwie, jak gdyby tłumaczył skomplikowane pojęcie dziecku. - Tak, tak, wiem, że tak zrobimy. Tylko, cóż, ja tylko chciałem wiedzieć, co zabrać ze sobą? A to zależy od miejsca, do którego pojedziemy.

- Powiem ci, co masz ze sobą wziąć, Omojiru. - Mężczyzna z bliźniami nie może się już powstrzymać i śmieje się głośno. Zamek i zawiasy trzaskają z hukiem i drzwi wylatują z futryny. Odwracając głowę w tamtą stronę, mężczyzna zastanawia się zszokowany, czemu nic nie usłyszał. Najmniejszego nawet dźwięku. W korytarzu światła są zgaszone, jest tak, jakby patrzył w bezgwiezdną noc, duszną i wilgotną od wiszącej nad ziemią mgły. Wyciąga z pochwy miecz, ale słyszy już to, czego najbardziej się bał - odgłosy walki. Stłumiony krzyk wyrывa się z gardła Omojiru, krzyk pełen strachu i bólu. Potem hałas, jakby przez pokój przetoczył się huragan, a po nim głośne bulgotanie, zwierzęcy charkot, który może oznaczać tylko śmierć. Mężczyznę z bliźniami przechodzi dreszcz, gdy zdaje sobie sprawę, że dźwięki dobiegają z ust Omojiru. Ktoś właśnie go morduje.

Mężczyzna trzyma wielkie zakrzywione ostrze wysoko nad głową, gotów do walki. Coś wypada na niego z ciemności, zbyt szybko, by mógł zareagować. Wydaje mu się, że to noc ożyła i rzuciła się na niego, przepelniona chęcią zemsty i zimną, nieubłaganą nienawiścią.

Jego opadający w dół miecz śpiewa swą pieśń, ale na nic nie natrafia. Tymczasem palce o żelaznym uścisku owijają się wokół jego prawej dłoni i mocno ją wykręcają. Walczy nadal, uderzając lewą dłonią i nogami. Unosi do góry kolano, chcąc wymierzyć kopniaka, ale uderza w

nie coś ciężkiego, roztrzaskując je na miazgę. Mężczyzna z bliznami pada na ziemię, omalże mdlejąc. Pulsujący w kolanie ból jest nie do zniesienia. Krzyczy, gdy pękają kości w jego lewej dłoni. Ostrze z hukiem pada na ziemię. Ktoś przenosi go na łóżko. Coś przyciska się do jego klatki piersiowej, zadając jeszcze więcej bólu, który przeszywa całe ciało. Już go nie kontroluje, wypróżnia się zawstydzony. Wokół niego unosi się smród fekaliiów.

Skóra i ciało rozdierają się. Ból przytępia słuch. Jedynie bicie serca dudni w jego uszach niczym fala obijająca się o skalisty brzeg. Serce boli tak, jakby ktoś ścisnął je obcęgami. Nie może oddychać. Na granicy omdlenia zaczyna słyszeć pytania, wielokrotnie i cierpliwie powtarzane. Musi na nie odpowiedzieć, choć już ich nie rozumie. Z otwartych ust wycieka ciemna krew, serce jest ściśnięte do granic możliwości, w mózgu jakiś głos błaga o litość, mężczyzna myśli już tylko o sobie.

- Tak - syczy ktoś tuż nad nim. - Tak, tak, tak. - Głos zdaje się dobiegać z drugiego końca świata.

Delikatne błony oczu pękają niczym balony. Mózg jest krzykiem, który wypełnia cały wszechświat. Potem jego własna krew zalewa pokój niczym woda wylewająca się z przerwanej tamy. Łóżko nasiąka posoką, podłoga staje się wilgotna, a krew płynie dalej, wylewając się na korytarz.

CZĘŚĆ 1

MIASTO CUDÓW

Rubinowe nogi

Odgłosy morza obudziły Moichiego Annai-Nin.

Przez dłuższą chwilę leżał z otwartymi oczami, wsłuchując się w fale, leniwie uderzające o drewniane pale pomostu. Słyszał wyraźnie piskliwe krzyki głodnych mew i przez chwilę mu się zdawało, że jest na statku. Potem jego uszu dobiegły ochryple głosy tragarzy okrętowych oraz monotonne litanie kubaru. Wtedy przypomniał sobie, że jest w portowym mieście Sha' angh' sei. Fakt ten jednocześnie zmartwił go i podniósł na duchu. Kochał to miasto, być może najbardziej ze wszystkich miast na ziemi; czuł względem niego dziwną i silną sympatię, choć do jego domu było stąd daleko. Jednak najbardziej tęsknił za statkiem kołyszącym się pod stopami.

Płynnym ruchem poderwał się i przeszedł po drewnianej podłodze dużego pokoju. Popchnął żaluzje, które zwinęły się w harmonijki, odsłaniając rząd dużych okien z widokiem na morze. Unoszące się tuż nad horyzontem słońce zmieniało wodę w burzliwe złoto. Uniósł swą potężną dłoń i oparł się o górną framugę drzwi, które prowadziły na rozległy taras ciągnący się wzdłuż całego budynku. Zaczerpnął głęboko wilgotnego, przesyconego solą powietrza. Silny zapach wypełniał nozdrza. Moichi w zakłopotaniu pocierał ręką silnie umięśnioną klatkę piersiową. Jesteś wieczne - pomyślał. Poranne światło, rozlewające się z ukosa po widnokręgu, wydobywało z mroku jego potężną sylwetkę. Miał skórę koloru jasnego cynamonu. Gdy szerokie usta się uśmiechały, co zdarzało się dość często, zza grubych warg błyskały białe zęby. Duże, szeroko osadzone oczy miały barwę przydymionego topazu, choć mówiono - niepewnym szeptem rezerwowanym dla największych tajemnic - że w ciemności głęboko w nich można ujrzeć karmazynowy błysk, jakby w źrenicach odbijało się światło migoczącego płomienia. Miał długi, haczykowany nos, co podkreślał malutki, lecz doskonały brylant, osadzony w ciemnej skórze prawego skrzydełka. Jego gęsta czarna broda i włosy kręciły się i połyskiwały. Twarz najwyraźniej ukształtowały różne wpływy, tworząc fascynującą krzyżówkę. Widać było, że rysy Moichiego uformowały przeciwieństwa, którym musiał stawić czoło, zarówno te naturalne, jak i stworzone przez ludzi. Bywali w świecie mieszkańcy Sha' angh' sei twierdzili, że jest to twarz obca - gdyż kryła przyciągającą uwagę moc, nie znaną mieszkańcom tego regionu kontynentu człowieka.

Napinając wszystkie mięśnie, Moichi Annai-Nin przeciągnął się. Westchnął głęboko, czując niepowstrzymany zew morza, równie mocny jak siła, z którą północ przyciąga igłę kompasu. Uchodził za najlepszego nawigatora na świecie, więc sytuacja, w której się znajdował, była zaiste ironiczna. Ani trochę go to nie śmieszyło. Obrócił się, wszedł do pokoju i długimi krokami zbliżył się do rzeźbionego drewnianego stołu, na którym stał duży dzban i miska z zielonkawego kamienia koloru morza. Była godzina kormorana - na statku wracałby właśnie na wysoki pokład rufowy, by przyjrzeć się morzu. Przed sobą miałby tylko odmęty, czułby każdą falę, każdy prąd i powiew wiatru; była to dobra pora na dokonanie pierwszych pomiarów. Schylił się i wylał na głowę zimną wodę, po czym, nabierając jej w dłonie, obmył twarz i ramiona. Wycierał się właśnie grubym brązowym ręcznikiem, gdy za plecami usłyszał ruch; natychmiast się obrócił. Llowan wszedł po schodach ze znajdującego się na parterze ogromnego harttinu - nabrzeżnego magazynu, jednego z wielu w Sha'angh'sei. Ten wysoki, szczupły mężczyzna z grzywą srebrnych włosów pracował całe życie na nabrzeżu Sha'angh'sei. Był odpowiedzialny za załadunek i wyładunek wszystkich towarów transportowanych morzem, nadzorował też niezliczone harttyny miasta. Uśmiechnął się.

- Hola, Moichi. - Specjalnie użył tradycyjnego powitania marynarzy. - Cieszę się, że już wstałeś. Na dole czeka na ciebie posłaniec od regenta Aerenta.

Moichi zwinął ręcznik i zaczął się ubierać.

- Llowan, jakieś wieści o statku?

- Ani trochę nie jesteś ciekaw, czemu twój przyjaciel posłał po ciebie o tak wczesnej porze?

- Słuchaj no, Llowan - Moichi odpowiedział po chwili. - Jestem nawigatorem. Kocham twoje miasto z całego serca, ale już zbyt długo mam stały ład pod nogami. Nawet w Sha'angh'sei tęsknię za pokładem dobrego statku. - Naciągnął spodnie koloru miedzi, po czym przywiązał po zewnętrznej stronie nóg skórzane ochraniacze. Następnie włożył śnieżnobiałą jedwabną koszulę bez kołnierza i z szerokimi rękawami. W pasie przewiązał się jadeitową szarfą, za którą zatknął dwa sztylety, które uważał za swój znak firmowy. Na koniec opasał się cienkim rzemykiem, na którym wisiała zużyta, zdobiona skórzana pochwa, a w niej miecz o srebrnej rękojeści. Diament w nosie błysnął w świetle promieni słonecznych. - Cierpliwości, mój przyjacielu - odparł Llowan. - Od zwycięstwa mrocznych oddziałów Dolmana w Kai-fengu przed sześcioma sezonami szlaki handlowe prowadzące do Sha'angh'sei są stale pełne statków kupieckich. - Wzruszył ramionami i przeczesał ręką swoje długie włosy. - Niestety, jednym ze skutków pokoju jest nadmiar ludzi gotowych do pracy. Wszyscy nawigatorzy wezwani do ostatniej walki wrócili do domów. Tak już jest, że to oni mają pierwszeństwo na tutejszych statkach. Możesz to chyba zrozumieć. - Obrócił się bokiem w stronę światła, tak że Moichi wyraźnie widział paskudną półokrągłą bliznę biegnącą od kącika ust w górę aż do podstawy nosa, który z tej strony pozbawiony był dziurki. - Czemu nie zadowolisz się pracą, którą ci tu oferuję? Cóż takiego się tam znajduje? - Wyciągnął swoje długie ramię i zakreślił nim łuk, wskazując na żółte morze chlupoczące tuż za obszernym tarasem - Co cię tak pociąga? Masz tu tyle srebra, kobiet i towarzystwa, ile tylko może ci się zachcieć. Moichi odwrócił się od niskiego głosu przyjaciela, stanął w drzwiach prowadzących na taras. Przyglądał się ciemnej gęstwinie masztów, krzyżującym się z nimi salingom, skomplikowanym pajęczynom osprzętu armady statków, które chwilowo odpoczywały w porcie lub właśnie wyładowały zapakowane towary z dalekich brzegów. Zbyt szybko opuszczają Sha'angh'sei, wciągają żagle, zostawiając za rufą zgiełk miasta.

Gdzieś z dali dobiegł do niego głos Llowana:

- Przyślę ci na górę herbatę. Zejdz, gdy będziesz gotowy; posłaniec może chyba chwilę zaczekać.

Zostawszy znów sam, Moichi spojrział w dal, nie zwracając uwagi na tętniący życiem brzeg. Jego wzrok przeskakiwał z jednej spienionej grzywy fali na drugą niczym mewa targana przez nawałnicę. Przypominał sobie długie dni i noce na pokładzie „Kioku”. Płynęli na południe, ciągle na południe. Kapitanem statku był Ronin, który powrócił z Ama-no-mori zmieniony w Wojownika

Zachodzącego Słońca. Oczami wyobraźni znów zobaczył bujną jadeitową zieleń bezimiennej wyspy, która zniknęła już pod kotłującymi się topielami. Dobrze pamiętał magiczne miasto pełne kamiennych piramid i bogów o sercach zimnych niczym lód; lot jak ze snu na ogromnym skrzydlatym wężu, szybującym wysoko w przestworzach przez kraj pełen słońca w stronę statku płynącego do Iskael, ojczyzny Moichiego. Wraz ze swoimi współbraćmi powrócił na kontynent człowieka, by dołączyć do Kai-fengu.

Widział też ostatni dzień bitwy, gdy przedzierał się przez bagno krwawiących trupów i umierających wojowników, swoich i wrogich; ubranie miał tak ciężkie od krwi i posoki, że z trudem się posuwał, by przywitać zwycięskiego Dai-Sana.

A czym wypełnia teraz dni i noce? - zastanowił się Moichi.

Mój przyjacielu. Nawzajem jesteśmy sobie winni własne życie. Winni więcej, niż jesteśmy w stanie dać. Nawet teraz, choć mieszkasz na baśniowej Amanomori pomiędzy Bujunami, swymi współbraćmi i najpotężniejszymi wojownikami tego świata, choć jesteśmy z dala od siebie, to nadal jesteśmy sobie bliżsi niż bracia jednej krwi. Albowiem zostaliśmy wykuci na tym samym kowadle, połączeni strachem przed nadchodzącą śmiercią. A potem prze-trwaliśmy. Potem przetrwaliśmy.

Moichi wyszedł na zalany słonecznym światłem taras. Na południu, jeszcze dalej niż odległa Amanomori, leżał Iskael. Wiele czasu minęło od chwili, gdy ostatni raz wędrował po rozpalonych pustyniach i sadach pełnych soczystych owoców: smukłe linie jabłoni rozkwiatały bielą na wiosnę, potem ich zwiewne chmury opadały na ziemię. W letnie upały, gdy żarzące słońce było ogromnym dyskiem wykutego spiżu, stawał w chłodnym cieniu drzew, sięgał w górę i zrywał wiszące owoce, dojrzałe i złote. Pospieszne przybycie i jeszcze szybszy odjazd w czasie Kaifengu nie liczyły się. Nie zszedł wtedy nawet z pokładu statku. Zajęty był nadzorowaniem przygotowań do wojny, kreśleniem północnego kursu na kontynent człowieka. Cały czas, za pełną chaotycznego ruchu linią nabrzeża, pełnego jasnych ostrzy uzbrojenia mężczyzn żegnających się z rodzinami, wzywały go ciemne wzgórza Iskael, które Moichi i jego naród przez długie lata przekształcali z jałowej ziemi w kraj obfitości. Ten powrót nie liczył się, gdyż ląd był wtedy poza jego zasięgiem.

Obrócił się i ujrzał Yu na klatce schodowej. Trzymała tacę z zielonej laki, na której stał ceramiczny czajnik i kubek z podobnego tworzywa. Uklękła przed niskim stolikiem stojącym naprzeciw solidnego drewnianego biurka w kącie pokoju, które Moichi uważał, wbrew protestom właściciela, za należące wyłącznie do Llowana. Czuł się nieswojo przy tym wielkim meblu. Był oczywiście przyzwyczajony do mniejszych i bardziej funkcjonalnych stolików, wbudowanych w ściany kajut statku. Poza tym za bardzo przypominało biurko jego ojca, stojące w ogromnej sypialni rodzinnego domu w Iskael. Wszedł do pokoju, cały czas obserwując Yu. Miała na sobie kremową jedwabną szatę. Była wysoka i szczupła, z bladą twarzą o szlachetnych rysach. Największe wrażenie robiły jednak ciemne, pełne wyrazu oczy. Postawiła bezdźwięcznie tacę na blacie i teraz siedziała nieruchomo z rękami na kolanach i pochyloną głową. Czekwała.

Klękając po drugiej stronie stolika, Moichi nie był nawet pewien, czy dziewczyna oddycha. Ręce Yu rozwinęły się niczym kwiat sięgający po słoneczne ciepło i powoli, precyzyjnie dokonały ceremonii parzenia herbaty.

Moichi usadowił się. Cichy odgłos nalewanej herbaty, krzyki mew i kormoranów, nawoływania nadzorca harttina, zapach drewna i smoły rozgrzanej przez słoneczne promienie, blade zwinne dłonie poruszające się po skomplikowanych orbitach i łączące wszystko w jedną całość, zadziwiające. Poczuł, jak spływa na niego spokój. Yu podała mu kubek i zaciągnął się ostrym zapachem gorącej herbaty. Powoli uniósł naczynie do ust, jak zwykle delektując się krótką chwilą

tuż przed pierwszym łykiem. Ciepło spłynęło przez gardło do szerokiej klatki piersiowej. Poczul mrowienie na całym ciele.

Po jakimś czasie skończył pić herbatę, odstawił kubek i wyciągnął rękę. Dwoma palcami uniósł podbródek Yu i odchylił jej głowę do góry. Twarz kobiety wypełniały szerokie płaszczyzny, blade pola, z których wyrastały niziuteńkie wzgórki. Jakże jeszcze zdolności czają się w tym ciele - zastanowił się. Zresztą, co za różnica. Czy wspañiała ceremonia picia herbaty mu nie wystarcza? Yu uśmiechnęła się do niego, a jej dłonie sięgnęły ku zapięciu jedwabnej szaty. Moichi powstrzymał ją, kładąc swoje stwardniałe palce na jej dłoniach.

Pocałował czubki swoich palców i przyłożył je z powrotem do rąk kobiety, potem wstał i skłonił się w jej stronę. Odpowiedziała pokłonem. Bezruch w podłużnym pokoju. Zostawił ją, cichą niczym słoneczny promień.

Zszedł na dół do zupełnie innego świata. Kubaru, cali w pocie, choć do połowy nadzy, nieustannie wchodzili i wychodzili przez szerokie drewniane drzwi prowadzące na rozciągające się w obie strony nabrzeże. Tuż za nim, wzdłuż długich pomostów, stały okręty, czekając niecierpliwie. Pszeniczny pył przenikał powietrze, wisiał nad ziemią, srebrny w świetle szerokich pasów słonecznego światła wpadającego przez drzwi i liczne okna harttinu od strony morza.

Lłowan rozmawiał z kilkoma stewedorami - pracownikami zatrudnionymi przy rozładunku i załadunku statków - omawiając być może rozładowanie nowo przybyłego ładunku. Harttin był wypełniony po brzegi brązowymi jutowymi workami i szerokimi drewnianymi skrzyniami, między którymi wił się labirynt korytarzy przecinających pomieszczenie.

Moichi natychmiast zauważył posłańca regenta - stał przy jednych z wąskich drzwi prowadzących na ulicę dzielnicy portowej. Był dobrze umięśniony, ale zachował jeszcze szczupłość typową dla wieku młodzieńczego. Po prawej stronie twarzy miał ogromnego fioletowoniebieskiego sińca o żółtawych obrzeżach. Jeszcze nie zeszła z niego opuchlizna.

Posłaniec rozpoznał nawigatora, gdy tylko ten wyłonił się zza grupy pracowników harttinu. Nie tracił czasu na niepotrzebne formalności, od razu podał Moichiemu kopertę z ryżowego papieru. Nawigator złamał niebieskozieloną pieczęć regenta i przeczytał wiadomość: „Moichi, wybacz tak wczesną porę, ale jesteś pilnie potrzebny w Seifuke. Aerent”. Jak zwykle - pomyślał Moichi - Aerent pominął swój nowy tytuł. Stare nawyki nie giną łatwo. Moichi uśmiechnął się do siebie. Aerent jest rikkaginem, zawsze nim pozostanie, niezależnie od tego, jakie zajęcie sobie wybierze; skutków szkolenia nie da się cofnąć. Tak chyba być powinno. Świetnie nadaje się na regenta Sha'ang'sei, nawet jeśli sobie z tego nie zdaje sprawy.

- Dobrze. - Moichi spojrział na posłańca. - Prowadź. Wychodząc z budynku, pomachał jeszcze Lłowanowi na pożegnanie.

Od strony delty Sha'ang'sei miasto zalewała już, mimo wczesnej pory, pierwsza fala dusznego powietrza. Płataniną wąskich i krętych uliczek, należących do najstarszych w mieście, spływała morska woda zabarwiona rybią krwią. Czarne chmury much bzyczały, a wychudzone psy nerwowo grzebały w odpadkach leżących pod ścianami budynków, licząc, że znajdą świeże rybie wnętrzności. Pary zgarbionych kubaru przebiegały truchtem, z ładunkiem zawieszonym między nimi na wygiętych od ciężaru bambusowych kijach. Siedzieli w rikszy, dwuosobowym powozie napędzanym siłą nóg kubaru. Początkowo często musieli się zatrzymywać, ale kubaru był bardzo sprawny i szybko się oddalił od denerwujących tłumów, klucząc wąskimi ciemnymi uliczkami i krętymi zaułkami. Moichi obserwował, jak Sha'ang'sei przesuwają się przed jego oczami, i myślał o zmianach zachodzących w tym wielkim mieście. Zrozumiał niedawno, że te ciągłe zmiany właściwie czyniły miasto niezmiennym - jego niestałość fascynowała i budziła cześć. Nie było już cesarzowej, która mogłaby rządzić; pozostał jedynie upamiętniający ją pomnik z białego i różowego kwarcu na placu Jihi, gdzie otoczona przez miasto delta spotykała się z główną rzeką

regionu, Kiiro. Zieloni i Czerwoni, znani także jako Ching Pang i Hung Pang, odwieczni wrogowie w Sha'angh'sei, zjednoczeni przez zmarłą już cesarżową i taipana na czas Kaifengu, nadal żyli w zgodzie dzięki zawartemu rozejmowi. Wojna, która trwała dłużej, niż ktokolwiek mógłby pamiętać, i która podobno przyczyniła się do założenia Sha'angh'sei, wreszcie na zawsze się skończyła. Mimo wszystkich tych zmian - pomyślał Moichi - Sha'angh'sei trwa, kwitnie, rozrasta się, tajemnicze, niebezpieczne; żywy organizm, dający więcej przyjemności i bólu, niż to jest wyobrażalne. Jemu to jednak nie starczało. - Skąd to masz? - zapytał gońca, wskazując na siniak. Młody człowiek odruchowo dotknął czubkami palców swojej twarzy.

- Och, to treningi z regentem. Wiesz, ćwicz codziennie i jest świetnym wojownikiem, nawet... nawet teraz. - Odwrócił się od rozmówcy, zawstydzony swoimi słowami.

Dokładnie wtedy Moichi poczuł, że kubaru zmienia tempo biegu. Wyjrzał więc z rikszy, by zobaczyć, co się dzieje. Na ulicy przed nimi coś się wydarzyło i riksarz musiał zwolnić. Opuścili już dzielnicę portową i wjechali w płataninę najrozmaitszych kramów i sklepików - do dzielnicy będącej jednym wielkim bazarem.

Moichi ujrzał grupkę osób blokujących ulicę, a kubaru już się rozglądał za inną drogą do Seifuke. Zanim zdążył się obrócić, trzech Zielonych odłączyło od grupki i podeszło do rikszy. Byli mocno zbudowani, przetłuszczone czarne włosy mieli zaplecione w cienkie warkocze. Nosili tuniki i szerokie spodnie, wszystko z czarnej bawełny. U ich boków wisiały toporki o krótkich trzonkach.

Moichi chciał poprosić jednego z nich o pomoc, gdy zobaczył, jak ten z grymasem złości na twarzy chwyta za toporek i ciska nim prosto w riksę. Broń wbiła się z taką siłą, że posłaniec, z pękniętym mostkiem, rozdarł wiklinową ściankę i wypadł z pojazdu. Nawet się nie zorientował, że jest atakowany.

Widząc lejącą się krew, Moichi wyskoczył z rikszy i przetoczył się po ulicy. Pamiętał, by cały czas mieć wiklinową obudowę pojazdu między sobą a atakującymi Zielonymi.

Wydało mu się, że czas nagle zaczął płynąć szybciej - moment szoku minął i początkowo zaskoczeni ludzie znów zaczęli się ruszać. Biegli we wszystkich kierunkach, krzycząc ile sił, co trochę pomogło Moichiemu. Zieloni w tym czasie zdążyli się przygotować. Mężczyzna, który rzucił toporkiem, doskoczył do posłańca i wyciągnął broń z jego ciała.

Moichi dobył jeden ze sztyletów i trzymał gotowy do ataku, z ostrzem uniesionym ponad poziom rękodości.

Odbiegł od napastników, a oni, rozstawiając się w wachlarz, śmiali się, jakby mieli do czynienia z dzieckiem, a nie z wojownikiem. Płynnym ruchem obrócił się - jeden z Zielonych niemalże go dosięgnął! - i schwyciwszy za ostrze, rzucił sztyletem. Ciężką rękodość wycelował prosto w twarz nacierającego przeciwnika. Zielony krzyknął z bólu i zatoczył się od potężnego uderzenia. Krew trysnęła z rozbitego nosa, próbował wypluć wybite zęby przez poharatane wargi. W tym czasie Moichi skoczył w jego stronę, wyciągając drugi sztylet. Przetaczając się obok nóg napastnika, zadał tylko jeden cios, rozcinając Zielonemu ścięgno Achillesa. Schwycił leżącą na ziemi siekierkę i rzucił, nie zdążywszy nawet wycelować. Zauważył tylko ruch na skraju swojego pola widzenia i tam właśnie posłał toporek.

Lecąca broń odbiła się od kolana drugiego Zielonego. Napastnik jęknął, gdy noga gwałtownie zgięła mu się w stawie. Dobrze jednak wiedział, jak padać. Przetoczył się płynnie i za chwilę znów stał na nogach. Toporek uderzył pod złym kątem, trafione płazem ostrza kolano było jedynie stłuczone, a nie złamane, jak to planował Moichi. Zielony rzucił więc własną broń. Moichi uchylił się, a toporek uderzył w ścianę tuż obok jego głowy, wyrzucając w powietrze okruchy cegieł i zaprawy. Widząc, że Zielony jest wystarczająco blisko, Moichi zrobił wymach nogą i poczuł, że trafił prosto w kość policzkową. Kości pękły, a Zielony krzyknął i padł na ziemię. Z ust wysunął

się język, czerwony i lepki, niemalże rozdarty na pół przez nagle zaciśnięte zęby. Mężczyzna jednak nie chciał jeszcze ustąpić. Odbił się od ściany i rzucił na Moichiego. Potężnymi ramionami trzasnął nawigatora w ramię, tak że ten wypuścił sztylet. Ręce Zielonego, zakończone długimi i śmiertelnie groźnymi paznokciami zaciśnęły się na gardle przeciwnika.

Moichi odczekał chwilę, po czym uniósł dłonie i twardymi pięściami uderzył napastnika w uszy z taką siłą, że krew trysnęła z pękniętych bębenków. Zielony poderwał się, rycząc z bólu. Wtedy Moichi zaciśnął mocarne ramiona i złamał mu kark. Wstając, zrzucił z siebie zakrwawione ciało; jednocześnie zauważył, że podchodzi ostatni Zielony. Był to krępy mężczyzna, który ostrożnie krążył w pobliżu. Ostrze toporka lśniło w świetle słońca karmazynowym blaskiem.

Moichi, stojąc plecami do strzaskanej ściany, wyciągnął miecz. - Czemu go zabiliście? - spytał surowo. - Nie mieliśmy wobec was złych zamiarów.

- Złych zamiarów? - wyrzucił z siebie Zielony. - Był przecież Czerwonym.

Przez chwilę Moichi niczego nie rozumiał. Poczul się, jakby czas się cofnął. Znow był w Sha'ang'sei przed Kaifengiem. - O co ci chodzi? Między Zielonymi i Czerwonymi panuje pokój.

Krępy mężczyzna chrząknął i splunął flegmą pod nogi Moichiego. - Już nie, na bogów, już nie! Złowieszczy rozejm na szczęście już nie obowiązuje. - Chcąc wyglądać groźnie, potrząsnął toporkiem. - Był nienaturalny. Wszyscy się wstydziliśmy. Równie zbrukani jak ludzie deprawujący małych chłopców. W imię wielkiego boga Sha'ang'sei, Kay-ro De, wojna powróciła na ulice miasta!

Rzucił się na Moichiego i zaczęli walczyć, bezgłośnie atakując i parując ciosy, wzajemnie szukając luki w obronie przeciwnika. Moichi przerzucił miecz do lewej ręki i płynnym ruchem zaatakował szybkim poziomym cięciem. Oddając cios, Zielony nie zauważył prawej dłoni nawigatora, wyprostowanej i twardej niczym deska. Obrócił się o wiele za późno. Krawędź dłoni Moichiego trafiła prosto w splot nerwowy u nasady szyi. Zielony padł nieprzytomny na bruk.

Ulica opustoszała, jeśli nie liczyć kilku martwych ciał. Kubaru zniknął już dawno temu. Moichi czuł jednak oczy spoglądające na niego z okien licznych sklepów. Wciągając głęboko powietrze i próbując zapomnieć o palącym bólu w lewym ramieniu, szybko zebrał sztylety i zatknął je za pas. Schował miecz do zdobionej pochwy i skręcił w boczną uliczkę, niemal natychmiast znikając z oczu gapiów.

Zupełnie nie rozumiem, jak to się wszystko od nowa zaczęło. - To jeden z powodów, dla których potrzebowałem cię tak szybko.

- Więc wiesz?

- Tak.

- W takim razie powiedz mi.

- Boję się, że to nie takie proste. Ani trochę proste. Moichi siedział w pokoju na drugim piętrze Seifu-ke. Przez duże okna, otwarte, by schwycić choć odrobinę morskiej bryzy, zobaczył nad pochyłymi dachami gąszcz zieleniących się koron drzew wzdłuż szlaku Do Okan, nieruchomych niczym na obrazie. Miesiące wcześniej, po zakończeniu Kaifengu, zrównali z ziemią stary pałac cesarzowej: ogromne sypialnie i labirynt pozostałych pokoi, zimne marmurowe kolumny i długie korytarze, którymi w dal niosło się echo. Nie powodował nimi brak szacunku dla cesarzowej - pomnik na placu Jihi był tego dowodem. Po prostu pałac, tak jak i jego dziedziczni mieszkańcy, należał już do innej epoki. Na jego miejscu wzniesiono trzypiętrowy budynek, mniejszy i bardziej funkcjonalny, z surowej cegły zdobionej błyszczącą platyną. To proste połączenie surowości i delikatnej zmysłowości sprawiło, że nowy dom regenta wyglądał, jakby od zawsze stał w oku cyklonu, jakim było Sha'ang'sei. To właśnie tę budowlę zwano Seifuke.

Po drugiej stronie stołu z polerowanego sandałowca rikkagin Aerent, pierwszy regent Sha'angh'sei, siedział dotykając plecami wysokiego oparcia krzesła z rzeźbionej kości słoniowej. Był wysokim, szczupłym mężczyzną o szerokich, potężnych ramionach, gęstych, szarzejących powoli włosach i krótko przyciętej brodzie. Twarz o odcieniu jasno barwionej skóry nie zdradzała jego wieku. W oczy rzucał się orli nos oraz ciemne tęczęwki, które mogłyby wyglądać ponuro, lecz wcale takie nie były. Wręcz przeciwnie, nieustannie gościła w nich pogoda ducha i chęć życia. Zupełnie inny niż jego zmarły brat, pomyślał Moichi - tamten był przeklęty od urodzenia, torturowany przez swoją prawdziwą osobowość. Patrząc w oczy Aerenta, widział rikkagina, świetnego dowódcę wojskowego, ale widział też wiele więcej. Były zupełnie przezroczyste i tak głębokie, że zdawały się bez dna. W samym środku widać było nie tylko wojownika, nie tylko dowódcę - był tam także człowiek. Głębokie i niezłomne człowieczeństwo czyniło Aerenta tak nadzwyczajnym. A Tuolin, jego brat? Był całą rodziną Aerenta. Moichi poczuł w głębi chłód. Wojna. Przecież to zupełne szaleństwo. Czy tylko szczęście sprawiło, że wraz z Aerentem przeżyli, podczas gdy Tuolin został zabity? Czy też jakaś potężna, nie znana ludziom siła kierowała ostatecznym wynikiem zdarzeń? Moichi mógł tylko wzruszyć ramionami.

- To tak, jakby wróciły dawne czasy, Aerent - powiedział Moichi. - Ciągłe jest w nich nienawiść, choć żaden nie potrafiłby powiedzieć, kiedy i dlaczego to się zaczęło.

- Masz rację. - Aerent pokiwał głową. - Teraz zaczęło się na nowo - to tak, jakby rozejm nigdy nie istniał. Ching Pang i Hung Pang łatwo zapominają o pewnych sprawach.

- Ale jak to się mogło stać? Potyczka między grupami obu frakcji?

- Gdyby to było takie proste. - Regent uśmiechnął się smutno.

- Wtedy istniałaby jakaś nadzieja, ale tak jak się sprawy mają... - Wzruszył ramionami. - Powiem ci, co się stało - stwierdził zdecydowanym głosem, kładąc ręce płasko na stole. - Najmłodszego syna Du-Singa znaleziono wczoraj martwego.

- Syn taipana Zielonych! - Moichi gwizdnął przez zęby. - To nie wszystko. - Umięśnione ręce Aerenta naprężyły się, gdy oparł na nich swój ciężar, unosząc się do góry. Przez chwilę chwiał się, dopiero po chwili był pewien, że utrzyma równowagę. Potem zaczął iść na sztywnych nogach; pierwszych kilka kroków wykonał dosyć niepewnie. Wstał zza stołu i przeszedł przez pokój. Moichi nie był tak niewyobrażalnie arogancki, by odwrócić wzrok, ale widok przyjaciela sprawił, że się odezwał. - Aerencie, jest mi bardzo przykro. Jeśli chodzi o tego młodego człowieka...

Regent uniósł dłoń.

- Zrobiłeś więcej niż to było możliwe. Był dobrym chłopakiem.

- Odwrócił się i uśmiechnął. - Dziękuję bogom, że nic ci nie jest.

Nadal uważam, że lekarz powinien przyjrzeć się twojemu ramieniu.

Tym razem nawigator uniósł rękę.

- Przynajmniej przyłóż sobie nieco lodu. - Regent popchnął przez stół miskę, którą Moichi schwycił. - Powstrzyma puchnięcie i osłabi mrowiący ból, przynajmniej na jakiś czas. Moichi obserwował, jak przyjaciel ostrożnie podchodzi do okna. Pomyślał sobie, że Aerent bardziej przypomina ogromnego owada niż człowieka. Na przykład modliszkę, poruszającą się w jedyny jej znany, dziwny sposób. Regent w końcu dotarł do okna i usiadł na szerokim parapecie, wyciągając przed siebie długie nogi. Ręką wymacał ich kamienną twardość.

- Takie już są i nienawidzę tego ukrywać.

- Wyobrażam sobie, że niełatwo się do nich przyzwyczaić. - Rzeczywiście, nie jest to proste. -

Aerent uśmiechnął się słabo i pomyślał, że i tak miał więcej szczęścia niż niektórzy. Dzięki bogom przynajmniej oszczędzono mu duchowych cierpień, które przeżył Tuolin. Jakie to dziwne, że dopiero w chwili śmierci odkrył, co to miłość. Był wojownikiem do ostatniej chwili. Był także prawdziwym bohaterem i jako taki pozostanie w pamięci. Tak było sprawiedliwie.

Siedział zupełnie wyprostowany, patrząc w ziarno swojej duszy, a Moichi cierpliwie czekał, także rozmyślając. Aerent poczuł delikatny wiatr, który zerwał się i osuszał pot na plecach, przylepiający do ciała zieloną jedwabną szatę. Ściemniło się - szybko formujące się chmury burzowe wisiały nad południowo--zachodnią dzielnicą, pędząc w stronę lądu, jak gdyby były już spóźnione na jakieś ważne spotkanie. Wciągnął w nozdrza powietrze i poczuł zbliżający się deszcz. Uderzyło go nagle, niczym belt z kuszy, wspomnienie deszczowego poranka, gdy pędził przez pole bitwy pod żółtymi ścianami twierdzy Kamado. Jego ogier pulsował skoordynowaną, potężną siłą, podczas gdy on sam uniknął wy-strzałów, zsuwając się z siodła i kryjąc za bokiem wierzchowca. Ale ziemia była zdradliwa, śliska od krwi i wnętrzności, całkowicie przysłonięta stertami zmasakrowanych ciał. Koń potknął się, spłoszył i gwałtownie odwrócił. Aerent butem zahaczył o metalowe strzemię, a noga przekręciła się i zaklinowała. Wierzchowiec ciągnął go po nierównym podłożu, po ciałach i rozrzuconym orężu, przez okrutny i śmiertcionośny teren. Zbroja ochroniła większość jego korpusu i rąk. W pewnym momencie coś rozplatało metal hełmu; los zlitował się nad nim i Aerent stracił świadomość. Żaden lekarz nie potrafił wyleczyć jego nóg. Nerwy zostały zniszczone, poza tym skóra i mięśnie doznały tylu obrażeń, że nie mieli właściwie wyboru. Postanowili, że Aerenta powiadomi o tym osobisty medyk Tuolina.

Rikkagin nie rozpaczał, w jego jasnej duszy nie było miejsca na tak posępne, obezwładniające uczucie. Jest odrobina dobra we wszystkim, co się dzieje, a przynajmniej zawsze wynika jakaś ważna nauka. Jego ciało zostało poddane testowi, który przeszedł. Teraz sprawdzano jego umysł. Mógł przetrwać albo zaginąć duchowo.

Medycy stali się nieprzydatni, gdy tylko odcięli martwe części ciała. Wezwał inżynierów, natychmiast odsyłając tych, którzy nie potrafili się nie uśmiechnąć i odwracali wzrok lub byli zdziwieni jego wezwaniem. Ci bez wyjątku twierdzili, że to niemożliwe. Aerent nie wierzył im i w końcu znalazł człowieka, który zarówno się nie bał, jak i wiedział, co mu jest potrzebne. - Uważam, że powinny być bardziej funkcjonalne - rzekł na wstępie, co zadowoliło Aerenta.

- Zrób to - rozkazał.

Pieniądze oczywiście nie stanowiły problemu. Aerent był bohaterem Kai-fengu i wielu widziało w nim pierwszego regenta Sha'angh'sei. Skoro miasto właściwie odebrało mu nogi, to teraz miało zamiar je zwrócić, niezależnie od kosztów. Inżynier - ten sam, który zaprojektował Seifuke - pracował bez przerwy cały sezon, porzucając wszystkie inne projekty. W końcu przyszedł do Aerenta z metrowej długości wąskim pakunkiem, zawiniętym w ciemny materiał.

- Są gotowe - powiedział, odsłaniając zawartość. Stworzył je na wzór ludzkiego układu kostnego. Wyginające się w łuki kości wykonał z substancji przypominającej rubin, twardej i wytrzymałej jak kamień, ale jednocześnie wystarczająco giętkiej. Stawy były cudami techniki; pierścienie i łożyska z onyksu i czystego mosiądzu pokrył smarem, który chronił metal przed wilgocią i zużyciem.

Pół dnia zajęło dopasowywanie nóg, ale potem Aerent już nigdy nie musiał ich zdejmować. Poprawiając ustawienie, inżynier powiedział:

- Mamy oczywiście wiele materiałów, którymi moglibyśmy pokryć te „kości”, by nogi wyglądały niemal jak żywe. - Przykręcił ostatnią śrubkę i wstał, by przyjrzeć się swojemu dziełu. - Szczerze mówiąc, wolę je takie, jakie są teraz. Gdybym to ja miał je nosić, już niczego bym nie zmieniał.

Aerent długo przyglądał się nowym nogom, szukając może w głębi siebie jakiejś emocji, jakiejś wskazówki. - Tak - powiedział w końcu. - Wydaje mi się, że masz rację. Zostawmy je takie jak teraz. - Położył ręce na rubinowych kościach, palcami badając ich powierzchnię. Potem, opierając się o krzesło, wstał po raz pierwszy i, o dziwo, od razu doznał ogromnego uczucia wolności. Dopiero później uświadomił sobie, że nowe nogi były o wiele lżejsze od tych z krwi i prawdziwych kości.

Zaczęło padać. Aerent cofnął się odruchowo, gdy tylko pierwsze krople kapnęły mu na plecy. Ciemne niebo nad Sha'angh'sei falowało niczym brzuch ogromnej bestii. W oddali przetoczył się pierwszy grzmot.

- Potem wszystko było już dobrze - powiedział regent.

Moichi zastanowił się przez chwilę.

- Tak. Wiedziałem, których ulic unikać.

Aerent pokiwał głową.

- To dobrze. Co za idioci! - Miał na myśli Zielonych, którzy zaatakowali Moichiego i posłańca. - Omojiru, syn Du-Singa został znaleziony w pokoju na drugim piętrze gospody przy ulicy Zielonego Delfina.

_ W której?

- Pod Krzyczącą Małpą, o ile wiem.

- Nie należy do najprzyjemniejszych miejsc. Czy byłeś już tam? - Nie. Uznałem za rozsądne poczekać do rana. Nic nie zostało ruszone.

- Widziałeś zwłoki?

- Tak. Przyniesiono je tutaj. Du-Sing odebrał je jakiś czas później.

- Jak został zabity?

- Boję się, że bardzo sprawnie. To nie była zwyczajna bijatyka.

- Więc to nie przypadek.

- Nie. Cięcia były równie okrutne, co skuteczne. Zamordował go fachowiec.

- Zamordował?

- Omojiru nie zdążył nawet wyjąć miecza z pochwy. Upewniłem się później, że nie został użyty.

- Rozumiem. Ale dlaczego Du-Sing podejrzewa Czerwonych? - Rzecz w tym, że Omojiru odwiedzał zakazane miejsca. Krążą plotki, że był czarną owcą w rodzinie, że ojciec ignorował go na tyle, na ile to możliwe. Mimo to było powszechnie wiadomo, że chłopak nie stronił od jaskiń hazardu w dzielnicy Tejira. - To terytorium Hung Pang.

Regent pokiwał smutno głową.

- Były też tam dziewczęta. Mówi się, że Omojiru miał nieza-spokojony apetyt na dziewczynki. Ostatniej nocy cztery lub pięć. Żadna z nich, o ile wiem, nie miała nawet dwunastu lat. Jego ręce napięły się jak stal i znów był na nogach. Podobny do pędzącej modliszki, przeskakiwał z łatwością przez pokój, szybciej niż zwyczajny człowiek.

- Jak łatwo się domyślić, Omojiru nie stanowił dla Du-Singa powodu do dumy. Był jednak członkiem rodziny, a poza tym Zielonym. Po śmierci zapomnieli nagle o wszystkich jego winach. Moichi spojrzał przyjacielowi prosto w oczy.

- Myślę, że dla Du-Singa nie gra żadnej roli, czy jego syna zabili Czerwoni, czy też nie.

- Tu się mylisz, Moichi - stwierdził regent. - Ale rozumiem, o co ci chodzi. Wojna Zielonych z Czerwonymi jest nie do uniknięcia. Widzę to teraz jak na dłoni. Żaden rozejm nie mógł się długo utrzymać. Miasto musi samo znaleźć rozwiązanie. Żaden mężczyzna, żadna kobieta czy grupa ludzi nie narzuca tu nigdy swojej woli. Nawet Kiri to wiedziała i nie próbowała przekraczać pewnych naturalnych granic, a była przecież dziedziczną władczynią i do tego wyjątkową osobą. Wątpię, czy ktoś inny zjednoczyłby Zielonych z Czerwonymi na czas Kai-fengu. Cóż, teraz ja tu rządę i na pewno nie jestem osobą pokroju Kiri. Robię, co mogę, co muszę zrobić, by to miasto się nie rozpadło. Sha'angh'sei nie da się jednak powstrzymać, w tym tkwi jego wewnętrzna siła. Głęboko w to wierzę. Wtrącając się, ryzykowałbym rozproszenie energii życiowych miasta, a tego nigdy nie zrobię.

- Nie spróbujesz zakończyć wojny?

- Tego nie powiedziałem, przyjacielu. - Aerent uśmiechnął się. - Stwierdzam jedynie fakty. W takiej sytuacji jak ta trzeba się nauczyć być jak najbardziej efektywnym. W Sha'angh'sei mówi się często, że bezpośrednie podejście zwykle nie jest najodpowiedniejsze. Rozmawiałem, choć bardzo krótko, z Du-Singiem, gdy przyszedł z eskortą odebrać ciało syna. Obawiam się, że jego poglądy w tej sprawie są już ustalone. Będę musiał w inny sposób doprowadzić do pojednania. - Jak mogę ci w tym pomóc? - zapytał Moichi.

- Możesz zrobić dwie rzeczy, zupełnie ze sobą nie powiązane - stwierdził regent, kiwając głową. - Po pierwsze, chodź ze mną do gospody Pod Krzyczącą Małpą i pomóż w śledztwie. - Chcesz udowodnić, że Omojiru został zabity przez kogoś, kto nie jest Czerwonym?

- Chcę poznać prawdę. - Aerent uśmiechnął się. - Omojiru mógł w końcu zostać zgładzony przez Czerwonego zabójcę. Było ku temu wystarczająco dużo powodów. Jego długi rosły na skutek hazardu w oszałamiającym tempie. - Wzruszył ramionami. - Być może oczekiwał pieniędzy od Du-Singa, a te nie nadchodziły. Regent stał znów obok stołu. Nalegał, by przyniesiono go z dawnego mieszkania w baraku przy alei Porannego Smoka, twierdził, że skoro dobrze i wiernie mu służył w dawnych czasach, to i teraz będzie mieć z niego pożytek. Nie chciał nawet spojrzeć na bogato zdobione biurko z kryształu i srebra, które początkowo zamówiono do jego gabinetu. Opierając się o blat, podniósł fajkę o dużym cybuchu z czarnej drewnianej podstawki i przez chwilę w skupieniu napełniał ją ciemnym tytoniem. Dopiero gdy nabił fajkę do pełna i dobrze ją rozpałił, odezwał się ponownie. - Po drugie, otrzymałem wiadomość od rządu Ama-no-mori. Szybki klipser płynący z wysp południowych przywiózł ją dzisiaj rano. - Moichi wyprostował się; był pewien, że Aerent ma jakieś wiadomości o jego przyjacielu, Dai-Sanie. - Piszą w niej, że córka kunshina przybędzie jutro wraz z porannym przypływem. - Obrócił się w stronę nawigatora. - Chcę, byś zapewnił jej bezpieczeństwo podczas pobytu.

- Na Boga, chcesz ze mnie zrobić niańkę! - krzyknął Moichi wstając.

- Przyjacielu, znasz przecież Azuki-iro. - Aerent uśmiechnął się łagodnie, z niezmaconym spokojem. - Myślisz, że przysłałby nam bezbronne dziewczę? - Potrząsnął głową. - O nie, nie Bujun. Nie, kunshin przysyła nam córkę, gdyż chce, by zobaczyła, jak wygląda świat poza Ama-no-mori. Prócz tego - uśmiechnął się szeroko - list wyraźnie wspominał o tobie.

Aerent umilkł i stał z fajką w dłoni. Dym wijący się powoli wzdłuż policzka zmuszał go do zmrużenia oczu, jakby patrzył prosto w słońce. Ciemne oczy regenta wpatrywały się w Moichiego. Chyba jeszcze nigdy nie były tak jasne i przepelnione litością.

Regent położył rękę na ramieniu nawigatora.

- Przyjacielu, myślisz, że cię nie znam? Rozumiem twój niepokój, twoją chęć powrotu na morze. Wiedz, że rozmawiałem już z Llowanem. Na razie żaden z nas nie może nic zrobić w tej sprawie. Nie ma wolnych statków, a nasze wpływy w gildii morskiej nie są zbyt wielkie. Jeszcze nie nadszedł twój czas. Ale już niedługo, wiesz o tym, prawda? Niedługo.

(jdy jechali przez miasto, deszcz nadal padał z niskich, rozświetlanych błyskawicami chmur. Wyruszyli bez eskorty - Aer-ent nie zniósłby takiego obciążenia. Na uprząży konia oraz na ciemnym płaszczu miał wyszyte symbole urzędu. Uważał, że to stanowi wystarczającą ochronę. Gdyby został zaatakowany, to Du-Sing - albo równie dobrze Lui Wu, taipan Czerwonych - słysząc o tym, własnoręcznie ukarałby napastników. W każdym razie atak był mało prawdopodobny, gdyż regenta powszechnie znano i szanowano w całym Sha'angh'sei.

Ulica Brązowego Niedźwiedzia była rozkopana z powodu robót, więc pojechali ulicą Pigwy, potem Rajskim Parkiem do skrzyżowania z drogą Potrójnie Błogosławioną. Stamtąd ostrożnie zbliżyli się do ulicy Zielonego Delfina.

Zsiedli z koni przed kiwającym się na wietrze i mokrym od deszczu szyldem gospody Pod Krzyczącą Małą. Moichi zawołał chłopca siedzącego tuż za progiem i podając dwa miedziaki, kazał mu się zająć wierzchowcami.

W izbie panował niesamowity zaduch. Otrząsnęli krople wody z płaszczy, wdychając mieszające się zapachy zwierzęcych tłuszczów, węgla drzewnego, sfermentowanego wina i trocin. Panował spokój, wszak pora była jeszcze wczesna. Większość krzeseł stała jeszcze odwrócona na stołach. Trzy czy cztery osoby siedziały, jedząc i pijąc. Ciemnowłosa kobieta o lakierowanych na czarno zębach siedziała beczynnym w dalekim kącie. Zauważywszy nowych gości, pozwoliła, by jej szata, niby przez przypadek, odwinęła się, odsłaniając opaloną łydkę i szczupłe udo. Kobieta wyprostowała się i przeciągnęła, tak że jej pełne piersi omalże nie odsłoniły się w całości. Właściciel gospody wyszedł zza baru. Okazał się niskim człowiekiem o szerokiej klatce piersiowej i ptasich nogach. Był też zupełnie łysy. Potarł dłonie i przybrał żalostną pozę, chcąc uniknąć kłopotów, których się spodziewał.

- Witam, regencie. - Jego piskliwy głos przeszedł niemalże w jęk. - Jak mogę wam pomóc? Może zjecie śniadanie? Kubek grzanego wina dobrze robi w taki dzień jak ten. _ Nie, dziękuję - odparł Aerent. - Chcemy zobaczyć pokój, w którym znaleziono Omojiru.

Mężczyzna wzdrygnął się tak, jakby spełniły się jego najgorsze przeczucia.

- To był bestialski czyn, wasza wysokość. Po prostu bestialski. Pokój znajduje się na piętrze, ostatnie drzwi po lewej stronie. - Na chwilę zamknął oczy. Gdy je otworzył, zdawały się wilgotne. - Wybaczcie, że nie będę wam towarzyszył, ale...

- Rozumiem - powiedział Aerent.

- Niczego nie ruszono, zapewniam was, wasza wysokość.

Wszystko zostawiliśmy tak, jak było... gdy go znaleźliśmy. - Powiedz mi - wtrącił się Moichi. - Czy Omojiru zapłacił z góry za pokój?

Szynkarz spojrzał na niego.

- Jak to? On w ogóle nie płacił za pokój.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytał Aerent. - Jakiś inny mężczyzna go wynajął. Przyjechał około drugiej godziny cykady. Omojiru nie przybył wcześniej niż o godzinie lisa, jestem tego pewien.

- Gdzie się podział ten drugi człowiek? - zapytał Moichi.

- Widziałeś, jak wyjeżdżał?

- Cóż, nie. - Na twarzy szynkarza pojawił się wyraz zdziwienia.

- Ale... ale w całym tym zamieszaniu mógł się łatwo wymknąć.

- Pamiętasz, jak wyglądał? - spytał regent.

Właściciel gospody podał im opis na tyle dokładny, na ile potrafił. Zostawili go i poszli po schodach na górę. Szynkarz tymczasem zaczął zdejmować krzesła ze stołów. Ciemnowłosa kobieta naciągnęła na siebie szatę i przymknęła oczy.

Ze wstępnych oględzin pokoju niewiele wynikało. Zastony były nadal zaciągnięte, a nieliczne meble zdawały się stać na swoim miejscu. Na łóżku panował oczywiście nieład. Prześcieradła i narzuty były podarte i zmięte, sztywne od zaschłej krwi i ekskrementów. Część podłogi była zaplamiona niemal na czarno. Moichi schylił się i poszedł za ciemnym śladem aż na korytarz. Kucając, podrapał drewnianą podłogę, po czym polizał czubek palca. Krew. Podniósł się. Krew na łóżku i na podłodze. Bardzo dużo krwi, tak jakby ciało wykrwawiło się niemalże do końca. Wszedł z powrotem do pokoju. Aerent stał przy otwartym oknie, rozsuwając zastony. Wyrzwał na zewnątrz, po czym szybko schował głowę.

- Fuj! Ktoś powinien nakazać temu szynkarzowi, by wysprzątał ulicę. Co za smród!

- Krew jest wszędzie - zauważył Moichi. - Widziałeś ciało Omojiru. Czy to może być jego krew?

- Nie, został zabity w taki sposób, że to niemożliwe. - Regent potrząsnął głową. - Utrata krwi była minimalna, śmierć nadeszła bardzo szybko.

- Niebezpiecznie jest założyć, że drugi mężczyzna, kimkolwiek jest, zabił Omojiru.

- Tak, tylko nadal nie wiemy, co się z nim stało. Moichi rozejrzył się ponownie. Szukali we wszystkich zakamarkach i niczego nie znaleźli. Niczego oprócz krwi. - Cóż, tu najwyraźniej nie znajdziemy odpowiedzi. Chłopca spotkali przed gospodą; rzucił kamykami w przejeżdżające wózki. Po każdym trafieniu wykonywał coś w rodzaju szybkiego tańca. W czasie ich pobytu Pod Krzyczącą Małą padający wcześniej deszcz zmienił się w lekko zacinającą mżawkę. - Konie - powiedział Moichi do chłopca, a ten pokiwał głową i zaprowadził ich w dół ulicy.

- Chwileczkę. - Moichi zatrzymał się, gdy mijali wilgotny, ciemny zaułek z boku gospody. Był pełen życia, dobiegały z niego ciche piski i szelesty.

Moichi skręcił w boczną uliczkę, a regent i chłopiec podążyli za nim w ciemną przestrzeń.

Śmieci, odpadki, fekalia i... skulony kształt.

Moichi schylił się i z sykiem wypuścił powietrze. Dało się słyszeć piski rozzłoszczonych szczurów, rozbiegających się na widok ogromnej postaci.

_ Coś tu jest - powiedział. - Od niedawna, skoro tak zainteresowało te nocne istoty. - Sięgnął ręką i wyczuł sztywny materiał, a pod nim twardy, nieregularny kształt. Smród krwi, a potem nagły gejzer cuchnącego oparu. Śmierć. Zakrztusił się. - Bogowie, to jest ludzkie ciało!

Razem z Aerentem wyciągnęli trupa na światło dzienne.

Chłopak odwrócił się i wymiotował.

Ciało pozbawione było oczu, oczywiście także i nosa. Zwierzę-ta musiały pracować całą noc, gdyż na pewno nie leżał tam dłużej.

Obaj mężczyźni schylili się nad ciałem. Moichi spojrzał w górę i zobaczył powiewające na wietrze zasłony w oknie pokoju, z którego właśnie wyszli. Zręczny chwyt - pomyślał. Niech miejskie gryzonie zatrą ślady zabójstwa.

Aerent przyglądał się ciału. Nagle jego oczy rozszerzyły się.

- Na Gwiazdę Polarną, Moichi, spójrz na to!

Ale Moichi odwrócił głowę, wiedząc dobrze, co znalazł jego przyjaciel. Przyglądał się chłopcu, który choć przerażony, nie był w stanie ich opuścić, więc jedynie się odwrócił. Zauważył błądliwość skóry chłopca pod warstwą żółtego pigmentu, zaciśnięte kąciaki ust, odrobinę szaleństwa w oczach. Każdy w Sha'angh'sei jest przyzwyczajony do śmierci - pomyślał - nawet młodzi. Kolejna scena z życia w tym mieście. Co mogło więc spowodować u niego taką reakcję? Była to straszna śmierć, to oczywiste. Ale czy tylko o to chodziło?

- Moichi, kto mógł? - Przeważony Aerent chwycił ramię nawigatora. - Czy widziałeś tę... potworność? Śmierć była przy mnie blisko przez wiele sezonów i dzisiaj uważam ją już za swoją nieodłączną towarzyszkę; rozumiemy się nawzajem. Ale czegoś takiego nigdy jeszcze nie widziałem. Ani na polu bitwy, ani w wojskowych więzieniach. Nigdzie.

Moichi pokiwał głową; trzymał teraz za rękę chłopca. Spojrzał ponownie. Klatka piersiowa była czarno-białą czeluścią, po której pełzały rozmaite stworzenia. Nie było w tym nic strasznego. Zgodnie z zasadami natury istoty żyjące na tym świecie miały swoje prawa. Naprawdę okropne wydawało się to, że ciało było całkiem pozbawione krwi. Tylko człowiek mógł dokonać czegoś takiego.

Coś się stało z sercem mężczyzny. Coś złego i okrutnego, powolnego i wykalkulowanego wydarzyło się jeszcze przed jego śmiercią. Moichi nadal czuł dreszcze na całym ciele, a włosy na jego karku najeżyły się w odruchu bezwarunkowym, pochodzącym jeszcze z czasów, gdy ludzie

bujali się między drzewami i chodzili, zdrapując sobie na kamieniach skórę z kostek. Zrobił to ktoś sprytniejszy od człowieka, ale z nieludzkim brakiem jakiegokolwiek litości. Biedakowi, którego ciało leżało przed nimi, nie była dana szybka niczym błysk śmierć Omojiru.

Moichi zacisnął rękę na ramieniu chłopca.

- Kto to?

Chłopak potrząsnął głową.

- Powiedz mi. - Potem powtórzył ostrzej, głosem niczym trzaśnięcie bicia. - Powiedz mi! Stajenny skulił się i zamknął oczy, ale nie odezwał się ani słowem. W kącikach oczu pojawiły się łzy.

- Powiedz mi - tym razem łagodnie.

- Nie, nie! - jęknął chłopak. - Obiecałem. - Otworzył oczy i spojrzał błagalnie na Moichiego.

- Co obiecałeś? - Nawigator nie miał zamiaru dać za wygraną.

- Musisz mi powiedzieć.

- Obiecałem mu, że nie powiem nikomu!

- Spójrz no! - Moichi wrzasnął, popychając chłopaka, aż ten klęknął przed trupem. - On już jest martwy. Martwy. Rozumiesz?

Chłopak zaczął płakać. Szloch wstrząsał całym ciałem, więc Moichi przyciągnął go do siebie i zaczął gładzić po głowie. - Już dobrze - powiedział cicho. - Już dobrze. Ta twoja obietnica nie ma teraz znaczenia. Rozumiesz? To, czego się bał, już się stało. Nie możesz mu już zaszkodzić mówiąc mi, co się wydarzyło. Jego już nie dotyczą ziemskie sprawy. - Spojrzał na zalaną łzami twarz. - Tutaj, Kuo. Usiądź tutaj, obok nas. Po jakimś czasie Kuo wyznał wszystko, co wiedział o mężczyźnie, który dał mu srebrną monetę i obiecał następną. Kintai.

- Skąd to wiedzą?

- Sposób wyrobu siodła. Każdy sklep robi to inaczej. Muszę przyznać, że są dosyć sprytni. Dasz im wystarczająco dużo czasu, a określą konkretne miasto w prowincji.

- A co z koniem? Coś ciekawego?

- Chodzi ci o rasę?

Moichi pokiwał głową.

- To zupełnie inna sprawa. - Aerent wzruszył ramionami. - Nie ma w nim nic wyjątkowego. Zresztą i tak mógł go kupić gdziekolwiek, nawet gdyby to była luma.

Siedzieli w tym samym pokoju na drugim piętrze Seifu-ke, gdzie rozmawiali wcześniej tego ranka.

Kuo opowiadał przez długi czas, zanim zaprowadził ich do stajni, w której stały także ich konie, i pokazał wierzchowca martwego mężczyzny. Wyprowadził go zeszłej nocy - dokładnie o tej porze, o której nakazał mu mężczyzna - lecz zamiast otrzymać oczekiwaną złotą monetę i usłyszeć kilka słów podziękowań, natknął się na scenę masakry.

- Mało wiem o Kintai - powiedział Moichi.

- Nic dziwnego. - Regent zwrócił się w stronę okna, z rękami lekko zaciśniętymi przed sobą. Burza niemalże się skończyła, choć tu i ówdzie widział nad dachami miasta kliny ciemnego, płynnego błękitu pojedynczych chmur, z których jeszcze padało. Aerent odwrócił się od panoramy Sha'angh'sei. - To obszar hen na północnym zachodzie, odcięty od morza. Niewiele o nim wiadomo, gdyż jego granice leżą znacznie dalej niż ziemie najbardziej od nas odległych leśnych ludów północy, z którymi utrzymujemy kontakty handlowe.

47

- Co mogło łączyć obcego z tak dalekiej krainy z synem taipana Ching Pang w Sha'angh'sei?

- Jeszcze bardziej mnie interesuje, któż taki zabił ich obu? - Aerent zamyślony uderzał końcem palca o wargi. - Myślę, że ważny jest odmienny sposób, w jaki zabito każdego z mężczyzn. - Zgadzasz się. Omojiru zostaje zabity niemal natychmiast, podczas gdy cudzoziemiec ginie w okrutnych boleściach. - Informacje.

- Co?

- Możemy podejrzewać, że zabójca próbował zdobyć informacje. - Muszą być niesamowitej wagi, skoro konieczne były takie tortury.

- Dokładnie to samo sobie pomyślałem. - Aerent znów stukał palcem o usta.

- Może powinniśmy o tym powiedzieć Du-Singowi - zauważył Moichi. - Wydaje się mało prawdopodobne, by Czerwoni byli w to jakkolwiek zamieszani.

- Hm. Boję się, że takie założenie jest w tym momencie nieco niebezpieczne, choć muszę przyznać, że kuszące. Nie wiemy, ile osób było w to zaangażowanych. Może...

- Może co? - nalegał Moichi.

Aerent nalał im obu wina i podał je Moichiemu w kryształowym pucharze z wtopioną srebrną pieczęcią regenta. Ze zmartwienia zmarszczył brwi.

- Cała sprawa może mieć aspekt militarny; wtedy zarówno Czerwoni, jak i Zieloni byliby w to zamieszani. Jest wiele osób na tym świecie, które pożądamy tego portowego miasta, bogatego, o dobrym położeniu strategicznym.

- Chyba nie sugerujesz...

- Inwazji z północy? - Regent wzruszył ramionami. - Nie mogę jej wykluczyć. - Napił się nieco wina, ledwo co zwilżając usta. - Jednego jestem pewien, przyjacielu. Ta sprawa wykracza poza to jedno morderstwo. I to daleko. - Odstawił kielich. - Cóż, zrobiliśmy wszystko, co da się zrobić w tej chwili. Kazałem dostarczyć sobie informacje o Kintai, ale zebranie ich zajmie nieco czasu. Nowo stworzona Shobai będzie tu wielce przydatna.

Moichi zaśmiał się.

- Oby była, na Boga! Bez twojej pomocy wszyscy ci kupcy mieliby sporo kłopotów z miejscowymi przedsiębiorstwami handlowymi.

- Gildia handlowa jest dobrym pomysłem, ale kto wie, czy wszystko będzie działać po mojej myśli? Ma tylu różnorodnych członków z tylu różnych krajów, że może pęknąć w końcu z wielkim hukiem. - Aerent potarł dłoń. - Zrobiło się późno. Zostaniesz na obiad?

- Innym razem, przyjacielu. Umówiłem się z Kossori.

- Ach! Nie mogę zrozumieć, co widzisz w tym obiboku.

Moichi uśmiechnął się wesoło.

- Czy to przypadkiem nie jego osobowość jest źródłem twych uprzedzeń wobec Kossoriego, regencie?

- Huh! Nie interesują mnie nieprzydatne osoby, Moichi. Dobrze to wiesz. Ich zachowanie w ogóle mnie nie obchodzi. Ten twój przyjaciel mitręży tylko czas, nikomu nie pomaga. Powiedz mi, jaki pożytek mają z niego inni albo nawet on sam? - Jest zdolnym muzykiem - powiedział Moichi, marząc po raz nie wiadomo który, by mógł powiedzieć coś więcej. - Być może tak jest, ale mam niewiele szacunku dla tych, którzy przewalają się całymi dniami po miejskich placach i nic nie robią, tylko grają. A nocą...

- Dziś wieczorem zabiera mnie na Sha-rida.

Regent odwrócił się nagle od swojego przyjaciela.

- Zapomnę, że w ogóle słyszałem te słowa.

Moichi był zdziwiony.

- Czy to aż takie straszne? W Sha'angh'sei jest wiele targów niewolników.

Aerent obrócił się nagle. Twarz miał zupełnie bladą.

- Więc nie wiesz?

- Czego?

Regent łagodnie dotknął ramienia Moichiego.

- Przyjacielu, musisz się jeszcze wiele nauczyć o tym mieście. Sha-rida jest dosyć wyjątkowym targiem niewolników. Takim, który zamierzam pewnego dnia zniszczyć.

- Nie powiesz mi, co się tam dzieje?

Aerent potrząsnął głową, jakby nagle uczuł wielkie zmęczenie. - Nie chcę już więcej o tym mówić. Niech twój dobry przyjaciel Kossori odpowie na twoje pytania. - Przeczesał palcami włosy, jednocześnie odchodząc nieco od stołu. Jego nogi trzasnęły cichutko. - Teraz, zanim odejdziesz, musimy omówić ważną sprawę. Bujunski statek, „Tsubasa”, ma przycumować jutro na początku godziny kormorana. Mam nadzieję, że twoje nocne wędrówki nie prze-szkodzą ci spotkać się ze mną dokładnie o tej porze na Molu Trzech Baryłek, co? - Uśmiechnął się.

Moichi wstał.

- O to nie masz się co martwić. Będę na pewno. Liczę, że do tej pory uzyskasz jakieś wiadomości o wydarzeniach w Kintai. - Odwrócił się w stronę drzwi. - A tak właściwie, jak ma na imię ta dziewczyna, córka kunshina?

- Chiisai.

Tym razem uśmiechnął się Moichi.

- Piękne imię, przynajmniej tyle.

- A czego się spodziewałeś? - Aerent wydawał się zdziwiony.

- Jest przecież Bujunką.

Koppo

Kossori mieszkał na ulicy Srebrnej Nici - wąskiej, podniszczonej, drwiącej ze swojej nazwy. Było tam zawsze ciemno - stojące w pobliżu wysokie budynki rzucały nieustannie cienie, dni mijały w półmroku, a noce w całkowitej czerni - w okolicy nie było bowiem żadnych świateł, które spotykało się tylko na większych ulicach, alejach i placach. Wieczna ciemność jakoś nie przeszkadzała Kossoriemu. Wręcz przeciwnie, bawiła go. Przyznawał nieraz, że kocha ciemność. Poza tym rzadko można go było zastać w domu. Wolał, jak to zauważył Aerent, spędzać dnie grając na szerokich, zalanych słońcem placach Sha'angh'sei. Był niezwykle utalentowany w grze zarówno na fliete, podłużnym instrumencie dętym, jak i na kyoganie, elipsoidalnym instrumencie strunowym, dosyć cienkim, wymagającym dokładnego strojenia i bardzo trudnym do opanowania.

Niemal codziennie można było znaleźć Kossoriego ubranego w wielobarwne szaty, siedzącego rano na placu Hei-dorii, a po południu na przykład na placu Podwójnej Świńskiej Głowy. Grał spokojnie dla tłumów przelewających się przed nim w pośpiechu. Był mężczyzną niewysokim, ale za to o szerokich barkach i wąskim pasie, co w połączeniu z niesamowicie mocnymi nogami powodowało, że wyróżniał się w tłumie. Błyszczące czarne włosy nosił dłuższe, niż to nakazywał zwyczaj w Sha'angh'sei; koniec warkocza sięgał aż pośladków. Był to tylko jeden z wielu zewnętrznych dowodów jego buntowniczej natury. Miał nie-zliczonych znajomych, ale niewielu przyjaciół, co czyniło jego przyjaźń z Moichim głębszą i jeszcze bardziej wyjątkową. Moichiego najwyraźniej przyciągnął charakter Kossoriego - nudzi-ło go towarzystwo ludzi, którzy obsesyjnie gonili za pieniędzmi i kobietami. W takich chwilach bardziej niż kiedy indziej czuł zew rozszałatego morza; wolał wilgotny, słony wiatr zawodzący wśród naprężonych lin, uspokajające huśtanie pokładu, wodę pryskającą spod prującego fale dziobu, gdy luzowano żagle przed nadchodzącym szkwałem.

Oczywiście im dwóm nie brakowało kobiet. Wiele razy zapuszczali się nocą w rozległy labirynt uliczek i budynków w poszukiwaniu doskonałej dziwki. Rzecz jasna, nigdy takiej nie znaleźli, inaczej ich sport nie miałby już sensu. Kossori miał ogromny apetyt na kobiety. Właściwie nie myślał o seksie; ważniejsze dla niego było samo towarzystwo płci pięknej. Moichi często zauważał silną, wręcz desperacką potrzebę, ukrytą pod pełnymi rozkoszy nocami w ramionach kobiet z Sha'angh'sei.

Tego wieczoru Kossori siedział na środku placu Jihi, w cieniu pomnika z różowych i białych kwarców, postawionego na cześć Kiri, ostatniej cesarzowej Sha'angh'sei. Rzeźba przedstawiała kobietę przemieniającą się w Kay-Iro De - boginię, która zgodnie z legendą broniła Sha'angh'sei przed wszelkim niebezpieczeństwem. Był to wąż morski z głową kobiety; według osób, które to rzekomo widziały, Kiri w ten właśnie sposób przeistoczyła się w ostatni dzień Kaifengu. Któż mógł im zaprzeczyć? - pomyślał Moichi, patrząc z czułością na podobiznę twarzy Kiri. Podczas swoich podróży z Dai-Sanem był świadkiem wydarzeń o wiele dziwniej-szych i bardziej przerażających.

Przecisnął się do Kossorigo przez tłum podążający w stronę domów na kolację w rodzinnym gronie lub do jednej z zadymionych miejskich gospód, w których zaczynała się pełna hulanki noc. Kossori grał właśnie piosenkę na flecie, w którym tradycyjne materiały, bambus i kość słoniową, zamienił na miedź. Metal nadawał dźwiękom niepowtarzalną, smutną i przejmującą barwę. Moichi przystanął i przysłuchiwał się z daleka. Obserwował twarz przyjaciela, zauważając po raz kolejny ostre rysy: wysokie kości policzkowe, szeroki nos i jasnoszare, wyzywające oczy. Była to zdecydowanie silna twarz, wyrazista i nietypowa. Jednak gdzieś pod spodem krył się smutek, odbijający się echem w granej muzyce. Piosenka się skończyła, więc Moichi podszedł do muzyka.

Kossori spojrział w górę, zauważył nawigatora i uśmiechnął się.

- Hola!

- Hola, Kossori. Ładna melodia. Nowa?

- Skończyłem ją dzisiaj rano. - Wyciągnął rękę. - Chodź, siądź w cieniu legendy. Mamy za sobą gorący dzień.

- Kai-feng wydaje się czymś tak odległym - powiedział Moichi, spoglądając w niebo.

- Mhm. Cóż, umysł ludzki ma zadziwiająco zdolność zapamiętywania bólu i cierpienia. Na szczęście takie wspomnienia bledną szybciej niż pamięć o przyjemnościach. Ta nigdy nie zanika, ilekroć minęłoby lat. - Wsunął miedziany flet do wytartej zamszowej torebki, którą schował do futerału z utwardzonej skóry. - Mamy to już wszyscy za sobą, Moichi, mogę cię o tym zapewnić. - Kossorigo przeszedł dreszcz. - Świat jest o wiele lepszym miejscem bez ingerujących w dzieje czarowników. - Obok czarnej istnieje też biała magia - zauważył Moichi, myśląc o Dai-Sanie.

- Nie, przyjacielu. Moim zdaniem cała magia to złe tsuzuru. Moichi znał nieco dialekt Sha'angh'sei. Słowo to miało kilka subtelnie różniących się znaczeń. Był pewien, że Kossori użył go dla określenia czaru. Odezwał się więc, nie kryjąc zdziwienia:

- Wszyscy ludzie tutaj - podniesioną ręką zatoczył krąg obejmujący pędzących przechodniów - znają ciebie tylko jako świetnego muzyka, Kossori. Nawet regent nie zdaje sobie z niczego sprawy. Ja jednak wiem o tobie więcej i wydaje mi się, że to nie lęk powoduje, że masz takie poglądy.

Kossori westchnął.

- Nie ma nikogo innego na świecie, komu odważyłbym się to wyznać, Moichi, ale magia naprawdę mnie przeraża. Przeraża, bo nie dotyczą jej żadne z praw, które mogę zrozumieć. Czuję się wobec niej bezradny, nawet z pomocą tego. - Zaciśnął ręce w pięści i wysunął je, osłaniając twarz. - Nawet koppo nie ma szans z magią.

Moichi zaśmiał się i poklepał muzyka po plecach. - Chodź, mój ponury przyjacielu, starczy tych posępnych rozmów. Nasz świat się odrodził przez oczyszczający Kai-feng i Dolmana. W tej nowej

erze nie ma na świecie miejsca dla magii. - Wstali. - Myślę, że obaj pocujemy się o wiele lepiej po odrobinie treningu w doho.

Opuściwszy rozległą przestrzeń placu, weszli w wąskie, tętniące życiem zaułki, wychodząc wreszcie na ulicę Miedzianego Floretu. Znaleźli się jednak po złej stronie alei, o trzy przecznice za daleko, okrążeni ze wszystkich stron przez uliczne stragany, tak zapchane towarami i otoczone przez klientów, że poczuli się jak ryby płynące pod prąd. W powietrzu wisiała ciężka woń przypraw: cynamon, majeranek, tymianek, czarny pieprz i gałka muszkatołowa; falujące wielobarwne dywany i cynowe lampy zlewały się w wielki wzór z kolorowych pionowych pasów; świeże warzywa i suszone owoce, cukierki i egzotyczne słodkie mięsa, świeże ryby na kawałkach lodu i langusty chodzące po dnie pojemników z morską wodą. Nawoływania kramarzy przypominały trele dziwnych leśnych ptaków wykrzykujących swoje wiadomości; klienci targowali się o cenę, a sprzedawcy wołali melodramatycznie, ciągnąc się za włosy, wymieniając dobra na srebrne taele i mrugając do siebie porozumiewawczo za plecami nabywcy. W drucianych klatkach siedziały syczące jaszczurki z suchą, skurczoną skórą o zapachu słodkiej glinki i oczami jak jasne paciorki; małe brązowe i czerwone małpki piszczały, siedząc na miniaturowych huśtawkach, a wypróżniając się na ziemię, jednocześnie wskazywały palcami przechodniów, żółte psy z matową sierścią siedziały z wywieszonymi językami obok kramów lub wałęsały się w wąskich przejściach; dzieci noszone przez matki wrzeszczały, zaciskając pięści i koszmarnie się czerwieniąc z wysiłku, lub spokojnie spały, opierając głowy o ramiona matek.

W końcu przedostali się przez tłum i wyszli po drugiej stronie ciągu sklepików. Stali w miejscu, gdzie sprzedawcy rozstawili prowizoryczne ruszty, na których kawałki mięsa i warzyw skwierczały nad rozpalonym do białości węglem. W powietrzu unosił się brązowy dym o ostrej i aromatycznej woni. Kossori wszedł pierwszy po skrzypiących drewnianych stopniach, wyświeconych od ciągłego używania. Minęli pierwsze półpiętro, na drugim musieli przycisnąć się do ściany, by przepuścić mężczyznę z ogromnym brzuchem i wielką klatką piersiową. Miał na sobie jedynie przepaskę biodrową i obficie się pocił. Znal go z widzenia, był jednym z zapaśników odwiedzających doho. Pokiwał głową na przywitanie i poszedł dalej, kierując się do łaźni na drugim piętrze.

Przyjaciele udali się do swoich szafek i przebrali w szaty z białej bawełny, zasłaniające ciało jedynie do połowy ud. Zamiast jednak podążyć do doho, postanowili wspiąć się po schodach na samą górę, na dach. Było tam ciszej, poza tym trening na świeżym powietrzu stawał się dużo przyjemniejszy. Nad platformą, na której mieli ćwiczyć, wieczorne niebo miało odcień lawendy. Tu i ówdzie nieboskłon przecinały pasemka mgły, a czarne sylwetki mew zataczały koła nad odległym portem.

Trzy strony dachu były osłonięte karłowatymi drzewami o powykręcanych i pokurczonych kształtach, stojącymi w ogromnych donicach na skraju platformy. Gąszcz osłaniał dach doho przed natrętnym wzrokiem gapiów z pobliskich domów. Przy czwartej krawędzi znajdował się ostro opadający w dół ogród skalny, nawadniany przez płynący w zamkniętym obiegu, wyciekający w najwyższym punkcie strumień. Ciągła wilgoć pozwoliła różnorodnym mchom i porostom utworzyć swe pajęczyny, tak że kamienie stały się jedną wielobarwną masą. Ogród wyglądał pięknie, doskonale nadawał się do głębokich rozmyślań i medytacji. Istniał już, gdy Kossori zaczął odwiedzać doho, a był tu od bardzo dawna. Na dachu przymocowano platformę z szerokich desek połączonych kołkami zamiast gwoździ. Wielokrotnie lakierowane drewno nabrało jasnożółtego koloru. Platforma była doskonale płaska, a system odpływów tak doskonały, że nawet deszcz nie uniemożliwiał treningu.

Ponad górnymi konarami drzew widać było, jak daleko wzrok sięgał, różnorakie kształty dachów Sha'angh'sei. Na południowym zachodzie budynki zdawały się wpadać wprost do morza, zasłaniając niskie nabrzeże i ciągnące się wzdłuż niego harttyny. Ostatnie promienie słońca

zanurzały się w morzu, przez co ich światło stało się tak intensywne, że chmury szybujące wysoko ponad miastem świeciły złotem i szkarłatem, podczas gdy domy zapadały już w ciemność. Zarysy domów nabierały ostrości po godzinach trwania w oślepiającym blasku dnia. Tego wieczoru byli na dachu sami. Wiatr powoli pchał na zachód ciemność, owijając się wokół świata niczym szal modlitewny rozciągany na niebiosach przez niewidzialną dłoń. - Powiedz mi, Kossori, przez co jesteś tak uprzedzony wobec Aerenta? - spytał Moichi w czasie rozgrzewki.

Kossori zakończył ćwiczenia oddechowe, po czym odparł:

- Chodzi o to, co sobą reprezentuje. Boję się, że po prostu nie dogaduję się dobrze z ludźmi dzierżącymi władzę. Regent sam w sobie nie jest taki zły. Tylko wybrał sobie nie najlepsze zajęcie.

- Nie wydaje ci się, że władca może być przydatny, że dzięki swej władzy może pomóc państwu?

- Nie - odpowiedział wprost Kossori. - Tak nie jest.

- Ale na pewno...

- Przyjacielu, powiem ci coś. Władza nie przyniosła jeszcze nikomu niczego dobrego. Oczywiście są tacy, których zamiary są na początku dobre, ale smak władzy jest dla nich zbyt upojny. W końcu i oni wpadają w sieć, nie ma od tego wyjątków.

- Jednym słowem, władza jest źródłem zepsucia. - Zepsucia, tak. Umysł rozwija się w poczuciu własnej wartości, podczas gdy dusza się kurczy, aż w końcu niemal zanika. Tam... obrócił szybko głowę i szepnął: - Cofnij się. - Czemu?

- Szybko, rób, jak ci mówię!

Moichi cofnął się, stając wśród gałęzi jednego z karłowatych drzewek. Spojrzał w tę samą stronę co Kossori. Na południe od nich pojawił się cień, zrodzony jakby z czeluści mroku. Poruszał się piekielnie szybko, a mimo to był cichy i gładki, biegnąc łagodnie, skacząc przez wąskie szczeliny między budynkami, jakby były niczym więcej niż smugą dymu. Chłodny powiew poruszył sztywne liście karłowatych drzew, a Moichiego przeszedł lekki dreszcz i poczuł, jak samoczynnie napinają mu się mięśnie. Nadal obserwował zbliżający się cień, zauroczony płynnością jego ruchów - ciągły przepływ energii zdawał się odbywać bez jakichkolwiek zakłóceń: biegnij, skacz, biegnij, skacz.

Cień przemknął przez dach pobliskiego budynku. Biegł tak zwinnie, że Moichi rozpoznał, do kogo należy, zanim mężczyzna wylądował na dachu doho.

Miał na sobie czarny matowy strój - szerokie spodnie, pas i tunikę odsłaniającą jedynie szyję. Twarz też była czarna, zasłonięta maską, która pozostawiała tyle odkrytego ciała, by nie ograniczać widzenia. Zmierzał w ich stronę po polerowanym drewnie roztańczonym krokiem, a jego stopy zdawały się płynąć w ciemnym powietrzu. W jednej ręce trzymał owalne pudełko, także matowe i czarne, spłaszczone od góry i dołu, zawieszzone na czarnym rzemyku. Drugą rękę miał pustą.

- Jhindo - wyszeptał stojący obok Moichiego Kossori; jego szept brzmiał jak syk węża.

Moichi słyszał o tych legendarnych postaciach. Byli wynajmowani jako zabójcy i szpiedzy. Mówiono, że znali tyle metod ranienia i zabijania, tyle sposobów zmieniania własnego oblicza i ucieczki z zastawionych na nich pułapek, że zawsze wypełniali swoje tajemne misje. Moichi po raz pierwszy jednak widział jhindo na własne oczy. Przypomniawszy sobie historię, którą opowiedział mu Dai-San: pewien jhindo dostał się do twierdzy Kamado, by zamordować Moeru, został jednak zabity przez swoją ofiarę. Więc można było pokonać jhindo. Moichi szybko sobie jednak uświadomił, że Moeru był Bujunem, jednym z najpotężniejszych wojowników na świecie.

Tymczasem miał przed sobą jhindo, najwyraźniej nasłanego przeciwko nim.

Kossori stał w zupełnym bezruchu, obserwując zbliżającą się powoli postać. Uniósł ręce, wysunął do przodu otwarte dłonie, spokojny i na pozór nieporuszony.

- Proszę, nie przerywaj swej drogi. Nie chcemy ci zrobić krzywdy. Jhindo nic na to nie odpowiedział, jedynie postawił owalne pudełko na platformie i puścił rzemyk. Był wysokim mężczyzną, a gdy odezwał się po raz pierwszy, zdał się jeszcze wyższy. - Spotkał was zły los, gdyż znaleźliście się tutaj w nieodpowiednim momencie. Nie mogę udać się dalej, dopóki nie znikną wszelkie dowody mojej obecności.

Kossori nie odwrócił głowy od postaci w czerni, ale znizywszy głos, odezwał się do Moichiego:

- Nie wtrącaj się, przyjacielu. A przede wszystkim nie odwracaj się do niego plecami. Jhindo mają wiele rodzajów małej metalowej broni, która bywa śmiertelna, gdy jest celnie rzucona. Stój przodem do wroga, wtedy masz jeszcze szansę. - Zwracając się do Jhindo, rzekł głośno: - Nalegam, byś ruszył dalej.

- Oczywiście - odparł mężczyzna. - Pójdę dalej, gdy tylko wasze niewidzące oczy będą obserwować gwiazdy. Po czym zamachnął się lewą ręką i natarł na Kossoriego, ale ten zdążył się uchylić. Ruchy napastnika były zbyt szybkie, by Kossori mógł widzieć je wyraźnie. Jhindo w piorunującym tempie wykonał fintę i wyciągnął spośród fałd ubrania cienką linkę, związaną pośrodku w supeł. Natychmiast owinał ją wokół szyi Kossoriego, po czym stanął za plecami muzyka i pociągnął końce linki, tak że węzeł trafił prosto w tchawicę.

Siła ataku uniosła Kossoriego do góry.

_ Ugh! - Moichi usłyszał zdławiony okrzyk przyjaciela. Chciał mu pomóc, ale krążąc wokół walczącej pary, zdał sobie sprawę, że nie może nic zrobić. Byli złączeni tak ściśle, że równie dobrze Kossori mógł się stać ofiarą jego ciosu. Czekał więc, kręcąc się niecierpliwie.

Kossori był w trudnej sytuacji. Karcił siebie, że pozwolił Jhindo zdobyć przewagę. Oddychał ciężko, a mięśnie szyi drętwiały mu od nagłego odpływu krwi. Bolała go głowa i wiedział, że za jakiś czas straci przytomność. Spróbował użyć najpierw nóg, ale Jhindo zauważył ruch i w porę się przesunął. Wtedy Kossori uderzył łokciami, wbił je mocno, jakby nie pozostało mu już nic innego. Usłyszał w końcu jęk przeciwnika, a linka rozluźniła się wystarczająco, by zdążył obrócić się do niego przodem. Niewielkie ostrze wysunęło się z lewego rękawa prosto w otwartą dłoń Jhindo. Kossori pozwolił mu zaatakować, obserwował, jak ostrze łukiem zbliża się w jego stronę; przewidywał kąt, pod którym go trafi. Prawą ręką uderzył w końcu tuż poniżej dłoni Jhindo - ostrze poleciało w mrok nocy, przetoczyło się po deskach dachu i za-trzymało, jasne niczym kropla krwi. Zamiast niego natychmiast pojawiła się jitte, podobna do noża broń o dwóch ostrzach. Jednocześnie wokół drugiej ręki owinał się szereg kolców z czarnego metalu, zasłaniających kostki.

Najpierw błysnął rozmyty zarys jitte, a kastet podążył tuż za nią - śmiertelne podwójne uderzenie. Jhindo był niesamowicie szybki, może nawet szybszy od Kossoriego.

Jitte rozcięła szatę muzyka, odsłaniając skórę, świecącą blado w monochromatycznym świetle wschodzącego księżyca. Chwilę później szereg kolców wgrzył się w jego prawe ramię. Nadeszła chwila śmierci Jhindo. Trzeba przyznać, że zdążył jeszcze zarejestrować ten fakt, zanim sztywne palce Kossoriego, trzymane pod nieco dziwnym kątem, spadły prosto na niego. Poruszały się szybciej niż wzrok, potężna siła uderzenia złamała prawy nadgarstek Jhindo, jakby był z bambusa. W tej samej chwili ręce podążyły w górę, łamiąc jednocześnie oba stawy barkowe. Zanim ciało zdążyło opaść na platformę, Kossori zadał ostateczny cios, szybki i śmiertelny niczym żywy piorun. Uderzenie strzaskało kręgosłup napastnika.

Moichi zbliżył się do Kossoriego. Wielokrotnie ćwiczył z przyjacielem, podziwiał nawet śmiertelnością sztukę walki niszcząca drewno i metal. Nigdy jednak nie widział jej użytej wobec człowieka. Był oszołomiony miazdzącymi skutkami kilku urwanych ruchów rąk. Nic dziwnego, że

Kossori nigdy nie nosił przy sobie broni. Po co mu ona, skoro znał sekrety koppo? - Kossori, gdzie się tego nauczyłeś?

Ten patrzył jednak na strzaskane ciało wysokiego jhindo. Ciemna kałuża krwi przesiąkającej przez hebanowy materiał rozlała się po deskach.

- Musimy wezwać kogoś, by posprzątał - powiedział bez-namiętnie muzyk.

- Kossori? - Moichi położył delikatnie dłoń na ramieniu przyjaciela. - Wszystko w porządku?

- Był całkiem niezły. - Głos Kossoriego jak cieniutka spirala dymu rozpływał się w nocnym powietrzu. - Tak niesamowicie szybki. - Kossori. - Moichi stanął przed przyjacielem. Wzrok Kossoriego powoli nabrał ostrości. Muzyk uśmiechnął się i potrząsnął głową.

- To zabiera chwilę, przyjacielu. Wysilek emocjonalny jest największym problemem dla adepta koppo. Poza tym łatwo wpada się w swego rodzaju ciąg zabijania. Inaczej nie mielibyśmy siły. - Opuuszczoną ręką wskazał na skulone ciało, połamane niczym marionetka rozdarta przez mściwe dziecko.

Kossori oderwał od szaty pasek materiału i opatrzył nim cztery rany od kolców jhindo.

- Miałem szczęście - zauważył. - Kolce mogły być zatrute. Moichi przeszedł do miejsca, w którym leżało owalne pudełko, płaskie i brzydkie.

- Zastanawiam się, co miał zamiar z tym zrobić.

Kossori także zbliżył się do pudełka.

_ Nic dobrego, tego jestem pewien. Otwórz je. W środku na pewno znajdziemy wskazówkę. Moichi schylił się i uniół lakową pokrywkę.

Najpierw ujrzał warkocz, czarnogranatowy, błyszczący dzięki olejkom nakładanym zapewne godzinami. Włosy były pieczołowicie uczesane, co także musiało zająć dużo czasu. Poniżej brązowe oczy były otwarte, wyrażając coś na kształt zdziwienia. Szerokie wargi zamarły w niemym proteście, na żółtych zębach ciągle błyszczała warstwa śliny. Krew rozlała się wokół odciętej szyi; ciemna kałuża gęstniała powoli, zatrzymana wewnątrz pojemnika dzięki cienkiej warstwie laki. Nie chcę mieć z tym nic do czynienia.

- Proszę cię o osobistą przysługę...

- Przyjacielu, przyznam się, że nie radzę sobie dobrze z zagadkami. Nigdy sobie nie radziłem. To ty jesteś ekspertem w tej kwestii. Byłbym głupcem, gdybym maczał palce w czymś, o czym mało wiem i do czego nie mam naturalnych uzdolnień. - Zaczekaj, Kossori. Jeśli tylko zechcesz mnie wysłuchać, to wytłumaczę, jak możesz mi pomóc.

- Hmph! - Kossori patrzył podejrzliwie na przyjaciela, ale umilkł. Siedzieli przy stole z nie heblowanego drewna w zatłoczonej tawernie na ulicy Żelaznej. Przed nimi stały ogromne cynowe talerze, pełne pieczonego na ruszcie kurczaka oraz warzyw z ziarnem sezamowym polanych oliwą. Pomiędzy talerzami stał gliniany dzban z żółtym winem - oba kubki były jednak puste. - Zeszłej nocy dokonano morderstwa... i - Uhm, tak. Wyobrażam to sobie. Jedno z kilkuset w Sha'angh'sei. Co z tego?

- Mógłbyś przestać mi przerywać, właśnie staram się ci wszystko wytłumaczyć.

Kossori uśmiechnął się szeroko i wyciągnął przed siebie rozstawione dłonie, jakby chciał uspokoić przyjaciela. - Oczywiście, mów dalej - zaczął jeść, gdy Moichi mówił. - Dziwne jest to, że dwaj mężczyźni zostali zabici na dwa zupełnie różne sposoby.

Kossori uniół ramiona, ale zaraz je opuścił. - Wynika z tego jedynie tyle, że było dwóch morderców. To takie proste. - Starł wierzchem dłoni tłuszcz z ust. - Nie jest to ani trochę proste. -

Moichi potrząsnął głową. - Omojiru został zabity sprawnie, szybko i z zimną krwią. Tak jakby to zrobiła maszyna.

- Maszyna? - Kossori zdawał się nie rozumieć. - Co to jest maszyna?

Moichi za późno zdał sobie sprawę, że nie ma jak wytłumaczyć przyjacielowi tego pojęcia. Sam nigdy nie widział maszyny, ale słyszał jej opis z ust Dai-Sana podczas długiej wyprawy przez gęste dżungle wokół Xich Chih. Musiał wystarczyć najbliższy znaczeniem odpowiednik.

- Chciałem powiedzieć: nieludzkie źródło.

- Rozumiem. A drugi? Cudzoziemiec z... skąd niby?

- Kintai.

- Właśnie. Jak on zginął?

- W dziwny sposób. Bardzo dziwny. Jest w tym coś ogromnie niepokojącego. - Potem opisał, co zrobiono z sercem mężczyzny. Kossori położył pałeczki obok nie dokończonego dania. -

Wyjątkowo niemiłe, muszę przyznać. Pamiętaj jednak, że na tym świecie istnieje więcej metod wydobycia z człowieka informacji, niż ty lub ja moglibyśmy się nauczyć przez całe życie. Bujuni, jak wieść niesie, są mistrzami w tego rodzaju robocie. Jak twoim zdaniem mógłbym tu pomóc?

Dwaj Zieloni weszli głównymi drzwiami, rozejrzeli się po sali, po czym wybrali pusty stolik tuż obok drzwi. Usiedli, jeden z nich przodem do Moichiego. Zaczęli rozmawiać.

- Nie wiem właściwie. Mam tylko przecucie. - Wzruszył ramionami. - Możliwe, że nijak.

Do stołu zbliżyła się kelnerka, ale natychmiast ją odesłali.

Kossori poklepał rękę Moichiego.

- W każdym razie dobrze, że coś cię zainteresowało. Miasto nie ma na ciebie dobrego wpływu. Zdajesz sobie z tego sprawę? Moichi uśmiechnął się. Zielony spojrzał raz w jego stronę, nawigator zauważył to kątem oka. Ale gdy się obejrzał w tamtą stronę, oczy mężczyzny były już zwrócone gdzie indziej. Wyraźnie unikał patrzenia w ich stronę. Wydawał się pogrążony w rozmowie ze swym towarzyszem.

- Z niepokojem stwierdzam, że coraz częściej myślę ostatnio o domu.

- To bardzo dobrze, nie sądzisz? - Kossori włożył do ust ostatni kawałek jarzyny, przeżuł i połknął.

- Najwyższa pora, byś pojechał do domu. - Uśmiechnął się. - Nie zdajesz sobie sprawy, jakie to szczęście mieć rodzinę.

Moichi przesunął się nieco, ale nadal nie widział ich rąk. Sięgnął do szarfy i wyjął parę monet.

- Skończyłeś? - Nie czekając na odpowiedź, położył miedziaki na stole.

- To o wiele za dużo - zauważył Kossori. - Zaczekaj na resztę. - Wstawaj - szepnął Moichi napiętym głosem. - Wychodzimy stąd natychmiast.

Obserwował Zielonych, dopóki nie zamknął za sobą drzwi. Poszli ulicą Żelazną, na której tłumy przeredziły się nieco z powodu późnej pory. Dwukrotnie skręcili w lewo. Poruszali się szybko i cicho. Weszli w zaułek, który prowadził do alei Zielonego Świerszcza. Ogarnęła ich ciemność, jedynie na końcach zaułka widać było migoczące światła przebijające się z większych ulic. - Dobra - odezwał się Kossori, gdy zatrzymali się na moment.

- Co takiego tam widziałeś?

- Dwóch Zielonych. - Moichi wpatrywał się w mrok przed sobą, potem się obejrzał. - Myślę, że mnie szukają. - Czemu?

- Przychodzi mi do głowy kilka dobrych powodów. - Opowiedział Kossoriemu o porannej walce. - Chodźmy. Po kilku krokach jednak zatrzymał się gwałtownie i schwycił ręką przyjaciela. Kiwnął głową w stronę wylotu. - Przed nami.

Odgłosy butów na bruku, rozgniatanych odpadków, uciekających na boki szczurów.

- Kto idzie?! - zawołał Moichi, wyciągając miecz. Poczuł, jak Kossoriemu napinają się mięśnie.

Przez dłuższą chwilę było zupełnie cicho. Nawet maleńkie gryzonie się nie ruszały, czując wiszące w powietrzu napięcie. Moichi widział cienie, swój i Kossoriego, na wilgotnej ścianie przed nimi, tak wydłużone, że aż nierozpoznawalne, stworzone przez nocne światła ze znajdującej się za ich plecami ulicy Potrójnie Błogosławionej. W koszmarnie ciasnej przestrzeni wyglądały potwornie i groteskowo.

- Moichi Annai-Nin. - Rozległo się w ciemności przed nimi. - Przyszliśmy po ciebie. - Silny głos, przyzwyczajony do rozkazywania.

- Z czyjego nakazu? - zapytał Moichi.

- Z najwyższego nakazu naszego taipana, Du-Singa z Ching Pang.

- Załatwmy ścierwa - szepnął mu do ucha Kossori, ale Moichi zignorował przyjaciela.

- Czego wasz taipan chce ode mnie?

- Dowiesz się od samego Du-Singa - nadeszła z ciemności odpowiedź.

Moichi zauważył, że u wylotu od strony alei Zielonego Świerszcza było już zupełnie ciemno.

- Proszę, nie próbuj zrobić nic głupiego.

W tym momencie cienie dwóch przyjaciół zniknęły. Ktoś zasłonił światła na ulicy Błogosławionej.

Ściany pokoju wyłożone były przeciętymi na pół bambusami, które wylakierowano tak, że błyszczały w świetle konstelacji małych naftowych lampek rozstawionych na niskich stołach i kilku kominkach. Odsłonięte okno w dachu nad nimi ukazywało lodowate gwiazdy migoczące gdzieś w oddali, pozornie twarde niczym diamenty. Księżyc nie było widać.

Siedzący przed nimi mężczyzna że zdawał się wylewać z bambusowego krzesła, i tak najwyraźniej zrobionego na zamówienie. Miał na sobie jedwabne szafranowe spodnie, z których prawdopodobnie dałoby się uszyć cały namiot, oraz krótką koszulę z szerokimi rękawami, tej samej barwy, pikowaną i wyciętą tak, że odsłaniała niemal całą klatkę piersiową. Na gołym ciele, niczym drugie serce, wisiał ogromny turmalin, podskakujący przy każdym ruchu mężczyzny.

Jego twarz natychmiast przyciągała uwagę. Jej surowe rysy mogła ukształtować jedynie wieloletnia wojna partyzancka. Była to twarz płaska i okrągła niczym księżyc, pełna siły równie starej co delta, na której ulokowano miasto. Du-Sing, taipan Ching Pang, Zielonych z Sha'angh'sei, należał do ziemi, a ta, jak mówiono, należała do niego.

- Panowie. - Głos niczym odległy grzmot, wyczuwalny zarówno słuchem, jak i ciałem. - Herbaty?

Moichi, nic nie mówiąc, pokiwał głową, podczas gdy Kossori patrzył przed siebie, nieruchomy niczym posąg. Wystarczyło, że Du-Sing ledwo dał znak oczami, a młody człowiek w czarnych bawełnianych spodniach i pikowanej koszuli zerwał się na nogi. Szybkim truchtem podbiegł do bogato zdobionej srebrnej tacy, stojącej na niskim stole pod jedną ze ścian, i nalał herbaty do kubków. W przeciwieństwie do swego przyjaciela Moichi zaczął powoli pić gorący napój.

Du-Sing odczekał, aż gość zaczerpnie pierwszy łyk, i wtedy się odezwał.

- Dobrze nam się pracowało dawno temu. - Chodziło mu o Kai-feng, gdy wszyscy ludzie byli połączeni niczym jedna wielka rodzina. - Ale to było bardzo dawno temu. - Tai-pan umilkł na wystarczająco długo, by nadać swojej wypowiedzi złowieszczy ton. - W szeregach Ching Pang jesteś wspomniany z wielką czułością, Moichi Annai-Nin. - Westchnął, a zabrzmiało to jak pękająca pod naporem wody tama, jak odgłos trzaskającego drewna. - Dlatego przyjmuję cię u

siebie, zamiast kazać cię unicestwić. - Pstryknął palcami, a młody człowiek podbiegł do niego i podał kubek gorącej herbaty, który zniknął w ogromnej dłoni. Du-Sing opróżnił naczynie jednym dużym łykiem. - Jak się miewa Dai-San, Moichi Annai-Nin?

- Czuje się dobrze, Du-Sing.

- Cieszę się z tego powodu. Bardzo się cieszę.

Już było jasne, o co chodzi taipanowi.

- Czemu zostałem dzisiaj rano zaatakowany przez Ching Pang?

- spytał Moichi. - Jak sam zauważyłeś, nie jestem waszym wrogiem. - Tak. - Du-Sing uniósł tłusty palec. - Uważałem cię za przyjaciela Ching Pang. Ale dzisiaj podróżowałeś w towarzystwie szpiega Hung Pang.

- Był posłańcem regenta, miał mnie sprowadzić do Seifuke. To wszystko.

- Na pewno? - Jedna brew uniosła się pytająco do góry. - Zobaczymy. Już niedługo. - Niczym dziewczyna zawstydzona swoją pierwszą randką spojrzął na Moichiego ponad krawędzią delikatnego kubka z porcelany, ozdobionego rysunkami motyli. - Odbyłem rozmowę z regentem. Długą rozmowę. Zgodził się zwolnić wszystkich służących mu członków Hung Pang. - Zrobił to? - Czegoś takiego Aeren nie uczyniłby dobrowolnie.

- Czyżbyś wątpił w słowa taipana? - Przez chwilę jego oczy zabłyśły pomiędzy fałdami tłuszczu. Potem światełka nagle przygasły, a na grubych wargach pojawił się nikły uśmiech, nie wykraczający jednak poza usta. - Nie, oczywiście, że nie. Nie byłbyś chyba aż tak nieuprzejmy, Moichi Annai-Nin? Masz zbyt wielu przyjaciół w wyższych sferach Sha'angh'sei, by wiedzieć, że byłoby to bardzo nierozsądne, co? - Ruchem ręki zażądał więcej herbaty.

- Moglibyśmy dojść do sedna sprawy? - powiedział Kossori, a zaalarmowany Moichi złapał go za ramię.

- Co powiedziałeś? - Du-Sing uniósł brew. - Co ty powiedziałeś? - Przypominał Moichiemu wybitnego aktora; co było prawdziwe, a co jedynie grą?

Taipan odsunął kubek od ust.

- Mmm, widzę, że twój przyjaciel jest wychowany nieco gorzej niż ty, Moichi Annai-Nin. Niech więc tak będzie. Przejdę bezpośrednio do interesującej mnie kwestii. Krążyłem wokół niej jedynie dlatego, że sprawia mi ogromny ból. - Wielką łapę położył na sercu i wstał wreszcie z krzesła. - Chodzi o mojego syna, mojego najmłodszego, Omojiru, zamordowanego z rąk Hung Pang. To zniewaga, której nie mogę wybaczyć. Nawet twój barbarzyński przyjaciel musi to zrozumieć, Moichi Annai-Nin. Nie wątpię, że ty przynajmniej dobrze to rozumiesz. - W jego oczach był teraz żywy ogień, a twarz zmieniła się w budzące trwogę oblicze bóstwa zemsty. Trzęsąc się, postąpił krok w ich stronę. Moichi poczuł, że mięśnie Kossoriego znów się napinają, i modlił się, by ten nie zrobił niczego głupiego. Choć od wejścia aż do wewnętrznego sanktuarium taipana nie widział żadnej straży, nie miał złudzeń, że nie są sam na sam z Du-Singiem. Jeśli Kossori wykona najmniejszy podejrzaný ruch, to obydwaj będą martwi w mgnieniu oka. Nie pomoże im nawet koppo.

- Nie kto inny, tylko mój syn, nie żyje, Moichi Annai-Nin! - ryknął Du-Sing. - Nasienie mych lędźwi. Ja i moja rodzina, cały Ching Pang jest w żałobie. Jakie masz prawo wtrącać się w sprawę, która ciebie nie dotyczy?

- Ależ, Du-Sing, nie do końca masz rację. Chciałbym zauważyć, że sprawa zaczęła mnie dotyczyć wraz z interwencją twej rodziny, jak to nazwałeś. Ching Pang próbował mnie zabić dzisiaj rano. Nie podobają mi się takie groźby. Nie możesz mnie winić za ich śmierć. Mam pełne prawo się bronić. To nie ja wszcząłem walkę. - Jednak twój towarzysz był znanym szpiegiem Hung Pang.

- Był posłańcem regenta.

- Jeszcze gorzej! - krzyknął taipan. - Na bogów, Moichi Annai-Nin, Ching Pang nie jest ci winien żadnych przeprosin! Hung Pang ciągle knuje przeciw nam. Jak wojna, to wojna. Ale teraz posunęli się za daleko. Z zimną krwią zabić Omojiru... - Są powody, by uważać, że Hung Pang nie był zamieszany w śmierć twego syna, Du-Sing. Mamy...

- Cisz! - ryknął Tai-pan. - Cóż ty, Iskaelczyk, wiesz o Hung Pang? Czy też o Ching Pang? Jedyne nasza dawna przyjaźń stoi obecnie między tobą a egzekucją. Czy wyrażam się dość jasno? - Jak najbardziej - przyznał Moichi.

- Nawet gdy rozmawiamy, Ching Pang mści tę śmierć. Wystarczy, że będziesz wiedzieć tyle. - Klasnął w dłonie. - Chei was wyprowadzi. - Bez dalszych słów opuścił salę, poruszając się wyjątkowo zwinnie jak na osobę o takich rozmiarach. - Prędzej złamałbym jego tłusty kark niż znów na niego spojrzał - syknął Kossori, jak tylko wyszli na ulicę Czarnego Lisa. Skręcili w prawo w szeroką miejską arterię. Moichi nie musiał się odwracać, by wiedzieć, że stale obserwowały ich oczy Ching Pang. Szedł zółwim tempem, choć pragnął jak najszybciej opuścić tę część miasta, istną fortecę Ching Pang. Tutaj nie można było ufać nikomu, gdyż wszyscy - sklepikarze i ulicznicy, mnisi i lichwiarze - pracowali dla Zielonych.

- Bogowie - ciągnął Kossori. - Nie widzę żadnego powodu, dla którego musiałem znosić nabożne kazanie tego pretensjonalnego gaduły.

Moichi spojrzał na przyjaciela i nikły uśmiech zarysował się na jego ustach.

- Ten pretensjonalny gaduła, jak go nazwałeś, w dowolnym momencie mógł kazać nas poćwiartować. Za każdymi drzwiami do sali, a było ich cztery, musiało stać z pięćdziesięciu Zielonych z wyciągniętą bronią.

- Huh. - Kossori nie odrzekł nic więcej, ale Moichi wiedział, że przyjaciel jest pod wrażeniem. - Rozumiem więc, że przerwiesz dochodzenie.

_ Czemu tak myślisz?

_ Właściwie nie wiem. Może wpłynęły na to mroczne groźby tego wielkiego Hotentota. Inaczej nie mam pojęcia, skąd przyszedł-by mi do głowy tak dziwny pomysł. - Kończąc, głośno parsknął. Moichi odchylił do tyłu głowę i zaśmiał się, klepiąc jednocześnie przyjaciela po plecach.

- Nie martwiłbym się za bardzo Du-Singiem, Kossori. - Oczywiście, teraz spróbujesz mi wmówić, że bardziej szczeka, niż gryzie - odparł muzyk sarkastycznym tonem. - Nie, nie. Wcale nie. Muszę się ostrożnie w tym wszystkim poruszać, i tyle. Poza tym możliwe, że długo już tu nie zabawię. Jutro rano, o ile dobrze rozumiem, Aerent zdobędzie dla mnie informację o Kintai i...

- Masz zamiar się tam udać! - wybuchł Kossori. - Tak. Zdaje się, że mam. Myślę, że w Sha'angh'sei zabrnęliśmy już w ślepy zaułek. Jeśli chcemy się dowiedzieć, czemu ci dwaj zostali zabici, to Kintai będzie dobrym miejscem startu. Chcesz tam ze mną pojechać?

- Ja? - Kossori zaśmiał się. - Bogowie, nigdy! Nie mam zapału do tego typu spraw.

- Przynajmniej zastanów się nad tym chwilę. Pobędę w mieście jeszcze kilka dni.

- W porządku, jeśli sprawi ci to radość. Ale ostrzegam, nie zmienię zdania. - Zatarł dłonie. - Słuchaj, zapomnijmy może o twojej zagadce i spędźmy nieco czasu w Saito-gushi. Moichi roześmiał się ponownie.

- Niezła okazja, by nieco odpocząć.

- Bogowie, nie chcę tam odpoczywać! - wykrzyknął, zaśmiewając się, Kossori. dotarli przed bogato zdobioną trzypiętrową konstrukcją z lakierowanego na czarno i cynobrowo drewna. Jedyne wejście znajdowało się na końcu wygiętego w łuk mostu, który wiodł nad fosą otaczającą budynek. Dom postawiono pierwotnie w pobliżu morza. Dawno temu, nie wiadomo dokładnie kiedy, w

czasie idai-na-nami - wielkiego sztormu, którego fale były tak wysokie, że przysłaniały słońce - morze przelało się przez ląd z taką siłą, że w tym miejscu wyłobilo dwa kanały, które potem połączono w fosę. Do dziś się spierano, w jaki sposób Saito-gushi przetrwało, podczas gdy cała okolica została zrujnowana. Onna, właścicielka Saito-gushi, często powtarzała, że to z powodu łask, jakimi ją i jej kobiety obdarza Kay-Iro De. Wielu zgadzało się z Onną, gdyż wiedzieli, że raz w tygodniu Saito-gushi było zamknięte, by mieszkanki mogły się udać przez miasto z pielgrzymką do serca starej dzielnicy kubaru i uczestniczyć w obrzędach w świątyni legendarnej opiekunki Sha'angh'sei, Kay-Iro De.

Rzeczywiście, aura węzowej bogini była wyczuwalna zaraz po wstąpieniu na most. Metalowe poręcze zostały odlane na podobieństwo Kay-Iro De, a w podłoże wstawiono jej złoconą płaskorzeźbę. Symbole nadprzyrodzonej istoty, połączone łukiem mostu, rodziły w gościach poczucie, że przekraczają właśnie jakąś niewidoczną granicę. Zostawiali za sobą prawdziwy świat i wkraczali do mitycznego królestwa, w którym wszystko było możliwe. Moichi z własnego doświadczenia wiedział, że to przecucie było dużo bardziej prawdziwe, niż mógłby to sobie wyobrazić wstępujący w te dostojne progi nowicjusz. W Saito-gushi zebrano bowiem najwspanialsze kobiety, jakie żyły po upadku Tencho. Drzwi wykonano z kutego brązu, wzmocnionego twardym jak kamień materiałem, odbijającym rzeczywistość niczym lustro. Otwierały się do wewnątrz niczym w ciężko ufortyfikowanej cytadeli - zresztą ich grubości mogłaby temu domowi pozazdrościć niejedna forteca.

W środku za to panowało ciepło i wygoda. W długim przedsionku goście byli rozbierani z miejskich szat, także z tych najelegantszych i najbogatszych. Służące tam dzieci zawieszały je z wyjątkową ostrożnością w malutkich pomieszczeniach szatni, a goście byli tymczasem odprowadzani do łaźni. Potem wszyscy wkładali jedwabne szaty należące do tego domu. W ten sposób Onna dawała wszem i wobec do zrozumienia, że przekroczywszy te progi, dostawali się pod jej władzę, niezależnie od pozycji zajmowanej w społeczności miasta. Tutaj słowo Onny było prawem. Odkąd zarządzała Saito-gushi, nikt nie ośmielił się jej przeciwstawić. Moichi i Kossori, już przebrani, zostali poprowadzeni z łaźni z powrotem do przedsionka. Drewniana podłoga błyszcząca, wypolerowana stopami licznych gości. Ściany były zupełnie nagie. Prawdziwy świat Saito-gushi odsłaniał się po przekroczeniu drzwi o niemalże kolistym kształcie. Za nimi wszystkie podłogi były wyłożone grubymi szkarłatnymi dywanami. W małych pokojach, zdających się ciągnąć w nieskończoność, stoliki, okrągłe tace, sztućce i naczynia były wykonane w całości ze złota. Pograżone w półmroku chłodne korytarze miały hebanowe sufity i ściany z wonnego cedru. Inne pokoje, nieco większe, były podzielone delikatnymi balustradami z kości słoniowej, wyrzeźbionymi na kształt rozwiniętych zwojów. W odległym zakamarku ogromnej spiralnej konstrukcji znajdowała się nawet miniaturowa świątynia z Kantonu. Postawiono ją po to, aby pewni goście nie zrezygnowali z wizyty z powodu missy lub jednego ze świąt wypadających wiosną lub w pełni lata. Kobieta w sukni z różowego jedwabiu z naszytymi białymi ozdobami przywitała ich tuż za progiem. Była dość pulchna, co czyniło ją żywym symbolem matczynej troski. Miała twarz pomalowaną na biało, a usta jaskrawo czerwone. Jej zęby - Moichi dobrze to wiedział - były białe i błyszczące, tak jak zęby wszystkich jej kobiet, zupełnie inaczej niż u prostytutek, od których wymagano barwienia zębów na czarno. Kobieta ukloniła się w stronę przybyłych, posyłając im uśmiech. Czarne błyszczące włosy wiły się wokół twarzy, tworząc skomplikowany wzór. W loki miała włożoną parę szpilek z kości słoniowej niemal półmetrowej długości. Jej ciemne oczy były ciągle roześmiane, a pulchne palce nigdy nie pozostawały nieruchome, migały wokół ciała, przekazując enigmatyczne komunikaty. Stale radosna i pobudzona, zachowywała się jak matka narzeczonej w dniu ślubu.

Pochyliła się do przodu, całując radośnie każdego z nich w policzek.

- Tak miło was znów widzieć, chłopcy. - Wskazała palcem na Kossoriego. - Słodziutki, widzę, że straciłeś nieco na wadze. Postaram się, byś uzupełnił braki do czasu, gdy stąd wyjdiesz. - Jej głos

był jak dźwięk dobrze wykonanego instrumentu w rękach wirtuoza. Tak przyjemny dla ucha, iż nikomu nie przyszłoby do głowy, że osiągnięcie takiej barwy wymagało jedenastu lat żmudnego treningu.

To właśnie była Onna. Dokładniej Onna-shojin. Ten tytuł, bo nie było to imię, oznaczał kochankę. Nikt nie znał jej prawdziwego imienia, a ponieważ początkowo bardzo na to nalegała, stała się Onną dla każdego, kto z nią lub o niej rozmawiał. - Są gotowe - stwierdziła. Chlubiła się tym, że pamięta upodobania każdego z gości, który chociaż raz przekroczył progi Saito-gushi. W przypadku Moichiego i Kossoriego nigdy się nie pomyliła.

Kobiety czekały na nich w jednej z niewielkich salek. Złote tace z owocami i kilkoma rodzajami egzotycznych likierów z odległych krain, sprowadzonych według szczegółowych wskazań Onny, stały na malutkich stolikach.

Dwie z kobiet były drobne, lecz o krągłych kształtach. Miały blade twarze i niemal bliźniacze rysy. Czekały na Kossoriego, który zawsze brał do łóżka przynajmniej dwie kobiety. Tak właściwie to zaczął od trzech, ale odkrył, że późną nocą inne kobiety z niezliczonych pokoi Saito-gushi po zaspokojeniu innych klientów wślizgiwały się w końcu do jego łóżka. Wyglądało na to, że niektóre plotki rozprzestrzeniały się natychmiast. Kossori był świetnym, niezmordowanym kochankiem. Jednak nawet on nie miał dość siły, żeby zaspokoić cztery kobiety jednej nocy. Więc teraz ograniczał się do dwóch.

Trzecia kobieta była jedną z tych, które zawsze wybierał Moichi. Była nieco postawniejsza od tamtych dwóch, miała ciemnobrązowe włosy i skórę o oliwkowym odcieniu. Przypominała mu kobiety iskaelskie, które zostawił daleko stąd. Jakkolwiek się starał, nie umiał się w pełni przyzwyczaić do bladeści kobiet z Sha'angh'sei. - Przyjdę po ciebie o godzinie węża - powiedział przyjacielowi Kossori, przyciągając do siebie długimi rękoma dwie kobiety. - Bardziej prawdopodobne, że to ja będę musiał po ciebie przychodzić - odparł Moichi, na co dziewczęta zaczęły chichotać. Nie był głodny ani spragniony, więc kobieta poprowadziła go od razu długim, pachnącym cedrem korytarzem, o suficie ciemnym jak bezgwiezdna noc, a potem w górę, po spiralnych schodach, na drugie piętro.

Otworzyła drzwi i weszli do pokoju. Od razu usłyszał odgłos pobliskiego morza. Przeszedł przez pokój i rozsunął drżące zasłony. Otwarte okno wychodziło wprost na morze. Onna rzeczywiście 0 niczym nie zapominała, jakkolwiek nieważne mogłoby się to z pozoru wydawać. Pracowała przecież w wyjątkowo subiektywnym i osobistym interesie. Najmniejsza nie spełniona zachcianka klienta mogła zakłócić harmonię. A w ostatecznym rozrachunku to właśnie harmonię oferowało Saito-gushi.

Pokój był zbudowany na wzór kabiny kapitana statku. Komnata mogła być jedyną w swoim rodzaju w Saito-gushi lub równie dobrze jedną z wielu. Moichi nie potrafił tego stwierdzić. W końcu nie robiło to żadnej różnicy.

Nisko stojąca mgła przetaczała się ulicami miasta, sięgając nie wyżej niż do łydek. Księżyc schował się za pasmem niskich chmur - doskonale poziomych, ciężkich kształtów, sunących powoli na tle gwiazdzistego nieba.

Moichi poczuł delikatny dotyk na ramieniu i odwrócił się. Ponad jej głową wznosiły się ukośne belki stropu, wiernie naśladowujące kształt dachu. Nawet tutaj dochodziła woń cedru, lecz zapach kobiety był mocniejszy. Wślizgnęła się w jego objęcia i pocałowała głęboko. Moichi poczuł w ustach jej gorący, elektryzujący język. Jednym ruchem rąk sprawiła, że jego szata z szelestem opadła na podłogę.

Własna nagość, podczas gdy ona pozostawała ubrana, wydała mu się niesamowicie podniecająca. Ta zamiana typowych ról jakoś przypominała mu o Elenie. Czy z tego powodu wybrał właśnie tę kobietę?

Pracowite palce sięgnęły w jego stronę; westchnęła, czując, że jej pożąda.

Nagle i jej szata była rozpięta, wisiała na ciele kobiety niczym skrzydła. Ona tymczasem wspinała się, używając ud, po jego muskularnym ciele. Dyszała ciężko.

Na zewnątrz, w rozłożystych gałęziach wiekowej sosny, pamiętającej idai-na-nami, któremu nie uległa, siedziała wielka sowa. Mrugnęła dwa razy w stronę światła sączącego się przez okno, po czym zahukała donośnie.

Był środek nocy. Stał na znanej sobie ulicy. Musiał być w Sha'angh'sei, choć ulica świeciła pustką, a tutaj to się nigdy nie zdarzało. Był pewien, że to ulica Zielonego Delfina. Czyż to nie szyld gospody Pod Krzyczącą Małą bujał się na wietrze tuż przed nim? Tak, oczywiście. A tam był zaułek, w którym... Coś ścisnęło jego głowę niczym ogromne szczypce. Jego nozdrza rozszerzyły się, a Moichi poczuł osobliwy smród. Spojrzał w dół. W ręce ścisnął ręcznie napisaną wiadomość. Zmrużył oczy, ale było zbyt ciemno, by móc coś odczytać. Mimo to znał treść. „Spotkaj się ze mną w zaułku na ulicy Zielonego Delfina”.

Przyszedł, zdaje się, jak mu kazano. Ale dlaczego akurat ten ze wszystkich zaułków na tej wijącej się niczym wąż ulicy? Smród coraz bardziej się wzmacniał. Moichi dobrze wiedział, że dociera z zaułka po drugiej stronie ulicy. Powinien tam pójść. Ostatecznie w tym celu tu przyszedł. Nie mógł się jednak ruszyć, przecięty na pół; jedna połowa nie chciała słuchać drugiej. Przygwoździł go strach.

Nie chciał zaglądać do ciemnego i wilgotnego miejsca. Nagle zobaczył siebie z góry, był duchem obserwującym własne ciało idące w stronę zaułka. „Nie! - chciał krzyknąć. Nie, zatrzymaj się! Nie idź tam!” Ale z gardła nie wydobywał się żaden dźwięk. Nie potrafił opanować narastającej grozy, Która go wypełniała, gdy patrzył, jak wchodzi w hebanowy mrok. Ciało nie zniknęło jednak w ciemnościach, gdyż odkrył, że może podążać za nim. W tym czasie szyld gospody, ulica Zielonego Delfina, a wreszcie całe Sha'angh'sei zniknęły, jakby nigdy nie istniały.

Lewitując, ujrzał w dole swoje ciało pochylające się nad skulonym kształtem - ciałem człowieka z Kintai, zabitego, zniszczonego, zmienionego w okropne dzieło sztuki przez jakąś potworność.

Wiedział już, że nie przerażają go mizerne resztki mężczyzny, lecz istota, która była sprawcą tego zła.

Zmusił się do ponownego spojrzenia na ciało, by nigdy o nim nie zapomnieć. W tym momencie w jego umyśle zaczęła świecić myśl. Może ważny był kąt, pod jakim leżało złamane w pół, a może masakra dokonana na jego kończynach? Coś, coś... - ... chi, obudź się.

Ktoś łagodnie nim potrząsał. Odwrócił się, mamrocząc. Nie chciał się obudzić, gdyż prawie już wiedział. - Daj, ja to zrobię. - Inny głos, a potem silniejszy chwyt, wyciągający go w górę, z łóżka i ze snu.

Rozdrażniony machnął ręką, jego dłoń została jednak zatrzymana w środku zamachu przez żelazny uchwyt.

- Przyjacielu, uspokój się. Pora wstawać.

To był głos Kossoriego. Moichi otworzył oczy. Bez słowa opuścił łóżko i szybko się ubrał. Oglądając się, ujrzał delikatną skórę kobiety, jasną w świetle księżyca. Pochylił się i pocałował jej usta.

Potem wyszli.

Był sam środek nocy. Księżyc przekroczył już zenit swojej wędrówki. Wisiał niżej nawet niż najniższe gęste chmury, ogromny, napuchnięty i blady jak kość nad czarnymi zarysami dachów. Powoli, powoli, ześlizgiwał się w stronę linii horyzontu. Gwiazdy migotały zimnym światłem, z pozoru tak bliskie jak księżyc. - Będziemy musieli iść piechotą - stwierdził Kossori. - Po dzisiejszym dniu nie odważę się zamówić rikszy. - Spojrzał na Moichiego. - Wszystko w porządku?

Moichi starał się zaśmiać, ale na jego twarzy pozostał smutek.

- Tak, tak, miałem po prostu bardzo dziwny sen, to wszystko. Ulice były niemal puste. Kilku pijaków zataczających się pod ścianami, rodzina śpiąca przy drzwiach budynku, dwóch staruszków grających w kości. Ogromne cienie skakały po ceglanych ścianach niczym w latarni magicznej, gdy zbliżali się, a potem mijali światła rozwieszane po bokach ulic.

Po jakimś czasie Kossori odezwał się cicho.

- Opowiesz mi o swoim śnie?

Moichi westchnął ciężko, czując, że nadal tkwi w oparach koszmaru.

- Widziałem siebie, samotnego, na ulicy Zielonego Delfina, naprzeciwko zaułka, w którym Aerent i ja znaleźliśmy ciało człowieka z Kintai. - Pies grzebiący w śmieciach w uliczce przed nimi szczeknął donośnie. - Widziałem, jak znów oglądam trupa, ale tym razem - nie wiem, tym razem zobaczyłem wszystko jakby w nowym świetle. - Z zaciemnionego okna na drugim piętrze ceglanoego budynku po lewej stronie dobiegł cichy głos kobiety śpiewającej prostą piosenkę w dialekcie kubaru. - Co było inaczej tym razem? - zapytał muzyk.

- No właśnie, nie mogę sobie przypomnieć.

Dotarli na tyle blisko, by zrozumieć słowa. Była to historia utraconej miłości.

- Tak, cóż... Może nie było to takie ważne - powiedział Kossori.

W wiosce mych narodzin

Stoi fontanna na placu

Malutkim placu otoczonym bukami

Przy niej spotkałam mężczyznę z nad morza

Pachnącego solą, z wodorostami wijącymi się wokół stóp _ Sny często okazują się ważne - ciągnął dalej Kossori. Zamyślony wzruszył ramionami. - W innym momencie... kto wie?

Nigdy go później nie widziałam, mojego wielkiego wodnika

Pewnie umknął pomiędzy toczącymi się falami

Lecz teraz jestem w Sha 'angh 'sei

Morze zawsze jest ze mną

Mój wodniku, ach!

Dotarli do domu strawionego niedawno przez płomienie.

Poprzez zgliszczta widać było nawet najwyżej położone dzielnice. Wysoko na wzgórzu nawet w środku nocy świeciły jasno światła wielkich posiadłości, w których mieszkali bogaci fabrykanci, bezpieczni dzięki płatnej ochronie Ching Pang. Tu i ówdzie rysowały się kształty wyrzeźbionych drzew, których korony w świetle latarni wyglądały niemalże jak ciała niebieskie. Gdzieś bliżej nawoływał lelek, przelatując z drzewa na drzewo. Kobięcy głos został daleko w tyle.

Gdy skręcali, w jednym z zaułków na moment rozbłysło światło. Mocny i słodki zapach palonego opium wypełnił po-wietrze.

- Jak się zaczęła twoja przygoda? - spytał Moichi. - Z koppo?

- Chciał przestać myśleć o dręczącym go śnie. Kossori gwizdnął przeciągle, naśladując lelka; chciał, by ten odpowiedział. Jednak ptak umiał odróżnić głos człowieka albo po prostu już odleciał.

Moichi słyszał monotonne człapanie, jakie wydawały ich buty, uderzając o błyszczące kocie łby ulicy. W świetle księżycy wszystko było ostre niczym krawędź miecza. - Na początku chodziło o samoobronę. - Głos Kossoriego niósł się daleko w otaczającej ich ciszy, w pobliżu jedynie cykady grały swój koncert, zniknęły nawet nocne ptaki. - Nigdy nie potrafiłem używać miecza lub sztyletu. - Wzruszył ramionami. - Miałem dosyć po tym, jak dwukrotnie zostałem wdeptany w ziemię. Płomienie nocnych świateł Sha'angh'sei tworzyły wąskie prze-strzenie, między którymi przemieszczali się w ciemnościach niczym duchy. Poza lampami była już tylko pustka, w której echo tworzyło dziwne harmonie.

- Nie miałem wtedy domu - mówił dalej Kossori. - Poszedłem więc do jedyne miejsce, które dobrze znałem: na nabrzeże. Gdy byłem mały, chodziłem tam jeszcze przed świtem, by patrzeć, jak wielkie trzy- i czteromasztowe szkunery manewrują w basenie portowym lub wyciągają kotwice i załadowane do pełna towarami, wypływają do odległych krain. Wyobrażałem sobie wtedy, że zakradam się na jeden z nich, chowam głęboko pod pokład między ogromne worki ryżu i wychodzę z kryjówki dopiero na pełnym morzu, gdy jest już za późno na powrót. Przedstawiam się kapitanowi, wysokiemu i silnemu mężczyźnie o twarzy tak opalonej, że przypominającej wyprawioną skórę, i zgłaszam się do pracy w charakterze marynarza albo przynajmniej majtka, by opłacić koszty podróży. Niezależnie od tego, dokąd byśmy płynęli. Jaką mi to robiło różnicę? - Zaśmiał się cicho. - Ale brakło mi odwagi. Albo co bardziej prawdopodobne, nawet w tak młodym wieku miałem wystarczająco dużo zdrowego rozsądku, by nie wyruszać na tak nierozsądną wyprawę. Szybko by mnie przerobili na mielone mięso.

Potrząsnął głową i ponownie zaczął gwizdać. Nucił ciężką i mroczną melodię, która przypadkowo nawinęła mu się na myśl - tak jakby chciał, by mu pomogła przypomnieć sobie minione czasy.

- Wychodzi na to, że niektóre rzeczy lepiej pozostawić wyobraźni, co? - Znów zamierzał zagwizdać, wolał jednak wrócić do swej opowieści. - Pytałeś o koppo. Cóż, już wtedy miałem kawałek bambusa znaleziony na rynku i pracowałem nad rozmieszczeniem w nim otworów. Był to, muszę przyznać, prymitywny fliete, ale przecież i ja byłem wtedy dość prymitywnym muzykiem. Śmiech w pobliskich drzwiach, zadziwiająco bliski, nagle się urwał.

- Przez pewien czas mieszkałem w harttinach stojących wzdłuż nabrzeża. W każdym z nich przebywałem nie za długo, by nie zostać wykrytym. - Uśmiechnął się. - Raz zasnąłem na ogromnym worku z opium. Śniłem wtedy tak, jak chyba tylko śnią cesarze. Na jakiś czas - rzekł po krótkiej przerwie - przyjęli mnie mieszkańcy pływającego osiedla zbudowanego z łódek tasstani, ale oczywiście nie sposób było z nimi żyć. Brakowało wszystkiego, nawet jedzenia i ubrania. W końcu miałem dosyć posiłków robionych ze zgniłych jabłek i spleśniałych grzybów. Zostawiłem ich i już nigdy nie wróciłem na łódki. Było to dla mnie zbyt przygnębiające. Nic się wtedy dla mnie nie liczyło, zupełnie nic. Krążyłem nocami po wybrzeżu portowym, ćwicząc z bambusowym fliete, powoli ucząc się na nim grać. Byłem tym tak zachwycony, jakbym poznawał ciało ukochanej kobiety. Czasami kucharze z nocnej zmiany słyszeli mnie i zapraszali do siebie, dawali coś do jedzenia. Wierz mi, nie staram się być melodramatyczny, mówiąc, że muzyka była dla mnie jedynym ratunkiem. Tylko dzięki niej nie przywiązałem sobie do nogi kamienia i nie skoczyłem z nim do basenu portowego. W chwilach depresji spędzałem długi czas, próbując wszystko zrozumieć. Chorobliwie wracałem myślą do ciężkiego przedmiotu. Potrzebowałem go, gdyż miałem za mało siły woli, by dobrowolnie pójść na dno i pozostać tam, aż woda zaleje mi płuca.

Parsknął, niemalże obraźliwie.

- Nie były to jednak płonne rozważania. Pewnej ciemnej nocy skoczyłem. Nie mogłem znieść samotności, gdyż czułem, że nawet gwiazdy i księżyc przestały być moimi przyjaciółmi. Myślałem, że jestem jedyną osobą na świecie, a wszyscy inni są miliony kilometrów ode mnie i krążą wokół nieznanymi i zimnymi gwiazdami. Wiem, że wydaje się to szalone. - Spojrzał na Moichiego. - Jednak

im dłużej o tym myślałem, tym bardziej byłem przekonany, że tak jest naprawdę. Zacząłem się trząść i zanim zdałem sobie sprawę, co się naprawdę dzieje, byłem już w wodzie. Szedłem na dno jak kawał ołowiu, coraz głębiej i głębiej. Wtedy zrozumiałem.

Na samym dnie. Było to uczucie niesamowicie prawdziwe. Chciałem

70

żyć - oddychać, widzieć księżyc i gwiazdy, słońce, czuć deszcz i wiatr, nade wszystko żyć, żyć.

Potrząsnął nerwowo głową.

- Z trudem wypłynąłem na powierzchnię. Wbiłem paznokcie w śliskie drewno pomostu tuż pod powierzchnią wody i zacząłem odzyskiwać oddech. Później już nigdy nie rozważałem samobójstwa. To, co czekało na mnie w głębinach, okazało się dużo gorsze od tej odrobiny życia, którą jeszcze posiadałem. W sumie była to szczęśliwa noc. Właściwie była czymś dużo ważniejszym. Swego rodzaju znakiem, symbolicznym punktem, od którego wszystko się zmieniło. Wkrótce potem spotkałem Tsuki. Wracalem właśnie z jednej z nabrzeżnych gospód, w której szukałem jedzenia. Tym razem szczęście mi nie sprzyjało. Jedyne kucharz, który mnie lubił, miał tej nocy wolne. Wracalem więc wzdłuż nabrzeża, grając na fliete, żeby zapomnieć o domagającym się jedzenia żołądka. Dobrze pamiętam, że księżyc był wtedy w pełni, płaski niczym kółko z ryżowego papieru, ale złoty i jasno świecący jak samo słońce. Dopiero później zrozumiałem, że była to najdziwniejsza rzecz tego wieczoru. Gdyż to właśnie oznacza imię Tsuki: księżyc. Wóz ciągnięty przez osła zbliżał się powoli w ich stronę. Koła trzeszczały przy każdym obrocie.

- Miała rude włosy i zielone oczy, z jasnobrązowymi plamkami pływającymi w tęczęwkach. Była cała pokryta piegami, wypełniona słońcem. Nosila ciemnoniebieski płaszcz marynarza. - Rozmarzony Kossori nie zwracał uwagi na zbliżający się wóz. - Uśmiechnęła się na mój widok i zatrzymała, chcąc posłuchać melodii. Nadal pamiętam ją dokładnie. Chcesz posłuchać? - Nie czekając na odpowiedź, zagwizdał melodię surową i smutną niczym mroźny zimowy poranek na opustoszałym wrzosowisku. Daleko jej było do skomplikowanych utworów, które Kossori obecnie komponował, miała jednak aurę tajemniczości, tak typową dla jego twórczości. - Piękne - szepnął Moichi.

Z przodu nadjeżdżającego wozu siedział na drewnianym zydlu senny kubaru. Obok niego skulona postać najprawdopodobniej spała z kapturem naciągniętym na twarz. Lejce zwisały luźno w rękach kubaru, a osioł porykiwał cicho. Rozbudzony tym odgłosem pies, wybiegł z drzwi i zaczął ujadać na osła, dopóki jubaru nie uniósł głowy i krzykiem nie odgonił natrętnego zwierzęcia. Wóz przetoczył się obok nich, tak powoli, jakby jego ładunek stanowiły wszystkie zmartwienia tego świata. - Tak, ma w sobie coś - odparł Kossori tak łagodnie, jakby mówił do wiatru. Milczał wcześniej jakiś czas po zakończeniu melodii. - Ale mimo to jest to tylko niezgrabne dzieło młodego chłopca. „Grasz bardzo dobrze”, powiedziała do mnie. Choć tak nie było, komplement mnie ucieszył. „Kto cię uczy?”, spytała. „Sam się nauczyłem”, odparłem. „Naprawdę?” Uniosła do góry brwi w zdziwieniu. „Masz prawdziwy talent”. Teraz już ani trochę jej nie wierzyłem i zastanawiając się, czego może ode mnie chcieć, odparłem: „Skąd to pani właściwie wie?” Chyba oczekiwałem, że się zezłości, ale ona przechyliła do tyłu głowę i roześmiała się. Potem wyciągnęła najpiękniejszy fliete, jaki w życiu widziałem. Nosila go zawinięty w smołowany materiał, żeby nie zaszkodziła mu sól, której było pełno w morskim powietrzu. Instrument był wykonany z hebanu, a otwory miał obramowane srebrem. Zaczęła grać. W dziesięć tysięcy lat nie potrafiłbym ci opisać, co ani jak grała, wystarczy powiedzieć, że była prawdziwą wirtuoską. „Jak sądzę, masz ochotę nauczyć się tak grać, co?” Na jej twarzy nadal rozkwitał uśmiech. „Tak”, przyznałem. „Chciałbym”. „Więc chodź ze mną, ja cię nauczę”. Uniosła rękę, po czym objęła mnie; fałdy jej płaszczka otoczyły mnie niczym ogromna fala. Doszli do końca ulicy, co rzadko się zdarzało w mieście, gdzie wszystkie arterie zdawały się nie mieć początku ani końca. Wyszli na szeroki plac,

którego Moichi nie znał. Ze wszystkich stron otaczały ich piętrowe budynki, z ozdobnymi żeliwnymi balkonami ciągnącymi się wzdłuż fasad niczym groteskowe ozdoby. Plac był całkowicie pusty, a budynki mieszkalne wyglądały na opustoszałe. Nawigator wiedział jednak, że to niemożliwe w Sha'angh'sei. - Miejskie domy bogaczy. - Kossori musiał chyba czytać w myślach Moichiego. - Wielu z tych, którzy mieszkają w we-wnętrznym mieście na wzgórzu, utrzymuje rezydencje w dolnych częściach miasta. Dzięki temu mogą, kiedy zechcą, zanurzyć się w błoto, w którym żyją zwykli ludzie. - Zaśmiał się ostrym, niepokojącym śmiechem.

Jak on bardzo nienawidzi wszelkich form władzy - pomyślał Moichi. I jak bardzo pragnie bogactwa tłustych fabrykantów, którzy w rzeczywistości rządzą miastem.

Kossori poprowadził przyjaciela przez opustoszały plac, z po-wrotem w wijący się labirynt uliczek. Poszli drogą Purpurowego Pawia, aż dotarli nią do alei Mroźnego Światła, a potem do ulicy Perlicie Prędkiej. Moichi wiedział tylko, że są daleko od Nankinu, głównej arterii Sha'angh'sei. Szczerze mówiąc, byli z dala od wszystkich znanych mu punktów orientacyjnych. - Zaprowadziła mnie do pewnej gospody. - Kossori ciągnął opowieść, jakby nawet na chwilę jej nie przerwał. Moichi wiedział, że nie jest mu spieszno. Rozumiał też, że słyszy wyjątkowo ważną dla Kossoriego opowieść, której - tego był pewien - nikt inny nie słyszał. Muzyk miał niewielu przyjaciół, a w dodatku był niesamowicie małomówny. Opowiadając swą historię właśnie Moichiemu, niesłychanie go w ten sposób wyróżnił, on zaś starał się to docenić.

- Do tej samej, z której mnie wcześniej wyrzucono. Tym razem byli bardzo troskliwi, najwyraźniej Tsuki dobrze znano w tym lokalu. Jeśli nie pochodziła z Sha'angh'sei, to przynajmniej była stałym gościem.

- Nie spytałeś, skąd pochodzi?

Kossori spojrział na niego niechętnie, jakby Moichi poprosił go o wyprzedzenie własnej opowieści.

- Nie - odparł powoli. - Nigdy nie przyszło mi to do głowy.

Moichi wzruszył ramionami i umilkł, chcąc słuchać dalej. - Kazała przynieść dla mnie jedzenie. W całym swoim życiu nigdy tyle nie zjadłem, nigdy też jedzenie tak bardzo mi nie smakowało. Z czasem nasyciłem się i poszliśmy po krętych, rachitycznych schodach, a potem wzdłuż ciemnego korytarza do ciemnego pokoju, w którym pod ścianą stało gigantycznych rozmiarów łóżko. Tuż nad posłaniem znajdowało się otwarte na oścież okno, przez które było widać uśpione o tej porze nabrzeże i statki stojące na kotwicy nieco dalej. Zapach morza wypełniał cały pokój.

- Widzę już, dokąd to zmierza.

Kossori odwrócił się w stronę żeglarza.

- Nie, przyjacielu - szepnął. - Nie sądzę, żeby tak było. - Wskazał w lewo i skręcili z ulicy Czterech Zakazanych w wąziutką, zakrzywioną uliczkę, prawdopodobnie bez nazwy. - Wyczerpany, natychmiast zasnąłem.

Droga zaczęła bieć nieco pod górę i Moichi zdał sobie sprawę, że wspinają się na wzgórze. Było tu ciemniej, gdyż wąskie domy stały tuż obok siebie, bez najmniejszych odstępów między nimi. Blask ulicznych świateł był już słabszy, został daleko za ich plecami, w gęstwinie większych ulic. Światło gwiazd rozświetlające chwilami ich ciała nadawało twarzom i rękom niebieski odcień. - Zbudziłem się w środku nocy - opowiadał Kossori. - Księżyc już zszedł za horyzont. Usłyszałem w pobliżu krzyk mowy i wyobraziłem sobie, że jestem na statku na pełnym morzu. Czułem chyba nawet, jak okręt kołysze się pod moimi nogami. Nie do końca rozbudzony, obróciłem się i wtedy poczułem jej skulone ciało. Oblało mnie ciepło, otoczył silny zapach jej ciała. Nie myśląc, objąłem ją, a wtedy ona, przez sen, przyłożyła rękę do mej szyi i policzka z taką czułością, że wydawało mi się, że jestem pierwszą osobą, której tak dotknęła. Milcząc, ronilem ciche łzy. Czułem niewytłumaczalne napięcie w piersi i zdawało się, że tylko płacz może mi ulżyć. Wtedy ona

obudziła się, nie wiem jakim cudem. Jej oczy tak blisko moich były jak widok odległego brzegu w czarodziejskim teleskopie. Jej pocałunek był najpiękniejszą rzeczą w całym świecie.

Wielokrotnie skręcająca i zawracająca uliczka wreszcie osiągnęła szczyt wzgórza i stała się dość szeroką ulicą, zupełnie pozbawioną mieszkańców. Duże sklepy ciągnęły się po obu stronach, brak było charakterystycznych dla domów mieszkalnych okien na piętrze. Wyższe piętra, zupełnie ciemne, były najwyraźniej używane jako magazyny. Zatrzymali się na chwilę.

Historia Kossoriego poruszyła Moichiego, oprócz tego czuł intensywność emocji, które w nim wzbudziła. Musiał to być wyjątkowo silny związek.

- To ona nauczyła cię grać na fliete.

- Tak - przytaknął Kossori. - Także koppo. - Wskazał na wąską uliczkę biegnącą między dwoma sklepami. - Tej nocy Sha-rida ma miejsce tuż za tymi budynkami.

Jednak Moichi schwycił Kossoriego za ramię, zatrzymując przyjaciela.

- Niech czarna śmierć pochłonie Sha-rida, Kossori! Dokończ historię.

- Ależ już to uczyniłem, przyjacielu. - Kossori uśmiechnął się i wyciągnął bezradnie rękę. - Powiedziałem ci wszystko, co jest do powiedzenia.

- Ale co się z nią stało? Gdzie jest teraz twoja kobieta?

Kossori zachmurzył się.

- Moichi, ona odeszła. Daleko, daleko stąd. Zniknęła pewnego dnia, jakby rozmyła się w powietrzu. Pytałem wzdłuż całego nabrzeża, ale nikt jej nie widział. Jeśli wsiadła na statek płynący w szeroki świat, to nikt tego nie zauważył.

- Nigdy nie powróciła?

- Nie. Nigdy. - Kossori sięgnął za pazuchę. - Ale zostawiła mi to. - Wyciągnął futerał z naoliwionej skóry, z którego wysunął fliete z hebanu i srebra.

- Jej fliete!

- Tak. Poza tym pozostawiła mi także koppo. Była adeptem, dobrze sobie radziła z nauczaniem. Teraz więc wiem, jak używać rąk do łamania kości. Wielu uważa, że czynię to z pomocą magii. Oczywiście tak nie jest. Cóż, sam to wiesz. Nauczyłem cię wszystkich podstawowych reakcji obronnych. Są one, jak wiesz, dużo prostsze od ataków. Ale jest coś, o czym na pewno nie wiesz, gdyż nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Koppo w trzech czwartych jija swoje źródło w psychice. To zebranie wewnętrznych energii, zogniskowanie i użycie ich dzięki cielesnym technikom. - Uniósł do góry otwarte dłonie.

- Czy walczyłeś kiedyś z innym adeptem koppo? - spytał Moichi. - Myślę o prawdziwym wrogu, a nie o ćwiczeniu z mistrzem.

- Nie. - Uśmiechnął się Kossori. - Wątpię, by kiedyś do tego doszło. Na świecie żyje bardzo niewielu adeptów koppo. Tradycja koppo jest tak starożytna i osłonięta zasłoną tajemnicy, że rzadko można spotkać osobę, która o koppo słyszała, nie mówiąc już o znajomości tej sztuki walki.

- Ale co by się stało, gdybyś jednego z nich spotkał, przynajmniej hipotetycznie? - nalegał Moichi. Zadając to pytanie, zaczął się zastanawiać, co go skłania do kontynuowania wątku. Kossori wzruszył ramionami.

- Nie jestem pewien. Wątpię jednak, by o wyniku rozstrzygnęła siła. Przebiegłość jest kluczem do wygrania z adeptem koppo. Oczywiście prędkość też. Wyobrażam sobie, że takie walki są krótkie, nawet między adeptami. Szok jest jednym z naj-ważniejszych elementów koppo - wszystko niemal się kończy zanim zdąży się zacząć. Mówiąc o przebiegłości, myślę, że trzeba by znaleźć sposób na złamanie skupienia przeciwnika. Wystarczyłoby mgnienie oka. Jeśli ktoś nie potrafi tego zrobić, to

nie daję mu dużej szansy przeżycia. Rozumiesz, moc koppo często nazywa się mizo-no-tsuki, czyli księżycem nad wodą. Powierzchnia rzeki chwyta światło księżyca, dopóki niebo jest bezchmurne. Wystarczy jednak jedna pędząca chmura, która przesłizgnie się przed twarzą księżyca, aby światłość zniknęła i nastąpi ciemność. - Zaśmiał się i poklepał Moichiego po plecach. - Ale czemu jesteś taki poważny, przyjacielu? Nie masz co się obawiać, jedyny adept koppo, którego kiedykolwiek spotkasz, nie potrafiłby cię skrzywdzić.

Ale Moichi nie uśmiechnął się, gdyż jego myśli były zaprzątnięte czymś innym. Coś, co Kossori powiedział, jakieś słowo lub zdanie - nie był do końca pewien które - pozwoliło mu przypomnieć sobie fragment snu, którego dotychczas nie pamiętał. Światło i cienie. Miało to coś wspólnego z... Nagle wszystko mu się przypomniało, zachwycony schwycił ramiona Kossoriego. - Wiem!- krzyknął. - Pamiętam! Kossori, pamiętam sen z dzisiejszej nocy. On chciał mi coś powiedzieć. We śnie odtworzyłem scenę odkrycia ciała, która rzeczywiście nastąpiła. Nieważne, że było to w dzień, a we śnie działo się w nocy. Światło padało w ten sam sposób. Płamki światła na tyle zmieniły perspektywę, że nie zdałem sobie sprawy, co widzę. - Zorientował się, że Kossori nic nie rozumie. - Zrozum to! Moje oczy, a więc też i mózg, zarejestrowały wszystkie szczegóły, tylko mój świadomy umysł pozwolił się zmylić. Dlatego stało się to jasne we śnie! - Co stało się jasne?

- Ten człowiek z Kintai - stwierdził podekscytowany Moichi.

- Wydaje mi się, że zabito go przy użyciu koppo.

Cyrk dusz

Tak nazywano podniszczone namioty ustawione w pięcio-ramienną gwiazdę. Płachty, kiedyś zapewne wielobarwne, wyblakły przez lata pod wpływem słońca, piasku i deszczu. Teraz wymalowane na nich wzory były z trudem rozpoznawalne. Wokół namiotów stały drewniane stojaki z trzciniowymi pochodniami rozświetlającymi mrok. Farba i lakier odpadły ze stojaków już dawno temu, odsłaniając drewno tak wyglądkowane i wypolerowane, że świeciło. Resztki malowideł na drewnianych ściankach przedstawiały dzikich wojowników z wielkimi kręconymi brodami, wściekłymi spojrzeniami i żelaznymi pierścieniami w nosach. Były także syreny z rybimi ogonami wijącymi się wokół ludzkich twarzy i rąk, z drobinami muszli i skorupki wplątanych w rozpuszczone włosy. Niektóre malowidła przedstawiały też wojowniczkę w ozdobnych napierśnikach i nagołennikach, dzierzące w pełnych odcisków dłoniach długie włócznie.

Wszystko razem przypominało karnawałowy plac zabaw o dość kiepskiej reputacji, starający się przetrwać na przekór zmieniającej się koniunkturze.

Moichi i Kossori opuścili już ulicę Niebieskiej Iluzji z jej eleganckimi sklepami i weszli w całkowitą ciemność bocznej uliczki. Wtedy Kossori zwrócił się do nawigatora. - Przyjacielu, musisz się mylić. To, co mi opisywałeś, sposób, w jaki potraktowano serce tego nieszczęśnika, zdecydowanie nie ma nic wspólnego z koppo, tylko z jakąś perwersyjną torturą, której pochodzenie jest mi całkowicie nieznanne.

- Nie myślałem o sercu, Kossori, ale o reszcie ciała. Będziesz mógł przynajmniej na nie zerknąć?

- Oczywiście, ale wątpię, bym potwierdził twoje przypuszczenia.

- Potrząsnął głową. - Nie jesteś w stanie zająć się czymś innym? Pozwól swojemu przyjacielowi regentowi rozpracować zagadkę człowieka z Kintai.

- Nie. - Moichi podjął już decyzję. - Chcę doprowadzić to do końca, a poza tym obiecałem Aerentowi. - Przed nimi było już widać punkcik światła na końcu uliczki. Zatrzymał Kossoriego, kładąc mu rękę na ramieniu. - Przypomniałem coś sobie. Aerent nie chciał ze mną rozmawiać o Sha-rida. Co to właściwie jest? Zawsze myślałem, że to kolejny z targów niewolników, które kwitną w tym mieście.

- Wtedy nie byłoby przecież potrzeby przenosić go wciąż z miejsca na miejsce, utrzymywać w tajemnicy jego położenie czy organizować go jedynie w czasie nowiu księżyca. - Jest nielegalny.

- Nielegalny, oczywiście - zaśmiał się Kossori. - Tak nielegalny, jak tylko to możliwe w Sha'angh'sei.

- Aerent mi powiedział, że zamierza zlikwidować Sha-rida. - Cóż, życzę mu szczęścia. - Kossori wciągnął głęboko nocne powietrze. - Inni już przed nim próbowali, nawet Zieloni. To niewykonalne. Lepiej zapomnieć o istnieniu Sha-rida, niż próbować ją zniszczyć.

- Co w tym trudnego? Wiedziałaś, gdzie odbędzie się tej nocy, inni też muszą to wiedzieć.

- Pewnie, że tak. To właśnie zapewnia Sha-rida istnienie.

- Wydaje mi się to sprzeczne...

- Przyjacielu, zrozum, nieważne, ile osób wie o Sha-rida, tylko kim one są. - Wskazał przed siebie i ruszył w tym kierunku. - Chodź, pokażę ci, o co mi chodzi.

W ten sposób dotarli do placu Fali Odpływu - dziwnie na-zwanego, jeśli wziąć pod uwagę, że znajdowali się daleko od morza. Kiedyś być może otoczony był szykownymi domami. Obecnie opustoszałe budynki, stoczone wieloletnim rozkładem, nie nadawały się już do zamieszkania. Niczym resztki mocnych niegdyś zębów starca fragmenty ceglanych, nieraz pokrytych jeszcze boazerią ścian nadal stały, wynurzając się z gruzu. Między nimi, na środku, łopotały namioty Sha-rida. Prowizoryczne konstrukcje wyglądały na mocno zniszczone i wielokrotnie łątane. Lecz biorąc pod uwagę charakter tego rynku, były najlepszym rozwiązaniem. Zbliżywszy się do namiotów, Moichi zauważył, że dają się złożyć w mgnieniu oka. Możliwość szybkiego spakowania się i zniknięcia była zapewne bardzo istotna. Pozorne ubóstwo namiotów kontrastowało wyraźnie ze strojami klientów Sha-rida. Niemalże wszyscy byli ubrani w czarne szaty i płaszcze pozbawione jakichkolwiek wyróżniających znaków. W ciepłych wnętrzach namiotów goście odchylali nieco poły szat. Moichi odkrył ze zdumieniem, że wszyscy, mężczyźni i kobiety, pochodzą z najbogatszej warstwy mieszkańców Sha'angh'sei. - Tylko ich stać na Sha-rida - wytłumaczył Kossori. - Teraz rozumiesz już chyba, czemu Sha-rida jest niemal niezniszczalna. Klienci targu dobrze tego pilnują.

Moichi rozejrzał się dyskretnie po środkowym, największym namiocie. Na oko było w nim wystarczająco dużo złota, platyny i klejnotów, by przez kilka dobrych sezonów zapewnić jedzenie, ubranie i dach nad głową całej miejskiej populacji kubaru, z ludźmi żyjącymi na tassanach włącznie.

- Cóż takiego mogą kupić tutaj, czego nie da się zdobyć na którymś z legalnych rynków niewolników?

- Sha-rida jest bazarem ciał jedynym w swoim rodzaju. - Światła pochodni oświetlały twarz Kossoriego, podkreślając oczy. - Tutaj sprzedaje się jedynie najpiękniejszych mężczyzn i kobiety, zdrowe i młode. Kupuje się ich tylko w jednym celu.

- Seks?

- Śmierć.

Moichi zamilkł na pewien czas, rozglądając się po namiocie, który szybko się zapełniał. Zrobiło się tłoczno, ludzie stali ściśnięci, jeden obok drugiego, starając się łokciami wywalczyć nieco więcej miejsca.

- Po co więc tu przychodzisz? - spytał Moichi. Czuł się zawstydzony, a także zły, że Kossori przyprowadził go tutaj, nie ostrzegając, co się wydarzy.

- Bywam tu co pewien czas, by z bliska wchłonąć część intensywnej perwersji, która po części motywuje istnienie Sha-rida. - Sprowadziłeś mnie tutaj bez...

- Drogi przyjacielu, nie przypominam sobie, by przyszło ci na myśl zapytać mnie o Sha-rida wcześniej niż tuż przed samym placem. I to po dość wyraźnym ostrzeżeniu, które dał ci regent. Moichi milczał. Ma rację - pomyślał pośpiesznie. Nie mogę winić Kossoriego za własny brak odpowiedzialności. Ale czy odpowiedź była aby na pewno tak prosta? Pewnie nie - pomyślał. Życie - jak odkrył - rzadko zapewnia proste odpowiedzi. Zdarzają się one jedynie w teatrze. Prawdziwy świat jest zbyt skomplikowany, by dać się przedestyłować. Usuń złożoność, a niechybnie utracisz też sens. Wychodzi na to, że chciał przyjść na Sha-rida, mimo sugestii Aerenta.

- Uważaj, Moichi - szepnął stojący obok Kossori. - Zaczyna się. Na podium, w miejscu, które zostało wybrane jako przód namiotu, stał olbrzymich rozmiarów mężczyzna. Miał odsłonięty tors, a mięśnie rąk i klatki piersiowej napinały się, błyszcząc w świetle pochodni, jakby ledwo co zostały nasmarowane olejem. Człowiek ten nie miał szyi - głowa, wielka i okrągła niczym dynia, zdała się przyczepiona wprost do potężnych barków. - Dzisiejszej nocy Sha-rida przybyła do Sha'angh'sei - oznajmił głosem mocnym niczym rzeka po roztopach. - Zbliża się ranek, przed świtem już nas tu nie będzie. Mamy mało czasu. Przeznaczamy ten czas na wspaniałą ucztę zmysłów. Jestem Mao-Mao-shan, mistrz Sha-rida, łowca ciał dla tych, którzy potrzebują czegoś ponad przyjemność jedzenia czy seksu. Ja, Mao-Mao-shan, zapewniam ciała stworzone dla najwspanialszych wrażeń. - Wyciągnął rękę grubą niczym pień i teatralnym gestem zakreślił w powietrzu łuk. - Dlatego też zwracam waszą uwagę na wyśmienite owoce moich nocnych poszukiwań. Moja praca to dla was czysty zysk, a jedynym waszym wrogiem jest wschód słońca. Proszę, oglądajcie uważnie nadchodzące ciała, gdyż błagają one o prawo wejścia do królestwa śmierci!

Mao-Mao-shan umiał przemawiać. Moichiego przebiegł lekki dreszcz, choć wiedział, że było to jedno wielkie hokus-pokus. Bardzo kunsztowne, niemniej jednak tylko hokus-pokus. Płótno namiotu po lewej stronie Mao-Maoshana wyduło się, a przez otwór wszedł na scenę mężczyzna. Był to wysoki, wspaniale zbudowany młodzieniec o ciemnobrązowej skórze. Jego niesamowicie niebieskie oczy patrzyły wprost przed siebie, nie zwracając uwagi na spojrzenia tłumu. Nie miał na sobie nawet skrawka odzienia. To oczywiste - pomyślał Moichi. Po co klienci mieliby oglądać swą potencjalną własność w ubraniu? Myśl ta zdałaby mu się zabawna, gdyby sytuacja nie była tak koszmarna. - Dwadzieścia lat - oznajmił Mao-Mao-shan. - Cena wywoławcza: czterysta taeli.

- Czterysta taeli srebra? - szepnął Moichi, obracając się w stronę Kossoriego. Mój Boże - pomyślał, za tę sumę można wykupić miasto.

Poruszenie w tłumie.

- Tak panie, czterysta taeli. - Mao-Mao-shan rozejrzał się po sali. Kątem oka Moichi zauważył, jak blondyn w ciemnym płaszczu kiwa głową. - Czterysta pięćdziesiąt dla pana. Bardzo dobrze. Posuwamy się. Ale ta wspaniała dusza na pewno jest warta wiele więcej. Czemu tylko czterysta pięćdziesiąt? Mógłbym... Ach, pani, dziękuję. Stawka wynosi obecnie pięćset...

Obróciwszy się, Moichi zobaczył kobietę o ognistych oczach, w trudnym do określenia wieku. Rzuciła mu takie spojrzenie, że szybko odwrócił się w stronę sceny.

Licytacja ciągnęła się do sumy siedmiuset pięćdziesięciu taeli, po czym kobieta o ognistych oczach podeszła z szelestem pod scenę, by odebrać swoją duszę, tak bowiem Mao-Mao-shan nazywał czekoladowoskórego mężczyznę. Gdy tylko odebrała swoją własność, płótno wyduło się ponownie i na scenę wyszła szczupła blondynka o niebieskich oczach.

Gdy licytacja znów się zaczęła, Moichi odwrócił się w stronę Kossoriego i szepnął surowo:

- Jak możesz na to pozwolić? To nieludzkie!

- Nie pozwalam na to. Akceptuję to jako część świata, w którym przyszło mi żyć. To, co tutaj widzisz, jest zupełnie innym światem. Stawki szły w górę powoli i Mao-Mao-shan zaczął zachęcać

publiczność, opowiadając wymyślne, ale skuteczne historie o ognistej naturze dziewczyny. Licytacja natychmiast nabrała rozpędu. Był prawdziwym mistrzem.

- Sam nie uznajesz niewolnictwa, czy tak? - ciągnął dalej Kossori. - Ale tolerujesz je w Sha' angh'sei. Czemu? - Ponieważ... Cóż, chyba dlatego, że jest częścią tego miasta. Ja...

- Widzisz!

- Ależ Kossori, to, co tutaj robią...

- Spójrz na scenę, przyjacielu. Nie, popatrz długo i uważnie.

Czy widzisz tu kogoś, kto ma coś przeciwko temu? Kossori zwrócił uwagę Moichiego na dziwny fakt. Żadna z dusz nie była ani trochę zmartwiona tym, co się wokół niej działo. Może nie rozumiały? Kossori szybko rozwiał jednak i te wątpliwości. - Nie, przyjacielu, wszyscy dobrze zdają sobie sprawę z własnego losu. Szukanie dusz nie jest pracochłonnym zajęciem. Więcej czasu Mao-Mao-shan poświęca na wybieranie odpowiednich. Szczupłą kobietę sprzedano za pięćset taeli.

- Chcesz powiedzieć, że ludzie zgłaszają się, aby umrzeć?

- Moichi nie mógł w to uwierzyć.

- Właśnie tak.

- Czemu? Przecież....

- Może pragną już wyzwolenia - powiedział cicho Kossori.

_ A teraz wyjątkowa zdobycz ^- ogłosił Mao-Mao-shan. Cichy szmer rozległ się wśród tłumu, gdy przez otwór w płótnie wyszedł mężczyzna. Ten jednak nie był nagi. Podobnie jak Mao-Mao-shan, miał na sobie ciemne szerokie spodnie i wysokie zakurzone buty. Odsłonięta klatka piersiowa nie była tak umięśniona jak u mistrza Sha-rida. Pas miał przewiązany szeroką szarfą, zza której wystawał wsunięty niedbale, zakrzywiony sztylet. Pomocnik zatrzymał się na skraju podium i sięgnął za siebie, po czym gwałtownie pociągnął. Na scenie, potykając się, pojawiła się kobieta. Mao-Mao-shan natychmiast zaczął swoją mowę, ale Moichi nie zwracał na niego uwagi. Wzrok utkwił w kobiecie, równie namiętnie jak jej poprzednicy.

Była wysoka, a wąska talia podkreślała szerokie ramiona i biodra.

Miała wyjątkowo długie nogi.

- Nie rozumiesz tego? - spytał Kossori. - Sha-rida jest jedną z postaci ducha uwalniającego ludzkość.

Miała ostro zarysowane kości policzkowe i wąski nos z nozdrzami rozszerzonymi delikatnie niczym u dzikiego zwierzęcia. Jej dumne oczy miały kolor czystego kobaltu, najgłębszego błękitu, jaki Moichi kiedykolwiek widział. Długie włosy opadały luźno na ramiona, zmierzwiłone tak, jakby wcześniej się z kimś szarpała. Miały kolor żywego ognia.

- ...Oto najciemniejsza część ludzkiej duszy zostaje uwolniona i uspokojona, wykręcona na zewnątrz, aby zgniła zupełnie. Każdy z nas ma ją w sobie do pewnego stopnia...

Miała wyjątkowo piękne nogi. Leciutko umięśnione, zdawały się biec od jędrnych ud w nieskończoność. Uniósł oczy. - W niej spotykają się żądza i śmierć.

Na moment natrafił na jej wzrok. Nagle zalała go fala emocji, czuł dreszcze na całym ciele. Potem więź się urwała. Zaczęła się licytacja. Stawka szybko rosła, podwyższana głosami padającymi ze wszystkich stron, z minimalną zachętą ze strony Mao-Mao-shana. Dobrze wiedział, że natrafił na klejnot.

- Co się stało? - pytał siebie oszołomiony Moichi. Jakaś wiadomość została przesłana przez dzielącą ich przestrzeń, pokonując jeszcze szerszą przepaść dwóch kultur.

Licytacja zatrzymała się na moment na poziomie ośmiuset pięćdziesięciu taeli.

- Dalej, dalej - zachęcał Mao-Mao-shan. - Osiemset pięćdziesiąt taeli srebra to licha cena za tę duszę. Mogę was zapewnić, że przez wiele sezonów nie widziałem tak wspaniałej. Teraz... tak, gratuluję panu. Tysiąc taeli!

Tłum wstrzymał oddech, usłyszawszy tę ogromną cenę, a głowy odwróciły się, by rzucić okiem na licytującego. Moichi jednak patrzył wprost przed siebie na kobietę stojącą na scenie. Było w niej coś dziwnego - dłonie! Przesunęła się nieco, tak jakby i ją interesowała osoba, która oferowała tyle srebra za prawo do jej życia. Moichi wyraźnie widział, że dłonie ma związane za plecami. A gdy bardziej się odwróciła, zauważył, że pracuje nad krępującym ją sznurem, usiłując wyzwolić z niego ręce. Dźgnął w bok Kossorigo. - Co?

- Wydawało mi się, że powiedziałaś, że wszyscy tutaj pojawiają się z własnej woli.

- Tak właśnie jest - przyznał Kossori.

- Spójrz więc na to. - Moichi wskazał na kobietę.

- Na bogów! Nie rozumiem!

Licytacja trwała dalej. Starsza kobieta z wysuszoną twarzą podniosła sumę do tysiąca dwustu, na co wśród tłumu rozgniewany głos ryknął, że daje półtora tysiąca taeli!

Tym razem Moichi odwrócił się, gdyż był to ten sam mężczyzna, który spowodował zamieszanie, proponując tysiąc taeli. W tłumie słoczonych ciał zobaczył wysokiego mężczyznę w czarnym płaszczu, zakrywającym go od stóp do głowy. Ponieważ część namiotu, w której stał, była słabo oświetlona, a na twarz miał naciągnięty kaptur, Moichi nie widział jego rysów. Nieznajomy wyróżniał się jednak spośród tłumu, gdyż był wyższy o dobre ćwierć metra od wszystkich licytujących.

- Tysiąc osiemset! - zawołała wysuszona kobieta. Wysoki mężczyzna przepychał się do przodu, odsuwając na boki protestujących.

- Dwa tysiące taeli, na boga żelaza! - zawołał, unosząc głowę. Moichiemu zdawało się, że pod kapturem zauważył chłodny błysk, jakby promyk światła odbił się w jednej ze źrenic mężczyzny. Moichi skierował uwagę z powrotem w stronę sceny - kobieta patrzyła prosto na niego. Teraz rozumiał już treść jej komunikatu. - Dwa i pół tysiąca taeli! - ryknął, chcąc, by wszyscy go słyszeli.

- Jak to? - Kossori schwycił jego ramię. - Co ty wyprawiasz?

Oszalałeś? Nie masz takich...

- Dwa tysiące siedemset!

Moichi nie musiał się odwracać, by wiedzieć, że to głos zakapturzonego człowieka. Przybliżał się do miejsca, w którym stali, tuż pod sceną.

- Trzy tysiące! - zawołał Moichi.

- Trzy tysiące sto! - Po czym nieco ciszej: - Jeśli jeszcze raz podwyższysz stawkę, ty obrzydliwa padlino, to... - Ej, ty! - Kossori odwrócił się, by stawić czoło wysokiemu mężczyźnie.

- Trzy i pół tysiąca taeli! - krzyknął tymczasem Moichi. Zdał sobie sprawę z ruchu za swoimi plecami. Zakapturzony mężczyzna walczył z tłumem, by dopaść rywala, jednocześnie sycząc groźby.

- Ostrzegałem cię. Teraz zejdź mi z drogi, szumowino! Nie miało to już jednak znaczenia, gdyż Moichi dał kobiecie wystarczająco dużo czasu. Udało jej się oswobodzić z więzów, po czym w mgnieniu oka wyrwała sztylet zza szarfę swego oprawcy, korzystając z zamieszania w tłumie.

Bez chwili wahania wbiła broń aż po rękojeść w ciało pomocnika, zręcznie celując między trzecie i czwarte żebro, prosto w serce. W namiocie zrobiło się tak głośno, że Moichi nie usłyszał krzyku.

~ Chodź! - zawołał Kossorigo i zdając sobie sprawę, że ten już za nim podąża, skoczył do góry, korzystając z ramienia jednego z widzów, by wybić się na scenę.

Mao-Mao-shan był tak zaskoczony wyjątkową i nieprawdopodobną sytuacją, że nie zareagował od razu na obecność Moichiego. Po chwili było już za późno. Moichi zahaczył butem o kolano olbrzyma i podciął go. Mao-Mao-shan upadł z hukiem niczym ściana walącego się domu.

Moichi objął nagą kobietę w tali, czując przez skórę jej ciepło. Kossori był tuż za nimi. W trójkę ruszyli w stronę otworu w płótnie namiotu. Wychodząc, Moichi obejrzał się. Zauważył, że wysoki mężczyzna starał się dotrzeć do sceny, brutalnie odpychając ludzi na boki. Ryczał, ale jego głos zanikał w ogólnym harmidrze. Nawigator spodziewał się, że mężczyzna będzie miał już broń w ręce. Dłonie tamtego były jednak puste.

Potem przeskoczyli przez otwór w płótnie do jednego z mniej-szych, słabiej oświetlonych namiotów, gdzie trzymano dusze na sprzedaż. Pełno tam było młodych mężczyzn i kobiet - pięknych, doskonałych, gotowych poddać się opętaniu, jak by to powiedział Mao-Mao-shan.

Trójka przebiegła pomiędzy niewolnikami, którzy obserwowali ją tępo, szepcząc coś do siebie. Na zewnątrz niektóre z pochodni ustawionych w pierścieniu wokół obozowiska wygasły. Moichi poprowadził ich przez ruiny w stronę zaciemnionej części obwodu. Potem znalazł odchodzącą od placu uliczkę i pobiegli ciemną jak heban drogą. Tupot ich butów oddalał się, pozostawiając na razie w tyle odgłosy pościgu. Moichi dobrze wiedział, kto będzie na jego czele - na pewno nie Mao-Mao-shan.

- To szaleństwo - syknął, biegnąc, Kossori. - Jak mogłeś... - Oszczędzaj oddech, przyjacielu - odparł Moichi. - Co się stało, to się nie odstanie. - Dobiegali już do ulicy Niebieskiej Iluzji. Moichi zdawał sobie sprawę, że przydałoby im się nieco iluzji z nazwy ulicy, jeśli chcą umknąć mężczyźnie w czarnym płaszczu. W wąskiej uliczce za ich plecami rozbrzmiewały już głosy mężczyzn z Sha-rida. - W każdym razie wątpię, byś zgodził się na sprzedanie jej na pewną śmierć, wiedząc, że jest więźniem. - Dobrze, już dobrze. - Kossori zatrzymał się gwałtownie, dotarłszy do szerokiej ulicy. - Mamy mało czasu, więc dyskusja jest raczej nie na miejscu. - Odgłosy pościgu zbliżały się niepokojąco. - Zabierz dziewczynę w prawo. Jedną przecznicę, a potem gwałtowny skręt w lewo. Tam już będziesz wiedział, jak dotrzeć do domu.

- A co z tobą? - Gorąco w płucach; za nimi okrzyki w ciemnym zaułku. Przynajmniej odsunęli się na bok, uchodząc z pola widzenia uczestników pościgu.

- O mnie się nie martw. - Kossori machnął ręką. - Odwróć ich uwagę. Idźcie już. Szybko. Jeśli ma mi się udać, to muszą uwierzyć, że jesteście przede mną.

- Ale...

- Idźcie. Już. Za chwilę będzie za późno, wszyscy zostaniemy złapani jak ryby w sieć. Już. Nie chcę was tu widzieć. Moichi schwycił dłoń kobiety i popchnął ją w prawo w ulicę Niebieskiej Iluzji. Miał nadzieję, że nie na darmo została tak nazwana. Na następnym rogu skręcił w przecznicę, natychmiast znikając za ścianą narożnego budynku. Biegnąc, spojrzał w górę i odkrył, że rzeczywiście zna drogę. Ruszył więc naprzód, wzdłuż ciemnych bocznych uliczek, w których szczury z piskiem od-skakiwały na boki, w dół jasno rozświetlonych ulic i placów zacienionych przez drzewa. W końcu dotarli do Nankinu i Moichi zatrzymał przejeżdżającą riksę. Musiał zawołać dwa razy, gdyż senna kubaru chyba nie usłyszała za pierwszym razem. Bez-ceremonialnie wepchnął kobietę do zakrytej części rikszy, wskoczył za nią i podał kubaru adres harttinu. Gdy już ruszyli, zdjął z siebie płaszcz i okrył wspaniałe ciało kobiety.

Podskakując na kamieniach, pomknęli w ciemności nocy.

Aufeya.

Obserwował ruch mięśni pod powierzchnią jedwabiu: siłę jej ud, zgrabny kształt pośladków.

- Ładne imię.

Odwróciła się w jego stronę, ostrożna, lecz wyzbyta strachu. Wypełniała ją dynamiczna zwierzęcość, upodabniająca do jakiegoś mitycznego bóstwa kotów.

- Na co tak patrzysz? - spytała ostro. - Nigdy w życiu nie widziałeś kobiety?

Moichi podszedł do biurka i nalał im obojgu wina. Odwrócił się i wyciągnął jeden z kielichów w jej stronę. Nawet na moment nie spuszczała z niego wzroku; nie wykonała też najmniejszego gestu. Wzruszył więc ramionami i odstawił jeden z kielichów, po czym napił się z drugiego.

- Czy...

- Nie odpowiem na żadne pytanie - przerwała mu. - Chyba nie sądzisz, że jestem ci coś winna z powodu tego, co się wydarzyło. Podszedł do okna i podniósł żaluzje, odsłaniając widok na nabrzeże, ciche jeszcze o tej porze, oraz na spokojne wody basenu portowego. Nadal było ciemno, do świtu pozostało nieco czasu. Mrok rozjaśniały, niczym rój świetlików, latarnie wiszące na słupach. - Gdybyś mi nie przerwała, to byś wiedziała, że nie zamierzam niczego od ciebie żądać. Chciałem tylko spytać, czy widziałaś kiedyś coś piękniejszego?

Powoli, jakby z niechęcią, jakby podejrzewając jakiś podstęp, odwróciła od niego głowę, kierując wzrok w stronę otwartego okna. Moichi wyszedł na taras, Aufeya po chwili też się tam zjawiała. W całkowicie czystym powietrzu nawet najcichsze dźwięki niesły się daleko, odbijając się od ścian długiego rzędu harttinów. Słyszał cichy stukot rzucanych kości, skrzypienie olinowania statków, a w oddali monotonną przyśpiewkę pracującego kubaru. Nieco bliżej ktoś, kto niechybnie wypił za dużo, oddawał mocz na ścianę budynku.

- Co to właściwie są harttyny? - spytała Aufeya. - Tak w Sha'angh'sei nazywa się magazyny handlowe. Wszyscy bogaci kupcy mają harttyny, w których przechowują towary wyładowywane właśnie z nadpływających statków lub przeznaczone do wywozu.

- Ten harttin jest twój?

- Nie. Należy do Llowana, mojego przyjaciela.

- W takim razie co tu robisz?

- Czekam. - Zbliżył się do balustrady, na której oparł ramiona. Przed nim unosiły się w mroku maszty, a między nimi salingi, wanty, drabinki wantowe i takielunki tworzyły surrealistyczny obraz nakładających się na siebie płaszczyzn. Aufeya podeszła dwa kroki i zatrzymała się. Była niczym gołębica czująca wodę, ale niepewna, co kryje się w zaroślach na jej brzegu.

- Na co czekasz?

- Na statek, aherhida. - Zauważył, że jej ciało napięło się nagle, jednak nic nie odpowiedziała. - Statek, którym pojeżdżę do domu, do Iskael.

- Więc jesteś... jesteś kapitanem czy kimś takim?

- Kapitanem. - Uśmiechnął się. - Nie, jestem nawigatorem. - Odwrócił się, a jego myśli wybiegły daleko naprzód, nad wzburzoną toń otwartego morza.

Aufeya przez jakiś czas przyglądała się nawigatorowi oczami czarnymi jak węgielki. Moichi nie zauważył, że trzęsła się nieco i zacisnęła ramiona wokół tułowia, jakby chcąc się opanować. Groza dosięgnęła jej ponownie tuż po tym, jak sztorm zepchnął jej niewielką łorczę z kursu, prosto do portu. Miała wytrzymać statek, ale skonstruowany z myślą o żeglowaniu wzdłuż brzegu; nie był przystosowany do pełnomorskich wypraw, więc nawałnicę mógł przetrwać jedynie w porcie, a nie na pełnym morzu. Ze strachem odkryła, że znaleźli się w Sha'angh'sei. Była to okropna pomyłka, w tym momencie już jednak nie do naprawienia. Poza falochronem portu nadal szalała burza, nie mieli więc wyboru - mogli tylko poczekać, aż sztorm przesunie się lub ucichnie. Podczas burzy stracili część towarów, których rozpaczliwie potrzebowali, więc wyszła na brzeg, by uzupełnić zapasy. Wtedy odnalazł ją mężczyzna w czarnym płaszczu. Przestraszona uciekła mu - prosto w

objęcia Mao-Mao-shana. W ten sposób znalazła się o na Sha-rida. Wiedziała, że był to rozsądny manewr. W Sha'angh'sei, miejscu, gdzie niczego nie da się ukryć, mężczyzna w czarnym płaszczu nie mógł jej po prostu zabrać, nie narażając się na konsekwencje. Zawarł jednak umowę z Mao-Mao-shanem. Widzia-ła, jak rozmawiali, i zrozumiała, że wysoki mężczyzna zapłacił za nią z góry. Licytacja na Sha-rida tej nocy była mistyfikacją, gdyż Aufeya została już wcześniej sprzedana. Ale wtedy interweniował ten mężczyzna i jego przyjaciel. Delikatnie mówiąc, miała dużo szczęścia. Czy aby na pewno? Znała zbyt dobrze przebiegłość mężczyzny w czarnym płaszczu. Czy to nie kolejna z jego pułapek? Oczywiście wolałaby rozmawiać z przyjazną osobą. Jak jednak mogła być czegokolwiek pewna? Na myśl o mężczyźnie w czarnym płaszczu i jego zemście ponownie przeszły ją ciarki. Dihos, jaką była idiotką! Teraz wreszcie nadszedł koniec. Nie, surowo się skarciła, nie był to koniec. Najwyżej jeden z końców. To, co miało nadejść, było nadal niepewne. Zamierzała zrobić wszystko co w jej mocy, by mieć choć minimalny wpływ na wydarzenia.

- Powiedziałeś, że pochodzisz z Iskael - odezwała się tak nagle, że obrócił się w jej stronę. - Opowiedz mi coś o swojej krainie. Na przykład gdzie się znajduje.

- Daleko na południe stąd - odparł Moichi. - Dalej nawet niż Ama-no-mori.

- Ama-no-mori to tylko legenda - parsknęła rozdrażniona.

- Nigdy nie słyszałaś o Dai-Sanie? - zdziwił się nawigator.

- Pewnie, każdy o nim słyszał.

- Jest moim przyjacielem i obecnie tam mieszka. - Uniósł rękę, jakby chciał odgonić latającego w pobliżu owada. - Ale mniejsza o to. Iskael to kraj ognistego słońca, ciągnących się aż po horyzont pustyni, bogatych w owoce sadów i najwyższych na świecie gór. Nad wszystkim panuje jeden szczyt, najwyższy. W świętych tablicach mego ludu jest zapisane, że tę górę stworzyła ręka boża. - Twój naród wierzy w Boga?

- Tak, aherhida.

Aufeya cofnęła się.

- Znów to powiedziałeś. - Choć szeptała, jej głos był pełen energii- - Igrasz ze mną. Wiedziałeś od początku. - Plecami dotykała balustrady, którą schwyciła tak mocno, że zbieleły jej dłonie. - Pracujesz dla niego.

Słyszał, jak w jej głosie wzbiera histeria, i zdawał sobie sprawę, że dziewczyna w każdej chwili może stracić panowanie nad sobą. Mimo to, jak głupi, zrobił krok w jej stronę.

- Nie, mogę ci obiecać, że...

- Prędzej zginę! - krzyknęła i odwróciwszy się, przeskoczyła przez balustradę.

Moichi w ostatniej chwili schwycił nogi lecącej w dół Aufei. Siła bezwładności pociągnęła go w stronę poręczy, której górna część wbiła mu się w brzuch. Zgiął się wpół, tracąc oddech w piersiach. O mało jej wtedy nie puścił, ale szybko zebrał siły i wyciągnął ją z powrotem na taras. Stracił jednak równowagę i nadal był nieco oszołomiony, zupełnie nie przygotowany na atak. Znienacka podcięty, upadł na plecy. Dziewczyna była tuż nad nim; poczuł, jak szczupły łokieć z całą siłą wbija się w jego bok. Upadła na niego i wiała się, próbując założyć dźwignię. Wiedział, że słowa są już bezużyteczne. Otwartą dłonią uderzyła go w ramię, przez co odsłoniła się na atak. Prawa dłoń Moichiego wystrzeliła w górę, prosta niczym lanca. Trafił dokładnie w policzek, a siła uderzenia była tak duża, że oszołomiona dziewczyna, z otwartymi szeroko ustami i zamglonym spojrzeniem, padła na bok. Zanim odzyskała świadomość, Moichi zdążył ją unieruchomić. - Posłuchaj mnie, Aufeyo. - Był spokojny, w przeciwieństwie do szamoczącej się dziewczyny. - Posłuchaj mnie, to pozwolę ci wstać.

K - Nie zawieram żadnych układów z przeciwnikami. - Jej oczy płonęły żywym ogniem. Gdyby wzrok mógł zabijać, to już od dawna Moichi byłby wypalonym trupem.

- Przestań choć na chwilę! - Otwartą dłonią uderzył ją w poli-czek.

Dziewczyna wyciągnęła szyję i spróbowała go ugryźć. - Zostaw mnie! - wrzasnęła. - Zostaw! Nie będę słuchać żadnego z twoich kłamstw. Twój język jest jak miód, ale ja dobrze wiem, kto ci płaci!

Rozjątrzony, nie wiedząc, co robić, i nie myśląc, pochylił się i zakrył jej usta swoimi. Poczł jej wargi, chłodne i wilgotne, o delikatnym smaku cynamonu, słodkim i kwaśnym jednocześnie, jakby przed chwilą zjadła dojrzałe jabłko. Przepływała przez niego ta sama energia, której doświadczył na Sha-rida, gdy pierwszy raz napotkał jej wzrok.

Być może odczuwała to samo, gdyż otworzyła oczy i obserwowała Moichiego. Wyraz twarzy dziewczyny zmienił się kilka-krotnie.

- Co ty robisz? - szepnęła szorstko, gdy oderwał usta od jej warg.

Moichi chrząknął i nieświadomie poluzował chwyt. - Chciałem jedynie cię u... - W mgnieniu oka poczuł na szyi jeden z własnych sztyletów. Leżał unieruchomiony, czując ciepło jej ciała na swoim, ciężar jej piersi pod cienkim jedwabnym materiałem. Patrząc w oczy Aufei zrozumiał, że i ona toczy wewnętrzną walkę - także ulegała sile przyciągającej ich do siebie. - Teraz powiedz mi prawdę. - Jej głos nadal był niski i szorstki.

- Inaczej poderżniesz mi gardło?

Nie mówiąc ani słowa, przycisnęła ostrze nieco mocniej do tętnicy.

- Powiedziałem ci już prawdę, Aufeyo.

- Ostrzegam cię, nie żartuj sobie ze mnie! - Ostry jak brzytwa nóż zaczął nacinać skórę. - Wiedziałeś, że jestem Daluzijką. Skąd mógłbyś to wiedzieć, nie pracując dla niego?

- Nie wiem nawet kim, „on” jest. - Choć nie widział ostrza i nie zauważył, by się poruszyło, poczuł strumyk krwi płynący mu po szyi. - Jestem nawigatorem. Zwiedziłem wiele miejsc na świecie. W Daluzji byłem dwukrotnie. Daluzyjskich imion nie da się zapomnieć. Wiedziałem od chwili, gdy powiedziałaś, jak się nazywasz.

Zdawała się go nie słuchać. Zaczął się niepokoić, że pod wpływem hysterii mogła słyszeć tylko to, co chciała usłyszeć. - Gdzie w Daluzji? - Jej głos drżał niczym napięta cięciwa łuku. Miał wrażenie, że strzała jest wycelowana prosto w niego. - W Corrunii. Przywieźliśmy cedr i jedwab.

- Describame la puerta delia Corruña - rozkazała w idiomatycznym języku daluzyjskim. - Jao de Corruña.

Więc pochodziła stamtąd. Wiedział, że była to stolica Daluzji.

Opowiedział jej wszystko, co pamiętał o porcie. Potrząsnęła głową, a jej włosy nawet w ciemności wyglądały jak korona z polerowanego metalu.

- To jeszcze o niczym nie świadczy. Jeśli ci płaci, to zapewne dobrze cię przygotował.

- Na Boga, Aufeyo, czego chcesz ode mnie?

- Jedynie prawdy.

- Kim jest mężczyzna o którym mówisz?

- To ja zadaję pytania!

- Jak sobie życzysz.

- Tak właśnie sobie życzę. - Przez chwilę zastanawiała się.

- Czemu mam tracić czas na tłumaczenie ci tego, co już wiesz?

- Może jednak nie wiem.

Podjęła decyzję; pozwoliła Moichiemu usiąść, opierając się o fragment odsłoniętych żaluzji. Ostrze sztyletu znajdowało się w pobliżu, w każdej chwili gotowe do zadania ciosu. Za jej sylwetką ciągnęła się wzdłuż odległego horyzontu cieniutka różowa linia, przerwana w niezliczonych miejscach ciemnymi kształtami kadłubów stojących na kotwicy statków. Szarość pokryła niebo,

wybielając ciemność; Moichi nadal jednak bardziej czuł, niż widział, wirujący w powietrzu krąg mew. Niedługo zaczną krzyczeć, nawoływać wschodzące słońce.

- Świt to moja ulubiona pora dnia - powiedział. - Na morzu nazywamy ją godziną kormorana. - Pomyślał o umówionym spotkaniu z Aerentem i o przybywającej bujuńskiej dziewczynie. Niedługo będzie musiał wyjść. Nadal był jednak uważnie obserwowany. - Gdybyś miał statek, popłynąłbyś do Iskael. Tak przed chwilą powiedziałeś.

- Naprawdę? - Zdziwił się. - To dziwne. Nie. Najpierw wybrałbym się do Kintai.

W jednej chwili ogarnęło ją takie oszołomienie, jakby właśnie zadał jej cios. Szybko jednak się opanowała.

- Co wiesz o Kintai? - spytała.

- Nic - odparł. - Szczerze mówiąc, dziś rano się dowiedziałem, że takie miejsce istnieje. Jeśli coś o nim wiesz, to byłbym wdzięczny...

- Skąd dowiedziałeś się o Kintai? - W jej głosie znów dało się wyczuć napięcie.

- Zeszłej nocy zamordowano człowieka. Zapewne zresztą nie jego jednego. Ale ten przypadek jest zupełnie wyjątkowy. Dwaj różni mężczyźni zostali zabici na dwa różne sposoby. Jeden z nich, syn taipana Ching Pang, zginął z rąk dobrze wyszkolonego zawodowego zabójcy. Drugi był okrutnie torturowany. Został zabity przez adepta starożytnej i tajemniczej sztuki walki, koppo. - Przerwał, obserwując, czy te słowa robią na dziewczynie jakieś wrażenie. Jej oczy zrobiły się martwe, płaskie i matowe niczym kamienie wysychające na słońcu. - Mężczyzna był obcokrajowcem. Pochodził, jak przypuszczamy, z Kintai. - Aufeya przykucnęła i zamyśliła się. Zdawała się pogrążona we własnym świecie. Mógł ją rozbroić bez wielkiego ryzyka, ale, o dziwo, postanowił się nie ruszać. - Myślę, że możemy sobie wzajemnie pomóc, Aufeyo. Zdaje się, że coś więcej niż przypadek złączyło nasze losy.

Spojrzała na Moichiego, ale nadal milczała.

- Powiesz mi coś więcej o tym mężczyźnie. Naprawdę nic o nim nie wiem.

- Nazywa się Hellsturm - odezwała się w końcu, a jej głos miał dziwne, metaliczne brzmienie. - Ścigał mnie przez dobre dziesięć tysięcy mil. Teraz, jeśli mam wierzyć twoim słowom, tylko ja pozostałam, żeby z nim walczyć. Zamordował Cascarasa. - Mówisz o człowieku z Kintai?

Pokiwała głową.

- Przybył z Kintai, gdyż tam szukał... Jest - Daluzyczykiem, talc jak ja. Kupcem.

- Zaczęłaś mówić...

- To ten wysoki człowiek w czarnym płaszczu. Licytowałeś przeciw niemu. To właśnie jest Hellsturm.

- To on zabił człowieka z... zabił Cascarasa?

Ponownie przytaknęła.

- Tylko on mógł to zrobić. - Zaciśnięta w pięść dłoń uderzyła o kolano. - Ach, ależ musiał się cieszyć, widząc mnie w tym mieście. To przez ten przeklęty sztorm! Nie powinnam była nawet zbliżyć się do Sha'angh'sei. Cascaras i ja rozdzieliliśmy się, on także przybył tu, by się ukryć, a ja... Cóż, teraz to już nieważne. - Ciągłe jest ważne, i to nawet bardzo, Aufeyo. - Wyciągnął ku niej otwartą dłoń. - Oddasz mi teraz sztylet? - Nie - odparła. - Nie, choć wierzę... wierzę, że mogę ci ufać. Nie znam jednak tego miejsca. Będę się lepiej czuła, jeśli go na jakiś czas zachowam.

- Dobrze. Trzymaj go tak długo, jak chcesz.

Schowała broń do jedwabnych spodni, które jej podarował. Była to jedna z zapasowych par spodni roboczych Llowana, którą zabrał bez pytania, gdy weszli do harttinu. Jego własne byłyby na dziewczynę o wiele za duże.

Róż i blada żółć załazyły morze, słońce dźwignęło się ponad horyzont. Mewy natychmiast zaczęły pokrzykiwać, nurkując jedno-cześnie w płaskie oblicze wód w poszukiwaniu posiłku. Powietrze wypełniły ich melancholijne nawoływania.

- Powiedziałeś, że Cascaras był torturowany - przypomniała Aufeya. - Jak myślisz, czy było to bardzo straszne? - Boję się, że tak bardzo, jak to tylko jest możliwe. - Potem opisał dziewczynie to, co odkrył.

Przeszedł ją dreszcz; zdawało się, że życie opuściło ją na moment. - Więc muszę założyć, że Hellsturm złamał Cascarasa i że zna obecnie połowę informacji.

- O czym? Czy jest planowany jakiś atak na Sha'angh'sei?

- spytał, przypomniawszy sobie niepokoje Aerenta. - O nie! - Aufeya zaśmiała się ponuro. - To byłoby zbyt przyziemne, zapewniam cię.

Pod nimi, wzdłuż nabrzeża, nagle rozbrzmiały głosy, które szybko, nakładając się wzajemnie, rozpoczęły codzienną serenadę. Armada łodzi rybackich była już na morzu - wypłynęła, unikając tras zatłoczonych przez przybywające z całego świata załadowane towarami klipery i szkunery. Statki manewrowały, zajmując miejsca przy dokach zwolnione przez okręty, które ponownie załadowane, spędziły w porcie noc, aby tuż przed świtem postawić żagle i wyciągnąć kotwice. Wszystkie jednostki miały się w dostojnym tańcu, który stanowił ważny element codziennej portowej rutyny. Miał tak wiele pytań do zadania, a tak mało czasu, by uzyskać na nie odpowiedzi. Zdał sobie sprawę, że właściwie nie ma już nawet chwili. Nadeszła godzina kormorana, musiał ruszać. Niezależnie od tego, jak bardzo chciał zostać z Aufeyą, musiał myśleć o swoich obowiązkach - nie tylko wobec regenta, ale i samego Dai-Sana. - Chcę, byś tu została - stwierdził wstając. Słyszał na dole głosy kubaru i pracowników harttinu. Przez chwilę rozważał, czy nie poprosić Llowana o pomoc, ale szybko sobie uświadomił, że byłaby to nieuczciwa prośba. Llowan miał każdego dnia więcej pracy niż czasu na jej wykonanie. Poza tym Kossori lepiej ochroni kobietę do czasu jego powrotu. A powróci najszybciej jak to możliwe, prowadząc ze sobą Aerenta.

Aufeya także powstała. Na jej pięknej twarzy malował się smutek. - Dokąd idziesz? - instynktownie włożyła rękę do kieszeni, sięgając po rękojęść sztyletu.

- Jestem umówiony. To sprawa oficjalna i obawiam się, że nie starczy mi odwagi, by się nie zjawić.

- Więc pozwól mi iść z tobą.

- Nie. Przykro mi, Aufeyo, ale to niemożliwe. To sprawa państwowa.

- Sama tutaj nie zostanę. - W jej oczach znów płonął ogień, co, szczerze mówiąc, ucieszyło Moichiego. Wydawała się osobą, która umie sobie poradzić, jeśli zaistnieje taka potrzeba. - Nie zamierzam zostawić ciebie samej, choć podejrzewam, że jest to obecnie najbezpieczniejsze miejsce w całym Sha'angh'sei.' Kossori będzie cię bronił do czasu mojego powrotu. Był ze mną ostatniej nocy na Sha-rida.

- To ten mężczyzna, który odwrócił uwagę Hellsturmu i reszty. _ Pokiwała głową. - Tak, to było dosyć sprytne. Ale czemu jeszcze go tu nie ma?

- Nie ośmieliłby się przyjść tutaj przed świtem. Dopiero wtedy tłumy wylęgają na ulice. Możliwe, że postanowili go śledzić, odkrywszy, że się z nim rozstaliśmy.

Jakby na sygnał dobiegł łoskot od strony schodów. Aufeya z zadziwiającą szybkością wyciągnęła sztylet. Nawet Moichi, choć dobrze wiedział, kto wspina się po schodach, zacisnął dłoń na rękojeści miecza.

Był to rzeczywiście Kossori, więc wyraźnie się uspokoił i przed-stawił ich sobie. Nie miał czasu na nic więcej. Przyjaciel podszedł do biurka i jednym haustem wypił wino nalane dla Aufei. Moichi powiedział tylko, że wróci najszybciej jak to możliwe, i poprosił Kossoriego, by do tej pory nie spuszczał oka z dziewczyny. - Łatwo ich zgubiłeś? - spytał.

- Urządziłem im wesołą gonitwę, tego możesz być pewien - odparł Kossori, wychylając kolejny kielich. - Aż do Tejiry, a potem Serpentyną w dół. - Westchnął, zwracając się w stronę Moichiego i Aufei. - Przyjacielu, miałem wyjątkowo męczącą noc. - Uśmiechnął się przebiegle, przyglądając się Aufei. - Widzę, że czeka już godziwa nagroda dla bohatera, jakim jestem. - Na twoim miejscu nie byłbym taki szybki, Kossori. - Moichi roześmiał się. - Jest groźna niczym śnieżny wilk. - Naprawdę? - Kossori przyglądał się tym uważnie. - Im bardziej mozolna pogoń, tym bardziej cieszy nagroda, co? Aufeya nadal trzymała w dłoni sztylet, więc Moichi postanowił ją nieco uspokoić.

107

- Nie zwracaj na niego uwagi. Ma wyjątkowo dobry humor, biorąc pod uwagę naszą nocną zabawę.

- Zabawę? - krzyknęła. - To wszystko jest śmiertelnie poważne. Nie zdajesz sobie sprawy z wagi tego, co się w ostatnich dniach wydarzyło w tym mieście.

- Nie, jeszcze nie. - Moichi przyznał jej rację. - Ale obiecuję, że już niedługo to się stanie. Jak tylko wrócę z mola Trzech Baryłek. Nic ci się nie stanie, póki Kossori tu jest. Nie znajdziesz lepszego ochroniarza w całym Sha'angh'sei. - Szybko przebrał się w elegancką jedwabną koszulę koloru miodu, z odsłoniętą szyją i szerokimi rękawami, oraz obcisłe spodnie z cielejcej skóry. Stara pochwa na miecz całkiem nie pasowała do ozdobnego stroju. Objął ramieniem Aufeyę, po czym wyprowadził ją na taras, aż pod najbardziej wysuniętą w stronę morza balustradę. W porcie ogromny czteromasztowy szkuner, zwany w gwarze żeglarzy obieżyświatem, manewrował powoli w stronę jednego z nabrzeży przystosowanych specjalnie dla takich olbrzymów. Wyglądał wspaniale, choć miał postawioną jedynie połowę żagli. Pilotowały go trzy łódki portowe, małe niczym zabawki w porównaniu z potężnym statkiem.

- Aufeyo - powiedział łagodnie. - Wrócę najszybciej jak to tylko możliwe. - Z trudem oderwał wzrok od jej oczu. - Chcę cię o coś przed wyjściem zapytać. Czy ty... czy też to czułaś? Ostatniej nocy na Sha-rida? A potem, gdy nasze usta się zetknęły. Zdawał sobie sprawę, że dziewczyna trzyma w lewej ręce jego sztylet; zwiślał, ostrzem skierowany w drewnianą podłogę. Uniosła prawą rękę i palcami przejechała po zarysie jego twarzy. - Jesteśmy w tym kraju dwiema wyjątkowymi osobami, ja i ty, Moichi. - Pierwszy raz użyła jego imienia i poczuł, że przechodzi go dreszcz. - Oboje jesteśmy dziećmi tego samego Boga. Miesz-kańcy Sha'angh'sei czczą wiele bóstw, tak jak to czyni większość ludzi w świecie człowieka. Wiele bóstw wymaga rozproszenia mocy, jak sądzisz? Inni nie wierzą z kolei w żadnego Boga. To na pewno nie jest dobre. - Już dawno cofnęła rękę, ale Moichi nadal czuł jej dotyk na policzku. Nikt jeszcze nie przekazał mu tak wiele tak prostym gestem. - Myślałam, że Daluzycjczycy są jedynym narodem, który wierzy w jednego Boga. Teraz znalazłam ciebie. To nie może być przypadek.

- Nie wierzę w zbiegi okoliczności.

- Co to więc jest twoim zdaniem?

- Sei. - Zrozumiał, że dziewczyna nie zna tego słowa. - Bujuni nazywają to karmą. Wyobrażam sobie, że ma to wiele nazw. To część sił życiowych, która w pewnych miejscach i chwilach łączy ludzi ze sobą dla jakiegoś powodu.

- Jaki to powód w naszym przypadku?

Uważnie przyjrzał się rysom jej twarzy, zatrzymując się dłużej na ustach, do połowy otwartych, różowych i błyszczących. Nie myśląc, pochylił się w jej stronę i pocałował. Potem zdziwiony zdał sobie sprawę, że jej ręka obejmuje jego szyję, a pocałunek przedłuża się i wzmacnia; czuł ciepło jej ciała. - Idź już - powiedziała, cofając się. Potrząsnęła włosami, błyszczącymi w promieniach słońca, jakby były miedziane. - Vejira con Dihos. - Widział w jej oczach potężny strach, jaki czuła wobec człowieka imieniem Hellsturm. Walczyła, by go powstrzymać i tylko dlatego, że był tak blisko...

Wróciła z nim do pokoju. Kossori patrzył na nich, nie mówiąc ani słowa. Potem pożegnali się i Moichi szybko zszedł po schodach. Odwrócił się w chwili, gdy podest niemal zupełnie zasłonił mu pokój. Zobaczył ją, jak stoi na środku pokoju, a światło słoneczne rozlewa się wokół niej. Wyglądało to jak manifestacja jej duchowej aury. Ich spojrzenia spotkały się na moment przedtem, nim zupełnie zniknęła mu z pola widzenia. Mieszanina emocji, jaką zobaczył w jej oczach, nie dawała mu spokoju przez całą drogę na miejsce spotkania z Aerentem.

Porwanie harttinu Llowana do mola Trzech Baryłek szło się dość długo wzdłuż nabrzeża. Stojąc przed harttinem, Moichi uznał, że nie ma wyjścia - musi iść pieszo. Nie było mowy o wzięciu rikszy, choć co chwilę mijał go jakiś pusty pojazd. Krążyły w poszukiwaniu przybyszów odwiedzających pierwszy raz Sha'angh'sei, pasażerów zacumowanych w porcie statków, którzy nie wiedzieli, czego należy w tym mieście unikać. Pieszo docierało się do celu o wiek szybciej, lawirując w porannym ścisku, wśród spoconych kubaru, rozpychających się marynarzy, tragarzy portowych, grupek pasaże-rów, grubych fabrykantów, którym towarzyszyli sekretarze i ochroniarze, oraz nieodzwonnych giomu, ulicznych handlarzy przemieszczających się między molami w poszukiwaniu schodzących na brzeg pasażerów. Poza tym zaoszczędzało się sporo pieniędzy, gdyż za riksę płacono się od godziny, a nie od przebytego dystansu. Czas był dla kubaru pieniądzem w dosłownym znaczeniu. Zaczynał się kolejny piękny dzień. Powietrze było czyste, pozbawione mgielki, która każdego wieczoru unosiła się nad miastem. Rozpalone niebo wydawało się białe w miejscu, gdzie nisko nad horyzontem wisiało cytrynowe słońce. W górze za-krzywione łuki niebios miały barwę najgłębszego błękitu; białe, postrzępione chmury tu i tam rozwijały swoje żagle. Przepychając się w dół nabrzeża, Moichi rozmyślał nad pozornie nierozwiązywalną zagadką, w którą niespodziewanie został wplą-tany. Pozornie prosty akt odwetu przerodził się w coś dużo bardziej skomplikowanego i zdecydowanie mroczniejszego. Jeśli Aufeya miała rację, to wiedział już, kto jest zabójcą. Zdawał sobie jednak sprawę, że sama wiedza nic tu nie da - trzeba jeszcze złapać przestępcę. Ten człowiek, Hellsturm, mógł się kryć w dowolnym miejscu w Sha'angh'sei. Nie opuści miasta, dopóki Aufeya też się tu kryje. Najwyraźniej Cascaras miał tylko połowę informacji, na których zależało Hellsturmowi. Pozostanie więc w Sha'angh'sei, póki ich nie zdobędzie lub nie wpadnie w ręce Moichiego. Nawigator wiedział dobrze, że w tej sytuacji Aufeya może się okazać bardzo przydatna. Bez niej nie miałby pojęcia, jak znaleźć człowieka w czarnym płaszczu - uprzytomnił sobie, że nie wie nawet, jak on wygląda. Zauważył tylko, że jest wysoki, a to za mało, by go odnaleźć w labiryncie Sha'angh'sei. Moichi miał jednak w zanadru prawdziwy atut - Aufeyę. Hellsturm musiał być bardzo zdesperowany, jeśli podążał za nią aż tak daleko. Gdy schodził po schodach do gwarnego pomieszczenia handlowego harttinu, nadal czuł aurę Aufei. Pobieźnie wytłumaczył Llowanowi, kto i dlaczego znajduje się na piętrze. Potem powiedział mu, dokąd się wybiera, i wyszedł na dwór.

Molo Trzech Baryłek było niemalże w zasięgu jego wzroku.

Statek Bujunów jeszcze nie przycumował. Moichi westchnął z ulgą. Jeśli się pospieszy, to może zdąży przekazać Aerentowi najważniejsze szczegóły wydarzeń zeszłej nocy.

Na moment wrócił myślami do Aufei. Wolałby jej nie opuszczać. Wiedział jednak, że nawet gdyby mógł ją przyprowadzić ze sobą na molo, to byłaby tutaj bardziej zagrożona niż w harttinie.

Hellsturm - był tego pewien - nie przybył do Sha'angh'sei w pojedynkę. Morderstwa Pod Krzyczącą Małą wskazywały na istnienie dwóch napastników. Poza tym był pewien, że widział, jak Hellsturm wydawał polecenia sługom, gdy wyskakiwali z namiotu Sha-rida. W tej kwestii Aufeya nie myliła się. Sha'angh'sei było dla obcych miejscem zbyt otwartym, mimo skomplikowanych sieci 111 tajemnic i intryg, które oplatały miasto. Hellsturm będzie więc musiał bardzo uważnie szukać Aufei, jeśli chce ją pochwycić. Z drugiej strony mógł skorzystać z potężnego wsparcia sieci szpiegów, która znacznie ułatwiłaby znalezienie kryjówki. Nie, biorąc wszystkie te fakty pod uwagę, harttin wydawał się najbezpieczniejszym miejscem dla Aufei. Był tam w końcu Kossori. Moichi wybrałby go bez wahania, nawet gdyby mógł wynająć w zamian oddział Ching Pang. Teraz powinien jednak oczyścić swój umysł, przygotowując się na spotkanie córki kunshina.

Regent czekał na niego na pomoście, całkowicie zapchanym gońcami kubaru i tragarzami oczekującymi na przybycie bujuńskiego statku. Nie dostrzegano się za to żadnych fabrykantów czy agentów handlowych, gdyż nie był to okręt kupiecki. I całe szczęście - pomyślał Moichi. Gdyby było inaczej, na pomoście nie zmieściłaby się sprowadzona przez Aerenta gwardia honorowa. Mijając błyszczące, galowo umundurowane szeregi, Moichi doszedł do Aerenta. Regent stał, trzymając ręce za plecami i spoglądał na morze, prawdopodobnie w kierunku, z którego miał nadpłynąć statek. Jego postawa oraz błyszcząca niczym diament zbroja znów nadawały mu wygląd głównodowodzącego rikkagina sił ludzkości.

- Hola, Aerent! - zawołał Moichi.

Regent odwrócił się natychmiast na swych rubinowych nogach. W mocnym świetle słonecznym były niemal przezroczyste i rzucały karmazynowy cień.

- Witaj. - Aerent uśmiechnął się. - Witaj. Co teraz sądzisz o Sha-rida? Odpowiada twoim gustom?

- Nie, regencie, biorąc wszystko pod uwagę, raczej nie. Jednak - Moichi przechylił zadziornie głowę - ma ona swoje dobre strony. - Daj mi choć jeden przykład. - Aerent wyraźnie spoważniał. - To właśnie na Sha-rida odkryłem, kto zamordował Omojiru 1 człowieka z Kintai. - Nie było to całkiem zgodne z prawdą, gdyż dowiedział się o Hellsturmie po opuszczeniu Sha-rida. Ale nie mógł sobie odmówić przyjemności zbulwersowania Aerenta. Regent był wyraźnie zdziwiony, gdy Moichi w skrócie zrelacjonował mu historię, którą usłyszał od Aufei. Nagle dobiegł ich krzyk z końca pomostu i Moichi przerwał opowieść. - Płynie! - krzyknęła czujka, wskazując w stronę wschodzącego słońca.

Rzeczywiście, zmrużywszy oczy, dało się zauważyć żagle i maszty, a chwilę potem kadłub „Tsubasy”. Bujuński statek pojawił się na horyzoncie.

Moichi, który patrzył na nadpływający statek dłużej niż regent, nieświadomie wstrzymał powietrze w płucach.

- Aerencie, spójrz tylko na to! - powiedział podniecony. - Leci pięknie nad wodą, jakby był jakąś skrzydlatą istotą. Popatrzysz ponownie, Aerent odkrył, że to prawda. „Tsubasa”, która jeszcze chwilę temu była ledwo widoczna, teraz już wyraźnie się powiększyła.

- Gdzie jest teraz ta Daluzyjka? - spytał Aerent.

- W harttinie, nie musisz się martwić o jej bezpieczeństwo. - Chciał dodać, że dziewczyny pilnuje Kossori, ale w porę sobie przypomniał, że jego wysoko postawiony przyjaciel nie wie nic o pozaartystycznych umiejętnościach muzyka.

- Musimy oczywiście przepytac ją najszybciej jak to tylko możliwe. - Potarł ręką brodę. - W świetle faktów, które mi przedstawiłeś, bujuński statek przybywa w bardzo nieodpowiednim momencie. Cóż, nie mamy innego wyjścia, tylko starać się, by wszystko ułożyło się jak najlepiej.

Nie możemy sobie pozwolić na obrazę córki kunshina. Zostałem poinformowany, że przywozi wiadomości od Dai-sana. Śmiem przypuszczać, że będziesz nimi zainteresowany, przyjacielu.

Cichy szmer przeszedł przez wypożyczoną od najważniejszych miejskich rikkaginów gwardię honorową, gdy statek „Tsubasa” znalazł się u wlotu do portu. Z opuszczonymi w większości żaglami, zdawał się wisieć nad wodą, cierpliwie czekając na zwolnienie trasy wejściowej.

Wyjątkowo piękna jednostka - pomyślał Moichi. Opływowy 113 kadłub był jeszcze gładszy, niż to zwykle bywa w szybkich szkunerach morskich, często spotykanych w okolicach Sha'angh'sei. Góra kadłuba od nadbudówki rufowej aż do powierzchni wody była pomalowana na czarno, gdzie cienka złota linia oddzielała cynobrowe poszycie jego dolnej części. Dziób „Tsubasy” był wysoki i wygięty w łuk, a zwieńczała go bogato zdobiona, rzeźbiona głowa koguta - bujuński symbol wielkich odkryć. - Kobieta jest Daluzijką, mężczyzna z zaułka też stamtąd pochodził... - A erent się zamyślił. - Moichi, czy wiesz, że Kintai leży na północny zachód od granic Daluzji?

Moichi odwrócił wzrok od bujuńskiego statku, który powoli manewrował u wejścia do portu z pomocą niewielkiej łodzi holowniczej.

- To ciekawe. Wygląda na to, że powinienem zwolnić się z tego obowiązku.

- Teraz, gdy córka kunshina będzie tu lada moment? Nie-możliwe.

- Czemu? Jestem pewien, że sam sobie poradzisz.

- To nieważne, przecież i tak nie masz statku. - Teraz już mam. Lorchę Aufei. Zamierzam popłynąć nią na północ, do Daluzji.

- A co z tym mężczyzną, Hellsturmem? Chcę go mieć. - Ja również, Aerencie, i to bardzo. Dzięki Aufei możemy go schwytać.

- Hmm. Dosyć ryzykowny pomysł. Kobieta...

- Im szybciej go złapiemy, tym jej będzie łatwiej. „Tsubasa” zdążyła już dopłynąć do mola Trzech Baryłek. Kubaru i tragarze biegali tam i z powrotem wzdłuż całego pomostu, ciągnąc liny cumownicze rzucone im przez bujuńską załogę. Ich głosy wzbijały się w śpiewnej litanii; pracowali na akord, w rytm melodii. Wreszcie okręt przycumowano linami do grubych metalowych słupów rozmieszczonych wzdłuż pomostu. Wody portu Sha'angh'sei były wystarczająco głębokie nawet w pobliżu brzegu, tak że duże statki - z czteromasztowymi bestiami włącznie - nie 14 musiały stawać na redzie i przewozić całego towaru na ląd łodziami. Rozładowywano i załadowywano je przy pomostach, oszczędzając czas i pieniądze. Dzięki temu Sha'angh'sei był zarówno najwyraźniejszym, jak i najbogatszym portem na kontynencie człowieka. W Khiyan na przykład, gdzie Moichi wraz z Dai-Sanem wsiedli na „Kioku”, by popłynąć na południe, nie było to możliwe. Stojący z dala od brzegu statek musiał wysłać po nich łódź. Z zamyślenia wyrwało go lekkie drganie pomostu. Napięte drewno skrzypiało, a fale obijały się o drewniane podpory pod ich nogami. „Tsubasa” przycumował.

Chiisai było dla niej odpowiednim imieniem.

Jedyna córka kunshina wyglądała niczym kwiat. Moichi nie wiedział, co znaczy jej imię, ale w momencie, gdy zobaczył ją stojącą na rufowym pokładzie, pomyślał sobie o kwiecie śliwy. Ciemnym, ale pełnym ukrytej energii.

Gdy schodziła do nich po ozdobnym trapie, Moichi zwrócił uwagę na jej niski wzrost i drobną budowę. Zrozumiał jednak, że pierwsze wrażenie było mylące. Chiisai nie była już dziewczynką, lecz dojrzałą kobietą.

Miała twarz delikatną niczym płatek kwiatu, duże ciemne oczy w kształcie migdałów i typowe dla Bujunów wysoko osadzone kości policzkowe. Jej usta były szerokie i zmysłowe, co wśród jej ludu

nie zdarzało się często. Miała na sobie ceremonialne drewniane pantofle i jedwabną szatę sięgającą stóp. Śnieżnobiały strój oślepił w mocnych promieniach porannego słońca. Wyszyto na nim delikatne, niebieskozielone kształty latających ryb. Wszystko było więc tak, jak być powinno. Ale gdy zatrzymała się przed nimi i pokłoniła, a oni odpowiedzieli ukłonem, Moichi zdał sobie sprawę, że jest coś dziwnego w jej wyglądzie. Przez moment nie potrafił tego w żaden sposób ogarnąć. Potem ze zdumieniem zauważył, że jej włosy są związane w tradycyjny bujuński kok, noszony jedynie przez mężczyzn wojowników. Dwaj wysocy Bujuni, którzy trwali nieruchomo niczym posągi po obu stronach trapezu, pozostali na statku. Nikt nie zszedł za Chiisai na ląd, a przecież była córką kunshina. - Aerenie, regencie Sha'angh'sei. Przywożę pozdrowienia od mojego ojca, kunshina, od wszystkich mieszkańców Ama-no-mori i od Dai-Sana. Życzymy ci szczęścia na nowym stanowisku i przekazujemy nasze serdeczne gratulacje. - Uśmiechając się, uniosła niewielkie drewniane pudełko. Smoła, którą zaklejono wszelkie szczeliny, chroniła zawartość przed działaniem wilgotnego i słonego morskiego powietrza. Na wieczku umieszczono platynową pieczęć z herbem kunshina Bujunów - trzema siewkami w locie wewnątrz okręgu reprezentującego świat. - Przyjmij to wraz z naszymi życzeniami. - Chiisai podała pudełko regentowi. - Dziękuję ci, Chiisai. To honor otrzymać taki podarek.

- Och, nie jest to żaden zwykły podarek, mogę cię zapewnić.

- Oczy Chiisai śmiały się nadal. - Nie otworzysz prezentu? Aerent uczynił to, rozcinając smołę czubkiem sztyletu. Odchylił wieko i zajrzał do środka. Zamarł na kilka chwil, po czym ostrożnie wyjął platynowy pierścień. Niesamowicie kunsztowny, został zapewne wykonany przez najlepszego złotnika na Ama-no--mori. Osadzono w nim doskonałą perłę.

W ciszy, jaka nastąpiła, głos Chiisai zabrzmiał bardzo niewinnie. - Mój ojciec uznał, że jest to odpowiedni prezent dla władcy najwspanialszego portu morskiego na całym świecie. Nakładając pierścień na serdeczny palec lewej ręki, Aerent spojrzał Chiisai prosto w oczy.

- Chiisai, jestem zachwycony i bardzo przejęty. - Potem dał kobiecie prezent, który sam dla niej wybrał: pikowaną kurtkę z najdoskonalszego jedwabiu, z wyszytą na niej niebieską czapłą, będącą w Sha'angh'sei symbolem gracji, oraz z tygrysią, bujuńskim symbolem panowania nad ziemią. W porównaniu z prezentem, który sam otrzymał, ten wydał mu się zupełnie nieodpowiedni. Chiisai jednak robiła wrażenie szczerze zachwyconej; od razu włożyła kurtkę.

Aerent cofnął się o krok, zamierzając przedstawić dziewczynie Moichiego, ale Chiisai była szybsza.

- To musi być Moichi Annai-Nin - powiedziała, zerkając kątem oka na nawigatora. - Tysiącrotnie przepraszamy za moje złe maniery, ale potrzebowałam chwili, żeby się zaaklimatyzować. - To zupełnie normalne, pani.

I - Proszę, mów mi Chiisai. - Zaśmiała się. - Byłoby niewybaczalne, gdybym przeciągała formalności z tobą, tak wielkim przyjacielem Dai-Sana. - Spojrzała na niego, a w jej wzroku nie dostrzegł nawet odrobiny strachu, jedynie szacunek i sympatię. Były to według Moichiego wyjątkowo osobiste uczucia. - Prosił, bym ci to przekazała, gdy cię zobaczę.

Moichi oczekiwał, że otrzyma wiadomość, o której wspomniał Aerent. Tymczasem Chiisai objęła go jedynie silnym i ciepłym ramieniem, ściskając tak, jak jeden wojownik ściska drugiego. Więź silniejsza od krwi - pomyślał Moichi. Mój bracie.

- Dai-San bardzo za tobą tęskni, Moichi.

- Tak samo jak ja za nim.

Prześliznęła się obok Moichiego i wsunęła mu rękę pod ramię, beztraska niczym mała dziewczynka.

- Widzę, że ściągnąłeś tutaj gwardię honorową, Aerenie.

- Czy podoba ci się? - spytał Regent.

- Jak najbardziej, jeśli chodzi o przepych i majestat. Ale mówiąc szczerze, jest w zupełności zbędna. Ta wizyta ma nieoficjalny charakter. Mój ojciec pragnie, a ja wraz z nim, żeby się obyło bez ceremonialnych wizyt, obiadów na moją cześć, eskort, jednym słowem - bez jakichkolwiek posunięć wagi państwowej. - Rozumiem - odparł Aerent. Szli właśnie wzdłuż równo ustawionych rzędów gwardii honorowej. - Mogę więc zapytać, jaki charakter ma twoja wizyta w Sha'angh'sei? - Możesz - odparła, śmiejąc się. - Regencie, musisz nauczyć się traktować mnie jak kobietę, a nie jak córkę kunshina. - Zaiste, pani. Postaram się to uczynić.

- To dobrze. Zrozum, mój ojciec nie chce, bym spędziła całe 117 życie na Ama-no-mori; Dai-San całkowicie się z nim zgadza. Przybyłam tu, by się czegoś nauczyć. Dlatego też oficjalne bankiety i tym podobne okazje nie na wiele mi się przydadzą. Właściwie nie chciałabym nawet, żeby było powszechnie wiadome, kim jestem. - Stawiasz przed nami trudne zadanie. - Moichi roześmiał się.

- W Sha'angh'sei trudno utrzymać taką informację w tajemnicy.

- Jak się ma Dai-San? - zapytał Aerent.

- Dobrze, jest bardzo szczęśliwy. Mój ojciec uwielbia jego towarzystwo, ostatnio nie odstępują siebie nawet na krok. Często udają się na wielodniowe wyprawy w puszcze, gdzie ptaki są ich jedynymi towarzyszami.

- Cieszy mnie to.

- Dai-San prosił, bym spytała, jak wyleczyłeś się ze swoich ran, ale widzę, że nie jest to konieczne.

- Odkąd zeszła z okrętu, tylko raz rzuciła okiem na rubinowe nogi regenta.

Stali na skraju mola Trzech Baryłek, zamierzając wejść na zatłoczone nabrzeże. Za ich plecami tragarze wyladowywali bagaże Chiisai pod okiem bujuńskich żeglarzy. Moichiego zadziwił fakt, że na pokładzie nie było widać kapitana czy chociaż nawigatora. Nie miał jednak czasu, by to rozważyć, gdyż Chiisai już go ciągnęła w stronę miasta. Szeroki rękaw szaty rozchylił się na moment i Moichi zauważył, że skóra dziewczyny jest delikatnie opalona. Było to czymś niespotykanym, gdyż bujuńskie kobiety pyszniły się swą śnieżnobiłą karnacją. Dai-San opowiadał mu, że na ulicach bujuńskich miast bambusowe parasole widzi się równie często w dni słoneczne jak w deszczowe.

Szturchnięcia kubaru, ostry zapach przypraw, pył unoszący się znad worków ze zbożem, okrzyki, przyspiewki - wchodzili w to wszystko niczym w wody wzburzonego morza.

Wydawało się, że Chiisai wie, dokąd zmierza. Weszła w tłum, kierując się w stronę przeciwnego końca nabrzeża. Tam, dokładnie naprzeciwko mola Trzech Baryłek, stał niewielki namiot uszyty z pasów niebieskiego i białego materiału, rozstawiony pod po-zbawioną okien ścianą harttinu.

- Co to za miejsce? - zapytała, gdy stanęli przed wejściem do namiotu.

- To namiot shindai, pani - odparł Aerent.

- Shindai. - Powiedziała to tak, jakby próbowała potrawy, badając, jak nowy dźwięk brzmi w jej ustach.

- Tak nazywamy miejscowych wróżbitów.

- Wróżbita! To wspaniale! Czy możemy wejść do środka? Aerent skrzywił się, gdyż osobiście nie lubił shindai, a już na pewno nie dawał wiary ich przepowiedniom. Byli jednak zupełnie nieszkodliwi - jedynie pozbawiali systematycznie swoich klientów ostatnich groszy.

- Oczywiście - odparł.

Moichi pomyślał coś zupełnie innego. W chwili gdy został wciągnięty do środka, uznał, że absolutnie nie chce w tym uczestniczyć. Miał ochotę wrócić już do harttinu i Aufei. W namiocie było ciemno i mimo wczesnej pory dosyć gorąco. Widzieli jednak twarz kobiety, miała w rysach

coś ze świni. Gdy wstała, żeby ich przywitać, okazało się jednak, że jest całkiem ładna. - Witam was. Przyszliście, żeby zobaczyć swoją przyszłość. - Choć mówiła do całej trójki, Moichi miał dziwne przeczucie, że słowa są kierowane wyłącznie do niego. - Piękna pani, proszę wziąć tę talię i ułożyć ją w dowolny sposób - poprosiła shindai. Chiisai wzięła karty, odwróciła dolną, po czym przyjrzała się wszystkim po kolei. Były zupełnie czyste.

- Nie rozumiem, jaką to zrobi różnicę.

Spełniła jednak prośbę shindai. Potem oddała jej karty. Shindai trzymała karty w prawej ręce, koszulkami do góry. Lewą uniosła górną kartę i odwróciła. Na karcie był wydrukowany ptak. - Ach, niedługo wyruszysz w długą i ciężką podróż. - Twoje wróżby są nieco spóźnione, shindai - zaśmiał się Aerent. - Ta pani właśnie przybyła z takiej podróży. - To nieistotne - upierała się shindai. - Karta wskazuje podróż.

W przyszłości, a nie w bezpośredniej przeszłości. Wsunęła kartę pod spód talii i odwróciła następną. Przedstawiała 110 posąg do połowy ubranego człowieka, postawiony dosyć nietypowo w środku lasu.

- To cię wspomaga.

- Co? - zdziwiła się Chiisai. - Ten pomnik?

- Pomnik symbolizuje sztukę i piękno.

Kolejny ruch ręki odsłonił trzecią kartę. Trudno było coś na niej zobaczyć, gdyż przedstawiała czarną postać na równie ciemnym tle. Jednak gdy shindai ruszyła ręką, ciemne tło zniknęło, gdy światło padło na powierzchnię karty. Na środku białego pola pozostał jedynie czarny kształt ludzkiej czaszki. - Śmierć! - westchnęła Chiisai.

- Zaraz, to już jest... - Regent uznał, że sprawa posunęła się za daleko. Był głupcem, jeśli pozwolił, by ta wiedźma przestraszyła jego gościa.

- To nie śmierć, pani - przerwała mu shindai nie znoszącym sprzeciwu głosem. - To na pewno nie jest śmierć. Karta przedstawia coś, co napotkasz. Człowieka. Człowieka, który będzie pragnął twojej śmierci. - Wszyscy w namiocie usłyszeli, jak położyła nacisk na to jedno słowo.

- Będzie?

- Tak. - Shindai pokiwała głową. - Obecnie zdaje się nawet nie wiedzieć, że istniejesz.

- Więc czemu będzie chciał mnie zabić?

- Tego nie potrafię powiedzieć, pani.

Dłonie shindai pozostały nieruchome.

- To wszystko? - spytała Chiisai.

- Tak. Trzej Słudzy zostali odsłonięci. To oni rządzą pani najbliższą przyszłością.

- Niech teraz shindai powrózy tobie - Chiisai zwróciła się do Moichiego.

Zamierzał zaprotestować, lecz natrafił wzrokiem na spojrzenie Aerenta, wyraźnie nakazujące mu nie przerywać. Bez słowa wziął do rąk talię i przetasował ją, szybko i niedbale. Chciał jak najszybciej zakończyć ten nonsens. Oddał talię z powrotem shindai-Pokazała im pierwszą kartę, przedstawiającą słońce. Shindai chrząknęła cicho. Wydawała się nieco zdziwiona. - To symbol Celu. Muszę przyznać, że jeszcze nigdy nie widziałam, by był Pierwszym Sługą. Bardzo to dziwne. W tym wypadku musi oznaczać wielką zmianę.

Druga karta miała zupełnie czarne tło, tak jak karta Chiisai, dopóki się nie rozbieliła. W centrum ukazały się białe mary, na których leżała równie biała kobieta.

- To ci będzie pomagać.

- Trup? - Moichi niemalże zaśmiał się shindai prosto w twarz. - Przeszłość - odparła spokojnie shindai, odsłaniając jednocześnie trzecią kartę.

Tym razem wszyscy usłyszeli cichy okrzyk zdziwienia.

Trzecia karta była cała biała, zupełnie pusta.

- Nikt - powiedziała Chiisai. - Czy to nie wspaniałe? - To nie jest nikt - odparła poważnym tonem shindai. - To wszyscy.

- Wszyscy - mruknął Moichi. - Przecież to niemożliwe.

- Zapewne, ale właśnie to odsłania Trzeci Sługa. Aerent sięgnął do sakwy i wyjął srebrną monetę, którą położył na dłoni shindai. Ta jednak pokręciła głową.

- O nie, panie, nie mogę przyjąć zapłaty za taką przepowiednię.

To mój prezent dla tej pary. - Spojrzała na Moichiego i Chiisai.

- Mylisz się, shindai - odparł Moichi. - Nie jesteśmy parą. - Jeśli jestem w błędzie, to błagam o wybaczenie. W każdym razie nie przyjmę żadnej zapłaty. - Włożyła monetę z powrotem do sakwy regenta tak szybko, jakby była kieszonkowcem. - Życzę wam dobrego dnia. - Ukłoniła się. - Dobrego dnia. Gdy wyszli z dusznego namiotu, załała ich fala kolorów, zapachów i odgłosów portowej dzielnicy Sha'angh'sei. - Mam nadzieję, że przyjmiesz te przepowiednie w duchu, który... - powiedział Aerent.

Moichi przestał słuchać. Przyglądał się kubaru, który pędził jak szalony przez nabrzeże. Wywrócił tragarza, przeskoczył niewielki 191 stragan sprzedawcy orzechów. Wyglądało na to, że biegnie dokładnie w stronę mola Trzech Baryłek. Wydawał się Moichiemu znajomy, więc zwrócił na siebie jego uwagę. Mężczyzna najwyraźniej natychmiast go rozpoznał, gdyż zmienił kierunek i zamiast biec na pomost, ruszył w stronę Moichiego. Krzycząc, przetoczył się nad parą kubaru. Worki z ryżem poleciały w tłum, otwierając się w locie. Wściekłe okrzyki podążyły za biegnącym kubaru. Ten jednak pędził dalej, nie zwracając na nic uwagi, aż dotarł do Moichiego.

- Musisz ze mną iść, natychmiast! - Dialekt oraz urywany oddech utrudniały zrozumienie kubaru. Sens jego słów był jednak dla Moichiego wystarczająco jasny. - Chodź już. Jak najszybciej! Moichi rozpoznał wreszcie kubaru i poczuł się tak, jakby ktoś wbił mu nóż w brzuch. Mężczyzna ciągnął go, ale Moichi nie potrzebował dalszych ponagleń. Bez słowa rzucił się w dół nabrzeża. Kubaru pędził tuż za nim.

- Co się stało? - spytała Chiisai Aerenta.

Twarz regenta była blada jak kreda, gdyż on także rozpoznał posłańca.

- Boję się spekulować, Chiisai. Chodź ze mną, proszę. - Wziął ją za rękę i poprowadził w stronę miasta. Tam zatrzymał przejeżdżającą riksę, wsadził dziewczynę, sam wsiadł za nią i podał riksarzowi adres. - Jedź ulicami - rozkazał. - Spiesz nam się. Stojący w drzwiach harttinu Llowan pierwszy ujrzał Moichiego. Trzęsły mu się ręce i wydawał się postarzały o dobre parę lat. - Nie mogę zrozumieć, jak to się stało, Moichi - powiedział załamującym się głosem. - Mieliśmy rano tyle pracy, było spore zamieszanie. - Potrząsnął ze smutkiem głową. - Mimo to nie mam wytłumaczenia, to moja wina.

- Cokolwiek się stało, nie dotyczy to ciebie. - Moichi położył rękę na ramieniu Llowana. - To ja ich tutaj przyprowadziłem. - Wspinał się już po schodach, przeskakując po trzy stopnie naraz, by znaleźć... Pokój wyglądał tak, jakby przeszedł przez niego huragan. Łóżko było pęknięte, krzesła przełamane na pół, ogromne biurko Llowana całkowicie zdemolowane, teraz już niewiele więcej warte niż sterta drewna na opał.

Okiennice zostały rozłupane w co najmniej trzech miejscach.

Bojąc się najgorszego, Moichi wyszedł na taras. Szczapy z okiennic, kawałki mebli rozrzuconych po tarasie oraz... Uklęknął, przyglądając się kropelkom krwi na deskach. Przeszukiwał szczątki, nie wiedząc właściwie, czego szuka, dopóki tego nie znalazł. Pod palcami poczuł swój sztylet. Ostrze i rękojeść były całe we krwi, nadal wilgotne.

Wziął go do ręki, podniósł się i rozejrzał dokoła, wycierając ostrze. Nie było ich tutaj. Wszedł z powrotem do pokoju. Aufei tu nie było, co znaczyło, że żyje i została siłą zabrana - nie mieli czasu, by na miejscu wyciągnąć z niej informacje. Dokąd mogli ją zabrać? Na pewno poza Sha'angh'sei, gdyż w obcym mieście nie mogli liczyć na przewagę. Ale czy zabraliby też Kossoriego? W tym momencie zauważył ciemną plamę pośród fragmentów biurka. Skoczył naprzód, odrzucając na bok pęknięte drewno i miedziane okucia.

W niszy na kształt namiotu, która powstała pod rozwalonym meblem, odnalazł ciało. Twarz, o dziwo, była nie uszkodzona. Miała spokojny wyraz, jak u śpiącej osoby. Inaczej tułów. Ręce i nogi były złamane w zbyt wielu miejscach, by dało się policzyć. Jednak wzrok Moichiego przykuły dłonie przyjaciela. Były krwawymi kikutami. Ktoś musiał złamać wszystkie kości, jedną po drugiej, z sadystycznym okrucieństwem i pieczołowitością. Moichi poczuł, że twarz zlewa mu zimny pot.

Połamane ciało było wszystkim, co zostało z Kossoriego - czło-wieka, który potrafił pokonać pół tuzina Ching Pang i nie dostać zadyszki.

Co za diabeł - pomyślał oszołomiony Moichi - mógł to zrobić?

Odpowiedź znał już dobrze.

CZĘŚĆ 2

ŚCIGAJĄC
DIABŁA

czym
wspo-
która
idzie
ci
na
ist
łał

Lorcha

Dobrze jest znów mieć pokład pod nogami.

Moichi wciągnął głęboko w płuca słonawe powietrze, po czym na moment spojrzął za siebie.

Sha'angh'sei było już tylko wspomnieniem pozostawionym gdzieś na południu, za mgiełką, która unosiła się na horyzoncie.

- Naprawdę znasz ich język? - spytała.

Nawigator pokiwał głową.

- Czyż to nie dziwne - mówiła - że dawno temu ludzie wymyślili jeden język, który wszystkim odpowiadał? - Bujuni mają własny język.

Pokiwała głową.

- Ale wszyscy mówimy też wspólną mową. Dziwne, że ci ludzie tego nie potrafią.

Chodziło jej o Daluzycyków.

Zrobił parę kroków w stronę dziobu i oparł dłonie na balustradzie, która oddzielała pokład rufowy od reszty smukłej lorchy. - Ganarse las velas! A la babór! - zawołał do stojących na wantach żeglarzy. Z zadowoleniem zauważył, że natychmiast ustawiono żagle tak, by nabrały więcej wiatru. Okręt wykonał niewielki skręt na lewą burtę.

- Navegas viento en popal - wysoko z want padła potwierdzająca komendę odpowiedź.

Lorcha płynęła na pełnym kursie, z żaglami całkowicie wyluzowanymi. Pędziła w górę kontynentu człowieka, na północny wschód, w stronę Daluzji.

W końcu przybyli i zabrali zmasakrowane ciało, po cichu, nie przeszkadzając stojącemu na środku pokoju Moichiemu. Stał dokładnie w tym miejscu, w którym, wychodząc, po raz ostatni widział Aufeyę. Aerent zadbał o wszystko, choć sam nie wszedł na górę. Moichi był mu za to wdzięczny, gdyż czuł, że nie dałby rady stanąć oko w oko z innym człowiekiem, nie wyciągając przeciw niemu sztyletu.

Winił siebie całkowicie i nie znajdował żadnego usprawiedliwienia. Nie pomagał fakt, że pragmatyczna część jego osobowości mówiła mu, że zrobił wszystko, co w tej sytuacji mógł zrobić. Przecież skąd miał wiedzieć? Jakim cudem Hellsturm trafił do hartinu? Nie ulegało wątpliwości, że to właśnie on był odpowiedzialny za śmierć Kossoriego i porwanie Daluzyjki. Moichiego dręczyło też nieustannie pytanie, czy mógł zrobić coś więcej. Ironia losu sprawiła, że spotkanie na molu Trzech Baryłek nie było tak oficjalne, jak spodziewali się tego z Aerentem. Mógł więc zabrać Aufeyę ze sobą. Boże, cóż za okrutna śmierć! A Aufeya? Być może leżała już w kałuży własnej krwi w jakiejś wilgotnej i ciemnej bocznej uliczce, tak jak jej przyjaciel Cascaras, z wielkim otworem zamiast serca. Boże - krzyknął w głębi duszy - nie pozwól, by tak było! Więc dokąd Hellsturm ją zabrał? Przecież jest tyle miejsc na świecie... Usłyszał, że ktoś wspina się po schodach. Kto się odważył? Poczul, jak narasta w nim złość, i odwrócił się gwałtownie. Zorientował się, że nadal ma w dłoni sztylet, który wcześniej dał Aufei. To była Chiisai.

Czego chce? - pomyślał z wściekłością, czując do niej irracjonalną niechęć. To była jej wina. Gdyby nie przybyła... - Pomyślałam, że może chcesz porozmawiać - powiedziała.

- Z kimś, kto jest ci obcy.

W tym momencie opuściła go złość i poczul się zawstydzony. Nikt nie był winny. Sei - pomyślał. Karma. Czyż nie o tym opowiedział Aufei? To było tak dawno temu, niczym w innym wcieleniu. - Był dobrym przyjacielem - powiedział Moichi, rozglądając się po pokoju.

- Walczył dzielnie. Może przeciwnik był zbyt silny.

- Potrafił dać sobie radę z sześcioma ludźmi naraz. - Ciekawe. - Podeszła w stronę nawigatora. - Musiał walczyć z wyjątkowo potężnym przeciwnikiem.

Moichi poczul nagle, że nie wytrzyma w tym pokoju ani chwili dłużej, wyszedł więc na taras przez jedną z dziur wyłamanych w okiennicach. Był ładny i spokojny dzień, świeciło słońce. Od przyjazdu do Sha' angh'sei nie widział jeszcze powietrza tak czystego i przezroczystego, niczym na pełnym morzu. Chiisai wyszła za nim.

Spojrzał na miejsce, w którym znalazł porzucony sztylet. Potem przyjrzał się dokładniej. W tym samym miejscu coś leżało. Nie był to kawałek drewna ani deska w podłodze werandy. Przyklęknął i podniósł leżący przedmiot.

- Co znalazłeś? - zaciekała się Chiisai.

- Nie jestem pewien. - Podniósł się. Nie mógł się mylić. Był to pasek jedwabiu oddarty z koszuli, którą dał Aufei. Splamiony krwią. Odwrócił go na drugą stronę. Najpierw nie mógł z niczym skojarzyć wzoru, który widział. Potem zrozumiał, że jest to symbol, a dokładniej piktogram kubaru. Nie znał jednak jego znaczenia. - Szybko - rozkazał Moichi. - Poproś Llowana, by sprowadził tu kubaru, którego wysłał po mnie na molo Trzech Baryłek. Bujunka po chwili wróciła z mężczyzną. Stał niepewnie w pokoju, nawet gdy Chiisai wskazała, by wyszedł na taras. Nie odważył się ruszyć, dopóki Moichi mu nie kazał.

Gdy wreszcie wyszedł i stanął obok nawigatora, Moichi zauważył, że mężczyzna jest wyraźnie zmartwiony.

- Dogłębnie mi przykro, san - powiedział kubaru. - Jestem zrozpaczony.
- Dziękuję ci. - Moichi pochylił głowę. - Jestem ci dłużny. - Wskazał ręką na pasek jedwabiu. - Chyba możesz być ponownie przydatny.
- Cokolwiek sobie życzysz, panie.
- Powiedz mi, co to oznacza. - Moichi wyciągnął przed siebie materiał.

Kubaru przyglądał się strzępowi, jakby był to bezcenny okaz ręcznie dmuchanego, delikatnego szkła.

- Czyż nie jest to symbol kubaru?
- Tak - pokiwał tamten głowę. - Oznacza „dom”. - Dom - powiedział Moichi, gdy mężczyzna wyszedł. - Aufeya mi to zostawiła, sprytna kobieta. Hellsturm zabiera ją z powrotem do Corrunii. I ja muszę się tam teraz udać.

- Przecież nie wyruszysz sam - zauważyła Chiisai.
- Muszę - odparł. - Aerent nie może opuścić Sha'angh'sei.
- Nie myślałam o regencie.
- O nie - westchnął Moichi. - Zostaniesz z nim tutaj.

W Sha'angh'sei, jak rozkazał twój ojciec.

- Czyż Aerent nie wspomniał ci, że przywiozłam wiadomość od Dai-Sana? - Wydało się, że nikły uśmiech pojawił się w kącikach jej ust, gdy wyjęła spod szaty niewielką metalową tuleję i podała ją Moichiemu.

Niepewny zawartości, otworzył ostrożnie. Dai-San własnoręcznie napisał wiadomość.

- Moichi, mój przyjacielu - czytał. - Tylko Chiisai może ci to przekazać. Zrobi to osobiście, i to jedynie w chwili, gdy będziecie sami. Powiedziała Aerentowi tylko część prawdy. Uczyniła to, by ochronić zarówno jego, jak i siebie. Chiisai będzie teraz z tobą, z mojego rozkazu. Kunshin nie wyraził oczywiście sprzeciwu. Pozostanie z tobą, cokolwiek by się miało wydarzyć, aż do czasu, gdy uzna, że należy zmienić tryb postępowania. Pozostawiam to jej własnej decyzji. Znasz mnie wystarczająco dobrze, bym nie musiał nic więcej pisać. Dzięki wzajemnemu zaufaniu jesteśmy przecież bliscy sobie niczym bracia. - Moichi spojrzał na dziewczynę, ale ta tylko potrząsnęła głową.

- Wiem jeszcze mniej niż ty.

Zdawał sobie sprawę, że kłamała, ale domyślał się, że miała powody, by to zrobić. W każdym razie to nie jego problem. Jeśli zamierza wyruszyć wraz z nim, to nie ma nic przeciwko temu, dopóki nie będzie wchodzić mu w drogę.

- Wiem dobrze, co myślisz. - Uśmiechnęła się.
- Naprawdę? Co takiego?

Jednym ruchem, nieznacznym machnięciem dłoni, zrzuciła z siebie wierzchnie okrycie. Jedwabna szata zsunęła się z ramion i opadła na ziemię u jej stóp.

- Widzisz chyba, że mogę się przydać.

Moichi patrzył zdziwiony.

Pod szatą dziewczyna miała kunsztownie wykonany napierśnik z czarnego metalu zdobionego złotem oraz czarne spodnie z doskonale wyprawionej skóry. Z wąskiego pasa przypiętego na biodrach, wysadzanego różowobiałym nefrytem, zwisały dwa tradycyjne miecze bujuńskie, katana oraz dłuższa od niej dai-katana. Zaśmiała się na widok wyrazu jego twarzy.

Powinienem to wcześniej zauważyć - pomyślał. Wszystkie znaki były tuż przed moimi oczyma.

Napięte wanty i reje trzeszczały, gdy lorcha pędziła na pełnym wietrze. Załoga okrętu składała się z zawodowców, którzy dosyć szybko zaakceptowali Moichiego. Znał ich język i wiedział, co się przydarzyło Aufei. Odkąd zniknęła, przerażała ich możliwość, że kobieta może już nie żyć.

- Więc wracamy do domu - powiedział bosman Armazón. Był krzepkim mężczyzną, z gęstą szczeciną białych włosów oraz twarzą o dumnych rysach ukształtowanych przez wiatr, słońce i morską sól. Oczy miał niczym błyszczące drobiny lapis lazuli, wiele wiedzące, ale skrywające to przed przypadkowym obserwatorem. Potrząsnął głową. - Od początku miałem złe przeczucia co do tej podróży. Błagałem Aufeyę, by w inny sposób ubiła targ z tym mężczyzną.

111

- Hellsturmem? - spytał Moichi.

Armazón pokiwał głową. Pył wodny zmoczył im twarze, gdy lorcha opadła, po czym uniosła się na napływającej fali. - A babón - ryknął Moichi do sternika. Lorcha natychmiast skręciła w lewo. Nawigator zdążył zauważyć, że znalazł się na dobrze zaprojektowanym okręcie. Doceniał to. Statek świetnie reagował, znacznie zwinniej niż większe od niego trójmasztowe szkunery. Jednak z powodu mniejszych rozmiarów o wiele bardziej był narażony na kaprysy morza. Szstorm nigdy nie sprawiłby Aufei kłopotu, gdyby wyruszyła na trójmasztowcu.

Linia brzegu była zielonobrazową plamą, oddalającą się po lewej burcie od płynącej w morze lorchy.

- Basta! - krzyknął.

Lorcha natychmiast powróciła na swój północno-wschodni kurs. - Co powiedziała? - Moichi kontynuował rozmowę z daluzyjskim bosmanem.

- Powiedziała? - parsknął bosman. - Cóż, zaśmiała się ze mnie i powiedziała tak: „Ty głupcze. Nikt nigdy nie ubije z Hellsturmem targu. Gdy dostanie zlecenie, to nikt nie powstrzyma go przed jego wykonaniem”.

- Otrzyma zlecenie? - Powtórzył, gdyż dawno już nie słyszał daluzyjskiego. Język miał tyle niuansów, akcentów zmieniających znaczenie słów, które nie różniły się pisownią, że musiał być pewien, iż dobrze zrozumiał.

Armazón pokiwał głową.

- Hellsturm jest na usługach? Czyich?

- Nie wiem. - Bosman wzruszył ramionami. - Nie należę do rodziny. Ta sprawa dotyczy wyłącznie rodu Seguillas y Oriwara. - Masz na myśli sławną rodzinę kupiecką?

- Tak, to rodzina Aufei. - Bosman spojrzał spod oka na Moichiego. - Nie wiedziałeś?

Nawigator potrząsnął głową. W każdym innym kraju byłoby to dziwne nazwisko. Wiedział jednak, że wśród Daluzyjczyków było normą, by dwoje ludzi łączyło na ślubie swoje nazwiska. Będąc w Corrunii, słyszał oczywiście o rodzinie Seguillas y Oriwara. Była dosyć bogata, posiadała pokaźną flotę statków kupieckich. Byłoby dziwne, gdyby o niej nie wiedział.

- Czy mówi ci coś imię Mihlos Seguillas, piloto?

- Tak.

- Jeden z wybitniejszych obywateli Corrunii, jeśli nie nawet całej Daluzji. Do czasu, gdy nie ożenił się z cudzoziemką. - Splunął w bok do spienionego morza. - To był początek jego upadku, zapamiętaj dobrze moje słowa. - Spojrzał na swoje dłonie, silne, duże i zdolne do pracy, ciemne niczym barwiona skóra; morze takimi je uczyniło. - Teraz senhor jest już martwy. Niech Dihos uspokoi jego duszę. Coś w głosie mężczyzny skłoniło Moichiego do zadania kolejnego pytania.

- Jak zginął senhor Seguillas?

- W brutalny sposób, piloto. Prawdę mówiąc, także bardzo odrażający.

- Jak do tego doszło?

Armazón splunął ponownie.

- Dobry sposób na spędzanie czasu, co, piloto? Emocjonująca historia pozwala przeczeć jakoś podróż?

- Chyba źle mnie zrozumiałeś, Armazón - Moichi spowaźniał. - Chcę tylko odzyskać Aufeyę i zniszczyć Hellsturma. Wszystko, co możesz mi powiedzieć...

Przerwał, słysząc ochryply śmiech bosmana.

- Wybacz mi, piloto, ale jesteś obcokrajowcem, nie obytym z naszymi zwyczajami. Chcesz zniszczyć tego Hellsturma? To szczytny cel, muszę przyznać. Jest złym człowiekiem. Nie znasz go jednak ani trochę. Mamy w Daluzji powiedzenie, pilotom. łatwo powiedzieć, trudniej wykonać. Znałeś je, prawda? Cóż, teraz znasz już na pewno.

- Wiem, co Hellsturm potrafi. Zamordował mojego przyjaciela.

- Ach.

- Zniszczę go.

- Brawo, brawo! - Armazón zaklaskał szyderczo. - Wybaczysz mi, pilocie, jeśli jeszcze ci nie pogratuluję? Zdaje się, że mam nieco bardziej pragmatyczne spojrzenie.

- Zamierzałeś mi opowiedzieć o śmierci senhora. - Tak, rzeczywiście. Zamierzałem. Zginął w pojedynku. - Spojrzał ponownie na Moichiego, oceniając jego reakcję. - Tak, wiem, co ci teraz chodzi po głowie. Przystąpienie do daluzyjskiego pojedynku jest kwestią honoru, a każdy przyjmuje z honorem wynik, jaki mu wybierze Dihos. Takie jest daluzyjskie prawo. Stałe, niezmiennie. Nikt nie może się wtrącić do daluzyjskiego pojedynku. - Jego twarz była morzem mieszających się emocji. Słowa wylatywały z ust niczym pojedyncze cegły przepowiadające upadek całego muru. Głos bosmana stał się sykiem pełnym powstrzymanej z trudem nienawiści.

- Powiem ci tyle, piloto: tak pewny jak to, że stoję na deskach tego pokładu, jest fakt, że ktoś złamał to święte prawo. Ktoś wtrącił się do pojedynku. Moichi spoglądał na niego w milczeniu. Mężczyzna był coraz bardziej poruszony.

- Wy tłumaczę ci, skąd to wiem. Znałem Milhosa Seguillasa dobrze, można nawet powiedzieć, że bardzo dobrze. Odbyliśmy razem wiele zyskownych podróży, nie zawsze jako pan i bosman, jeśli dobrze mnie rozumiesz. Na pokładzie statku... cóż, pilocie, nie muszę ci chyba tłumaczyć? Na morzu panują inne układy niż na lądzie, co? Ograniczenia są znoszone, zakazy znikają niczym rozwiewająca się mgła. Tu każdy jest wolny, może być sobą. Nigdy nie obowiązują tu jarzma klasy czy bogactwa. Tak przynajmniej postępował Milhos Seguillas. Był wysoko urodzonym szlach-cicem, któremu jednak bardziej zależało na morzu i zaufanych ludziach niż na całym srebrze tego świata. - Spojrzał na Moichiego. - Morze jest srogą panią, prawda? Obaj dobrze to wiemy. Jest surowe i nie wybacza, ale z drugiej strony niczym kochanka troszczy się o tych, którzy są mu wierni. Uważasz, że to nierozsądny zabobon? - Chrząknął i splunął, oczyszczając gardło, jakby wyrzucał na zewnątrz emocje, które tam utknęły. - Słuchaj mnie uważnie, pilocie. Milhos Seguillas był wybitnym szermierzem. Był mistrzem! Nie zostałby tak szybko pokonany, gdyby... - Przerwał z otwartymi ustami, jakby poczuł, że niespodziewanie stanął nad samą przepaścią. Wypowiadając tajemnicę, sprawiał wrażenie człowieka, który zaczął się bać własnych słów. - Pilota, on został otruty. Otruty tuż przed rozpoczęciem pojedynku. Widziałem ciało, więc wiem to dobrze. Substancja, o której wie niewiele osób, jest wyciągiem z rośliny rosnącej jedynie w odległym północno-wschodnim regionie. Daluzyjczycy zazwyczaj nie mają do czynienia z tą trucizną. - Ale zabić senhora Seguillasa tym sposobem... nie mógł przecież jego przeciwnik - zauważył Moichi.

- Dokładnie tak, pilocie. Trafiłeś w samo sedno. Wróg senhora Seguillasa miał podstępnygo współnika. Tak sprytnego, że senhor niczego nie podejrzewał.

- Co sugerujesz, Armazón?

- Tylko to, piloto, że senhor Seguillas został otruty przez własną żonę!

- Na Boga, człowieku, czy masz na to jakiś dowód? - Dowód? Wystarczająco dobry, choć nie zaspokoi on wymagań sędziego. Ale obiecuję ci, że dla mnie jest wystarczająco przekonujący. Znałem senhora Seguillasa. Znam też jego żonę. - Czy Aufeya o tym wie?

- Ani trochę, piloto. Przynajmniej nie z moich ust. Nie opowiedziałem tego wcześniej nikomu.

- Czemu więc to teraz uczyniłeś?

- Powiedziałeś, że chcesz pomóc Aufei. To dobry i szlachetny cel. Nie jesteś Daluzyjczykiem. Nie płynie w tobie nasza krew. Możesz udać się w miejsca, do których inni, ograniczeni konwencjami naszego kraju, udać się nie mogą. Musisz pomóc Aufei i senhorowi Seguillasowi. Musisz pomścić jego śmierć. Zabij matkę Aufei! Moichi odwrócił wzrok od błękitnych oczu, w których głębi szalały emocje. Przed nimi, na północnym wschodzie, pojawiły się na horyzoncie nisko zalegające cumulusy. Choć od góry były bielutkie, Moichi prędko zauważył ich ciemne spody. Chmury burzowe. Nadchodził szkwał, choć był zbyt daleko, by stanowić bezpośrednie zagrożenie. Zresztą wiatr się jeszcze nie zmienił. Mewy z lewej burty zaczynały jednak krążyć i, pokrzykując, szukać bezpiecznego brzegu.

- Nie mogę ci niczego takiego obiecać, Armazón. - Spojrzał rozmówcy prosto w oczy. - Interesuje mnie Aufeya, a nie jej matka lub nieżyjący ojciec.

Oczy bosmana zapłonęły, a ciało przeszedł dreszcz wściekłości. - Cobarde! - Splunął. - Mieszasz się w sprawy, których ani trochę nie rozumiesz. Jesteś obcy! Czym jest dla ciebie Daluzja? Niemalże niczym, zerem. - Zaśmiał się ponuro. - Ach, zaoszczędź sobie nieszczęść, piloto. Rzuć się za burtę, zanim dopłyniemy do Corrunii. Niech morze cię pochłonie! Patrzysz śmierci prosto w oczy, nawet nie zdając sobie z tego sprawy! - Armazón odszedł pospiesznie, obracając się wokół głównego masztu. Wylądował na środkowym pokładzie, niemal wpadł na wychodzącą Chiisai i zniknął w przednim luku. Chiisai nadeszła z miejsca w pobliżu dziobu, które zajęła tuż po wyjściu statku z portu. Pozostała tam cały dzień, studiując układ linii brzegowej i porównując go z dokładnymi mapami znajdującymi się na pokładzie.

- Mamy wyjątkowo dobry czas, Moichi. - Nie wspomniała nawet o sprzeczce z Armazonem, którą musiała zauważyć. Wskazała na lewo. - Widzisz tam, w oddali? Jesteśmy już na wysokości Singtao. W oddali zauważył cynobrową plamę miasta, dużo mniejszego niż potężne Sha'angh'sei, a mimo to ważnego. Ten dziwny kolor nie był złudzeniem - to stąd eksportowano sławną czerwoną glinę na cały kontynent człowieka. Była najdoskonalsza na świecie, toteż artyści, gdziekolwiek by się znajdowali, chcieli jej używać. Potężny i z każdą chwilą rosnący front cumulusów nie obniżył się jeszcze zupełnie, więc słońce, złapane pomiędzy nim a morzem, wciąż się przebijało wskroś podbrzuszy chmur. Światło słoneczne miało jednak dziwny kolor, żeglarze nazywali to śladami Oroborusa. Głębokie i posępne morze rozblyskiwało roztopionym metalem w miejscach, gdzie na jego powierzchnię padały promienie słoneczne. Ponad sztormem kanarkowa żółć nieba stopniowo przechodziła w gęstą i zimną szarość.

Nozdrza Moichiego rozszerzyły się, gdy poczuł charakterystyczny zapach.

- Nadchodzi - powiedział dziewczynie. -1 to szybko. - Niczym na akord dobiegł z oddali niski łomot pierwszego pioruna, odbijający się echem wśród bezmiarów wód. Spojrzał na lewo. Wszystkie mewy opuściły okręt, szukając schronienia na brzegu. - Un buaquel - Nagły okrzyk z bocianiego gniazda zawisł nad pokładem. Statek!

- Dónhe? - zawołał Moichi.

- Adelante!

Spojrzał wprost przed siebie. Przez chwilę nie widział nic oprócz falującego morza, mrocznego i matowego, odbijającego niczym jakieś koszmarnie lustro burzowe chmury. Nawałnica była już

blisko. Po chwili zauważył trójkątny żagiel wyłaniający się zza chmury, która mieszała się niemal z unoszącą się ku niebu wzburzoną tonią. Białe grzbiety pojawiały się na falach z alarmującą prędkością.

- QuaV clase de buque?! - zawołał w stronę bocianiego gniazda.

Znajdował się na obcych mu wodach i wołał zaufać Daluzyjczykom.

- Momente, piloto!

Zmienny wiatr coraz mocniej parł na żagle. Sztorm się przybliżał. Takielunek śpiewał swoją smutną pieśń. W takich sytuacjach Moichi kazał zazwyczaj refować żagle. Jednak szósty zmysł, który zrodził się w nim na morzu, kazał czekać. Najpierw musiał być pewny, co to za okręt. Obrócił się nagle, czując, że wyjątkowo mocny podmuch może wyrzucić lorchę.

- Firmę! Firmę, hijho! - krzyknął do sternika, który choć młody, był godny zaufania w

krzysowych sytuacjach. - Nie sądzisz, że powinniśmy płynąć w stronę brzegu? - spytała Chiisai.

- Jeszcze nie - stwierdził Moichi, oczekując na odpowiedź z bocianiego gniazda. - Hellsturm i tak ma nad nami znaczącą przewagę. Nie możemy pozwolić, by jeszcze wzrosła. Nie wątpię, że udało im się wyprzedzić burzę. Nie pozostaje nam nic innego, jak ją przetrwać.

- Dobrze znam moc sztormów tutaj, na północnym zachodzie. - Kierunek świata określiła oczywiście w relacji do swojej ojczyzny, Ama-no-mori. Moichi uważał, że Sha'angh'sei leży na południu, gdyż było tak położone w stosunku do reszty kontynentu człowieka. - A ostatnio płynęłam na solidnym trójmasztowcu. Jak myślisz...

Moichi nakazał jej milczenie, gdyż musiał się skupić.

- Una lorcha! - nadszedł długo oczekiwany okrzyk. - Daluzan!

- Jeden z ich okrętów - zauważyła Chiisai.

- Vigilarse cuidadosamente! - odkrzyknął Moichi. Obserwuj ją uważnie! Gdyż nie wszystko zdawało się w porządku. Potem zwrócił się do sternika: - A la babór! Aprisa! - Szybko! Lorcha obróciła się w lewo, w kierunku linii brzegu. Moichi spojrział na moment na wanty, po czym skupił wzrok na płynącym przed nimi statku.

- Co cię niepokoi? - spytała Chiisai.

Moichi nie odpowiedział.

- Rohja! Don' estd?! - zawołał.

Młody żeglarz pracujący na głównym pokładzie kazał innemu przejąć zadanie, a sam pobiegł w stronę rufy. - Piloto. - Był wysokim młodzieńcem o szerokiej klatce piersiowej i umięśnionych ramionach. Miał długą i szczupłą twarz i przyciągające uwagę ciemne oczy drapieżnika. Nosił białą bawełnianą koszulę, ciemne spodnie i fioletową opaskę na głowie. Był to wyjątkowo dobry ubiór w tych warunkach.

- Co o tym sądzisz? - Moichi wskazał na zbliżający się okręt.

- Lorcha - odparł, spoglądając przed siebie.

- Daluzyjska?

- Zbudowana w Daluzji, ale to nie to samo. - Chmury przy-słaniały słońce i brak światła bardzo pogarszał widoczność. - Dziwny żagiel - stwierdził w końcu.

- Co przez to rozumiesz?

- Tylko to, że nie widziałem jeszcze daluzyjskiej jednostki z czarnymi żaglami. Powinieneś spytać o to Armazona. - Pytam ciebie, Rohja. - Przerzucił wzrok z drugiego okrętu na pędzący za nim cumulus. Błysnął piorun, biało-niebieski w lustrze morza. Lorcha o czarnych żaglach zmieniła kurs, ale mogła płynąć w stronę brzegu, tak jak okręt Moichiego. Kazał trzymać kurs na brzeg. Głowę miał pełną obliczeń wektorów; nie potrzebował do tego żadnych przyrządów.

- Zdaje mi się, że zamierzają przeciąć nasz kurs, piloto.

- Mogą równie dobrze płynąć do brzegu, jak i my - zauważył.

- Płyną pod złym kątem.

- Powiedz mi, Rohja, czy senhora Seguilasy Oriwara wysłałaby okręt za swoją córką?
- Mało prawdopodobne, piloto. Nikt nie wiedział, dokąd płynię-my. W gruncie rzeczy dopiero gdy postawiliśmy żagle, dowiedzieliśmy się, że w ogóle wyruszamy.

Moichi był spokojny, w przeciwieństwie do Rohji. Chłopak był wyraźnie coraz bardziej zdenerwowany.

- Lorcha jest przede wszystkim jednostką kupiecką, prawda? Powiedz mi, jeśli się mylę. - Wyglądało na to, że druga lorcha dopłynie do nich przed nadejściem burzy.

- To prawda, piloto. Nadaje się jednak tylko do krótkich podróży na wodach daluzyjskich. Jest zbyt mała na podróż wzdłuż wybrzeża. Nie można załadować na nią wystarczającej ilości towaru, by uczynić wyprawę opłacalną.

To było rozwiązanie zagadki. Tamta lorcha płynęła zbyt szybko, by mogła przewozić jakikolwiek ładunek.

- Recobrase la cuarsal - krzyknął ostrym tonem do sternika. Mężczyzna zakręcił kołem, a załoga skoczyła do lin. Lorcha wykonała zwrot na prawą burtę, po czym wyrównała kurs. Oddalali się od brzegu, płynąc prosto w nadchodzący sztorm. Wiatr ryczał, osiągając niemalże sztormową prędkość, a niebo było szarą masą kłębiącą się niczym para z czajnika. Północno-wschodni horyzont stał się jednolitą powierzchnią, gdy ściana deszczu zamazała granicę między niebem a wodą.

- Byłeś bardzo przydatny, Rohja - powiedział Moichi. - Teraz pójdź i sprowadź Armazona spod pokładu. Zdecydowanie będzie nam potrzebny.

Mężczyzna natychmiast opuścił pokład rufowy. Po chwili z luku dziobowego wyszedł bosman; Rohja szedł tuż za nim. Obaj byli uzbrojeni w proste miecze o wąskich ostrzach. - Więc nie są to Daluzycjcy - zauważyła Chiisai. - Niedługo się to okaże. - Przesunął się do tyłu i stanął tuż obok sternika. - Posłuchaj mnie uważnie, hijho, steruj tym okrętem wedle moich słów. Rób wszystko natychmiast, rozumiesz? Każda chwila jest na wagę złota, a moment niepewności może być dla nas śmiertelny. - Rozumiem, piloto.

- To dobrze.

Druha lorcha także zmieniła kurs i nie płynęła już w stronę brzegu. Zbliżała się, halsując tak, by przechwycić ich lorchę. - Hijho! - zawołał Moichi. - Płyn prosto na nich.

- Piloto? - Mężczyzna był wyraźnie zdziwiony. - Rób, jak ci każe, albo niech Orobuos cię zabierze - rozkazał Moichi. - Natychmiast płyn na nich!

Armazon zrozumiał, co się dzieje, i biegł teraz w stronę rufy. Rohja podązał tuż za nim. Lorcha wykonała łuk i ustawiła się dziobem w stronę nadpływającego statku.

- Oszalałeś?! - ryknął Armazon. - Przy pełnych żaglach i takim wietrze wzajemnie się zniszczymy! Odpadnij!

Moichi zignorował go i zwrócił się do Rohji.

- Czy żagle wytrzymają napięcie?

- Tak, piloto. - Rohja spojrział do góry. - Nie musisz się martwić, nie podraż się.

- Ale? - Moichi dosłyszał niepewność w jego głosie. - Ale istnieje niebezpieczeństwo, że się wywrócimy. Jeśli burza uderzy prosto w nas, to przy pełnych żaglach pójdziemy na dno jak kamień.

- On ma rację, piloto! - Armazon potrząsnął uzbrojoną w miecz dłonią. - W każdym razie to pewna śmierć! Odpadnij, niech diabeł morski pożre twoje oczy!

- Firmę, hijho. Firmę. - Moichi uspokajał spoconego sternika. Wiatr zdawał się nieść ich na czubkach fal, prosto na drugą lorczę, która zbliżała się z zapierającą dech w piersiach prędkością. Burzę mieli tuż za plecami.

Okucia zaskrzypiały, gdy rosnący w siłę wiatr napiął żagle do granic wytrzymałości. Załoga pracowała bez wytchnienia, by utrzymać żagle pod odpowiednim kątem. Płynęli najszybciej, jak to było możliwe. Moichi oderwał wzrok od statku przed nimi. Obserwował nadchodzący szkwał, obliczając w głowie odległości i prędkości, wektory, których środkiem był ich statek. Wiedział, że margines błędu jest minimalny.

Zdał sobie sprawę, że Chiisai woła jego imię. Obrócił się w porę, by zobaczyć, jak Armazón wchodzi z uniesionym mieczem po schodach prowadzących na pokład rufowy, wznoszący się nad poziomem głównego pokładu.

- Odejdź stamtąd, pilotol Odejdź od steru! Zabijesz nas wszystkich, szaleńcze!

- Chiisai - Moichi mówił tak cicho, by tylko dziewczyna go słyszała. - Stój tutaj, po drugiej stronie sternika. Pilnuj, byśmy trzymali kurs na tamten statek, niezależnie od jego manewrów. - Zejdź z pokładu, bosmanie. - Moichi posuwał się, wyciągając miecz. - Masz swoją robotę. Chcę, żeby cała załoga była uzbrojona na wypadek abordażu. Zadbaj o to!

- Najpierw zadbam, byś zginął, pilotol - Zamachnął się na Moichiego.

Nawigator uchylił się, jednocześnie dwukrotnie tnąc w ostrze przeciwnika, które złamało się niczym kłosa zboża. Moichi schował miecz do pochwy i posłał zwiniętą w pięść dłoń prosto w twarz bosmana. Armazón spadł na główny pokład, z szeroko rozłożonymi rękami. Oszołomiony, leżał dalej bez ruchu.

- Rohja, sprawdź, czy nic mu nie jest! - krzyknął Moichi. - Potem zadbaj, by mężczyźni mieli broń. Nie chcę żadnych niespodzianek. Szybko, ruszaj! Mamy mało czasu! Potem obrócił się w stronę steru i zobaczył, że nadal trzymają kurs.

- Dobrze - mruknął pod nosem. - Bardzo dobrze. Byli już blisko drugiej lorchy. W gruncie rzeczy tak blisko, że widzieli poszczególnych członków załogi. Co...? - Rohja! - Mężczyzna właśnie wyszedł spod pokładu. - Spójrz na drugi statek. Czy to Daluzyjczycy?

- Nie, piloto, zdecydowanie nie!

Moichi pomyślał to samo. Ludzie ci byli więksi, mieli szersze ramiona i bardziej umięśnione sylwetki. Ich włosy były żółte niczym słońce, a skóra tak jasna, że niemal biała. - Co to za lud?

- Tudeskanie - padła odpowiedź.

- Kim oni są? - spytała Chiisai. - Nigdy o nich nie słyszałam.

- Ja także - odparł Moichi. - Ale zaraz dowiemy się więcej.

Rohja wspiął się na rufę.

- Tudeskanie pochodzą z północy, z kraju leżącego za Daluzją.

- Czego mogą od nas chcieć? Czy są piratami?

- O ile wiem, nie, piloto. Są jednak zdecydowanie niegodziwym narodem.

Moichi zastanowił się nad tym przez chwilę. Wiedział o istnieniu sześciu różnych słów oznaczających w języku daluzyjskim „niegodziwość”, a każde z nich znaczyło trochę co innego. To, którego użył Rohja, miało wiele subtelnych odcieni, zbyt wiele, by się nad tym teraz zastanawiać.

- Ahora!

Płynęli tuż za tudeskańską lorczę. Moichi widział wyraźnie, że załoga drugiego statku stara się tak manewrować, by móc się zbliżyć i płynąć burta w burtę.

Zdawał sobie sprawę, że jeśli źle coś obliczył, jego statek płynąc na pełnych żaglach, wpadnie prosto w szalejący szkwał i nadejdzie koniec, którego bał się Armazón. Nic na świecie nie uratowałoby ich wtedy przed utonięciem.

- Trzymaj kurs! - przypomniał sternikowi. - Prosto naprzód.

Starają się nas zgubić.

Strugi deszczu, tak gęste, jakby były ciałem stałym, zbliżały się z wielką prędkością. Nagle zrobiło się ciemno. Określanie odległości stało się problemem, gdyż wszystko wydawało się bliżej, niż było w rzeczywistości. Jego umysł potrzebował więc ułamka sekundy więcej na to, by zinterpretować widziany obraz i obliczyć konieczne poprawki kursu.

Wyjący wiatr uderzał w żagle, czyniąc pracę żeglarzy wręcz niewykonalną. Była to jednak wyśmienita załoga, więc lorcha utrzymywała kurs. Okrzyk zachęty sprawił, że pracowała ze zdwojoną siłą.

Stojący obok sternik zaczął się trząść. Lada moment obie fale dziobowe zaczną się mieszać. Moichi widział, że będzie bardzo ciasno.

- Prosto naprzód! - Próbował przekrzyczeć wyjący wiatr.

- Prosto, trzymaj kurs!

Sztormowy wiatr wyginający maszty. Nagły wrzask na głównym pokładzie. Zignoruj to.

- Trzymaj kurs! - krzyknął ponownie, po czym odciągnął trzęsącego się sternika od koła sterowego. Ten człowiek uczynił już wszystko, co było w jego mocy.

Skrzypiące reje. Wycie niczym z paszczy piekielnych bestii. - Prosto naprzód! - powiedział sobie, chwytając za koło. Nagle poczuł falę emocji. Wiedział, że statek rozpoznał w nim zawodowca i pozwolił mu dowodzić. Że poddał się w pełni jego władzy. Spoceni marynarze ciągną za liny, stopy próbują znaleźć oparcie w nasmołowanym pokładzie.

- Dokładnie tam.

Poczuł bliskość Chiisai, z radością przywitał jej ciepło i pomoc.

- Dokładnie tutaj.

Deszcz zbliżający się niczym wielki całun pogrzebowy, wodospad płynnego czarnego metalu, gruby i oślepiający. - Tak, dokładnie tak!

Lorcha przed nimi, wielka i mroczna niczym ogromny grobowiec zasłaniający swą bryłą nawet szalejący sztorm. Hebanowe żagle, skórzane i napięte niczym skrzydła nietoperza. Nagle leje się woda, a sternik zaczyna krzyczeć ze strachu, że to zalewa ich fala dziobowa drugiego okrętu.

- Ahora! - ryknął Moichi. - Teraz! Teraz! Mocno na prawą burtę! - Zakręcił kołem, ale ciężkie morze stawiało ogromny opór. Chiisai całym swym ciężarem naciskała na koło, potem dołączył do nich także trzęsący się sternik, ze szczękającymi zębami i oszalałymi oczami, w których chwilami tylko białka były widoczne. - Pchajcie! Pchajcie! - Ster zaczął się przesuwac. - Na Oroburosa, przyłóżcie się do tego! Pchajcie!

Lorcha podskoczyła na fali i obróciła się na prawo. Ściana wody uniosła się przed nimi. Sternik znów zaczął krzyczeć, gdyż poczuł przedśmiertny wstrząs okrętu, przewidując uderzenie drugiej lorchy.

- Nie traćcie wiary! Pchajcie!

Potem wpadli w szkwał, inny świat, przekroczyli granicę. Ulewa zasłoniła wszystko, a oni schwycili się koła sterowego, by ich morze nie zmyło z pokładu. Moichi odwrócił wzrok w stronę prawej burty i patrzył, patrzył przez chmury syczącej wody, widząc niczym przez magiczną lunetę płamę, którą była druga lorcha. Ciemna i ogromna, zwrócona burtą do sztormu. Próbowała najwyraźniej uniknąć szarży, której załoga spodziewała się z ich strony. Pękała. Usłyszał trzask drewna głośniejszy od huczającej nawałnicy. Wydało mu się nawet, że jego uszu dobiegają krzyki w

dziwnym, gardłowym języku, zdającym się ożywionym pismem klinowym. Nawoływania tonących ucichły pośród pękniętych drzewców i przełamanego na pół kadłuba.

Pchał razem z Chiisai i sternikiem, wyprowadzając lorchę z łuku z powrotem na kurs prosty.

Zdał sternikowi koło i odwróciwszy się, ujrzał, że Chiisai patrzy mu prosto w twarz. Swą małą dłoń położyła na jego klatce piersiowej. Wiatr rozwiął mu koszulę, więc dotykała nagiej skóry. Deszcz bezlitośnie spadał na nich z nieba, mocząc ich twarze, spływając po szyjach. Byli przemoczeni do suchej nitki.

Opowieści wodnika

Podczas długiej nocy śni o swoim domu; o czekającym na niego Iskael, gotującym się w ciepłe nabrzmałego letniego słońca. To pora, kiedy najmniejszy ruch nie mąci spokoju ciągnącej się aż po horyzont pustyni. Nawet karawany dopiero jesienią wyruszają z ładunkami przypraw i cedru. Nie ma też pielgrzymów wędrujących z mozołem do świętych miejsc wzniesionych u stóp gór, podobno przez samego Boga. To czas, kiedy pustynią rządzą w dzień skorpiony i węże, a nocą - szczury pustynne.

To czas, gdy jest jeszcze chłopcem, wysokim i umięśnionym.

Jeździ konno po ziemiach swego ojca, nadzorując większość prac. Towarzyszy mu Aleph, osobisty nauczyciel, człowiek w nieokreślonym wieku, który na polecenie ojca Moichiego baczy, aby z powodu pracy chłopiec nie zaniedbywał pobierania zarówno świeckich, jak i religijnych nauk.

- Chłopcze! - Aleph woła go, gdy zatrzymują konie na niewielkim pagórku. - Czas już na dzisiejszą lekcję. - Nie dzisiaj, Alephie - odpowiada. - Proszę. - Moichi, nie mogę cię zmusić, ale pozwolę sobie zauważyć, że twojego ojca zaczyna już irytować ospałość, z jaką zdobywasz wiedzę. Takie zachowanie nie pomoże go uspokoić. - To moje życie, Alephie - mówi Moichi. - Wiem, że mnie rozumiesz. On tego nie potrafi.

- Masz rację, mój chłopcze. - Mężczyzna kiwa głową. - Ale to nie ja jestem obdarzony gniewnym temperamentem. Nie tylko ciebie wzywa na swój dywan, gdy sprawy się toczą nie po jego myśli.

- Wiem dobrze, przez co przechodzisz, i jestem ci dożgonnie wdzięczny za twoje poświęcenie. Ale dzisiaj jest tak gorąco, że nie potrafię się oprzeć wołaniu ocienionych wód strumienia w północno-zachodnim sektorze.

- Cóż, dobrze - wzdycha Aleph. - Idź, wykąp się. Ale w zamian musisz mi obiecać, że spotkamy się tutaj tuż po zachodzie słońca. Wrócimy razem, tak jak życzy sobie tego twój ojciec. Moichi unosi rękę na znak zgody, wbija pięty w boki wierzchowca i rusza, galopuje w dół pagórka, ponad rozległymi polami pszenicy.

Niczym we śnie w mgnieniu oka jest już nad strumykiem. Stoi obok konia i patrzy poprzez szparę w gęstej zieleni. Widzi spienioną wodę, zachęcającą do kąpieli. Tego dnia nie jest jednak sam przy strumieniu, choć daleko stąd do jakiegokolwiek drogi, dużej czy też małej.

W strumyku stoi dziewczyna o krótkich kasztanowych włosach. Moichi przesuwa się nieco, by lepiej ją widzieć. Zauważa, że dziewczyna właśnie się rozbiera. Zdjęła już koszulę, a jej opalone, pełne piegów ciało ma barwę drewna tekowego. Delikatne mięśnie napinają się, gdy pochyłona kładzie koszulę na ziemi. Przez moment widzi jedną z jej piersi, jędrną niczym dojrzałe jabłko. Potem dziewczyna staje do niego plecami, Moichi widzi kręgosłup biegnący pod skórą w dół aż do pośladków. Widok jest tak wspaniały, że czuje, jak nogi zaczynają mu drzeć z pożądania. Woda ciągle tryska, zasłaniając jej stopy, łydki i dolną część ud. Ma na sobie jedynie krótkie spodenki, a uwagę Moichiego przyciągają nogi, piękne niczym łodygi egzotycznych kwiatów. Są tak wspaniałe ukształtowane, że przez moment czuje się jak pustynny wędrownik, który po wielu sezonach poszukiwań natrafia wreszcie na nie znane nikomu złoża drogocennych kamieni. Jego oddech jest

głośny i ciężki niczym odgłos miecha kowalskiego. Przez chwilę boi się, że dziewczyna usłyszy dyszenie. Krew pulsująca w żyłach wypełnia uszy brzmieniem uderzeń młota, a głowa niemalże drga z każdym uderzeniem.

Jego najczarniejsze myśli zdają się potwierdzać - dziewczyna odwraca się i patrzy prosto w jego stronę. Moichi zamiera, nie waży się nawet oddychać. Patrzy oczarowany, widząc przed sobą istotę piękną i zwiewną niczym nimfa. Ma ogromne oczy, zielone niczym polerowane nefryty, a długie i ciemne rzęsy nadają im tajemniczy wyraz. Szerokie czoło, mały nos i wydatne usta. Jej twarz jest niesamowita.

Dziewczyna odwraca się, jakimś cudem nie zauważywszy chłopaka, który czuje, jak ogarnia go chłód. Po ognistym spojrzeniu dziewczyny jest jak chmura przysłaniająca palące słońce. Robi coś rękami, lecz wszystko zasłaniają plecy, zwiększając tylko erotyczne napięcie, które ogarnęło Moichiego. Potem kiwa się tam i z powrotem, zsuwając spodnie. Po chwili jest już zupełnie naga.

Zaczyna się odwracać, a on nie może już tego znieść. Cofa się do cienia, który rzuca gęstwina, i gorączkowo zdiera z siebie ubranie. Czuje, że cały się poci. Guziki nie chcą się odpiąć, tkanina lepi się do pleców i ramion, gdy próbuje ją ściągnąć. W końcu jest już nagi, rzuca się przez szczelinę w krzakach i nie myśląc, wpada do strumienia.

Woda jest zimna niczym lód, gęsia skórka pokrywa całe ciało chłopaka. Unosi głowę ponad wodę i strząsa krople z brwi i rzęs. Widzi, że jest sam, nikogo nie ma w zasięgu wzroku. Wpłynęli do portu w Corrunii na skrzydłach dobrej pogody, witani świeżym powiewem od strony dzielnicy południowo-za-chodniej.

Choć wiele jej brakowało do oszałamiającego splendoru Sha'angh'sei, Corruna mimo to była przepięknym miastem. Daluzyjski port wydawał się stosunkowo mały i doskonale rozplanowany. Kamienne pomosty wcinają się w błękit morza. Było ich tyle, że starczały dla wszystkich smukłych lorch, które - jak twierdził Rohja - bez przerwy kursowały w celach handlowych po daluzyjskich wodach.

Na północny wschód od portu osłonięta wyginającym się w łuk cyplem zatoka stanowiła gościnną przystań dla zmęczonych załóg większych statków. Stojący na dziobie Moichi doliczył się siedmiu trójmasztownców na kotwicy.

Miasto miało kształt półksiężyca, którego wysunięte rogi otaczały z obu stron port. Corruna była dla nawigatora pasem białych sześciennych budynków, ustawionych wokół wspaniałych kolistych placów, które wieńczyła pięknie rzeźbiona fontanna lub niewielki ogród. Dzwony nieustannie nuciły swą pieśń, rozbrzmiewając z płasko zakończonych wież niezliczonych iglesji. Daluzyjczycy nie używali cegieł, być może z przyczyn estetycznych. Wnętrza były zawsze zdobione boazerią lub stiukiem. Wszystkie budynki w mieście zostały wzniesione z pewnego rodzaju wypalanej gliny, którą dokładnie uszczelniono, chroniąc mieszkańców przed surowymi zimami, a potem wybielono. Jeśli domy Corrunii mogły się z początku wydać jednorodne, to mieszkańcy byli dokładnym ich przeciwieństwem. Ubrania, którymi zresztą bardzo się szczycili, mieniły się wszystkimi możliwymi barwami; można było znaleźć każdy odcień wśród oficjalnych szat mężczyzn lub wirujących falban kobiet.

Lorcha zbliżyła się powoli do mola, cumy dziobowe i rufowe zostały rzucone prosto w ręce pracowników portowych. Czekając, aż zacumują, Moichi obserwował Armazona. Wiedział, że uczynił zeń swego wroga z chwilą, gdy na oczach całej załogi powalił go na ziemię. Wiedział, że nie miał wyjścia. Ale zdawał sobie równocześnie sprawę, że dopóki jest w tym mieście, musi uważać na tego człowieka. Opowiedział Chiisai o swojej rozmowie z Armazonem, nie zdradzając jednak szczegółów. Gdy tylko okręt uderzył lekko o pomost, Moichi przeszedł na śródokręcie i zszedł po trapie z lorchy. Chiisai szła tuż za nim. Gdy stali już na molu, wdychając głęboko powietrze i przyzwyczajając się do stałego lądu pod nogami, podszedł do nich Rohja. - Będziecie

chcieli, nie wątpię, udać się do domu rodziny Seguillas y Oriwara. Pozwólcie, że będę waszym przewodnikiem. - Myślę, że damy sobie radę, jeśli wskażesz nam drogę - odparł Moichi. - Chciałbym cię poprosić o coś innego, gdybyś był skłonny mi pomóc.

- Chętnie pomogę, jeśli to tylko możliwe.

- Dobrze. Pozostań przy statku, rób to co zwykle. Chciałbym tylko wiedzieć, czy żaden statek płynący z tego samego co my kierunku nie zacumował w porcie. Jeśli miałby przypląć, to dzisiaj wczesnym rankiem lub wczoraj późną nocą. Myślisz, że możesz się tego dowiedzieć?

- Tak, piloto - Rohja uśmiechnął się i poprawił fioletową opaskę. Jego oczy błyszczały. - To nie będzie trudne. - Nie popełnij błędu, traktuj to poważnie, Rohja. - Ostrzegł Moichi. - Mężczyzna, którego szukamy, jest wyjątkowo groźny, a na pewno ma tutaj współpracowników. Nie chcę cię stawiać w niebezpiecznej sytuacji...

- Nie martw się o to - poprosił Rohja. - Potrafię o siebie zadbać. Nikt się nie zorientuje, o co mi chodzi. - Dotyczy to także Armazona - zauważył Moichi.

- Nie musisz mi tego uświadamiać, piloto. - parsknął Rohja. - Nie było między nami zbyt wiele miłości na długo przedtem, nim cię poznałem.

- Po prostu uważaj na siebie.

- Armazón jest starym człowiekiem. Nie przysporzy mi zbyt wielu kłopotów.

Rohja zamierzał odejść, ale Moichi zatrzymał go na moment. - Czy wiesz coś o pojedynku, w którym zginął senhor? - rzucił pytanie, które właśnie przyszło mu do głowy.

- Niewiele, piloto - odparł żeglarz po chwili zastanowienia. - Nie byłem świadkiem tego zdarzenia, gdyż nie pracowałem jeszcze wtedy dla rodziny Seguillas y Oriwara. Mówiono mi jednak, że senhor od początku był na przegranej pozycji. - Czy senhor był dobrym szermierzem?

- Oczywiście, pod każdym względem. Jest jednak takie stare daluzyjskie przysłowie: Nikt nie będzie wiecznie mistrzem, gdyż doskonałość nie istnieje; zawsze znajdzie się ktoś lepszy. - Wyjątkowo trzeźwa myśl - odezwała się Chiisai. Spośród wszystkich Daluzyjczyków, których spotkał Moichi, niewielu w pełni opanowało wspólną mowę. Rohja był jednym z nich. Używali jej teraz nie tylko ze względu na Chiisai; dzięki temu zapewniali sobie odosobnienie w publicznym miejscu. - Zaiste - przytaknął Rohja. - W dodatku skłaniająca do meL-.cholii. My, Daluzyjczycy, uważamy, że uczy pokory. - Rohja, wiesz może, czy był to uczciwy pojedynek?

- Wszystkie daluzyjskie pojedynki są uczciwe, piloto, z definicji.

- Armazón zdaje się, myśli inaczej.

- Ach, Armazón. Cóż, muszę przyznać, że nie jestem tym zdziwiony.

- Czemu to?

- Bardzo kochał senhora, jakby byli braćmi. Coś się jednak wydarzyło w ostatnim roku życia senhora. Nie wiem dobrze co... nikt z załogi, jak podejrzewam, tego nie wie... ale cztery sezony przed śmiercią w pojedynku senhor przestał używać lorchy Armazona. - Odwrócił się i wskazał palcem. - W gruncie rzeczy tej właśnie. Rota senhora jest ogromna, jak zapewne wiecie, ale niezmiennie żeglował z Armazonem, dopóki... - Wzruszył ramionami. - To nastąpiło nagle. Bardzo dziwne, po tak długim czasie. - Czy walczyli ze sobą?

- Jeśli odbył się pojedynek, to nie przy świadkach. Oczywiście Armazón nigdy by o tym nie wspomniał.

- Ale jaki to ma związek z podejrzeniami Armazona dotyczącymi pojedynku?

- Wiem tylko, że bosman bardzo się zmienił od czasu śmierci senhora.

- To zrozumiałe, biorąc pod uwagę...

- Nie, nie. Chodzi mi o coś więcej niż głęboki żal. Stał się... nie wiem, jak to powiedzieć... kimś innym - nie do rozpoznania dla osób, które znały go za dawnych lat, gdy żył jeszcze senhor. Kierują nim emocje, których nie znoszę. Poczucie winy. - Wzruszył ponownie ramionami - Poza tym nic nie wiem.

Moichi spojrział za żeglarza, na kołyszącą się na falach lorchę. - Może nigdy nie poznamy prawdy. Słuchaj, powinniśmy się spotkać wieczorem. Może zaproponujesz jakieś miejsce? Rohja zastanowił się przez chwilę.

- Dobrze. Niedaleko stąd, przy nabrzeżu, jest rybacka tawerna. Nazywa się El Cambiro. Leży u stóp Calle Córdel, w miejscu, gdzie ulica dochodzi do morza. - Zmrużył oczy, chroniąc wzrok przed rażącym słońcem. - Daj mi czas do północy, piloto. Z takimi sprawami, wiesz dobrze, nie można się spieszyć. Żeglarze na lądzie są dosyć małowówni. - Uśmiechnął się szeroko. - Do-póki alkohol nie rozwiąże im języków, co?

Zabrało im to nieco czasu, ale w końcu dotarli do Plaža dell' Pesquisa.

Plac był wybrukowany płytami z białego kamienia, które w promieniach słońca świeciły niczym diamenty. Serce placu stanowił gęsty zagajnik zielonych drzewek oliwnych, wśród których stała na wpół zakryta malutka fontanna. Wykonana z surowego szarego kamienia podobnego do nadmorskiego granitu, była zwieńczona rzeźbą mężczyzny o potężnych ramionach, gęstej, kręconej brodzie i rybim ogonie. Miał głęboko osadzone oczy i wysokie łuki brwiowe. Jego kędzierzawe włosy były siedliskiem kolonii skorupiaków. Plecami dotykał kamienia, najwyraźniej pozostawionego w swej oryginalnej formie. Głaz przypominał ścianę niewielkiego klifu, woda wylewała się z jego szczytu. Postać mężczyzny błyszczała, pokryta cieniutką warstwą wody.

- Daluzycjycy są religijnym narodem - powiedział Moichi, widząc, że Chiisai przygląda się rzeźbie. - Głęboko wierzą w przesady, folklor i mity.

- Dai-San opowiadał mi o Kay-Iro De z Sha'angh'sei - odparła, spoglądając na niewielką postać.

- Tak. Myślę, że minęły czasy, gdy jej fizyczne wcielenie pokazywało się w mieście. Nie wątpię jednak, że jej duch nigdy nie opuści Sha'angh'sei.

- Nie wydaje ci się, że czas jest cykliczny? Te istoty - wskazała palcem na wyrzeźbioną postać. - lub inne, bardzo do nich podobne, powrócą kiedyś, w innych czasach.

- Niewątpliwie. - Na twarzy Moichiego pojawił się nikły uśmiech. - Ale, jestem o tym głęboko przekonany, nie w naszych. Budynki wokół Plaža dell' Pesquisa były dużo większe i bardziej zdobione niż te, które widzieli idąc przez miasto. Surowy ogrom placu i otaczających go zabudowań czynił z niego miejsce jedyne w swoim rodzaju.

Wokół posągu stały ławki z kutego żelaza. Na jednej z nich dwóch starszych mężczyzn, niskich, o wysuszonej na słońcu skórze, siedziało w cieniu, paląc fajki i rozmawiając. Obaj byli ubrani w stroje z najczystszej białego lnu, elegancko i schludnie jak na paradzie. Moichi przypomniał sobie, że biały jest kolorem zarezerwowanym dla ludzi starszych.

- Perdóname senhores. Don'estd la casa delia senhora Seguillas y Oriwara?

Obaj spojrzeli do góry, przerywając swą cichą rozmowę, i przy-jrzeli się uważnie Moichiemu, a następnie Chiisai. Jeden z mężczyzn wskazał kościstym palcem Moichiego i powiedział coś swemu towarzyszowi tak szybko, że nawigator nie zrozumiał ani słowa. Drugi starzec zaśmiał się przez chwilę i przechylił głowę. Jego błękitne jak morze oczy patrzyły prosto na Moichiego. - Nie jesteś Daluzyczykiem. - Starzec nadal wskazywał na Moichiego. Nie masz naszej krwi. - Potarł palcem nos. - Czuję to. - Uśmiechnął się tajemniczo. Nieliczne, żółte od dymu zęby przedzielone były szerokimi szparami. - Ale spokojnie mógłbyś udawać jednego z nas. Mogę się założyć, że by ci się

udało. - Przeciągnął się i wskazał przez ramię. - Tam stoi dom, którego szukasz. Po przeciwnej stronie placu. - Uśmiechnął się ponownie. - Czyż nie zawsze tak się w życiu dzieje? - Jego przyjaciel pokiwał głową, choć starzec zwracał się do Moichiego. - Życzę miłego dnia, senhor. Senhora. Życzę powodzenia. Moichi pokiwał głową, szepcząc słowa pożegnania, po czym wraz z Chiisai przeszedł przez zalany słońcem plac, minął szeleszczące drzewka oliwne, w których koronach niewielkie czarne ptaszki przelatywały z gałęzi na gałąź. Za plecami pozostawili fontannę z wyrzeźbioną postacią.

Miał na sobie turkusową jedwabną koszulę z szerokimi rękawami oraz wąskie spodnie koloru kobaltowego, dokładnie wetknięte w wysokie marynarskie buty z brązowej skóry. U jego boku zwisał w pochwie miecz, a dwa sztylety o miedzianych rękojeściach nosił wsunięte za szeroki skórzany pas. Chiisai nadal miała na sobie napierśnik, ale przebrała się w wąskie obcisłe spodnie koloru morskiej piany, które także wetknęła do wysokich butów. Na zbroję nałożyła pikowaną kurtkę, którą otrzymała w Sha'angh'sei. Miecze ukryła tak, że niemal nie dało się ich zauważyć.

Dom rodziny Seguillas y Oriwara był ogromną jednopiętrową budowlą o białym froncie, stojącą po północnej stronie placu. Lewa ściana stykała się z innym budynkiem, a po prawej stronie biegła odchodząca od placu ulica. Wzdłuż niej rosły bujne drzewa, a widoczne pomiędzy nimi fragmenty domu były porośnięte bluszczem, wijącym się wokół górnego piętra.

Drewniane, zdobione miedzią schody pięły się do góry, zgrabne niczym szyja łabędzia, w stronę podwójnych drzwi frontowych. Płyty drewna były otoczone pasami miedzi, które - Moichi był tego pewien - musiały zostać zabrane ze szkunera. Morskie minerały połączyły się bowiem z miedzią, pokrywając ją zielonkawą patyną.

Weszli po schodach, po czym Moichi zapukał do drzwi. Niewielkie balkoniki na piętrze były tak skonstruowane, by rozpraszać światło padające na stojących przed drzwiami gości. Drzwi powoli otworzyły się do wewnątrz.

Dwaj drobni, ciemnowłosi Daluzycy w czarnych jednoczęściowych strojach z bawełny trzymali skrzydła drzwi. Powitał ich jednak mężczyzna, który wyraźnie nie był Daluzycykiem. Wysoki, wyższy nawet od Moichiego, wydawał się zbyt chudy jak na swój wzrost. Zapadnięta twarz była dokładnie ogolona, jeśli nie liczyć cienkich czarnych wąsów opadających po obu stronach ust. Miał ciemne oczy w kształcie migdałów i skórę o żółtym odcieniu. Wysokie czoło górowało nad wąskim nosem.

To człowiek z Sha'angh'sei - pomyślał Moichi. - Tak? - Mężczyzna mówił bezbłędnym daluzyjskim. - Czego sobie życzyacie?

Moichi bywał w swoim życiu milej przyjmowany. Mężczyzna miał na sobie jasnożółty daluzyjski strój, składający się z wysoko skrojonych spodni i luźnej koszuli przewiązanej wąskim plecionym pasem. Jeśli był uzbrojony, to dobrze to ukrywał. - Chcemy mówić z senhorą Seguillas y Oriwarą - odparł Moichi. - Boję się, że jest to raczej niemożliwe, senhor. Senhora nie przyjmuje gości.

- Mimo to wierzę, że senhora będzie się chciała z nami spotkać. Przybyliśmy do Corrunii na pokładzie jednej z jej lorch, przynosimy wieści o córce senhory.

Coś błysnęło na dnie oczu mężczyzny, który schylił w ukłon głowę.

- Proszę, chodźcie za mną. Powiadomię senhorę. Drzwi zamknęły się za nimi. Przeszli przez krótki korytarz, pod łukiem z barwionego szkła, do głównego holu. Był wysoki na dwa piętra, a łukowy sufit przypominał sklepienie katedry. Na ścianach w regularnych odstępach wisały niewielkie arras przedstawiające podwodne krainy i ich mieszkańców: lwy morskie, morświny i wieloryby. Na końcu korytarza stały jedyne w swoim rodzaju schody. Z daleka wydawały się zrobione z rzeźby dziobowej potężnego okrętu. Przedstawiały syrenę, której długie splecione włosy zwiały do tyłu wiatr.

Po obu stronach korytarza ciągnął się szereg zamkniętych drzwi. Gdy minęli pierwsze z prawej, Moichi zauważył, że uchyliły się na moment. Z ciemności patrzyły na niego oczy młodej dziewczyny. Wąsaty mężczyzna poprowadził ich przez drugie drzwi z lewej strony do niewielkiego pokoju. Potem wyszedł, prosząc, by zaczekali.

Tynkowane ściany pokoju były ciemnozielone niczym głębiny oceanu. Wiszące na nich obrazy przedstawiały sceny religijne. - Daluzyjczycy zupełnie inaczej traktują swoją religię - zauważyła Chiisai, chodząc od obrazu do obrazu. - Można popaść tu w niezłą depresję. Czyżby nie wiązali ze swoimi bogami jakichkolwiek pogodnych emocji?

- Wierzą tylko w jednego Boga, Chiisai. Tak jak mój lud.

- Ach, tak. Zapomniałam, że ci ludzie nie znają karni.

- Kami?

- Tak. Pomniejszych bogów, których zadaniem jest prowadzenie dusz umarłych do nowego życia. Moichi uświadomił sobie, że wie bardzo niewiele o bujuńskich wierzeniach.

- Uważamy, że istnienie duszy to wielkie koło, życie jest tylko jego częścią. - Zatrzymała się na dłużej przy ostatnim obrazie. - Śmierć zabija jedynie ciało. Dusza żyje dalej i powraca na świat, kierowana przez karni i osobistą karmę. Ta jest najważniejsza. Odgłos odsuwających się drzwi przerwał wywód Chiisai. Oboje odwrócili się. W drzwiach stała kobieta. Długie włosy koloru srebra, otaczające owalną twarz, błyszczały w świetle słonecznych promieni. Miała jedną z tych twarzy, które rozświetlały wokół przestrzeń niezależnie od okoliczności. Moichi czuł jej silną aurę nawet z drugiego końca pokoju. Raptownie przypomniała mu się Aufeya. Kobieta miała na sobie ciemnozielony jedwabny strój, który doskonale pasował do dużych oczu o przenikliwym spojrzeniu. - Jestem senhora Seguillas y Oriwara. - Głos miała chłodny niczym bryła lodu. - Czy mogę znać przyczynę waszej wizyty? Niespodziewanie i wyraźnie niezbyt gościnne przywitanie jakoś nie zdziwiło Moichiego. Zachowanie Daluzyjczyków zawsze wy-dawało mu się nieco schizofreniczne. Byli nienagannie uprzejmi, co czasem wręcz denerwowało. Z drugiej strony potrafili się zdobyć na wyjątkową bezpośredniość, gdy tylko tego chcieli. - Proszę wybaczyć to nagłe najście, senhora. - Moichi pochylił nieco głowę. Starał się wyrażać najkulturalniej i najgramatyczniej, jak tylko potrafił. - Jestem Moichi Annai-Nin z Iskael, a moja towarzyszką to Chiisai z Ama-no-mori. - Przerwał, oczekując jakiejś reakcji. Nie było jednak żadnej.

Oczy senhory zrobiły się jeszcze większe. Weszła do pokoju. Wąsaty mężczyzna stanął tuż za nią, w progu, nieruchomy niczym posąg.

- Iskaelczyk i Bujunka - powiedziała. Część chłodu opadła z jej głosu, tak że wyraźnie dała się słyszeć jego melodyjność. - Dziwna z was para, mówiąc delikatnie. - Wskazała ręką na stojącego w drzwiach mężczyznę. - Chimmoku powiedział mi, że płynęliście na pokładzie jednej z moich łorich. Której to? - „Chocante” - odpowiedział Moichi. - Armazón jest na niej bosmanem.

- Rozumiem. - Senhora zerknęła na Chimmoku, dłonie trzymała zaciśnięte na wysokości ud. - Nie wiedziałam nawet, że ten okręt opuścił Corrunię.

- Senhora, wasza córka dowodziła „Chocante”.

- Zaiste. - Oczy zabłysły na moment. - A dokąd płynął ten okręt, Moichi Annai-Nin?

- Tego nie wiem. Spotkałem waszą córkę w Sha'angh'sei. - Nie było powodu, by wspominać o Sha-rida. - Powiedziała mi, że sztorm zepchnął ją z kursu. Nie planowała dopłynąć do Sha'angh'sei. - Zaczepnął powietrza. Nadszedł najtrudniejszy moment. - Dowiedziałem się też od niej, że jest ścigana przez pewnego mężczyznę. - Przerwał, oczekując wybuchu emocji. Senhora jednak stała przed nim spokojnie, z maską obojętności na twarzy.

- Powiedz mi, Moichi Annai-Nin - spytała w końcu powoli _ czemu tutaj przybyłeś?

- Wasza córka została porwana - odpowiedział. Senhora ponownie zerknęła na Chimmoku i dopiero potem zwróciła się do Moichiego.

- Obawiam się, że zaszła jakaś pomyłka.

- Senhora, wybacz mi moje słowa, ale to nie pomyłka. Mężczyzna imieniem Hellsturm...

- Hellsturm...

- Tak, zna go więc pani?

- Co? Nie. Nie, nie znam nikogo takiego. Imię zdało mi się nieco dziwne, to wszystko.

- Ten mężczyzna porwał Aufeyę...

Senhora wyprostowała się; jej spojrzenie było lodowate. - Czego ode mnie chcesz, senhor? Pieniądzy? Statków? Uczyniłeś wielki błąd. Niczego ode mnie nie otrzymasz. Teraz, jeśli pozwolisz...

- Senhora! - Czuł, jak rzeczywistość prześlizguje się mu między palcami, w jednej chwili przerodziwszy się w dziwny sen. - Być może zbyt słabo znam język daluzyjski. Czy mam wszystko jeszcze raz powtórzyć? Wasza...

- Tak, wiem. Moja córka została porwana przez mężczyznę o dziwnym imieniu. Całkiem sprytna historyjka. Mamy w Daluzji nazwę dla takich historii: opowieści wodnika. - Hellsturm zamordował mojego przyjaciela, który oddał życie w obronie Aufei.

- Przykro mi z powodu waszego przyjaciela, Moichi Annai-Nin. Naprawdę jest mi przykro. Ale, zrozum to, ta sprawa ani mnie nie dotyczy, ani nie interesuje. - Senhora pokręciła przecząco głową.

- Nie mam córki. - Dopiero teraz rozłączyła dłonie. - Życzę wam miłego dnia. Chimmoku zaprowadzi was do wyjścia. - Mówiąc to, odwróciła się i wyszła z pokoju.

Znalazłszy się na dworze, zatrzymali się przez chwilę na skraju placu. Dom rodziny Seguillas y Oriwara górował nad nimi, milczący i tajemniczy.

Udali się w stronę zagajnika drzew oliwnych i usiedli na ławce w pobliżu fontanny. Starzy mężczyźni poszli sobie, po-zostały jedynie czarne ptaszki latające wśród gałęzi. Korony drzew płonęły w promieniach zachodzącego słońca, widocznego między budynkami.

- Zrozumiałaś to, co mówiliśmy? - spytał Moichi.

Chiisai pokiwała głową.

- Większość. Mam duży talent do języków. - By udowodnić swoją opinię, zaczęła mówić po daluzyjsku. - Jak myślisz, czemu senhora kłamała?

- Widzę, że szybko się uczysz. - Zdziwiony Moichi uniośł brwi i uśmiechnął się.

- Poprosiłam Rohję, by uczył mnie wieczorami po skończonej wachcie. - Zaśmiała się.

- Sprytnie. - Moichi przestał się uśmiechać, gdy przypomniał sobie, co zaszło w domu rodziny Seguillas y Oriwara. - Wydaje mi się, że coś tu jest nie w porządku.

- W pełni się z tobą zgadzam. Córka senhory opuszcza potajemnie Corrunię, ścigana przez tajemniczego mężczyznę, który w końcu ją dopada. Senhora tymczasem zaprzecza istnieniu Aufei. Nie widzę w tym żadnego sensu.

- Jeszcze nie. Ale przynajmniej mamy punkt wyjścia.

- Masz na myśli senhorę?

- Dokładnie.

- Ona nam nic nie powie.

- Cóż, trzeba więc będzie znaleźć sposób, żeby ją do tego zmusić.

- Z drugiej strony, jeśli Rohja się dowie, gdzie przycumował tamten statek, może pomoc senhory nie będzie nam potrzebna - zauważyła Chiisai.

Moichi zamierzał właśnie powiedzieć dziewczynie, że życie nigdy nie jest takie proste, gdy usłyszał syk dobiegający zza jednego z drzew. Natychmiast się odwrócił, chwytając rękojęć miecza. Tuż nad fontanną zauważył zarys ludzkiej głowy. Podnieśli się jednocześnie z Chiisai i podeszli bliżej, przystając obok fontanny. Moichi rozpoznał oczy - widział, jak go obserwowały przez szparę w drzwiach w domu rodziny Seguillas y Oriwara. - Senhor - szepnęła, a on pokiwał głową. - Wybacz mi, że podsłuchałam waszą rozmowę z Chimmoku. Czy wiesz, co się stało z Aufeyą?

- Dokładnie to, co powiedziałem senhorze - odparł. - Została porwana.

- Och, Dihos! - Młoda kobieta powstrzymała szloch, zasłaniając usta dłońmi.

- Czy wiesz coś o tym? - Moichi potrzebował jakiegoś wyjaśnienia.

Kobieta cofnęła się w cień oliwnych gałęzi, szepcząc coś pod nosem.

- Może ja spróbuję - zaproponowała Chiisai. - Jak ci na imię, senhora? - szepnęła do kobiety.

- Tola, senhora. Jestem doncellą Aufei.

Chiisai obróciła głowę w stronę Moichiego.

- Służąca - szepnęła.

- Jestem Chiisai, a to jest Moichi. Jesteśmy przyjaciółmi Aufei. Moichi uratował jej życie w Sha'angh'sei. - Wskazała nań palcem, by podkreślić swoje słowa.

- Naprawdę? - Tola spojrzała na nawigatora.

Moichi pokiwał głową.

- Jak... jak ona teraz wygląda? - spytała kobieta.

Chiisai i Moichi bardzo się zdziwili.

- Gdy ją po raz ostatni widziałem, wyglądała dobrze - stwierdził Moichi. - Ale widziałas ją przecież przed wyjazdem. - Tak. - Tym razem Tola zrobiła zdziwioną minę. - Ale to było wiele sezonów temu. Nikt nie oglądał jej od czasu, gdy opuściła miasto wraz z Tudeskaninem.

- Kto to był? - spytała Chiisai. - Jak miał na imię? - Hellsturm, przecież to oczywiste. Och, już wtedy czułam, że wydarzy się coś złego.

Chiisai pochyliła się do przodu i dotknęła ramienia doncelli. - Tola, czy jesteś tego pewna? Aufeya opuściła Corrunię z mężczyzną o imieniu Hellsturm?

- Tak, senhora. Jak mogłabym zapomnieć? Tego dnia senhora oświadczyła nam wszystkim: „Chcę, aby mieszkańcy tego domu wiedzieli, że od dzisiaj moja córka nie żyje”. - Co chcesz przez to powiedzieć?

- Dihos! Za długo nie ma mnie w domu. Perdóname, muszę wracać.

- Zaczekaj! - krzyknęła Chiisai, ale Tola już nie było. Popędziła między drzewami, a potem w cieniu budynków, kierując się w stronę przeciwległego końca placu.

Nadymiona tawerna o białych ścianach stała pomiędzy zakładem fryzjerskim a budynkiem, który był najwyraźniej przychodnią lekarską. Przed wejściem ciągnęła się długa kolejka pacjentów, a przez drzwi widać było kilka leżących postaci. Ze szpitalnych pomieszczeń sączył się na ulicę zapach ziołowych leków. Tawerna nie była tak zatłoczona jak podobne lokale w Sha'angh'sei. Podtrzymujące strop grube drewniane słupy kontrastowały z białą ścian i sufitu. W jedną ze ścian wbudowano ogromny kamienny piec. Pełnił on jednak tylko funkcję ozdoby, gdyż przez drzwi za drewnianym barem widać było kuchnię. Usiedli przy jednym z wolnych stolików. W pobliżu siedziała tylko para curas - daluzyjskich księży - ubranych w tradycyjne czarne stroje i sztywne sześcienne czapki. Jeden z nich był całkiem młody, miał zaróżowione policzki i duży nos. Drugi, wyraźnie starszy, z siwiejącymi włosami i spiczastą brodą, był duchownym dosyć wysokiej rangi. Świadczył o tym wiszący na jego szyi złoty łańcuch z ciężkim podwójnym krzyżem, symbolem

kościół daluzyjskiego. Gdy tylko usiedli, piękna kelnerka przyniosła dzbanek компанії, wyśmienitego miejscowego wina o złotym kolorze. Moichi złożył zamówienie, gdy kobieta rozlewała napój.

- Ciągle mnie to zastanawia - powiedziała Chiisai, spróbowałam-wy wina. - Sprawa Aufei pozornie się wyjaśniła, ale w gruncie rzeczy stała się dużo bardziej skomplikowana. - Tak. Wiemy teraz, czemu senhora wyparła się jej istnienia.

- Przynajmniej nie było to kłamstwo.

- W pewnym sensie nie. Ale z drugiej strony nie zaoferowała nam żadnej pomocy i to właśnie mnie zdziwiło. W końcu Aufeya jest jej córką. Czy naprawdę prędzej pójdzie na pogrzeb dziewczyny, niż kiwnie palcem, żeby jej pomóc?

- Moglibyśmy całą noc się nad tym zastanawiać, a i tak nie doszlibyśmy do satysfakcjonujących wniosków. - Chiisai wzruszyła ramionami.

Moichi uśmiechnął się do niej. Kelnerka właśnie przyniosła posiłek.

- Potrafisz szybko dotrzeć do sedna sprawy, Chiisai. To mi się w tobie podoba. Oto, co proponuję. Po opuszczeniu tawerny udam się do domu senhory Seguillas y Oriwara, żeby dowiedzieć się nieco więcej. Jeśli chodzi o ciebie, trzeba zbadać jeszcze jedną kwestię. Cascaras, Daluzyjczyk, którego torturował Hellsturm, także stąd pochodzi. Aufeya powiedziała mi, że był kiedyś kimś w rodzaju kupca. Chciałbym, żebyś dowiedziała się o nim czegoś więcej.

- Nie wiem, gdzie zacząć. Nie znam jeszcze zbyt dobrze Corrunii.

- W centrum jest takie jedno miejsce, mercado. Tam spotykają się kupcy i handlarze, nie tylko z Corrunii, ale i z całej Daluzji. Radziłbym ci tam zacząć. Może ktoś będzie wiedział, dokąd w Kintai udał się Cascaras.

- Dobra. - Chiisai uśmiechnęła się. - Nie chcesz po prostu, żebym była w pobliżu, gdy będziesz rozmawiać z senhorą. - Skąd przyszedł ci do głowy ten szalony pomysł?

161

- Widziałam, jak na nią spoglądałeś.

- Nie patrzyłem na nią w jakiś wyjątkowy sposób - skłamał. - Żartowałam. - Uśmiechnęła się szeroko. - Zastanawia mnie tylko, czemu tak gwałtownie zaprotestowałeś.

- Jeśli chodzi o poprzednią sprawę, to chciałbym, żebyśmy obydwój spotkali się z Rohją. Umówmy się więc u szczytu Calle Córdel tuż przed północą.

Chiisai pokiwała głową, a potem zaczęli się posilać. Jedli w milczeniu, więc Moichi mógł się zorientować, o czym rozmawiają dwaj curas przy sąsiednim stoliku. - Pieniądze idą, don Gode? - spytał cura ze spiczastą brodą. - Cała zachodnia fasada iglesji musi być rozebrana, by świątynia mogła zostać powiększona. Myślisz, że możemy liczyć na finansową pomoc Palliatu? - Powiedział to wyraźnie pogardliwym tonem. - Barwione szkło na witraże jest tak strasznie drogie - odparł don Gode, młody cura. - Jestem pewien, don Hispete, że moglibyśmy powiększyć iglesję w mniej kosztowny sposób. Zaoszczędzone pieniądze można by przeznaczyć na nakarmienie i ubranie... - Mój drogi don Gode - przerwał mu drugi zakonnik, wzdychając ciężko, jak gdyby wszystkie troski tego świata spoczywały na jego barkach. - Czy masz choć blade pojęcie o tym, jakie rejony Corrunii wchodzi w skład naszej parafii? To bogaci wierni, mężczyźni i kobiety wielkiego prestiżu i honoru. Nasza nowa iglesja musi odbijać ich wielkość.

- Ale uczono nas...

- Tak, tak. Dobrze to wszystko wiem - przerwał mu zirytowany don Hispete. - Też kiedyś byłem w seminarium Palliatu. Chociaż, Dihos to wie, wydaje się to tak dawno temu. Gdy pobędziesz z nami

jakiś czas, zaczniesz rozumieć kłopoty związane z prowa-dzeniem iglesji w Palliacie. - Sięgnął do stojącego na stole głębokiego talerza, z którego wyjął ociekający sosem ziemniak. Włożył go do ust i przeżuwając, mówił dalej. - Musisz pamiętać, don Gode, że w terenie należy zapomnieć o wszystkim, czego uczono w seminarium. - Zaśmiał się głośno i przełknął jedzenie, po czym wziął do ręki kolejny ziemniak. - No, chłopcze, wiesz chyba dobrze, że to tylko przenośnia. Ale prawda jest taka, że życie tutaj jest zupełnie inne. Cóż, książki nigdy nie zastąpią rzeczywis-tości, co? - Uniósł gruby palec. Ciężki złoty pierścień u nasady palca kontrastował z różową, nie skalaną pracą skórą. - Rozumiesz mnie? Nie? - Wsunął do ust kawałek mięsa i zaczął go żuć. _ W zasadzie zgadzam się z tobą. Byłoby bardzo miło wykorzystać pieniądze, które tak skrętnie zebraliśmy, na pomoc dla najbardziej potrzebujących. Ale rzeczywistość nakazuje czynić co innego. Wokół wpółotwartych ust błyszczał tłuszcz. Kawałek mięsa zwisał z okrągłego podbródka, tuż nad brodą.

- Jakkolwiek silnie nasze serca nakazują nam czynić inaczej, mamy zobowiązania wobec Palliatu, które są ważniejsze od wszelkich osobistych preferencji. - Upił szybki łyk z kielicha z winem, po czym beknął. - Otrzymujemy pieniądze od wiernych, don Gode. Pozwól, że ci przypomnę, jak trudno jest dzisiaj związać koniec z końcem. Och, sezony temu było oczywiście łatwiej, ale od tego czasu parafia się rozrosła, poza tym zaszło wiele zmian. Teraz prowadzimy wyjątkowo trudny interes. To dzięki pieniądząm kwitnie Palliat, nie zapominaj o tym, drogi don Gode. Wiara to także coś ważnego i dobrego. Dzięki nam ludzie wierzą i to także się niewątpliwie liczy. Jednak Palliat nie przetrwa dzięki samej wierze, a tym bardziej nie będzie prosperować. Jedyne pieniądze mogą to spowodować.

- Ale, wybac mi, że ci to przypominam, don Hispete, naszym zadaniem jest przede wszystkim przynosić ukojenie tym, którzy go potrzebują. Mamy pokazać im drogę ku zbawieniu. To właśnie jest cudem Palliatu.

- Cóż, tak. - Don Hispete odłamał kawałek pieczonego mięsa. - Ale cudem jest także to, don Gode, co pieniądze potrafią zrobić dla Palliatu. A bez nich, cóż, Palliat nie pomógłby nikomu. - Zakonnik wzruszył ramionami. Potem wgrzył się zębami w mięso. - Niech twa dusza będzie spokojna, mój chłopcze. Każdy nasz ruch służy większej chwale Dihos.

Fuga

X laza dell' Pesąisa opustoszał w czasie, gdy Moichi jadł obiad. Nawigator stał w cieniu drzew oliwnych, wybrawszy miejsce, z którego miał świetną widoczność we wszystkich kierunkach. Chciał obserwować dom rodziny Seguillas y Oriwara, samemu pozostając nie zauważonym.

Stał tak już od jakiegoś czasu, ale nie widział, by ktoś wychodził drzwiami frontowymi. Cztery osoby przeszły obok nich, nie zatrzymując się.

Spojrzał na boki, nikogo nie zauważył, ponownie więc zaczął obserwować duży dom. Do środka można było wejść jedynie drzwiami od frontu.

Poruszał się z niesamowitą prędkością i w absolutnej ciszy od cienia do cienia, coraz bardziej się oddalając od środka placu. Jakiś starszy człowiek minął go wolnym krokiem, nieco później Moichi przemknął obok pary młodych ludzi idących pod ramię w przeciwnym kierunku. Cały czas pozostawał nie zauważony. W końcu wszedł w ciemną uliczkę z prawej strony domu. Drugie drzewo w szeregu miało odpowiednio ułożone gałęzie, toteż wspinał się po nim, najpierw po pniu, a potem po grubym konarze, który sięgał pokrytej bluszczem ściany budynku.

Czubkiem buta stanął w miejscu, gdzie rozgałęział się pęd bluszczu, upewniszy się wcześniej, że roślina utrzyma jego ciężar. Potem ruszył w górę, ciągle sprawdzając, czy pędy bluszczu są wystarczająco mocne.

Gdy był już wysoko nad ulicą, zdał sobie sprawę, że wokół niego rozlegają się ciche popiskiwanie, przypominające świst cienkiego drutu wirującego w powietrzu. W pewnym momencie poczuł

nawet dotyk błoniastego skrzydła. Nie przepadał za nietoperzami, a te były, zdaje się, wyjątkowo duże. Krążyły wokół jego głowy, wydając dziwne odgłosy w swoim piskliwym języku. Po chwili przyzwyczał się do ich obecności, toteż nie stanowiły już żadnego zagrożenia.

Wspinał się po ścianie niczym nocny drapieznik; wkrótce znalazł się przy rogu budynku. Punkt, w którym stał, był słabo oświetlony blaskiem latarni płonących w różnych stronach placu. Spojrzał na niebo; pasy stratusów zasłaniały wschodzący księżyc. Był niemal pewien, że nie zostanie zauważony także podczas pokonywania ostatniego odcinka ściany.

Napotkał jednak problem. Nie widział ściany za rogiem budynku, zatem szukając pierwszego uchwytu dla ręki i nogi, musiał polegać jedynie na dotyku.

Ostrożnie sięgnął za róg, wychylając się możliwie najdalej. Wkrótce zacisnął lewą dłoń na grubej gałęzi sterczącej z frontu domu. Pociągnął. Wydała się mocna. Nasilił ucisk i zsunął nogi. Później zrozumiał, jakie miał niesamowite szczęście. Prawą ręką nadal trzymał się bluszczu. Gałąź okazała się jednak niezbyt mocna i pękła pod jego ciężarem. Moichi uderzył z całą siłą o ścianę. Bluszcz drapał jego twarz, gdy gwałtownie zsuwał się w dół. Kiedy przestał spadać, wypuścił z lewej ręki ułamaną gałąź i wisiał przez chwilę jedynie na prawej ręce. Grawitacja ciągnęła go w dół, ku brukowi ulicy.

Przylgnął nogami do ściany i przestał się kołysać. Potem cały przycisnął się do budynku i zaczął szukać gałęzi, na której mógłby stanąć. W końcu ją znalazł. Tym razem bluszcz wytrzymał i po chwili Moichi chwycił się już prawego balkonu, mając tuż nad sobą zamknięte okno na pierwszym piętrze.

165

Przykucnął na moment, trzymając się żelaznych prętów balkonu.

Bał się, że może zostać zauważony, jeśli ktoś stoi teraz na placu.

Zauważył w dodatku, że ozdobny balkon nie był zbyt funkcjonalny.

Mógł nie utrzymać takiego ciężaru...

Sięgnął po sztylet i wsunął ostrze w szparę na krawędzi drewnianej okiennicy. Z łatwością przesunął prosty rygiel. Wśliznął się do pokoju, zamykając za sobą okiennicę. Znalazł się w niewielkim pokoju. Stało tam ogromne łóżko z puchowym materacem oraz bogato rzeźbiona komódka, nad którą wisiało owalne lustro w bambusowej ramie. Bujane krzesło, także bambusowe, stało bez ruchu w rogu pokoju, jakby czekało na powrót swego pana. W powietrzu unosił się delikatny zapach perfum, a na niewielkim nocnym stoliku paliła się lampka. Pomieszczenie sprawiało wrażenie opuszczonego, mimo wyraźnych starań, by na takie nie wyglądało.

Trzema krokami przemknął przez pokój, stanął przy drzwiach i przyłożył do nich ucho. Były zbyt grube, by cokolwiek przez nie usłyszeć, otworzył je więc ostrożnie, centymetr po centymetrze.

Zobaczył przed sobą kwadratową balustradę - najprawdopodobniej znajdował się nad holem.

Wyszedł z pokoju i zamarł. Z parteru dochodziły stłumione głosy, odbijające się echem.

Przyklękawszy, wychylił się między drewnianymi słupkami balustrady. Senhora Seguillas y Oriwara stała przy frontowych drzwiach, rozmawiając z Chimmoku. Ten najwyraźniej wychodził, gdyż był owinięty w ciemny płaszcz. - Tak szybko, jak to możliwe - dobiegł go głos kobiety. - I na Dihos, upewnij się, że nie wróci tu za tobą.

Chimmoku pokiwał głową i bez słowa wysunął się na zewnątrz. Moichi musiał podjąć natychmiastową decyzję. Mógł pozostać z senhorą lub śledzić Chimmoku, by odkryć, jakie nocne zadanie ma do spełnienia. Wybrał pierwszą możliwość, nie tylko dlatego, że taki był jego plan. Okoliczności mu sprzyjały, mógł zostać sam na sam z senhorą. Byłoby wielkim błędem nie skorzystać z takiej okazji.

Senhora zamknęła już drzwi za Chimmoku i szła w stronę Moichiego. Zaczęła wspinać się po schodach.

Nawigator szybkim, cichym krokiem wrócił do pokoju, z którego wyszedł, i zamknął drzwi. Mimo palącej się lampki był niemal pewien, że to nie sypialnia senhory. Po chwili usłyszał kroki przechodzącej obok kobiety. Odważył się uchylić drzwi i wyjrzeć przez szparę. Zobaczył, jak senhora znika za drzwiami na końcu korytarza. Wisiał nad nimi mosiężny dzwon okrętowy. Teraz nie mam wyjścia - pomyślał. Zwłoka mogła spowodować, że nie zdąży przed powrotem Chimmoku. A tego chciał za wszelką cenę uniknąć.

Zaczerpnął głęboko powietrza, otworzył drzwi, wysliznął się na korytarz i bezszelestnie wszedł do jej pokoju. Chiisai nie miała kłopotów ze znalezieniem mercada. Była to gigantycznych rozmiarów budowla w samym sercu Corrunii, podzielona na setki stoisk wynajmowanych licznym kupcom i handlarzom. Prawo własności do niektórych miejsc było stałe, a inne kilkakrotnie w ciągu tygodnia zmieniały właściciela, gdy kolejni kupcy przyjeżdżali z sezonowymi towarami. Czasami, tak jak w tej chwili - nocą lub podczas złej pogody - całe mercado było zasłonięte. Za to w zalane słońcem daluzyjskie dni dachy stoisk były zdejmowane i mercado zdawało się ciągnąć w nieskończoność, łącząc z resztą miasta.

Nawet teraz, mimo że dzień, a wraz z nim handel, dobiegał już końca, mercado nadal tętniło życiem. Jak mówiono, mercado w Corrunii nigdy nie spało.

Przez całą noc tragarze rozładowywali świeże produkty, rzemieślnicy pracowali nad skórami, srebrem, złotem, szlachetnymi i półszlachetnymi kamieniami, perłami, obrazami, gobelinami, rzeźbami w kamieniu i glinie; w tyle spoceni kowale uwijali się w rozpalonych kuźniach. Nocą artyści zapełniali mercado niczym mityczne plemię, które znikało z nadejściem świtu, wypierane przez handlujących w dzień kupców. Po zmierzchu mercado odsłaniało swą prawdziwą postać, nie znaną wielu mieszkańcom Corrunii. Nie każde miasto żyło, tak jak Sha'angh'sei, przez całą dobę.

Oczarowana Chiisai stała u wejścia do mercada jak u wrót Ziemi Obiecanej. Była przyzwyczajona do widoku pracujących artystów, gdyż każdy Bujun uprawiał jakąś gałąź sztuki - „Cóż to za Bujun”, często powtarzał jej ojciec, „który wie tylko, jak zabijać?” - nigdy jednak nie widziała tylu naraz. Ten widok przyprawiał ją o zawrót głowy. Powoli szła pomiędzy niezliczonymi stoiskami, obserwując a to jubliera szlifującego nie obrobiony diament, a to tkaczkę zaplatającą srebrny kaptur czy też rymarza, który tworzył delikatny wzór na wielkiej skórzanej pochwie, działając na nią kwasem. Zatrzymała się, zafascynowana, przed kobietą rzeźbiącą w ogromnym rubinie podobiznę ludzkiej twarzy. Zaczekała, aż artystka odłoży narzędzia, po czym spytała:

- Czy to będzie mężczyzna, czy kobieta?

Zagadnięta odwróciła się w jej stronę, ocierając dłonią pot z czoła. Miała ciemne włosy, podługne oczy, pełne usta i wspaniałą długą szyję, której Chiisai bardzo jej zazdrościła. Twarz artystki ukształtowały lata determinacji, przynajmniej tak się wydawało. - Kobieta - padła odpowiedź. - Mam nadzieję.

- Czy to bardzo trudne?

- Kochanie - zaśmiała się rzeźbiarka - to prawie niemożliwe.

- Więc czemu to robisz?

- Ponieważ jest tu kamień, a nikt inny nie odważyłby się do tego zabrać. To moje drugie podejście.

Pierwsze uważam za nieudane. - Wyciągnęła rękę o palcach drugich i delikatnych niczym czułki jakiegoś owada i pogładziła chłód chropowatej ściany rubinu. - Chodź tutaj, kochanie, sama poczuj ten kamień. - Chiisai wyciągnęła rękę. - Kocham ten rubin dla niego samego - ciągnęła kobieta. -

Za to, że kryje przede mną swoją istotę. - Uśmiechnęła się. - Aż do samego końca.

- To właśnie jest ważne. - Chiisai nie była pewna, czy zadaje pytanie.

_ Równie ważne jak każdy oddech - odparła kobieta. - Przynajmniej dla mnie. Bez tajemniczego życia byłoby niczym; pragnęłabym tylko, kładąc wieczorem głowę na poduszce, nigdy więcej się nie obudzić.

Chiisai niechętnie zdjęła rękę z rubinu.

- Czy masz ze sobą jakieś skończone dzieło? Chętnie bym je zobaczyła.

- Wydaje mi się, że nie. - Kobieta szukała pod blatem stoiska. - Zaczekaj, znalazłam coś. - Uniosła wojownika wyrzeźbionego w tygrysim oczku. - Obawiam się, że nie jest aż tak wspaniały. To moje wczesne dzieło. Mimo wszystko... - Postawiła figurkę na blacie, a Chiisai ją uniosła. Coś w statuetce bardzo ją poruszyło. - Twarz tego mężczyzny wydaje mi się znajoma. - To Tudeskanin - powiedziała artystka. - Byłaś kiedyś w Rhein Tudesca? Pochodzę stamtąd.

- Jesteś Tudeskanką? - Chiisai spojrzała na rozmówczynię. - Nazywam się Martynę. - Rzeźbiarka pokiwała głową i podała Chiisai dłoń. - A ty?

- Nazywam się Chiisai, jestem Bujunką. - Dłoń Tudeskanki była chłodna, a uścisk mocny. - Mam nadzieję, że wybaczysz mi moją niewiedzę, Martynę, ale byłam pewna, że wszyscy Tudeskanie mają jasne włosy.

- Większość rzeczywiście ma, ale widzisz, tylko moja matka była Tudeskanką. Mam po niej jasne oczy, ale włosy mam po ojcu, jak sądzę.

Chiisai ponownie spojrzała na figurkę. Była wspaniale wyrzeźbiona. Od razu rzuciło się w oczy okrutne spojrzenie wojownika. - Wczoraj zostaliśmy zaatakowani przez Tudeskanów - powiedziała. - Na morzu. - Odczekała chwilę, po czym dodała: - Nie wydajesz się zbyt zdziwiona.

- Czemuż to miałabym się dziwić? To źli ludzie. Dlatego jestem teraz tutaj, w Daluzji.

- Ale zrobiłaś tę rzeźbę. - Chiisai wskazała wojownika.

- Tak. Wyrzeźbiłam to, by nie zapomnieć.

169

- O czym?

- Mój ojciec przybył z morza. Był korsarzem, który pewnego dnia wpłynął do Rhein Tudesca. Tam spotkał moją matkę. Teraz oboje nie żyją.

- Przykro mi.

- Mnie też. Byli wyjątkowymi ludźmi. Jednak moja matka złamała prawo i oboje zostali zabici za to przestępstwo. - Cóż takiego strasznego mogła zrobić, że pociągnęło to za sobą egzekucję?

- Wyszła za mąż za mojego ojca - wytłumaczyła Martynę. - Natychmiast odwróciła się, gdy zamknął za sobą drzwi, których cichy skrzyp zabrzmiał niczym zrezygnowane westchnienie. Oczy kobiety błysnęły; dojrzał brązowe plamki pływające w jodełkowych głębinach źrenic. Miała na sobie luźną kremową koszulę z jedwabiu, ze sznurowanym owalnym dekoltem, który odsłaniał górę jej pełnych piersi. Nogi zakrywała długa spódnica o zielonym odcieniu tak głębokim, że niemal czarnym. - Ty! - syknęła. - Jak się tu dostałeś?

Zamiast „Czego chcesz?”

Jej ręce zwiślały luźno po obu stronach ciała.

- Wszedłem przez okno na piętrze.

- Wynoś się stąd natychmiast!

Martwił go fakt, że ani trochę się nie bała - palce dłoni miała nadal wyprostowane, zamiast zaciskać je z wściekłości. - Najpierw muszę otrzymać parę odpowiedzi, senhora.

Musiał oderwać wzrok od jej biustu. Nie powinien się rozpraszać.

Zrobił krok do przodu.

- Senhora...

- Wynoś się! - Nawet się nie cofnęła.

Poczuł, jak bezwzględnie napinają się jego mięśnie. Niepokoiło go to, gdyż przede wszystkim musiał zdobyć pewne informacje. - Senhora, proszę. Musisz mnie posłuchać. Życie twojej córki...

170

_ Nie będę z tobą rozmawiać. - Jej głos był jak lód.

Obraz Cascarasa w jego umyśle, martwe ciało leżące w zaułku.

- Nie wyjdę stąd.

Wtedy ona się poruszyła. Wiedział już, co się dzieje, na chwilę przedtem, zanim jej błyskawiczny atak ściął go z nóg. Gdy skoczyła, spojrzął jeszcze na jej dłonie; wyprostowane, palce złączone. Wywrócili się na ziemię i toczyli po podłodze. Moichi wiedział, że wszystko się dla niego skończy, jeśli przestaną się poruszać. Jedno słowo rozbrzmiewało w jego głowie, gdy uderzył nią o deski podłogi i ujrzał nad sobą jej zarys. Koppo.

Ludzie z Rhein Tudesca żyją zawsze zgodnie z prawem - Martynę odezwała się, gdy popijały kompanię. - W takim społeczeństwie się rodzą i tak są wychowywani. Sieć praw. W ten sposób państwo istnieje. Skutecznie, bez wysiłku. Bezkrwawo. - Jej twarz pobladła, gdy to mówiła. - Tudeskanka może wyjść tylko za Tudeskanina, za nikogo innego.

Chiisai milczała, wlepiwszy wzrok w złoty napój. - Tudeskanie są wszystkim obcy - ciągnęła Martynę. - Oczywiście-cie tolerują tych, z którymi handel jest konieczny dla przetrwania narodu. Niewielu gości może wjechać do Rhein Tudesca, a załogi statków kupieckich nigdy nie są wypuszczane na ląd. Wszyscy obcokrajowcy są cały czas eskortowani.

- Nie wróciłaś.

- Nie. Nigdy bym tego nie zrobiła.

- Czy znasz Tudeskanina imieniem Hellsturm? - spytała nagle Chiisai.

- Nie. Czy powinnam?

- Właściwie nie. - Potrząsnęła głową Chiisai. - Łączy was jedynie to, że oboje pochodzicie z Rhein Tudesca. - Nie obchodzą mnie inni mieszkańcy Rhein Tudesca, Chiisai.

- Być może słyszałaś więc o daluzyjskim kupcu imieniem Cascaras.

171

- Tak. Oczywiście. - Martynę dołała im obu wina. - Ale nie widziałam go od wielu sezonów. Zamierzał opuścić miasto na jakiś czas. Kiedyś miał niewielkie stoisko gdzieś tam. - Machnęła ręką w stronę ogromnej przestrzeni mercada. - To było jednak już jakiś czas temu. Zostaliśmy przyjaciółmi, gdyż specjalizował się w zna-leziskach archeologicznych.

- Dobrze więc go znałaś?

Potrząsnęła głową, a jej włosy otoczyły ciemnym nimbem głowę. - Właściwie nie. Choć on chciał mnie lepiej poznać. Odkryłam jednak, że część jego znalezisk była skradziona. - Ze zbiorów?

- Och, nie. Okradał groby. Rozkopywał je w nocy i zabierał drogocenne przedmioty. Głównie na północnym zachodzie. Znał region tak dobrze, że często go namawiałam, aby przestał kraść i został kartografem. - Uśmiechnęła się nieznacznie. - Nie chciał tego słuchać, jak się domyślasz. Zbyt kochał dreszcz emocji... oraz niewyobrażalne zyski, jakie przynosił handel. - Czy Cascaras coś ci powiedział, gdy go ostatnio widziałaś?

Cokolwiek?

- Czemu tyle o niego pytasz?

- Został zamordowany, Martynę. W Sha'angh'sei. - Sha'angh'sei? - Kobieta wyglądała na zdziwioną. - Po co jechałby tak daleko na południe?
- Uciekał przed Hellsturmem, o którym ci mówiłam. Był torturowany, zapewne też przez niego.
- Istnieje niezawodny sposób wykrycia, czy Hellsturm jest Tudeskaninem.
- Naprawdę? Jaki?

Martynę odwróciła się od Chiisai, a jej ręce ponownie przejechały po powierzchni rubinu, jakby był amuletem chroniącym przed złymi wspomnieniami.

- Tudeskanie to wyjątkowo dziki naród, mimo pozorów cywili-zacji, którymi się okryli. - Przerwała, by zaczerpnąć głęboko powietrza. Przeszedł ją dreszcz, gdy je wypuszczała. - W dniu, 17? w którym zginęli moi rodzice, były moje urodziny. Widziałam, jak idą ulicą, gdyż siedziałam w otwartym oknie, czekając na nich. Wracali do domu, niosąc dla mnie prezenty. Zostali zaatakowani, gdy przechodzili przez ulicę. Dwóch mężczyzn najwyraźniej na nich czekało. Zajęło im to tak mało czasu i wysiłku. Już po chwili moi rodzice leżeli martwi w kałużach własnej krwi, z ciałami rozprutymi od głów do nóg. A dopiero co jeszcze tam stali. Nie pamiętam zbyt dobrze, co się potem wydarzyło. Zapewne gdzieś się schowałam, gdyż napastnicy przeszukali dom. Potem znalazłam się na ulicy, nie wiem nawet, ile czasu minęło. Wiedziałam tylko, że będą mnie szukać i że muszę dotrzeć do granicy. Starłam się nie spać, ale po pewnym czasie było to niemożliwe. Pewnej nocy spałam w jakimś zaułku, gdy obudził mnie nagły hałas. Powinnam była uciekać, ale coś mnie zatrzymało, jakiś dziwny paraliż. Miałam szczęście, gdyż wpadłabym w ręce trzech wojowników, a zaułek był ślepy.

Zamilkła na moment. Dłońmi badała kontury kamienia, jak gdyby odczytywała przeszłość czy przepowiadała przyszłość. - Wyciągnęli stamtąd jakąś kobietę. Może była prostytutką, może nie - nigdy się już nie dowiem. Zgwałcili ją na moich oczach, w bezlitosnym rytuale pozbawionym nawet odrobiny uczucia. Potem, gdy skończyli, rozcięli jej klatkę piersiową. Chcieli od niej czegoś więcej, informacji, jak sądzę. W końcu ją uzyskali. Chiisai poczuła dziwne zimno wokół własnego serca.

- Co jej zrobili?

- Naprawdę chcesz wiedzieć? Wszystko? - Wspomnienie tamtej nocy odbijało się w oczach Martynę.

Chiisai potwierdziła, kiwając głową.

- W Rhein Tudesca tortury są wysoko rozwiniętą sztuką. W społeczeństwie pełnym tajemnic konieczne jest, by ludzie dzierżący władzę umieli odkrywać sekrety obywateli. Rozumiesz? Chiisai przypomniała sobie, co Moichi opowiedział jej o funk-cjonowaniu zbiorowiska Sha'angh'sei. Pełne tajemnic, a zarazem otwarte.

173

- Nie - przyznała. - Przykro mi, ale nie.

- Cóż, to nieistotne. - Martynę wzruszyła ramionami. - Musiałybyś chyba udać się do Rhein Tudesca, żeby to w pełni zrozumieć. Tudeskanie doprowadzili do doskonałości sztukę odsłaniania serca żywej ofiary i masowania go w ten sposób, aby przyspieszać lub zwalniać procesy życiowe. Mogą spowodować wielki ból, pozostawiając jednak człowieka przy życiu. Nikt nie potrafi znieść takiej tortury, choć to tylko jedna z wielu.

- Zdaje się, że w ten sposób zabito Cascarasa.

- Będę się więc modlić za spokój jego duszy.

- Proszę, Martynę. - Chiisai dotknęła ramienia kobiety. - To bardzo ważne, byś przypomniała sobie, czy nie powiedział ci czegoś przed wyjazdem.

Martynę usiadła wygodniej i przejechała ręką po czole.

- Niech pomyślę. To było już jakiś czas temu, był początek lata. Ruszał do... gdzie to było? Nie mogę sobie przypomnieć. W każdym razie gdzieś na północnym zachodzie.

Tak - pomyślała Chiisai. Kintai leży na północny zachód od Corrunii.

- Był czymś bardzo podekscytowany, jak pamiętam. „Martynę, niech tylko wróćę”, mówił, „będę tak bogaty i potężny, że na pewno zechcesz za mnie wyjść”. Nie zwracałam uwagi na jego słowa. Zawsze miał jakiś pomysł, który jego zdaniem uczyni go bogatym niczym cesarz. Powiedziałam mu wtedy, że bogactwo i potęga są mi obojętne. Nie kochałam go, więc nie miałam zamiaru za niego wychodzić. Oczywiście nic to nie zmieniło, gdyż wierzył, że za pieniądze da się kupić wszystko. Myślał więc, że go podpuszczam. Powiedział mi jednak tyle: „Nic nie rozumiesz, Martynę. Tym razem naprawdę to znalazłem, klucz do potęgi. Będę panował nad całym światem. Także ty to zrozumiesz, gdy powrócę z Krainy Opałowego Księżyca.”

Chiisai zamarła na moment. Przestała oddychać, a rytmiczne bicie jej serca przemieniło się w serię wybuchów odbijających się od żeber. Przeczyściła gardło.

174

- Martynę, czy dobrze cię zrozumiałam? Czy Cascaras powiedział, że wybiera się do Krainy Opałowego Księżyca? - Tak. Nie zwróciłam wtedy na to za bardzo uwagi. Czemu? To chyba tylko jakiś zwrot retoryczny?

- Jedynie zwrot? - Chiisai spojrzała na Martynę. - Więc nie wiesz?

- Czego nie wiem? Cascaras często używał barwnego języka. Stworzył sobie rodzaj kodu, by nie zdradzić przypadkowo celu swojej podróży niepożądanym osobom.

- Nie tym razem - odstawiła pusty kubek i podniosła się. - Martynę, twoja pomoc była niezmiernie przydatna. Bardziej, niż to sobie wyobrażasz. Wreszcie znam przyczynę całej sprawy. - Cieszę się, że mogłam ci pomóc, ale...

- To nieważne. Może kiedyś będę ci to mogła wyjaśnić. Żegnaj, Martynę. - Chiisai prędko opuściła mercado.

Tajemnicza postać wyszła z mrocznego kąta i ruszyła za nią w ciemności nocy. Ściany i sufit pokoju miały bardzo ciemny niebieski kolor, ciemniejszy niż wieczorne niebo. Odcień wzmacniało łukowe sklepienie, przecięte wąskimi złoconymi pasami. Ściany też były obrysowane na złoto, a w regularnych odstępach wisiały malowidła przedstawiające statki.

Pokój niemal w całości wypełniało bardzo wysokie, ogromne łóżko. Z obu stron zdobiły je miedziane płyty, a materac przykrywała piękna narzuta w różnych odcieniach zieleni. Szerokie okna ukazywały wspaniały ogród na tyłach domu. Niezwykle oryginalnie urządzony pokój dowodził nieortodoksyjnego gustu właścicieli. Najbardziej rzucał się jednak w oczy obraz. Wisiał tuż nad łóżkiem, w ciężkiej złoconej ramie, niczym ogromny letni księżyc. Był niesamowity. Mroził krew w żyłach; trudno było pojąć, jak senhora może spać w tym pokoju.

Przedstawiał daluzyjskiego rolnika, z napiętymi mięśniami i skórą błyszczącą od potu, stojącego na polu namalowanym w takiej perspektywie, że zdawało się ciągnąć w nieskończoność, płaskie i monotonne. Jednym wielkim ramieniem obejmował żonę, która przyciskała się do jego potężnej klatki piersiowej, szukając ratunku. Kobieta rozpaczliwie tuliła maleńkie dziecko. W drugiej ręce mężczyzna trzymał kosę, którą wcześniej kosił zboże na polu. Teraz dźwiżył ją wysoko nad głową, gdyż z ciemnego już nieba spadała na jego rodzinę ogromna skrzydlata istota. Szerokie skrzydła tego półczłowieka, półnietoperza biły ciężkie wieczorne powietrze. Długie, zakrzywione szpony wysunięte ze zwierzęcych łap i ludzkich nóg starały się dosięgnąć szyi rolnika.

W ten sam sposób wysunięte palce senhory Seguillas y Oriwary cięły szyję Moichiego. O dziwo, był w stanie przyrzeć się pokojowi, gdy tarzali się po podłodze.

Moichi znał podstawowe bloki, ale z ich pomocą mógł tylko przeciągać walkę, gdyż nie znał żadnych ataków koppo. Poza tym jeśli była mistrzynią, to nie potrzebowała wiele czasu, by ominąć podstawowe techniki obronne, które stosował. Paliło go ciało i zaczynały boleć kości. Zablokował kolejne mordercze uderzenie wymierzone w obojczyk. Gdyby tego nie zrobił, zostałby natychmiast obezwładniony.

Wykorzystując siłę ciężkości, przetoczył się tak, że przez moment kobieta znalazła się pod nim. Dzięki większej wadze pozostał w górze wystarczająco długo, by wbić łokieć i ramię prosto w jej brzuch. Senhora nadal jednak walczyła, uderzenie w nos gdyby było celne, pozbawiłoby go zapewne świadomości. Zdesperowany, wbił łokieć ponownie, naciskając całym barkiem, jakby zapomniał, że walczy z kobietą.

- Och! - Oddech ugrzązł jej w płucach i spróbowała zgiąć się pod nim wół. Chciała zaczerpnąć powietrza, ale przyciskał ją tak, że zamknął drogę do płuc. Przestał na moment przedtem, zanim kobieta nieomal udusiła się własnymi wymiocinami. Silnymi dłońmi wetknął jej ręce pod plecy i trzymał ją tak w stalowym uścisku. Senhora nabrała powietrza i zadziwiająco szybko odzyskała siłę w ramionach. Moichi zacisnął mocniej chwyt na jej dłoniach. _ Senhora - powiedział. - Chcesz tego czy nie, będziesz musiała mnie teraz wysłuchać.

Spojrzał na nią pozbawionym emocji wzrokiem. Otworzyła oczy i wtedy zauważył, że szybko zwalcza w sobie ból. Obserwując niewielkie brązowe plamki na zielonych tęczęwkach, zaczął zdawać sobie sprawę z jej urody.

Przemówił z wysiłkiem.

- Cascaras nie żyje, senhora. Był torturowany, a potem zarżnięty w tawernie w Sha'angh'sei.

- Co mnie to obchodzi? - odparła wściekłym tonem. - Nie znam nikogo o takim imieniu. - Obróciła się gwałtownie, próbując się wyzwolić z mocnego uścisku.

- Być może rzeczywiście nie - odparł spokojnie. - Mam powody, by sądzić jednak, że go znasz. Był przyjacielem twojej córki. Gdy ją spotkałem, senhora, Aufeya była w Sha'angh'sei. Właśnie licytowano ją na Sha-rida.

Po raz pierwszy zauważył ślad emocji w jadeitowych morzach jej oczu. Strach.

- Tak, na Sha-rida, senhora, gdzie okrutna śmierć czeka każdą sprzedaną osobę. Taki byłby i jej los, gdybym wraz z przyjacielem nie interweniował. Później powiedziała mi, że ściga ją mężczyzna, ten sam, który zamordował Cascarasa. Jedynie pechowy los sprowadził ich oboje do tego samego miasta, gdyż plany mieli inne. - Uważnie przyglądał się jej twarzy, która zdawała się wciąż przeobrażać. Może było to tylko zmienne światło i jego własna wyobraźnia. - Ten człowiek przerażał Aufeyę, senhora, a ja popełniłem błąd i opuściłem ją na krótki czas. Wtedy przyszedł i zabrał ją, zabijając jednocześnie mojego przyjaciela. A teraz, senhora, zamierzam znaleźć Aufeyę i sprowadzić ją tutaj. Jednocześnie chcę zabić tego mężczyznę, Hellsturma. Trzymane w dole ręce powodowały, że piersi kobiety wyprężyły się ku górze, jakby czekając na pieszczoty. Podczas walki dekolt rozwiązał się, odsłaniając jej biust niemal do połowy. Sutki wyraźnie rysowały się pod cienkim materiałem. Moichi szybko odwrócił wzrok.

117

- Teraz chcę, byś odpowiedziała na moje pytania.

Spojrzała mu prosto w oczy, co napełniło go dziwnym uczuciem.

- Puść mnie - szepnęła. - Proszę.

Jej oczy przymknęły się na moment, po czym ponownie otworzyły. Była tak blisko. Chcąc umożliwić przepływ krwi w jej rękach, zmienił uchwyt. Napięte czubki piersi musnęły jego klatkę piersiową.

- Wypuść mnie - szepnęła ponownie, a on poczuł jej oddech na swojej szyi. - Puść mnie, a powiem ci wszystko, co chcesz wiedzieć. - Jęknęła, jakby dręczył ją ból. - Wszystko, co wiem. - Potem, jakby czytając w jego myślach, dodała: - Nie użyję koppo. Powoli puścił jej dłonie. Patrzył prosto w oczy kobiety, wiedząc, że w ten sposób zorientuje się, gdy będzie chciała go oszukać. Senhora uniosła rękę. Moichi nadal obserwował jej oczy. Zbliżyła dłonie ku niemu, tym razem bez najmniejszej oznaki agresji. - Co chcesz wiedzieć? - powiedziała głosem łagodnym niczym nocny powiew.

Wyciągnęła ramiona, przesuwając palce w górę klatki piersiowej nawigatora, ponad ramiona, aż wreszcie zaplotły się w jego włosach. Potem pociągnęła go w dół, przybliżając do swojego ciała. - Powiem ci - szepnęła. - Wszystko.

Jej usta otworzyły się, język musnął zęby Moichiego. Przycisnęła się do jego klatki piersiowej, a potem wykonała subtelny ruch, którego nie przewidział; nagle jej nogi rozsunęły się i objęły uda Moichiego. Poczul ją całym ciałem, a dłońmi objął jej plecy. Szelest; potem cichy jęk, powtarzający się, niczym echo, raz za razem.

Miała jeszcze trochę czasu przed spotkaniem z Moichim u szczytu Calle Córdel, więc spacerując wzdłuż ulic Corrunii, zaczęła się rozglądać za otwartą o tej porze tawerną. Potrzebowała nieco pomyśleć w samotności.

Zaraz po wyjściu z mercada skręciła bezwiednie w jakąś boczną uliczkę. Jej umysł zaprzętały fakty, które nieświadomie wyjawiała Martynę.

Była to kwestia rutyny. Bujuńskiego treningu, który poniekąd stał się już instynktem i dlatego okazywał się tak skuteczny. W obcym mieście należało jak najczęściej skręcać - to był jeden z podstawowych nakazów. Równie automatycznie Chissai wsłuchiwała się w odgłos własnych kroków, oddzielając jeden po drugim otaczające ją dźwięki. Drzewa szeleszczące na wietrze, śpiew cykad, wybuch śmiechu, trzaskające drzwi i nieco dalej - groźne warczenie psa. Z kakofonii wychwyciła odgłos cudzych kroków. Od chwili, w której skręciła, wiedziała, że jest śledzona. Szła jednak dalej ulicą, nie zmieniając tempa, jak gdyby o niczym nie wiedziała. Teraz potrzebowała dwóch rzeczy. Kolejnego skrzyżowania oraz wejścia do jakiegoś domu, choć mroczny zaułek też by się nadał.

Zbliżyła się do rogu i skręciła w lewo, rozglądając się za jakimś ciemniejszym kątem. Nie miała wiele czasu. Musiała zniknąć, zanim...

Znalazła. Wsunęła się w niszę po lewej stronie.

Czekała, nasłuchując.

Zamarła słysząc, że kroki się zbliżają. Napięła mięśnie. W odgłosie kroków było coś dziwnego.

- Chiisai?

Bogowie! - pomyślała. To była Martynę.

- Chiisai!

Zacząła się pocić, gdyż wiedziała już, co jest nie tak. Odgłos kroków się zmienił. Musiała teraz zwracać uwagę na dwa różne dźwięki. Pamiętała dobrze, co się stało z Kossorim. Ujrzała postać Martynę. Mroczny zarys rozbłysnął na moment w świetle mijanej latarni. Potem znów było ciemno. Musiała zrobić to teraz, zanim kobieta znów zbliży się do światła. Była to jedyna okazja. Chiisai zastanowiła się przez moment, czy nie poniechać działania. Manewr mógł się okazać niebezpieczny, szczególnie jeśli Martynę była po stronie przeciwnika.

17Q

I

Wyskoczyła, chwytając dłonią ramię Martynę. Drugą zasłoniła otwierające się usta. Potem pociągnęła ją do swojej niszy drzwiowej. - Co ty tu robisz? - szepnęła ostrym tonem.

- Chii... - Ręka ponownie zasłoniła usta Martynę.

- Szepcz!

- Przyszłam, by cię ostrzec - odparła Martynę. - Ktoś idzie za tobą.

- Wiem.

- Och! W takim razie bardzo mi przykro. Pewnie wszystko popsulałam.

Chiisai wyrzała na ulicę.

- Niekoniecznie. - Starła się znów usłyszeć kroki. Te cięższe. W końcu wyłowiła ich dźwięk i wiedziała, że jest już za późno, by zabrać Martynę w jakieś bezpieczne miejsce. Cóż, będzie musiała ukryć ją w mroku i mieć nadzieję, że nikt jej nie zauważy. - Nie martw się - szepnęła Martynę. - Jestem uzbrojona.

- Sięgnęła do pasa, zza którego coś wyciągnęła. Chiisai spojrzała w dół. Broń miała pełne pół metra, była dłuższa niż jakikolwiek nóż, który widziała. Ostrze odznaczało się nietypowym trójkątnym kształtem. Chiisai oglądała podobną broń we wsi na Ama-no-mori. Była to broń myśliwego, jak jej wyjaśniono, a ostrze pozwalało przebić skórę zwierzęcia ze zwiększoną siłą. „Trzeba szybko dotrzeć do serca, nie niszcząc mięsa, gdyż poluje się tylko dla jedzenia”.

Wiedziała, że nóż Martynę jest świetną bronią, doskonałą do walki na małej przestrzeni. - To missra - szepnęła Martynę. - Uzbrojenie armii tude-skańskiej.

Sposób, w jaki trzymała broń, wskazywał, że umie się nią posługiwać. Chiisai nagle ucieszyła się, że ma przy sobie te tajemniczą kobietę. Słyszała bowiem zbliżające się kroki co najmniej trzech osób.

Wyciągnęła z pochwy swoją dai-katanę. Wedle zwyczaju każdy bujuński miecz otrzymywał imię w chwili, gdy pierwszy raz pokrył się krwią. Broń Chiisai miała nazwę Kishsu-shi - Jeździec Śmierci.

180

Zauważyła błysk metalu, gdy napastnicy minęli latarnię. _ Jeśli się rozdzielimy, spotkajmy się o północy u szczytu Calle Córdel - szepnęła, odwracając się do Martynę. - Wcześniej zgub koniecznie śledzące cię osoby. Rozumiesz?

- Możesz na mnie liczyć. - Martynę pokiwała głową.

Chiisai szczerze miała nadzieję, że okaże się to prawdą. Z bojowym okrzykiem wyskoczyła na ulicę, trzymając dai--katanę oburącz wysoko nad głową. Z chwilą gdy jej stopy dotknęły bruku ulicy, zaczęła wyprowadzać pierwszy śmiertelny cios.

Olbrzymi mężczyźni, więksi nawet od Moichiego, górowali nad nią. Była jednak Bujunką, wojownikiem od urodzenia. Kishsu-shi przeciął nocne powietrze z cichym gwizdem, po czym wbił się w obojczyk mężczyzny po lewej stronie, tnąc ciało aż do pępka. Umierający zatoczył się jak pijany, a jego krew i wnętrzności wylały się na ulicę. Nie zdążył nawet krzyknąć. Mieli miecze o prostych ostrzach, zapewne cięższe od jej dai-katany. Nie były za to wykute przez Bujunów, których kowale uchodzili za mistrzów w swoim fachu.

Miecz Chiisai rysował w powietrzu śmiertelną pajęczynę utkaną z żywego srebra. Żłote i różowe iskry leciały na boki, gdy z ogłuszającym łoskotem stykał się z ostrzem przeciwnika. Tudeskanie

byli niesamowicie silnymi i zahartowanymi w bojach przeciwnikami. Obaj wojownicy walczyli w doskonałej harmonii, wyliczając ruchy i ciosy tak, jakby ramiona, w których dzierżyli miecze, należały do jednej osoby.

Chiisai już po chwili zdała sobie sprawę, że Martynę nie przesadziła, mówiąc o dzikości Tudeskanów. Byli zwierzętami w ludzkiej skórze, fanatykami gotowymi zabić z byle powodu, przerażająco groźnymi.

Zaczynała się męczyć; czuła się tak, jakby walczyła z ceglana ścianą, przez którą w żaden sposób nie można się przebić. Owszem, wiedziała, że reaguje szybciej niż oni, ale dzięki synchronizacji ruchów napastnicy z niewielkim wysiłkiem mogli zablokować 181 każdy jej atak. Na to właśnie liczyli. Zabijają ją, gdy tylko nieco osłabnie.

Pozostawała jej jedyna taktyka. Mogła udawać bardziej zmęczoną, niż była w istocie, skłaniając ich do przedwczesnego ataku. Obawiała się, że zmyli to tylko jednego z nich. Mimo to... Spowolniła nieco swoje reakcje. Tudeskanin po prawej stronie natychmiast zaatakował z okrutną przenikliwością. Chiisai krzyknęła; kucając, uchyliła się przed śmiertelnym ciosem i cięła własnym mieczem z całą siłą, jaka w niej pozostała. Mężczyzna padł na ziemię, rozplątany w pasie na pół.

Cofnęła się, po raz pierwszy zwracając uwagę na odgłosy walki za plecami. Martynę.

Rozsuwając nieznacznie nogi, przyjęła postawę bojową. Jednocześnie wyciągnęła krótszy miecz. Zaatakowała trzeciego wojownika. Wysoki, poziomy cios wycelowana w jego klatkę piersiową. Ten zablokował atak bez kłopotu, unosząc własny miecz. Chiisai chwilę później wyprowadziła cios krótszym mieczem. Tudeskanin zauważył to dopiero w ostatniej chwili, gdy mógł już tylko próbować się uchylić. To mu się nie udało. Czubek ostrza wbił się w jego lewy bok, po czym rozplątał ciało aż do kręgosłupa. Kolana ugięły się pod mężczyzną, który klęknął na bruku, jak gdyby modlił się do swoich bogów. Potem upadł na ziemię, by już więcej nie powstać.

Czwarty Tudeskanin poruszał się o wiele ostrożniej. Chiisai popełniła błąd - obserwując jego twarz, nie zauważyła ataku. Nie był wymierzony prosto w nią, toteż instynkt pozwolił się oszukać. Wojownikowi udało się uderzyć w jej krótsze ostrze, a siła ataku była tak wielka, że miecz wyleciał z dłoni Chiisai i upadł daleko na bruk.

Zaatakowała wysoko, potem nisko, lecz on sparował oba ataki. Cały czas zmuszał ją do cofania się, tnąc raz po raz swym ciężkim mieczem. Chiisai uświadomiła sobie, że traci siły szybciej, niżby sobie tego życzyła. Zbliżała się zresztą do wąskiego zaułka, w którym jej ruchy zostałyby drastycznie ograniczone - długa jai-katana nie na wiele by się zdała. Pozostało jej więc jedynie pozbyć się Jeźdźcy Śmierci.

Stojąc u wylotu zaułka, pozwoliła się rozbroić także z drugiego miecza. Potem upadła i potoczyła się z wystarczającą siłą, by przewrócić napastnika. Upadając, wyciągnęła sztylet, którym natychmiast zadała cios.

Mężczyzna był zmuszony także wypuścić miecz, gdyż ten tylko przeszkadzał w takich warunkach. Uniósł jednak rękę wystarczająco szybko, by powstrzymać pierwsze uderzenie sztyletu i odbić drugie. Potem kontratakował, a Chiisai była coraz słabsza. Dysząc ciężko, robiła wszystko, by nie znaleźć się pod nim. Wtedy Tudeskanin mógłby w pełni wykorzystać przewagę masy ciała. Wiedziała, że to oznaczałoby koniec. Przełożyła więc sztylet do lewej ręki i zaatakowała z drugiej strony. Wojownik nie zdążył powstrzymać niespodziewanego ciosu.

Nie był to jednak cios śmiertelny, ostrze wbiło się w prawy bok, tuż ponad miednicą. Zaciśnął zęby i dalej próbował uzyskać przewagę. Chiisai nie wypuściła z ręki sztyletu, obracała nim, zaciekle powiększając ranę.

Wtedy odepchnął ją i zrwawszy się na nogi, zaczął uciekać uliczką, myśląc tylko o powrocie tam, skąd przybył. Chiisai, wiedząc dobrze, dokąd ucieka Tudeskanin, musiała podjąć natychmiastową decyzję. Mogła zostać i pomóc Martynę lub ruszyć za rannym napastnikiem. W gruncie rzeczy jednak nie miała wyboru. Wojownik mógł doprowadzić ją do Hellsturma, jeśli tylko nie zauważy, że jest śledzony. Miała nadzieję, że zdąży zlokalizować bazę wrogów i spotkać się jeszcze z Moichim. Wsunęła dai-katanę do pochwy, podniosła krótki miecz i ruszyła w dół uliczki za Tudeskaninem, w stronę jego domu. Wiesz, że wyglądasz na Daluzyczyka?

Na twarzy senhory, wilgotnej jeszcze od śliny i potu, nie było już śladu wcześniejszego napięcia.

- Dlatego nie wierzyłam w twoją historię.

Wygląda niemalże tak młodo jak Aufeya - pomyślał Moichi. Nawet młodziej, w pewnym sensie. Miała w sobie jakąś trudno uchwytną cechę, która upodabniała ją do małej dziewczynki. Delikatna i wrażliwa, ale bez śladu słabości, której nie znosił w ludziach.

- Jestem dosyć bogata - powiedziała łagodnym tonem senhora Seguillas y Oriwara. - Niewątpliwie dobrze o tym wiesz. To czyni mnie łakomym kąskiem. - Leżała zupełnie naga na zielonej narzucie. Jej ciało prezentowało się wspaniale w pełnej zmysłowości atmosferze ciemnego pokoju. Cienie nadawały kobiecie aurę tajemniczości, dobrze odzwierciedlającą jej charakter. - Nie ma tygodnia, by ktoś nie przybył w poszukiwaniu pieniędzy. - Wes-tchnęła cicho, odwracając się w jego stronę na ogromnym łóżku. Wiszący nad nimi obraz nadal przytłaczał Moichiego, mimo że przesłaniały go ciemności. - Ostatnio rzadko wychodzę z domu, gdyż ludzie coraz częściej nie proszą już, lecz żądają. - Spojrzała prosto w jego oczy. - Czy potrafisz zrozumieć moje położenie, będąc mężczyzną?

Zaśmiał się, próbując rozwiać niepokój, który ponownie pojawił się w jej głosie. Niepokój ten przelał się na niego w chwili, gdy się spotkali, i nękał go nadal.

- Ale znając koppo...

- Zdaje się, że nie rozumiesz. - Potrząsnęła głową. - To nieistotne, że jestem wojownikiem, że umiem się obronić na wiele różnych sposobów. - Położyła dłoń na klatce piersiowej Moichiego i delikatnie gładziła jego skórę. - Powiedz mi, czy mężczyzna, nawet nie wyszkolony na wojownika, znalazłby się kiedykolwiek w takiej sytuacji?

- Nie. - Potrząsnął głową, gdyż zrozumiał, o co jej chodzi.

Wtedy senhora uspokoiła się nieco.

- Naprawdę tak sądzisz?

- Oczywiście. Inaczej bym tego nie powiedział.

- Nie zrobiłbyś tego, by sprawić mi przyjemność?

TC4

_ Czy nie sprawiam ci przyjemności w bardziej uczciwy sposób?

Moichi po raz pierwszy zobaczył uśmiech senhory.

- Tak. Oczywiście. Tak jak ja sprawiłam ci dzisiaj przyjemność? _ Dokładnie w ten sam sposób. - Podniósł jej dłoń znad swojego ciała i pocałował. - Czy nie obchodzi cię los twojej córki? Położyła się na plecach, patrząc na łukowe sklepienie komnaty. _ Dawno, dawno temu - gdy zaczęła opowiadać, jej głos spowiły woale przeszłości - byłam niezależną kobietą. Pływałam po morzach na własnym okręcie, walczyłam, zabierałam, co chciałam, dowodziłam ponad trzydziestoosobową załogą, całkowicie oddaną tylko mnie jednej. Czy jesteś tym zdziwiony? - Rzuciła szybkie spojrzenie w jego stronę.

- Raczej nie. W twojej duszy szaleje burza. Cały czas, gdy się kochaliśmy, czułem potężną falę emocji, która mnie otaczała. Jesteś zbyt silna, by być znana jako żona pewnego mężczyzny, niezależnie od jego wpływów i bogactw.

Senhora odwróciła wzrok i ciągnęła swoją historię. - Byłam szczęśliwa, a jednocześnie przepełniona jakimś niewy-tłumaczalnym smutkiem, który nachodził mnie, gdy szłam spać. Doszło do tego, że zaczęłam bać się nocy, a później je zniechęcałam. Nie potrafiłam pozostać w kabinie, napastowana przez nie nazwany strach. Chodziłam więc po pokładzie, unikając stojącej na wachcie załogi. Jedynie bosman wiedział o moich kłopotach. Przyniósł mi kubek grogu, gdy po raz pierwszy zobaczył, jak krążę po okręcie. Potem przynosił go każdej nocy. To nieco pomagało. Gdy stałam tak sama w środku nocy, czułam, że światło gwiazd i księżycy może mnie oczyścić. W głowie miałam jednak tylko jedną myśl: to za mało. Lecz czego pragnęłam? Na gałęziach rozłożystej sosny, stojącej w ogrodzie za otwartymi oknami, przysiadł słowik i zaczął śpiewać. Odwracając się przez ramię, Moichi zauważył sierp księżycy, cieniutki niczym plaster melona podany pod koniec przyjęcia. Ponad czubkami drzew migotało większe skupisko gwiazd, fragment rzeki niebios, którą znali wszyscy marynarze tego świata.

- Szybko doszłam do wniosku, że pragnę więcej pieniędzy. Ukoiliam smutek, zawierając układ z osobą, którą spotkałam w odległym porcie nad brzegami rzeki bez nazwy. Zawarliśmy układ. Dała mi wiele... narzędzi, które były bardzo przydatne, tak że w ciągu jednego sezonu zebrałam więcej pieniędzy niż przez poprzednie osiem czy dziewięć sezonów razem. Znow mogłam spać w nocy. Byłam pewna, że znalazłam lek na moje kłopoty. Partnerka brała oczywiście połowę łupu, ale to mnie nie martwiło, gdyż mój statek i tak pływał głęboko zanurzony, obciążony przez złoto, srebro i kamienie szlachetne, które zdobyłam. Trwało to wiele sezonów. Początkowo łatwość pracy zaskakiwała mnie, ale z czasem uznałam to za najzwyczajszą rzecz na świecie. Dość szybko okazało się jednak, że znow nie mogę spać po nocach. Leżałam w kabinie, płacząc w ciemności. Okazało się, że bogactwo nie było jednak lekarstwem, którego tak pragnęłam. Gdy mówiła, Moichi obserwował jej piersi, rytmicznie unoszące się i opadające. Cienie rysowały na jej twarzy tajemnicze wzory. - Moja partnerka zaczęła żądać ode mnie różnych rzeczy, można powiedzieć, że miała dla mnie zadania do wykonania. Część z nich nie sprawiała mi żadnych kłopotów, co do niektórych miałam jednak poważne wątpliwości. Ponieważ bardzo nalegała, znalazłam się nagle w niewygodnej sytuacji. Zmuszona do wykonywania rzeczy wbrew swojej woli czułam, że podlegam manipulacji. Nieopisany strach znow schwycił mnie w swoje sidła, aż w końcu nie byłam w stanie znieść bólu, który rozsadał mi czaszkę. Udałam się do partnerki i powiedziałam, że praca przerasta moje siły. Ona tylko się roześmiała. Splunęła na mnie i spytała, czy nie wiem, że wszyscy, którzy dla niej pracują, robią to do końca życia. Wytłumaczyłam, że nie zniosę pracy dla niej nawet chwili dłużej, i rzuciłam jej pod nogi wszystkie wypełnione tajemną mocą przedmioty, które mi kiedyś dała. Była wściekła. Potrząsnęła pięścią w moją stronę, mówiąc, że mogłaby mnie zabić na miejscu. Nie uczyniła tego, obiecując jednak, że pewnego dnia przypomnę sobie tamtą chwilę i pożałuję, że wtedy nie zginęłam. Spojrzała na Moichiego, odwracając się od światła, a jej zielone oczy stały się czarne niczym noc.

- Musiałam odjechać, gdyż zrozumiałam wreszcie, co jest przyczyną mego niepokoju. Widzisz, ja go opuściłam. Cóż, musiałam, wymagała tego moja praca. Wreszcie zrozumiałam, że to za nim tak strasznie tęskniłam, że co noc rana na moim sercu pulsowała bólem. Oczywiście już nigdy więcej go nie zobaczyłam. Zawsze tak się dzieje, świat jest zbyt wielki. Poza tym zbyt dużo czasu minęło, by jakiegokolwiek poszukiwania miały sens. Porzuciwszy więc moją partnerkę, udałam się na ląd w poszukiwaniu mężczyzny, który mógłby uczynić mnie szczęśliwą. W końcu spotkałam Milhosa Seguillasa i od tego czasu nie wypłynęłam już na morze. - Zamilkła. Choć historia była fascynująca, Moichi zaczął się zastanawiać, jaki ma to związek z Aufeyą. - Nie chcę, aby moja córka popełniła te same błędy - dodała.

- Boję się, że w takich sytuacjach niewiele można zrobić. Życie jest czasem jedynym dobrym nauczycielem.

- Tak, sama też to odkryłam. W dość niemiły sposób.

- Jak to?

Usiadła na łóżku, jak gdyby kłębiące się emocje nie pozwalały jej spokojnie leżeć.

- Między nami, Aufeyą i mną, nie panowały najlepsze stosunki. Trwało to dość długi czas. Tuż przed jej wyjazdem, rzeczy które mówiłyśmy, gdy z rzadka odezwałyśmy się do siebie, nie były zbyt miłe. W kółko się kłóciliśmy.

- O co?

Odwróciła na chwilę głowę, a jej gęste włosy opadły na ramiona. - Cóż, o to, o co zwykle kłóci się matka z córką. Wszystko, dosłownie wszystko mogło doprowadzić do sprzeczki. - Czemu więc uciekła?

Senhora zamilkła, po czym odwróciła się od Moichiego.

Wyciągnął rękę i dotknął jej szyi.

- Ona uciekła, prawda?

187

- Nie chcę o tym mówić.

Czuł, jak napięcie przelewa się w każdy mięsień jej ciała. - Myślę, że jednak chcesz - szepnął łagodnym tonem. - Chcesz o tym porozmawiać, i to bardzo.

Przysunęła się do niego i ten ruch, choć drobny, znaczył bardzo wiele. Poczul drganie i zdał sobie sprawę, że senhora płacze bezgłośnie, być może zawstydzona, że widzi ją w takim stanie, całkowicie odsłoniętą i bezbronną.

Powoli objął ją ramieniem i przytulił do siebie. Kołysał nią delikatnie, czekając, aż powie coś więcej.

W końcu senhora podjęła wątek.

- Widzisz, byłam w Corrunii bardzo krótko, zanim poznałam Milhosa. Przedtem, tuż przed przyjazdem tutaj, byłam w Rhein Tudesca, spełniając ostatnie z poleceń mojej partnerki. Spotkałam tam mężczyznę, bardzo tajemniczego, pełnego wewnętrznego magnetyzmu i pięknego. W porcie spędzałam z nim cały wolny czas. Nazywał się Hellsturm.

Na zewnątrz słowik skończył swoją pieśń; nawet ciemność jakby wstrzymała oddech. Moichiemu wydawało się, że wszystko, co dotąd ich otaczało, oddaliło się o miliony mil, odpłynęło do innego wszechświata, w którym ludzie kochają się i śmieją, cieszą się ze wspólnego obiadu, popołudniowej sjesty czy choćby cichego spaceru wzdłuż morza. Przebywał w miejscu, do którego niepostrzeżenie wdarł się chłód. Teraz spowijał ich, jak błoniaste skrzydła potwora, które starały się objąć daluzyjską rodzinę na wiszącym nad nim obrazie.

- Wiele sezonów później przyjechał do Corrunii, gdyż usłyszał, że tam się udałam, gdy go opuściłam. Ja w tym czasie byłam już żoną Milhosa, którego bardzo kochałam. To najwyraźniej nie sprawiało Hellsturmowi żadnej różnicy, gdyż nadal mnie pragnął. Był uparty, ale udało mi się go w końcu zmusić do zostawienia mnie w spokoju. Spędziłam z nim jedną noc, lecz Milhos się o tym nie dowiedział. Był człowiekiem honoru, więc nie miałam wątpliwości, jak zareagowałby na taką wiadomość. Życie jednak toczyło 188 się dalej i z wielu powodów zapomniałam o Hellsturmie. Zaszłam w ciążę i urodziłam Aufeyę. Zarówno ja, jak i Milhos byliśmy zachwyceni. Córka rosła, a dla nas czas zaczął płynąć szybciej. Potem Hellsturm nagle powrócił. Było tak, jakby wyszedł z mgieł wiszących poza czasem; wszystko zaczęło się na nowo. Z tą tylko różnicą, że żyła już Aufeya. - Senhora przyłożyła ręce do twarzy, piękne długie palce i błyszczące w ciemności paznokcie. Gdy odsunęła dłonie, jej oczy wyglądały jak nawiedzone, ich zieleń wyblakła. - Była w

wieku, w którym wszystko wydaje się skomplikowane. Moja Aufeya jest niesamowicie piękną dziewczyną, wtedy jej uroda dopiero dojrzewała. Jest szalona, wtedy tym bardziej taka była. Pragnęła być kobietą, uwielbiała mieć wokół siebie tylu mężczyzn, ilu tylko mogła utrzymać. Było ich całkiem sporo. Usilnie przeciw temu protestowałam, nieustannie odsyłałam ich, gdy tu przychodzili. Była za to na mnie wściekła. Uważałam, że nie ma racji. Sama w jej wieku byłam dość szalona, więc ani trochę nie zazdrościłam Aufei jej szaleństw. Nie miałam jednak rodziców, przez co tak często wpadałam w tarapaty, że później nieraz się dziwiłam, jak w ogóle udało mi się zostać kobietą. Nie mogłam pozwolić, by Aufeya była narażona na podobne niebez-pieczeństwa. Jednak wszystkie moje usiłowania miały efekt przeciwny do zamierzonego. Bez przerwy się kłóciłyśmy. Na dodatek Hellsturm zjawił się dokładnie wtedy, znów pragnąc tego samego. Tym razem zdecydowanie mu odmówiłam; powiedziałam, że nie wchodzi to w rachubę. Myślałam tamtej nocy, pewnie nieco naiwnie, że pozbędę się go na zawsze.

Przejechała palcami włosy i uniosła głowę, a wtedy Moichi ujrzał plamki w jej oczach, błyszczące jak złoto.

- Zaczął omotywać Aufeyę. Spotykał się z nią w szkole, w mercadzie, w tawernie, miejsc było wiele. Mówił jej wiele rzeczy, niektóre zapewne miały jakiś związek z prawdą. Hellsturm potrafi wszystko przekręcić, tak by służyło jego celom. Jest złotousty, to trzeba mu przyznać. Łatwo odgadnąć, co się stało potem. Uwiódł ją tak, jak wiele sezonów wcześniej uczynił to ze

189

I 1

mną. Jednocześnie zatrął jej umysł. Aufeya zupełnie mnie zniena-widziała. Odjechała z nim, Dihos jeden wie dokąd. Wtedy widziałam ją ostatni raz.

- A co się stało z senhorem? - zapytał cicho Moichi. - Oczywiście musiałam mu o wszystkim powiedzieć. - Zatrzęsa się. - Miał porywczy charakter, a w dodatku był niesamowicie dumny. Wyzwał Hellsturma na pojedynek.

Moichi przypomniał sobie słowa Armazona. Czy bosman mógł mieć rację? Czy senhora mogła być w zмовie z Hellsturmem przeciw Milhosowi Seguillasowi? Ale z jakiego powodu? Istniała tylko jedna możliwa odpowiedź. Senhora kochała swego męża, ale być może bardziej kochała córkę.

- Dihos, byłam przerażona! Znałam Hellsturma dobrze, więc wiedziałam, że Milhos nie ma szans na przeżycie, choć sam był dobrym szermierzem. Próbowałam go odwieść od tego pojedynku. Płakałam, krzyczałam, groziłam. Na darmo. Nie miałam jeszcze wtedy pojęcia, jak święte są dla Daluzyczyków pojedynki. Gdy wyzwanie zostało rzucone, nie było już sposobu, żeby się wycofać, nawet gdyby Milhos bardzo tego pragnął. A przecież wcale nie chciał. Sytuacja była bez wyjścia. - Senhora przerwała, jak gdyby doszła do końca swej opowieści.

- Mów dalej - poprosił.

- Nie ma już o czym mówić. Milhos spotkał się z Hellsturmem i zginął.

Moichi wsłuchał się w ciszę nocy, którą raz tylko przerwał delikatny łopot skrzydeł. Zastanawiał się, czy aby nie nadciąga burza. Przebywając w pokoju, nie wiedział, czy zmienił się kierunek wiatru.

- Muszę się przyznać, że słyszałem już wcześniej o tym pojedynku.

Senhora wygładzała ręką narzutę, wyrównując nie istniejące zmarszczki.

- Na pokładzie lorchy - ciągnął, próbując zwrócić na siebie jej uwagę. - Wtedy poznałem nieco inne zakończenie tej historii.

i on

- Naprawdę? - Nawet się nie odwróciła.

_ Powiedziano mi... że pojedynek nie był uczciwy.

- Ileż to razy pragnęłam, by tak było. - Zaśmiała się ponuro. _ Wtedy miałabym prawo dopaść Hellsturma i go zabić. Całą duszą nienawidzę tego mężczyzny.

- Ale zabrał przecież twoją córkę.

- Dobrowolnie z nim odjechała.

- Wy tłumacz mi więc, czemu tak bardzo się go bała, gdy ją pierwszy raz spotkałem? „Ściga mnie przez dziesiątki tysięcy mil”, tak mi powiedziała.

- Ludzie zmieniają się. Może wydorosłała. Teraz wie, jak okrutni bywają ludzie.

- Mówiono, że otrułaś swego męża, by pomóc Hellsturmowi wygrać pojedynek. - Moichi powrócił do poprzedniego pytania. - Co? - Senhora odwróciła głowę. - Kto powiedział ci takie kłamstwo?

- Armazón.

- Ach. Mogłam się tego domyślić.

- Nie mogę tego za nic zrozumieć.

- Dla mnie jest to bardzo proste, Moichi.

- Był wiernym sługą senhora.

- Tak. - Pokiwała głową. - Był też beznadziejnie we mnie zakochany.

JVameleon. Na tym to polegało.

Bujuni doskonale potrafili obserwować przyrodę i uczyć się od niej. Kameleon jest zwierzęciem mało agresywnym, nie potrafi też uciec wielu drapieżnikom. Natura dała mu jednak wyjątkową zdolność zlewania się barwą ze swoim otoczeniem.

Bujuni wykonujący misje szpiegowskie naśladowali kameleony. Wiedziała jednak, że tym razem naśladowanie małego zwierzęcia nie zda się na wiele.

Czegoś brakowało w jej otoczeniu.

By móc zmieszać się z tłumem, potrzebne było owo tło.

W Sha'angh'sei lub jej rodzinnym Eido nie miałyby z tym kłopotu.

Ale nie w w Corrunii.

Potrzebowała innych ludzi, a w pobliżu nie było nikogo.

Więc ta metoda okazała się zupełnie nieprzydatna. Ranny Tudeskanin zawiedzie ją do swojej bazy tylko wtedy, gdy będzie całkowicie pewny, że nie jest śledzony. Ciężka wątpliwość spowoduje, że naprowadzi ją na fałszywy trop. Oczywiście w dzień ulice są bardziej zapelnione niż w nocy.

Jednak takie miasta, jak Sha'angh'sei czy Eido, nigdy nie śpią; nawet w środku nocy jest wystarczająco dużo ludzi na ulicach. Inaczej było w Corrunii.

Mógł ją zdradzić choćby odgłos kroków. Z każdą chwilą wzrastało ryzyko, że mężczyzna zauważy jej obecność. Jeszcze tylko jedno jej pozostało.

Przeniosła się ponad poziom ulicy.

JVloichi wstał z łóżka, podszedł do okna, wychylił głowę i wciągnął zapach nocnego powietrza.

Czerwonoskrzydły kos odleciał spod okna, przestraszony. Burza rzeczywiście nadchodziła, od zachodu. Moichi wsunął głowę, cały czas bacząc, by stać tyłem do obrazu, który ciągle przyprawiał go o dreszcz. - Może się pokłócili. - Miał na myśli Aufeyę i Hellsturma.

- Mam taką nadzieję. Znając ich, jest to całkiem prawdopodobne. - Podchodzisz do tego wyjątkowo spokojnie. - Odwrócił się w stronę kobiety.

- Zupełnie nie znasz mojej córki, Moichi. - Jej ciemne oczy przez moment uważnie mu się przyglądały. - Zaczyna kłótnie tak często, jak chmura deszczowa zsyła deszcz.

- Tutaj nie chodzi o kłótnię - odparł. - Ona była wyraźnie przerażona. Torturował, a potem zabił Cascarasa. Przyjaciela Aufeyi.

- Cóż, wszystko więc jasne. Hellsturm bywa bardzo zazdrosny, jeśli chodzi o kobiety.

- Powiedziała mi: „Teraz już tylko ja zostałam”. Dobrze pamiętam, dokładnie to powiedziała. W każdym razie Cascaras był wystarczająco stary, by być jej ojcem.

- Mogę cię zapewnić, że takie rzeczy nie stanowiły dla niej problemu.

- Na Boga, senhora, nie rozumiem cię! - krzyknął.

- Chyba rzeczywiście, kochanie. - Przyciągnęła go do siebie.

- Chodź do mnie.

- Czego chcesz?

- A jak myślisz?

Uklękła na łóżku. Pocałował otwarte usta, po czym obsypał pocałunkami smukłą szyję. Nie potrafił się jej oprzeć. Nie chodziło tu tylko o wspaniałe ciało. Znał wiele równie atrakcyjnych kobiet. Miała jednak wokół siebie aurę, której niemal można było dotknąć; był to rodzaj erotycznej intensywności, która przemawiała wprost do samej głębi duszy mężczyzny.

- Mmmm - jęknęła. - Kochasz się w Aufei. - Powiedziała to chwilę później.

Uniósł natychmiast głowę i spojrzał senhorze prosto w oczy.

- Czemu tak sądzisz?

- Matka zawsze wie takie rzeczy. - Zaśmiała się przychylnie.

- Musisz mieć niezłą zabawę. - Odsunął się od niej. - Czy to źle? - Uśmiechnęła się. - Już od dawna tak dobrze się nie bawiłam. - Jej dłonie sięgnęły w jego stronę. - A ty, czy możesz mi szczerze powiedzieć, że ten wieczór nie sprawił ci przyjemności?

- Nie mogę. Ale wiesz dobrze, o co mi chodzi. - Tak - odparła. Zauważył nagły błysk w jej oczach.

- Wiem, i to aż za dobrze. Musisz mi jednak w jednej kwestii zaufać. Aufei nic nie grozi. Hellsturm jej nie skrzywdzi.

- Jak możesz być tego taka pewna?

- Ponieważ obiecałam, że do niego powrócę - odparła cicho. JNajwiększy problem stanowił w tej chwili księżyc, to się pojawiający, to znów znikający za chmurami.

Pędzące z północnego zachodu obłoki przesłaniały srebrny sierp księżyca, który migotał nieregularnie.

Poza tym w nocy ludzkie oko słabiej rozróżniało kolory, przez co perspektywa zmieniała się i odległości były trudne do oszacowania nawet przy dobrej pogodzie.

W tej chwili zdawały się większe niż w rzeczywistości. Chiisai była cały czas w ruchu, zmuszając mózg do wyczerpanej pracy. Prawdziwe niebezpieczeństwo stanowiły krawędzie domów.

Pędziła po płaskim dachu, zwalniając przed niskim parapetem. Księżyc ponownie schował się za chmurą, a cienie zniekształcały przestrzeń między dwoma budynkami. Musiała dokonywać poprawek w biegu.

Przeskoczyła ponad niewielką szczeliną. Podczas lądowania uderzyła w niewielki kamień i natychmiast potoczyła się dalej, zwiijając ciało w zgrabną kulę. Upadek pozwolił wytracić prędkość; natychmiast była znów na nogach, bezgłośnie przemykając między chmurą nietoperzy unoszącą się nad dachem.

Nawet na moment nie spuszczała wzroku z Tudeskanina. Ranny mężczyzna znał kilka sztuczek: zatrzymywał się nagle i sprawdzał, czy nie jest śledzony, lub chował się w cieniu wnęk drzwiowych. Nie miał jednak szansy zauważyć ścigającej go po dachach wojowniczk.

Tak podążali przez labirynt, jaki tworzyła Corruna. Myśliwy i jego ofiara.

I o jeden z elementów układu, który zawarliśmy - powiedziała.

Nie może jej teraz nawet dotknąć.

- Przecież ci powiedziałem, że już to uczynił.

- To niemożliwe.

- Więc coś musiało się zmienić. Być może o czymś nie wiesz.

- Nie złamałby umowy z osobą, na której tak mu zależy.

10/I

Moichi, zaniepokojony, wrócił do okna i zaczął się rozglądać za księżycem. Był tylko jasną plamką na powierzchni pasa niewielkich cuniulusów, naddciągających niczym stado owiec z północnego zachodu.

Idzie burza, to pewne - pomyślał.

Zbliżała się północ.

- Muszę iść - powiedział.

- Wrócisz tu jeszcze? - Wydała mu się nagle taka mała w tym pokoju o suficie jak w katedrze i z okropnym obrazem na ścianie. - Oczywiście - odpowiedział. - Jak mógłbym tu nie wrócić?

Przyjdę znowu, jednak już nie tej nocy.

- W takim razie przyjdź rano.

- Dobrze.

Odwróciła się w jego stronę, w jej oczach rysował się strach.

Moichi ze zdziwieniem dostrzegł w nich Aufeyę. - Obiecuj mi, że wrócisz, Moichi. - Z całej siły zacisnęła palce na jego ramieniu. - Tylko ty teraz dla mnie istniejesz. - Ja...

- Nie jesteś więc moim przyjacielem? - spytała zdesperowana.

- Czy ten wieczór tak niewiele dla ciebie znaczył? - Znaczył, i to wiele. - Moichi odniósł wrażenie, że nie do końca przejrzał tę kobietę. Otrzymał dar, coś bardzo cennego, co senhora ukrywała niemal przed wszystkimi. Oprócz Hellsturma, jak się okazało. Co za ironia losu! Można by się wręcz roześmiać, gdyby nie było to tak strasznie tragiczne. Miłość, jaką ta kobieta darzyła swą córkę, wydawała się zaiste ogromna. Teraz on miał wykonać ruch. Mógł przyjąć ten dar lub go odrzucić. - Wiele dla mnie znaczy. Zawsze już taki będzie.

- Jesteśmy przyjaciółmi.

- Czynisz mi wielki honor, senhora. - Formuła wydała mu się zbyt oficjalna, gdy wspomniał wspólnie spędzony wieczór. Wiedział jednak dobrze, że łatwo jest skłonić ciało do działania. Zaangażowanie w nie także ducha to zupełnie inna kwestia. Nie można go zmusić, można jedynie zepsuć.

1CK

Zbliżyli się do siebie jakby na znak, całując się niewinnie w usta. Moichi czuł w głębi, jak jej dusza wiruje, zbliżając się w stronę jego własnej, wychodzącej naprzeciw. Tańczyli. Wokół nich w pokoju panował bezruch.

Potem rozłączyli się: ona - by włożyć szlafrok, on - by się ubrać przed wyjściem na ulicę.

Stając w drzwiach, zadał jej ostatnie pytanie.

- Czemu ten obraz tu wisi?

- Przedstawia diablurę. Słyszałeś o nim? Nie? Według wiary daluzyjskiej diablura jest starożytnym władcą nocy, cesarzem zła. - Diabłem.

- Tak, diabłem.

- Ale czemu wisi tutaj?

- Bym nigdy nie zapomniała.

Usiądź obok mnie, maleńka - powiedział Dai-San. To właśnie znaczyło imię Chiisai. Znajdowali się w pałacu kunshina, tuż pod miastem Eido, stolicą Ama-no-mori.

- Czy pomyślałaś, jak spędzisz swoje życie?

Spojrzała na niego. Był już w Ama-no-mori od jakiegoś czasu, ale Chiisai ciągle fascynowała jego dziwna twarz o zupełnie nietypowych rysach. Za każdym razem, gdy myślała, że na zawsze ją zapamiętała, patrzyła ponownie i odkrywała, że twarz jest inna niż ta zatrzymana w pamięci. Nawet jeśli ostatni raz widziała Dai-Sana zaledwie przed kilkoma godzinami. Czasem zmiana była niewielka, czasem różnice okazywały się ogromne. Innych Dai-San mógł przerażać niczym bóg, który w cielesnej postaci przybył na ziemię. Możliwe, że taka była prawdziwa natura Dai-Sana. Dla niej był kimś więcej. Był jej bratem. Bratem, którego nigdy nie miała, ale zawsze pragnęła. - Czy bawisz się teraz w mojego ojca? - spytała na wpół serio. Uśmiechnął się w swój tajemniczy sposób. Zdała sobie sprawę, jak bardzo cieszy ją jego przyjaźń i miłość. Dai-San wstał; wyprostowany górował nad nią niczym olbrzym. Ujął jej rękę;

Chiisai poczuła szorstką skórę rękawicy bojowej. - Wyjdziemy na zewnątrz. - Zdanie zawierające pytanie zostało wypowiedziane jak stwierdzenie.

Właśnie minęło południe. Cytrynowożółte słońce zalewało ich falami żaru. Zewsząd dobiegały przenikliwe głosy cykad, a szare koniki polne skakały, kryjąc się w wysokiej trawie. Na horyzoncie rysowała się linia modrzewi i wysokich sosen o igłach jak miecze. Dalej delikatna mgiełka przesłaniała fioletowe zbocza Fujiwary. Chiisai wiedziała, że u stóp góry stała dopiero co ukończona świątynia. Wzniesiono ją w miejscu, gdzie stał zamek Haneda, zburzony podczas niszycielskiej walki dor-Sefritha z Dolmanem. To właśnie tam narodził się wówczas Dai-San. - Czy jesteś tu szczęśliwa? - Mówił doskonale po bujuńsku, choć niewielu Bujunów nadal uczyło się tego starożytnego języka. Nietypowa budowa ust nadawała jednak jego wymowie dziwny akcent. Chiisai potrzebowała więc nieco czasu, aby zrozumieć jego słowa.

Zastanawiała się, czemu używa starej mowy, choć jako córka kunshina także знаła ten język. Pragnęła wiedzieć, czego od niej chce, albo przynajmniej - co pragnie usłyszeć. - Powiedz mi prawdę, maleńka - dodał, jakby czytał w jej myślach. - Wszystko poza nią się nie liczy.

- Dobrze. - Była mu wdzięczna, gdyż zdjął z jej barków wielki ciężar. Czowała, że topnieje pod jego uważnym spojrzeniem, które jednocześnie nie pozwalało jej ruszyć się z miejsca ani zmienić tematu. - Nie, nie jestem.

- Rozumiem cię. - Pokiwał głową.

- Naprawdę? - Nie wierzyła, że ktokolwiek ją zrozumie. Dlatego dotąd kryła ten fakt, częściowo nawet przed samą sobą. - Och, tak! - Jego głos zabrzmiał jak grzmot przetaczający się po rozległej równinie. - Dobrze znam smak niepokoju, który cię opanował. Nie było powodu, by to ukrywać, maleńka.

107

- Ale mój ojciec...

- Moja droga, twój ojciec dobrze rozumie takie sprawy. Kazał mi z tobą o tym porozmawiać, gdyż dobrze zna siłę bujuńskich tradycji.

- Nie potrafiłabym powiedzieć mu tego w wprost.

- Spodziewał się takiej odpowiedzi.

- Chcę stąd wyjechać. - Po raz pierwszy w pełni zdała sobie z tego sprawę. - Ale nie chcę, aby pomyślał, że go opuszczam. - Jestem pewien, że na myśl o twojej radości rozwieją się wszelkie smutki w jego sercu. Dobrze, musimy więc ustalić, dokąd chcesz pojechać.

- Ja... cóż, właściwie nie mam pojęcia.

- Miałaś coś przeciwko rejsowi do Sha'angh'sei? Przypominając sobie tamtą chwilę, słysząc w umyśle jego głos, wiedziała, że to, co wtedy mówił, pozbawione było wszelkich podtekstów i ukrytych znaczeń.

Zachwycona, natychmiast przyjęła jego propozycję. - Maleńka, gdy już tam przybędziesz, chcę, żebyś spotkała się z moim przyjacielem - powiedział. - Musiałś często słyszeć, jak o nim mówiłem. Jest dla mnie jak brat, choć nie łączy nas krew. - Moichi...

- Tak, Moichi Annai-Nin. To bardzo ważne, maleńka. Chcę, byś spotkała się z Moichim Annai-Ninem. Chcę, byś przekazała mu dary ode mnie.

- Jak długo pozostanę w Sha'angh'sei? - spytała. Spojrzał w jej stronę. Padające pod dziwnym kątem słońce sprawiło, że wyglądał wyjątkowo pięknie i tajemniczo. - To zależy tylko od ciebie, ale wyobrażam sobie, że zechcesz tam pozostać przez dłuższy czas.

Teraz, sunąc nad dachami Corrunii niczym nietoperz w ludzkim ciele, Chiisai myślała o tamtym spotkaniu. Przynajmniej raz Dai-San się mylił; nie pozostała w Sha'angh'sei nawet chwili. Jednak teraz w obcym mieście nie czuła się samotna ani przestraszona. Wypełniało ją ciepłe podniecenie, w pełni cieszyła się życiem. Czy to z tego powodu przybyła na kontynent człowieka? Czy tylko za sprawą zwykłego trafu znalazła się w Sha'angh'sei? Największy port na kontynencie nieprzypadkowo był najbliższy Ama-no-mori. Nie zapomniała, że Dai-San sam jej zaproponował to właśnie miasto. Nigdy nie zakwestionowała jego decyzji. Ona, tylko ona sama była panią swego losu. Cały czas była wolna i mogła wybrać dowolne miejsce na świecie. Wybrała Sha'angh'sei. A może nie wybrała?

Ostatnie słowa Dai-Sana odbijały się echem w jej głowie.

„Wyobrażam sobie, że zechcesz tam pozostać przez dłuższy czas”.

Czy Dai-San wiedział o czymś, o czym ona nie wiedziała? Postanowiła odłożyć na później rozmyślanie. Musiała się skupić na bardziej palącej kwestii.

Znajdowali się w zachodniej części Corrunii. Tudeskanin, choć często skręcał i zmieniał ulice, wyraźnie podążał niemal dokładnie na zachód. Przemierzając się w tym tempie szybko zostawiają miasto za plecami.

Spojrzała w górę, chcąc ocenić czas według pozycji księżyca. Był tylko błyszczącą plamą w paśmie chmur, które nadciągały z coraz większą prędkością z północnego zachodu. Może być burza - pomyślała. Miała głęboką nadzieję, że nie nadejdzie, dopóki Tudeskanin nie dotrze do celu.

Mężczyzna nadal szedł na zachód. Wiedziała, że nie zdąży na spotkanie z Moichim, jeśli natychmiast nie przerwie pogoni. Strużka potu pojawiła się na jej czole i nad górną wargą. Ścierając je, przypomniała sobie o Martynie. Modliła się do bogów, by kobieta zwyciężyła w walce z Tudeskanami. Wtedy zjawiłaby się zamiast niej na Calle Córdel.

Tudeskanin zwolnił i po raz ostatni uważnie rozejrzał się na wszystkie strony. Byli na miejscu. Zaczekała, aż mężczyzna przestanie się rozglądać, i za jego plecami zsunęła się z dachu na ulicę. Na szczęście słabo oświetlone zaułki zniechęciły Tudeskanina do dokładnego ich zbadania.

Znajdowali się w części miasta gęsto zabudowanej piętrowymi budynkami - wyższe w Corrunii były jedynie iglesje. Domy nie miały okien, a ich dachy były płaskie i nie ozdobione. Magazyny - oceniła Chiisai, wiedząc, że na zachód od Corrunii spotykały się główne szlaki kupieckie, wiodące do innych miast daluzyjskich i odległych obcych krain.

Po raz pierwszy zobaczyła rodziny śpiące na ulicy, ludzi opartych o ściany lub kulących się we wnękach. Byli to najemni robotnicy, którzy wstawali tuż przed wschodem słońca. Wychodzili naprzeciw nadciągającym karawanom, by za parę miedziaków rozładować rozliczne dobra i

przenieść je na plecach do pobliskich magazynów. Szła ostrożnie między śpiącymi w ślad za rannym Tudeskaninem. Wreszcie dotarli do rozległego podwórza, na którym stała niewielka karawana, może sześć wielbłądów gotowych do drogi. Zwierzęta czekały spokojnie w cieniu wysokiej zachodniej bramy miasta. Tudeskanin podszedł do grupy mężczyzn grzejących się przy niewielkim ognisku. Było tak cicho, że Chiisai nie odważyła się podejść bliżej - nie słyszała więc ich słów. Podczołgała się jednak nieco do przodu, by lepiej widzieć, co się dzieje. Jeden z mężczyzn rozłożył na ziemi koc dla rannego i zaczął go opatrywać. Drugi tymczasem ukląkł obok jego głowy i najwyraźniej zaczął wypytywać. Nagle klęczący poruszył się gwałtownie, krzyknął coś niewyraźnie i poderwał rannego na nogi. Musiał być niesamowicie silny. Krzyknął ponownie; Chiisai zorientowała się, że ktoś porusza się za jej plecami. Odwróciwszy się, ujrzała parę ogromnych oczu spoglądających na nią z niewielkiej twarzy. Była to mała dziewczynka, dziecko jednej z rodzin cambujo, które spały na pobliskich ulicach. Hałas obudził ją i zaciekawiona wychyliła głowę. Chiisai szybko skierowała spojrzenie z powrotem ku karawanie. Zobaczyła błysk metalu. Krzyżący mężczyzna wbił nóż w brzuch rannego towarzysza. Potem kopnął martwe ciało, jakby było najwyżej kupą śmiecia. Czy to mógł być Hellsturm? Nie przyjął zbyt pogodnie porażki swoich zbirów.

Chiisai czuła, że dziecko zbliżyło się do niej. Trzęsło się z zimna. Obróciła się nieco i uniosła prawe ramię, a dziewczynka przylgnęła do jej ciepłego boku. Bujunka owinęła małą swoim płaszczem.

Widząc, co się dzieje w obozowisku, zrozumiała, że ma niewiele czasu na podjęcie decyzji. Wszyscy mężczyźni wstali. Jeden z nich kopniakiem zgasił ognisko. Inny zarzucił płócienne juki na grzbiety wszystkich wielbłądów. Zwierzęta właśnie kończyły posiłek. Wiedziała, że karawana wyruszy, gdy tylko się najedzą. Spojrzała na trzęsącą się dziewczynkę, przykucniętą obok, po czym znów na karawanę. Wyciągnęła z sakwy trzy miedziane monety i pokazała je małej. Potem wcisnęła monety do niewielkiej rączki, zaciskając wokół nich palce dziecka.

Dziewczynka uniosła głowę i zdumiona patrzyła na Chiisai. Ta przycisnęła twarz do jej ucha i długo szeptała. Duże oczy dziecka były ciemne niczym obsydian.

- Wiesz, dokąd pójść? - szepnęła po daluzyjsku Chiisai.

Dziewczynka pokiwała głową.

- Musisz wyruszyć teraz - dodała Chiisai. - Jak mam na imię? - Chiisai. - Dziecko uśmiechnęło się do kobiety o dziwnej twarzy. - Chiisai jedzie na północny zachód.

Na skraju wód

Loichi dotarł na całkowicie opustoszałą Calle Córdel. Było tuż przed północą, sądząc po księżycu, którego tarcza coraz słabiej prześwitywała przez powłokę chmur. Wciągnął woń powietrza czując, że nadchodzi.

Sztorm.

Otulił się szczelniej daluzyjskim płaszczem. Nabierający prędkości wiatr odchyłał jego poły, odsłaniając jedwabne podszycie. Czy należał kiedyś do Milhosa Seguillasa? Jeśli tak, to senhora dała mu iście wspaniały prezent. Była tak szlachetna... Rozejrzał się dokoła. Zatrzaśnięte drzwi i ciemne okna. Jedyne kilka migających latarni.

Gdzie się podziewała Chiisai?

Spojrzał odruchowo w górę, ale po księżycu nie było już nawet śladu. Zdało mu się, że słyszy grzmot przetaczający się w oddali. Chudy szary pies ze zmierzwioną sierścią, który biegł skrajem ulicy, zatrzymał się, rozejrzał, podniósł nogę i obsikał ścianę budynku. Odwrócił się, powąchał zostawiony ślad i ruszył znów przed siebie, z nosem przy ziemi, w poszukiwaniu jedzenia. Drzewa śpiewały swoją tajemniczą pieśń, pochylając się delikatnie.

Było już po północy.

Czy coś mogło jej się stać?

Odwrócił się, słysząc wyraźny dźwięk podeszew uderzających o bruk. Ucichły, by po chwili odezwać się ponownie. Na ulicę wyszła kobieta, wysoka i o długiej szyi. Jej twarz skrywały cienie. Zatrzymała się na widok nawigatora. Nie wydawała się prze-straszona, choć zachowywała ostrożność.

Zauważył broń, którą dzierżyła w lewej ręce.

- Kim jesteś? - spytał.

Kobieta wciąż stała na środku ulicy, milcząc. Wokół nie było nikogo innego.

Przysunął się o krok. Było tak ciemno, że nie widział, z kim rozmawia, a to mu się nie podobało.

Kobieta trzymała trójkątny nóż, lekko uniesiony do góry.

Pokazywała, że jest gotowa w każdej chwili go użyć. - Nie zbliżaj się - ostrzegła. Jej słowa niosły się w ciszy nocy, nabierając dziwnego pogłosu.

Poczuł, jak gwałtownie zmienia się ciśnienie powietrza. Wyraźnie słyszał przybliżające się odgłosy grzmotów. Przesunął wzrok z mrocznej powierzchni jej twarzy na ostrze sztyletu. Było ciemne i błyszczące. Krew. Kobieta niedawno z kimś walczyła. - Czy potrzebujesz pomocy? - spytał.

Stała dalej, nieruchoma i milcząca niczym posąg.

- Czy jesteś ranna?

- Nic mi nie jest - powiedziała po jakimś czasie. - Zostaw mnie w spokoju albo będę musiała... -

Ostrze uniosło się nieco. - Umówiłem się w tym miejscu z przyjaciółką - odparł Moichi.

- Więc się stąd nie rusz.

Kobieta uczyniła krok do przodu, wchodząc w zasięg światła pobliskiej latarni, bujającej się na wietrze. - Nie jesteś Daluzycykiem.

- Nie. - Po raz pierwszy zobaczył jej twarz. Szczupłą, podłużną i ładną. Silną twarz, pełną charakteru. Zastanawiało go, kim jest ta kobieta. Po chwili uświadomił sobie, że ona chciałaby się zapewne dowiedzieć tego samego o nim.

- Jestem Moichi Annai-Nin z Iskael.

To zdało się ją nieco uspokoić. Zaczęła mu się uważnie przyglądać.

- Nie jesteś Tudeskaninem.

- Co wiesz o Tudeskanach przebywających w Corrunii? - Głos Moichiego zdradzał napięcie.

- Zbyt wiele - odpowiedziała. - Ja i moja przyjaciółka zostałyśmy zaatakowane przez czterech Tudeskanów jakiś czas temu. Śledzili ją od chwili, gdy wyszła z mercada, i...

- Chiisai!

Jednym skokiem znalazła się przy Moichim i błyskawicznym ruchem przycisnęła ostrze sztyletu do jego szyi. Nawigator zamarł, patrząc kobiecie prosto w oczy. Były duże i błyszczące; zdradzały dużą inteligencję.

- Szybko, odpowiadaj! - rozkazała. - Jesteś przyjacielem czy wrogiem?

- Chiisai jest moją przyjaciółką. - Moichi zdawał się nie przejmować zachowaniem kobiety. - Jest jedyną córką kunshina Bujunów.

- Jest więc królewskiej krwi? - zdziwiła się kobieta. - Nie powiedziała mi o tym.

- Nie chce, żeby ludzie o tym wiedzieli. - Czuł, że ostrze ciągle napiera na jego ciało. -

Umówiliśmy się tutaj tuż przed północą. Sztylet zniknął w fałdach płaszcza kobiety.

- Nazywam się Martynę. Chiisai kazała mi spotkać się z nią tutaj, gdybyśmy rozdzieliły się w czasie walki. Jak widzisz, właśnie tak się stało.

- Co z nią?

- Nic jej nie jest. Zabiła trzech tudeskańskich wojowników, a czwartego zraniła. Może zrobiła to naumyślnie, gdyż pozwoliła mu uciec, a potem ruszyła za nim.

Sprytna dziewczyna - pomyślał Moichi. Jednak przez to stracili ze sobą kontakt. Cóż, nie był w stanie nic na to poradzić. W tej sytuacji mógł jedynie dalej postępować zgodnie z planem. Nie miał pojęcia, gdzie Chiisai teraz przebywa. Będzie musiał poczekać, aż się z nim skontaktuje.

- Chodź - powiedział, odwracając się. - Muszę się spotkać z pewnym Daluzyjczykiem w tawernie pod Calle Córdel. Chodź ze mną, chętnie usłyszę całą historię. W Cambiro zbudowano u stóp Calle Córdel, tuż przed drewnianymi pomostami portu w Corrunii.

W powietrzu wisiał silny i ciężki zapach morza. Moichi zaczerpnął głęboko powietrza i natychmiast poczuł się rześko. Skrzywienie okuc stojących na kotwicy statków słyszał tak dobrze, jakby był tuż obok. Dźwięk doskonale niósł się po wodzie. Rybacy właśnie skończyli zdejmować sieci, które całe popołudnie i wieczór suszyły się w promieniach słońca. Teraz rozciągali je wzdłuż cichego mola, czyszcząc z resztek wodorostów i zwijając przed nadejściem rosy, od której gnily liny. Potem parami wnosili ciężkie sieci na pokład rybackich łoch, gdzie przykrywali je płachtami smołowanego materiału.

Strzęp którejś z płacht szeleścił na wietrze. Fala obijająca się rytmicznie o nabrzeże, coraz silniej w miarę zbliżania się sztormu. Za falochronami portu morze było już bardzo wzburzone. Widoczność jednak pozostawała wyjątkowo dobra; horyzont, nieustannie unoszący się i opadający wraz z falami, ciągnął się w ciemnej dali. Tawerna była niskim, przysadzistym budynkiem o bielonych ścianach i grubych drewnianych drzwiach zamachowych. Przez szpary sączyło się na zewnątrz ciepłe pomarańczowe światło, a nad wejściem wisiał sztyl z krabem o wyjątkowo pięknej skorupie. Weszli do środka.

Sala była równie szeroka jak głęboka, z surowymi ścianami i prostymi drewnianymi meblami, splamionymi przez napoje i morską wodę. Niski sufit podpierany grubymi drewnianymi słupami. W ogromnym palenisku z tyłu tawerny buchał ogień. Po lewej stronie, wzdłuż całej długości tawerny, ciągnął się drewniany barek, za którym na półkach poustawiane były butelki z alkoholami. Dym mieszał się z zapachami trunków, tłuszczu i łożu.

Moichi zaprowadził Martynę do pustego stolika naprzeciw baru. Siedząc tam, mógł obserwować drzwi bez odwracania się. Zamówili lokalne piwo, gęste i bardzo słodkie.

Tawerna nie była nawet w połowie pełna. Obok kominka spał marynarz, z głową wciśniętą w potężne ramiona; przy nim stał rząd pustych kufli. Nikt nie pomyślał o ich opróżnieniu, nawet gdy nagłym ruchem ramienia śpiący mężczyzna zrzucił jeden na podłogę.

Dwóch żeglarzy o ogorzałych twarzach pokrytych bliznami grało w kości. Rytmiczny odgłos toczących się kości był równie uspokajający co dźwięk fal obijających się o burty. Stojący za barem gruby mężczyzna z trzydniowym zarostem nucił jakąś szantę, wycierając i tak już błyszczący blat baru. Było już dobrze po północy.

Wysoki daluzyjski żeglarz wszedł do środka; zdjął wełnianą czapkę, którą uderzył kilka razy o udo. Podszedł do baru; barman przyjął jego zamówienie i natychmiast wrócił do pucowania blatu. Mężczyzna zabrał szklankę i usiadł niedbale przy wolnym stoliku.

Pociągnął długi łyk, po czym głośno mlasnął wargami.

Moichi popijał piwo, niezbyt zadowolony z obrotu spraw. Martynę wyjawiała mu wszystko, co wiedziała, ale on pragnąłby wiedzieć więcej. Najwyraźniej zdradziła Chiisai coś, co stanowiło

klucz do rozwiązania zagadki. Martynę i jemu to powtórzyła, ale nic nie zrozumiał. Był zły na Chiisai za to, że się tu nie zjawiała. Musiał jednak przyznać, że postąpiła słusznie. Byłoby bowiem niewybaczalne zaprzepaścić taką szansę. On sam nie wiedział, co się dzieje, i czuł się trochę tak, jakby walczył z wiatrakami. Otwierające się drzwi odciągnęły go od ponurych myśli. Do tawerny wszedł chłopiec cambujo, chudy i niski. Pod pachą trzymał jakiś pakunek.

Zauważył Moichiego i podszedł do stołu, przy którym nawigator siedział wraz z Martynę. Podał mu paczkę i chciał od razu wyjść. - Co to jest? - spytał Moichi.

Chłopiec odwrócił się i wzruszył ramionami.

- To, na co wygląda. Paczka dla ciebie, senhor.

- Skąd wiedziałeś, komu ją dać?

Chłopiec znów wzruszył ramionami. Mogło się zdać, że był to jedyny gest, jaki znał.

- Dostałem to od mężczyzny na nabrzeżu. Powiedział mi, jak wyglądasz, senhor.

- Od jakiegoś mężczyzny? Jak wyglądał?

- Było ciemno, senhor, bardzo mało światła. Nie zauważyłem.

- Chłopak odwrócił się i szybko wybiegł z tawerny. Moichi przez moment przyglądał się paczce. Było to coś niewielkiego, zawiniętego w pergamin przewiązany sznurkiem. Ostrożnie rozwiązał sznurek i odwinął papier.

Martynę krzyknęła cicho.

W środku było ludzkie serce, całe we krwi. Wokół niego ktoś owinął nasiąkniętą fioletową przepaskę. Rohji. Moichi zawinął papier i odezwał się bardzo cicho. - Chcę, żebyś wstała i wyszła stąd, jak gdyby nic się nie zdarzyło. Wróc do mercada i zapomnij o wszystkim. Rozumiesz?

- Chcę ci pomóc - szepnęła Martynę. - Zrobię co w mojej mocy...

- Właśnie ci powiedziałem, co możesz dla mnie zrobić. Proszę, zrób to. Teraz. Chiisai skontaktuje się z tobą, gdy to będzie bezpieczne, gdy wszystko się skończy. Przykro mi, że cię tutaj przyprowadziłem, Martynę. Zachowałem się nierozsądnie. Proszę, idź już.

Po chwili zastanowienia Martynę pokiwała głową. Zsunęła się z krzesła, skierowała w stronę drzwi i opuściła tawernę, nie odwracając się.

Moichi wstał, gdy Martynę zniknęła za drzwiami. Serce Rohji pozostawił tam, gdzie leżało, i wyszedł z tawerny. Płonął w nim zimny ogień wściekłości.

Nic nie istniało oprócz morza i nieba.

Pędzące chmury rzucały cień na cały świat.

Nie spodziewał się wiele w ten sposób zyskać, ale i tak to uczynił. Nic nie mogło go powstrzymać. Przetrzęsnał mola i pomos-ty, tawerny i targi rybne, nabrzeżne domy cambujo i kilka wielkich magazynów. Szukał Hellsturma, gdyż tylko on był wystarczająco okrutny, by wyrwać serce młodemu żeglarzowi. Przypomniawszy sobie, jak Martynę opisała mu Tudeskanów. „Są jak dzikie bestie”. Myliła się jednak - żadna bestia nie zrobiłaby tego dla sportu. Zwierzęta polowały, by jeść; zabijały, by móc dalej żyć. Tego czynu zaś dokonano z okrutnym wyrachowaniem, które nie było bestialskie. Było demoniczne.

Jedynie wzburzone morze, opadające ku ziemi niebo i Moichi Annai-Nin, samotny między nimi, przebiegający po trzeszczących deskach pomostów, z oczami rozpalonymi wściekłością. Do przepelnionego gniewem serca zaczęła się wkradać rozpacz, gdyż zrozumiał, że świat nigdy się nie zmieni. Mężczyźni, kobiety, a nawet dzieci, będą ginąć wraz z narodzinami kolejnych pokoleń; nowe miasta będą budowane na gruzach starych; na zawsze przetrwają wyznawcy zła, wypełniający swoje mroczne rytuały, ociekający krwią niewinnych ludzi.

Był sam, gdyż nawet rybacy schowali się pod pokładami swoich łorch i spali przed nadejściem świtu. Czuł się jak na posterunku opuszczonym przez ostatnich strażników. Corrunię wypełniały niezliczone sny jej mieszkańców, a on jeden krążył między nimi na jawie.

Przypomniał mu się Kossori i jego młodość. Na wspomnienie o przyjacielu, zupełnie samotnym wśród nabrzeży Sha'angh'sei. Łzy zebrały się w kącikach jego oczu. Wreszcie zrozumiał, jak to jest. Pusty świat wydawał się zupełnie nierealny. Nawet zwierzęta miały jakieś schronienie.

W końcu, zmęczony poszukiwaniami i świadom zbliżającego się dnia, zwrócił uwagę na bardziej praktyczne kwestie. Chiisai. Była ogniwem, które łączyło go z Hellsturmem. Wiedział, że prześle mu wiadomość, jeśli tylko będzie mogła. Ale dokąd? Znała w Corrunii trzy miejsca, w których Moichi mógł przebywać. Tawerna El Cambiro, gdzie mieli się spotkać z Rohją; dom senhory Seguillas y Oriwara; oraz lorcha Aufei. Pierwszą możliwość od razu odrzucił. Chiisai wiedziała, że Moichi nie pozostałby długo w tawernie - miejsce było zbyt niebezpieczne. Dom senhory również nie wchodził w rachubę, gdyż Chiisai nie mogła wiedzieć, jak udało się „spotkanie” - czy Moichi był już przyjacielem, czy wrogiem senhory. Pozostała tylko lorcha.

Stojący na straży żeglarz zsalutował, gdy Moichi wszedł na okręt.

- Czy ktoś wchodził w nocy na pokład? - spytał Moichi. - Poza członkami załogi?
- Nikt podczas mojej warty, piloto. - Mężczyzna potrząsnął głową. - Ale dopiero co ją zacząłem.
- Kto miał wartę przed tobą?
- Armazón, piloto. Jest teraz pod pokładem.
- Dobrze. Pójdę z nim porozmawiać. Jeśli ktoś przyjdzie... ktokolwiek... daj mi natychmiast znać.
- Aye, piloto.

Moichi skierował się w stronę burty i opuścił przez luk. Przeciął niewielki, lecz świetnie zaprojektowany kambuz i wszedł do kajut załogi. Większość koi była oczywiście pusta; marynarze spędzali noc w mieście, z kochankami lub rodzinami. Koja Armazona także była pusta.

Odwrócił się i ruszył ku znajdującej się na rufie kabinie kapitańskiej. Kiedyś mieszkała w niej Aufeya. W drodze do Corrunii Moichi ulokował tam Chiisai. Zastał Armazona śpiącego na szerokim kapitańskim łóżku, jedną ręką zasłaniającego sobie twarz. Moichi zbudził bosmana.

- Ach, to ty - powiedział Armazón. - Już myśleliśmy, że cię nigdy więcej nie zobaczymy. - Przesunął się na środek łóżka. - Czy ktoś wszedł na pokład dzisiejszej nocy?
- Och, nie. Nikt.

Nawigator wrócił na górę, po czym opuścił łorchę. Stanąwszy na pomoście, zauważył ruch w mroku za stertą pustych, gnijących baryłek. Widząc malutką twarz, zdjął dłoń z rękojeści miecza. Zbliżył się do twarzyczki, ale ta szybko się odsunęła. Moichi był zmuszony przeskoczyć nad beczułkami i schwytać niewielkie ciało. - Chodź tutaj, maleńka - powiedział. - Czego szukasz? - Teraz widział wyraźnie, że to dziewczynka.

- Wybacz, senhor, ale czy mógłbyś zdradzić mi swoje imię, zanim odpowiem?
- Oczywiście. - Moichi zaśmiał się. - Jestem Moichi Annai-Nin.
- A kim ty jesteś? - Posadził dziewczynkę na swoim kolanie.
- Alma, senhor. Mam wiadomość dla Moichiego Annai-Nina. - Więc mi ją powiedz. - W jego głosie wyraźnie wyczuwało się napięcie.
- Proszę, senhor, pokaż mi swój nos. - Dziewczynka uniosła rękę w stronę twarzy Moichiego.
- Mój nos? Czemuż to? - Potem zrozumiał, że dziewczynka szuka diamentu. - No i co, nadal tam jest?

- Tak, senhor. Wiadomość jest od Chiisai. Kazała mi przyjść do tej lorchy, ale rozmawiać tylko z tobą. Czekam tu na senhora już od pewnego czasu. Weszłam wcześniej na pokład, ale jakiś mężczyzna zatarasował mi drogę, powiedział, że nigdy o tobie nie słyszał, i kazał sobie pójść. Gdy nadał tam stałam, powiedział, że nie będzie cię całą noc, ale że kazałeś mu przyjąć każdą wiadomość dla ciebie. Nie uwierzyłam mu, senhor.

- Dobrze zrobiłaś. - Moichi pogłodził ją po głowie.

- Powiedz mi, Almo, jak wyglądał ten mężczyzna?

Dziewczynka opisała Armazona.

- Chiisai znalazła mnie przy zachodniej bramie, senhor. Stała tam niewielka karawana zbierająca się do wyjazdu. Nie była to karawana kupiecka, gdyż moja rodzina wiedziałaby coś o takiej. Chiisai kazała przekazać, że nic jej nie jest i że wyrusza na północny zachód. - Pójdzie za karawaną.

- Tak, senhor.

- Czy widziałaś jakichś ludzi z karawany?

- Żadnego wystarczająco dobrze, by móc go opisać.

Zastanawiał się, czy Hellsturm był wśród nich.

- Dobrze zrobiłam, że zaczekałam.

- Tak, Almo, zachowałam się bardzo rozsądnie.

- Dostyc strasznie jest tutaj nocą.

- Naprawdę?

- Tak, bardzo strasznie - powtórzyła. - Mężczyzna z lorchy dwa czy trzy razy schodził na pomost i rozglądał się za mną. Schowałam się jednak za baryłkami, więc mnie nie znalazł.

Moichi przycisnął dziewczynkę do siebie.

- Jesteś bardzo dzielna. - Sięgnął do sakiewki i wyjął z niej srebrną monetę. - Za te pieniądze możesz kupić dużo jedzenia i ubrań, Almo. Ale jeśli weźmiesz tę monetę, to musisz mi jedno obiecać. - Co, senhor?

- Kup sobie ciepły płaszcz.

Wyprostował się i postawił ją na jednej z baryłek. Dziewczynka sięgnęła w jego stronę, więc unióś ją do góry. Pocałowała go w usta, w sposób nieczęsto spotykany u małych dziewczynek. - Idź już - powiedział łagodnie. - Idź prosto do domu. W ciszy obserwował, jak biegnie wzdłuż pomostu, przemykając w cieniu. Potem zniknęła w jednej z ulic miasta. Moichi wrócił na lorchę i wszedł po cichu do kabiny kapitana.

Potem wywlekl Armazona z łóżka.

- Co... co ty robisz? - stęknął obudzony Armazon.

- Nikt nie przyszedł i o mnie nie pytał, co?

- Cóż, nie. - Głos Armazona brzmiał szczerze. - Już ci to powiedziałem. Każdy, kto powie inaczej, jest ohydny kłamcą. - Armazon starał się uwolnić, ale uchwyt Moichiego był mocny niczym żelazo.

- To ty jesteś kłamcą, Amazonie. - Przyciągnął bosmana do siebie. - Kłamałeś o senhorze. A teraz o dziewczynce cambujo. - Bosman leżał na podłodze, spodnie zsunęły mu się niechlujnie. - Twoja dusza jest okrutna i przegniła. Robi mi się niedobrze na twój widok! tnc vun u^u.

- Posłuchaj, posłuchaj - jęczał Armazon. - To zapewne Rohja wypełnił twój umysł kłamliwymi historiami. Są zupełnie niepraw-dziwe, wierz mi! On chce po prostu zostać nowym bosmanem tego statku. Powie o mnie wszystko, byle tylko...

Moichi uderzył bosmana w twarz. Mężczyzna umilkł i zaczął cicho skomleć.

- Zamknij się, larwo! Rohja jest martwy, a żyjąc, nie powiedział mi o tobie jednego złego słowa. -
Zaczął ciągnąć bosmana w stronę drabinki prowadzącej na pokład. - Dziewczynka cambujo
znalazła mnie na pomoście.

- Ona kłamie - zapierał się Armazón. - Nie chciałem dać małej żebraczce jedzenia, to przez to. Jak
można mnie za to winić? Gdybym dał jej, zaraz musiałbym dać im wszy-stkim.

- Masz mnie za głupca? Myślisz, że ci uwierzę? Wyciągnął bosmana na pokład. Znalazłszy
odpowiednio długą linę, związał mu ręce nad głową, przerzucił go sobie przez ramię i zaczął się
wspinać na maszt.

- Zobaczysz, zapłacisz mi za to! - krzyczał przerażony Armazón. - Na Boga, co chcesz ze mną
zrobić? Zadbam, by senhora Seguillas y Oriwara dowiedziała się o tym!

- Proszę, zrób to - odparł ponuro Moichi, mocując drugi koniec liny do salingu. Potem puścił
Armazona, który zawisł, przywiązany za dłonie.

Po zejściu na pokład Moichi podszedł do stojącego na warcie marynarza.

- Porozmawiaj ze wszystkimi. Powiedz im, że będą mieli ze mną do czynienia, jeśli go odetną.

Żeglarz spojrział na nawigatora, potem na wiszącego bosmana i zdenerwowany przełknął ślinę.

- Aye, piloto. Powiem im.

Zaczęło świtać, pierwsze mewy krążyły nad wodą w poszukiwa-niu jedzenia. Najwyraźniej sztorm
zmienił nocą kurs i ominął miasto, nie spadła bowiem nawet kropla deszczu. Moichi odszedł,
zwrócony plecami do różowego wschodzącego słońca, zapowiedzi kolejnego ciepłego dnia.

Po chwili nie słyszał już krzyków Armazona, jedynie nawoływa-nia głodnych mew.

Oziś przypada dzień descansanu - powiedział. - Pani jest teraz w iglesji.

- Przyszedłem się z nią zobaczyć.

- Tak, wiem. - W ciemnym korytarzu jego oczy były niewidocz-ne, a długie, zwisające wąsy
upodobniały twarz mężczyzny do pyska przebiegłego i głodnego zwierzęcia. - Prosiła, żeby
przekazać panu wskazówki, jak tam dotrzeć.

- Nie mam zbyt wiele czasu.

- Pani to przewidziała.

- Naprawdę? Ona czy ty?

Wąskie brwi Chimmoku uniosły się, choć twarz nadal nie zdradzała jakichkolwiek emocji.

- Ja? Ja nie mam z tym nic wspólnego.

- Tęsknisz za Sha'angh'sei? - zapytał nagle Moichi. - Może czasem. - Służący był wyraźnie
niespokojny. - Senhora mieszka jednak w Corrunii, więc i ja tu jestem. - Czy tam ją poznałeś?

- W Sha'angh'sei? Tak.

- Na nabrzeżu.

- Tak, na nabrzeżu. Czy to takie istotne?

- Pomyślałem, że możesz być człowiekiem, który...

- Oto wskazówki dla pana.

Z wysokiej wieży dobiegały dźwięki dzwonów, błyszczących złotem w świetle porannego słońca.
Z tej odległości mosiężne dzwony wydawały się bardzo delikatne. Odbijający się echem dźwięk
miał w sobie melancholijną nutę.

Był to ogromny budynek, śnieżnobiały na górze, a w pobliżu głównych drzwi nadal szary od
zalegających cieni, szybko znika-jących resztek nocy. Po obu stronach świątyni rzędy wielo-
wiekowych platanów szeleściły na wietrze.

Drzwi wykonano z cienkich pasków twardego dębowego drewna. Położono je na przemian jasne i ciemne, uzyskując odpowiedni kolor bez użycia jakiejkolwiek farby czy lakieru. Do drzwi prowadziły szerokie schody z białego kamienia. Grupki Daluzyczyków owiniętych w płaszcze o stonowanych kolorach, wchodziły do środka. O tak wczesnej porze większość stanowiły kobiety. Każda z nich miała głowę przykrytą chustą. Wewnątrz było bardzo chłodno, a dźwięki odbijały się echem od ścian. W powietrzu unosił się dym kadzidła, a w oddali słychać było stłumiony przez ściany śpiew. Między rzędami niskich ławek bez oparcia biegły trzy przejścia. Z przodu iglesji ławy kończyły się przed krótkimi schodami prowadzącymi do ołtarza. Z prawej strony stał niewielki rzeźbiony pulpit, a z lewej - coś przypominającego balkonik. Ustawione w regularnych odstępach rzeźbione w kamieniu postacie zdobiły surowe ściany iglesji. Moichi przeszedł środkiem i znalazł ją tuż przed ołtarzem.

Usiadł na ławce obok niej.

- Cieszę się, że przyszedłeś - wyszeptała, nie odwracając głowy.

- Senhora, mam mało czasu...

Uśmiechnęła się tylko, przykładając palec do ust. Ruch w pobliżu ołtarza sprawił, że wierni powstali. Za pulpitem pojawił się ksiądz, a Moichi ze zdumieniem zobaczył, że jest to don Hispete, cura ze spiczastą bródką, którego rozmowę podsłuchiwał zeszłego wieczoru.

Don Hispete uniósł ręce i zaczął się modlić.

- Todosy cada uno, sea ustedhes bienvenhido alla' iglesia del' Dihos Sanhos.

Wierni uklękli, pochylając głowy. Moichi po raz drugi został za-skoczony. Głos kapłana brzmiał teraz - w obecności wiernych - zupełnie inaczej niż ostatnim razem. Był charyzmatyczny i przekonujący. - Bien.

Ludzie ponownie usiedli w swoich ławkach.

- Dziś jest dzień descansanu - zaczął don Hispete. - Wyjątkowo ważny to dzień w naszym kalendarzu. Dziś bowiem wspominamy cierpienia naszych przodków. To dzień żałoby i smutku, pora, byśmy głęboko w sobie poczuli stratę, jaką spowodowało ich odejście z tego świata lub opuszczenie domu. Dzisiaj ich wspominamy, aby uwolnić się od trosk w naszym codziennym życiu. Descansan ma jednak i inny cel. To wyjątkowo dobra okazja, aby uświadomić sobie, że zło istnieje, poznać różne jego kształty, powstać przeciw niemu i ochronić się. Dlatego też, moje dzieci, musimy usłyszeć łopot wielkich skrzydeł diabłury ponad nami, gdyż bez tego nie zrozumiemy wiekiustego dobra Dihos. Dlatego zastanawiamy się nad głębszym sensem dnia descansanu i z trudem odkrywając ciemną stronę naszych dusz, uczymy się lepiej rozumieć dobro, które jest w nas... Po ceremonii wspięła się po schodkach i zaprowadziła go za pulpit. Na końcu krótkiego korytarza znajdowały się kolejne drzwi. Otworzyły się natychmiast, gdy tylko zapukała. Weszli do gabinetu don Hispete. W niewielkim pokoju panował niemal domowy bałagan. Na środku stało kilka obitych ozdobnym materiałem krzesel, a z boku proste drewniane biurko i krzesło z wysokim oparciem. Ściany były aż po sufit zasłonięte regałami z książkami. Połowę ściany po lewej stronie zajmowało duże okno wychodzące na ogród, do którego prowadziły na pół uchylone drzwi. Don Hispete najwyraźniej ledwo co usiadł za biurkiem, wstał jednak na ich widok i zbliżył się, by ich przywitać. - Senhora - powiedział, uśmiechając się świątobliwie. Ukłonił się, całując wysuniętą rękę.

- Don Hispete - szepnęła senhora. - Kazanie było wprost wspaniałe. - Odwróciła się nagle, jakby zdziwiona, że ktoś obok niej stoi. - Och, zapomniałabym, to jest Moichi Annai-Nin, mój przyjaciel.

- Bienvenhido, senhor. - Ksiądz pochylił głowę, nie podając jednak Moichiemu dłoni. Gest ten był najwyraźniej zarezerwowany dla osób dobrze znanych zakonnikowi. - Czy mogę zaproponować coś do picia? - Spytał, patrząc na Senhorę.

- Chętnie.

Don Hispete sięgnął do kryształowego dzbanka, w trzech czwartych wypełnionego winem o mocnej, czerwonej barwie. Nalawszy napoju do trzech kielichów, wzniosł jeden do góry, mówiąc:

- Salhud!

Potem pociągnął duży łyk, co uczynili też Moichi i senhora Seguillas y Oriwara.

Odstawiwszy kielich na biurko, cura powrócił na swoje krzesło.

Splótł dłonie i położył je na brzuchu

- Na co mogę się przydać, senhora?

- Czy Hellsturm powrócił do Corrunii? - spytała bez ogródek.

Zakonnik pogładził dłonią brodę, po czym rozłożył bezradnie ręce.

- Senhora, nie mogę...

Ona jednak powstała już i podeszła do okna. Stała przy nim, najwyraźniej utkwivszy wzrok w roślinności ogrodu. - Takie piękne drzewa - powiedziała. - Wiesz, don Hispete, drzewa oliwkowe, które tam stoją, są stare, bardzo stare. To pradziadowie swojego gatunku.

- Tak, senhora. Zaiste tak jest.

- Wielka szkoda, że trzeba będzie je zniszczyć. Don Hispete ponownie rozłożył ręce. Moichiemu przypominał morską meduzę, która lada moment miała pochwycić niczego się nie spodziewającą rybę.

- Senhora, nienawidzimy niszczenia wszelkich form przyrody. W tym przypadku służy to jednak celom Dihos, gdyż czynimy to ku większej jego chwale.

- Ach, tak. - Głos senhory był słodki niczym miód. - Musimy ciągle wychwalać Dihos, gdyż takie jest podstawowe zadanie Palliatu. Ale, don Hispete - odwróciła się od okna w stronę kapłana - Palliat nie istniałby bez wsparcia wiernych, czyż nie? Nie mogę sobie wyobrazić, by Palliat mógł zapłacić za... cóż, za cokolwiek. Na czole księdza pojawiły się dwie wąskie pionowe zmarszczki.

- Czyż nie jest tak? - powtórzyła.

- Rzeczywiście tak jest, senhora - przyznał niechętnie Don Hispete. - Nie widzę jednak, jaki...

- Rozbudowa iglesji, którą rozważacie, pociągnie za sobą spore koszty. Można by nawet powiedzieć, że niewyobrażalnie wielkie. - Zaraz, senhora, muszę...

- Wymaga to poparcia. Całkowitego poparcia ze strony każdego wiernego. Prawda, don Hispete?

- Tak, senhora, rzeczywiście tak jest. Każdy musi jednak wiedzieć, że spodziewamy się po nim...

- Jednak osoby o ponadprzeciętnym, powiedzmy, bogactwie, wzywa się do tego z nieco większą gorliwością niż inne. Don Hispete siedział nieruchomy niczym posąg.

- Jestem jedną z nich, więc wiem to z pierwszej ręki. Cum próbował coś powiedzieć, ale musiał najpierw przeczyścić gardło.

- Senhora, zastanawiasz się nad wycofaniem swojej ofiary?

- Cichy głos utykał księdzu w gardle.

- Nie, nad niczym takim się nie zastanawiam. - Mimo słodkiego tonu głosu było jasne, że senhora szydzi z kapłana. - Skąd, ojczy, wziął się w waszej głowie tak niedorzeczny pomysł? Toż to absurd! Wróćmy jednak do mojego pytania - oznajmiła, siadając obok Moichiego.

- Senhora, stawiasz mnie w niewygodnej pozycji. - Wyraz bólu rysował się na twarzy zakonnika. - Wiesz dobrze, że nie mogę zawieść świętego zaufania, jakim darzy mnie Palliat. - Strużka potu spływała po twarzy don Hispete.

- Tak bardzo kocham te drzewa oliwne, don Hispete. Nie zdawałam sobie z tego sprawy, dopóki tu nie przyszłam. Teraz zrozumiałam, że będę bardzo za nimi tęsknić, gdy zostaną ścięte. Właściwie przyszło mi do głowy, że jest sporo osób, które myślą tak jak ja.

- Senhora, proszę. - Głos księdza przeszedł w cienki pisk. Nie mogąc znieść spojrzenia senhory, spuścił wzrok i patrzył na własne dłonie. - Był ostatnio w mieście - powiedział cicho. - Już go jednak nie ma, wyjechał o świcie.

- W jakim celu tu przybył? - Głos senhory był ostry niczym uderzenie bata.

Don Hispete natychmiast uległ.

- Senhora, nie wiem tego. Przysięgam.

- Nie wykonywał jakiegoś zadania dla Palliatu?

Don Hispete uniósł wzrok, a jego twarz była blada jak kreda.

Szybko uczynił znak na klatce piersiowej.

- Na Dihos, nie, senhora! Zwolniliśmy go po ostatnim... incydencie. - Incydencie. - Głos senhory był pełen nienawiści i pogardy. - Czy tak to się teraz nazywa? Cóż, zawsze miałeś talent do eufemizmów. Don Hispete zatrzęsł się.

- Proszę, senhora - wyszeptał.

- Dla kogo on teraz pracuje?

- Nie... nie jestem pewien. Ja...

Senhora wstała gwałtownie. Moichi od dawna nie był świadkiem tak silnego i groźnego gestu.

- Nie mogę ci powiedzieć, senhora - wybelkotał zakonnik, kurczowo trzymając się złotego łańcucha, który wisiał na jego szyi, jakby się bał, że kobieta straci nad sobą panowanie i będzie próbowała go nim udusić.

- Don Hispete, rozmowa skończona. - Zabrzmiało to jak mocne trzaśnięcie drzwiami. Odwróciła się, a Moichi jak na dany znak wstał z krzesła.

- Za... zaczekaj, senhora. - Don Hispete wstał niepewnie. - Proszę cię. - Odwróciła się i czekała spokojnie, wiedząc już, że wygrała. Zakonnik oddychał pospiesznie, a cała jego twarz błyszczała od potu. - Słyszałem, że pracuje teraz dla La Saqueador. Sardonyx. Senhora krzyknęła, jakby wbito w jej ciało ostrze.

Przerażony don Hispete ominął biurko i podszedł do kobiety.

- Senhora! Co takiego...?

Moichi schwycił senhorę Seguillas y Oriwarę i poczuł, że trzęsie się cała, jakby opanowała ją jakaś tajemnicza moc. - Zabierz mnie stąd!

- Co się stało?

- Szybko. Na Dihos, szybko! - krzyknęła. - Szybko! Wziął ją w ramiona i wyprowadził z sali, wzdłuż korytarza, do pustego wnętrza iglesji.

- Senhora. Co się stało?

- Miałeś rację, na Dihos, miałeś rację. - Senhora całym ciężarem swego ciała opierała się o Moichiego. - Wszystko stało się wreszcie jasne.

- Na Boga, senhora, musisz mi to wytłumaczyć! - krzyknął nawigator.

- Moichi, Sardonyx to właśnie ta korsarka, która dawno temu była moją partnerką. - W oczach senhory zebrały się łzy. - Przysięgła, że straszenie się na mnie zemści, a teraz nadszedł na to czas. Hellsturm nie będzie już honorował układu ze mną, bo była to tylko część podstępu. Dihos, zabrał ją do Sardonyx! Wszystko stracone! - Łkała bezsilnie, wciskając głowę w jego ramię. - Senhora - rzekł łagodnie Moichi. - Senhora. - Gładził jej włosy, czując, jak drży na całym ciele. Tylko częściowo rozumiał powód jej rozpacz. Coraz silniejszy skurcz żołądka był jednak wyraźną

oznaką troski, jaką żywił o los Aufei. Wiedział, że dziewczyna jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Pozostało mu tylko popędzić na północny zachód na najszybszym z wierzchowców. - Senhora - powtórzył. - Muszę jechać za Hellsturmem. Natychmiast. A ty możesz mi w tym pomóc.

Spojrzała na niego oczami pełnymi łez. Moichi spróbował się uśmiechnąć.

- Jakież to śmieszne, że nadal mnie tak nazywasz - powiedziała. - Nie możemy wciąż tak formalnie siebie traktować, Moichi. Już nie teraz i już nigdy więcej. - W jej zielonych oczach znów pojawiły się jasne, błyszczące plamki. - Mów mi Tsuki. Moichi czuł się przez moment tak, jakby miał zemdleć. Kossori - pomyślał. O mój Boże, Kossori! Ona jest twoją dawną miłością.

CZĘŚĆ 3

OGNISTA

MASKA

Wskazówki

ŻL/azwyczaj uznalby deszcz za swego wroga, lecz teraz błogo-sławił jego spóźnione nadejście. Sztorm utknął nad morzem i powrócił na ląd już o wiele słabszy.

Nie przeszkadzało mu, że w błocie rozmazały się odciski kopyt wielbłądów, gdyż dobrze wiedział, dokąd karawana zmierzała. Był też wdzięczny Tsuki za lumę, na której jechał, i za drugą, której wodze przywiązał do swojego siodła.

Tsuki. To znaczy „księżyc”.

Gdzie teraz jesteś, Kossori, mój przyjacielu? Mam nadzieję, że patrzysz na to przychylnie. Myślę, że chyba tak jest.

Spadający z sykiem deszcz był niczym zielononiebieski koc przykrywający Moichiego, ograniczający widoczność, osłaniający samotną postać przed oczyma członków karawany. Minęło półtora dnia od chwili, gdy opuścił zachodnią bramę Corrunii i wyruszył w stronę Kintai. Gładka sierść lumy miała odcień topazu, a na grzbiecie zwierzęcia przymocowano siodło z czarnej skóry, ze srebrną kulą i czerwoną skórzaną uprzężą. Nieco mniejsza klacz miała sierść ciemnoniebieską. Lumy były niezwykle przydatne, bardziej niż zwykłe konie, które przewyższały zarówno inteligencją, jak też prędkością i wytrzymałością. Wiedział, że niewiele osób je posiadało, gdyż koszty tresury były zaiste ogromne. Moichi zjechał z kończącego się pasma żyznej brunatnej gleby do długiej, wijącej się doliny. Przetarł krople deszczu z oczu, by lepiej widzieć. Dolinę tylko z rzadka porastały drzewa - domino-wały niskie krzewy i mizerne brązowe porosła. Wbił pięty w boki lumy i potrząsnął wodzami. Ogier skoczył naprzód, uniósł głowę i parsknął.

Jakie dziwne jest to życie - pomyślał. Dziwniejsze od jakiegokolwiek historii opowiedzianej nocą w ciepłej tawerny lub przy obozowym ognisku. Wszystko powraca, jakby toczyło się po kole; koniec jest początkiem. Gdyby Kossori mógł tylko wiedzieć, że oddał życie w obronie córki Tsuki.

Śmierć - myślał - nie powinna być nadaremna. Świadomość, że życie musi się skończyć, napawa smutkiem, ale tak już musi być. Czy w takim razie końcowy czyn każdego życia nie powinien mieć sensu? Pod tym względem Iskaelczycy i Bujuni byli do siebie podobni. Być może także zgadzali się w innych kwestiach. Kossori zginął śmiercią bohatera, bardziej heroiczną, niż to sobie kiedykolwiek wyobrażał. Możliwe jednak, że było tak, jak wierzyli Bujuni; dusza rozwija się, tworząc długą nić kolejnych wcieleń do chwili, gdy osiągnięta zostaje doskonałość i dusza może opuścić cykl życia i śmierci.

Podobna była wiara Iskaelczyków. Jego ojciec nigdy nie prze-stawał powtarzać, że Bóg jest historią, a w niej leży jedyne zbawienie człowieka.

W tym momencie, pędząc przez równinę, samotny pośród padającego deszczu, w pościgu za wielkim złem, Moichi zrozumiał, że jego wiara przetrwała. W żyłach pulsowała krew przodków, zbyt mocna, by mógł ją zignorować lub odrzucić. Na myśl o ojcu i jego niesamowitej wierze w Boga łzy napłynęły mu do oczu, mieszając się z kroplami deszczu. Być może nie myliłeś się tak bardzo - pomyślał, przypominając sobie ostre dyskusje na temat wiary, długie okresy milczenia między nimi, które cała rodzina musiała znosić, dnie i noce wypełnione złością i frustracją. Stracili wiele czasu tylko dlatego, że obaj mieli silny charakter. Teraz Moichi zrozumiał jednak, że nie walczyli o wiarę. Nie, było to tylko wygodne, lecz pozorne pole walki, które obaj złośliwie wybrali. Byłeś bardzo nietolerancyjny wobec mnie, ojcze. Nie podobało ci się, że dorastam niezależny od ciebie i wbrew twojej woli. Tak różniłem się od Jesaha, którego ukształtowałeś na swoje podobieństwo; może dlatego, że był drugim synem. Robił wszystko, czego chciałeś, podczas gdy ja się sprzeciwiałem. Czemu nie pozwoliłeś mi być sobą, ojcze? Czego bałeś się tak bardzo? Nie uwierzę, że chodziło o moje odwrócenie się od Boga. Sam byłeś tego przyczyną, choć wielokrotnie temu zaprzeczałeś.

Ponownie potrząsnął wodzami i znów rozbrzmiała litania jego długiej podróży. Nigdy się nie dowiem, gdyż tajemnicę zabrałeś ze sobą do grobu. Byłeś jak Bóg, ani razu nie przebaczyłeś. Koniec był zaiste podobny do początku.

Życie jest tak bardzo osobiste - pomyślał zdumiony Moichi.

W powietrzu czuć było woń śmierci.

Ponownie wciągnął powietrze i rozpoznał zapach, mimo że był daleko od swego ukochanego morza. Wierzył we wróżby. Nie była to wiara w przesady; wierzył na sposób Iskaelczyków, których burzliwa historia pełna była wskazówek od Boga kierującego swym ludem.

Deszcz osłabł nieco i gdy mgły się uniosły, Moichi ujrzał w oddali mur nisko wiszących chmur, rozjaśnianych od czasu do czasu przez nagły błysk. Daleko na północnym zachodzie pojawiła się rozwidlona niebieskobiała błyskawica, a chwilę później uszu Moichiego dobiegł huk gromu, przetaczający się przez równinę. Niezmordowana luma pędziła naprzód.

W pobliżu nie było żadnego pola, domu, jakiegokolwiek oznaki obecności człowieka. Jedyne nieustający deszcz. Po pewnym czasie prawie przestało padać. W oddali dojrzał pasmo starych gór, maszerujących wzdłuż linii horyzontu niczym weterani udający się na kolejną wojnę.

- Straciłam wszelką nadzieję - powiedziała, gdy przytulał ją do siebie. - To Sardonyx, a ja jestem taka bezbronna. - Zemsta będzie moja, tak mówi Bóg mojego ludu - powiedział, rozpoznając w swoich słowach cień ojca.

- Nie rozumiesz mnie, Moichi. Mówimy o Sardonyx. Zanim odejdiesz, musisz wiedzieć o jednej rzeczy. Ona jest czarownicą. - Czary nie istnieją już w naszym świecie, Tsuki. - Roześmiał się.

- Nieprawda. - Potrząsnęła głową. - Potrafi czynić rzeczy niemożliwe.

- Jest więc magikiem, zapewne bardzo sprytnym. Spotkałem już kilku z nich; wszystko, co robią, jest tylko iluzją. - Nie, Moichi. Nie. Proszę cię, nie popełnij tego błędu. Znam prawdę, uwierz mi. To, co tworzy Sardonyx, jest prawdziwe, zastraszająco prawdziwe. Uważaj na jej moc. Uważaj. Zbliżał się wieczór, a nad Moichim wznosiły się wysokie szczyty. Zbliżał się do miejsca, w którym równina ustępowała pola gór.

Drzewa rosły teraz nieco gęściej, a wysoka i gęsta trawa zmusiła lumę do zwolnienia. Zwierzę musiało uważać na ukryte przed jego wzrokiem nory gryzoni.

Niemal wprost przed Moichim stoki dwóch gór prawie się stykały, pozostawiając jednak wąskie przejście, które wydawało się jedyną drogą na drugą stronę. Wszystko zależało od chmur i zachodzącego słońca. Być może bezpieczniej było rozbić się na noc tutaj i przejechać przez

przełącz z samego rana. Wiedział jednak, że straci w ten sposób wiele czasu, a karawana i tak znacznie go już wyprzedzała.

Nie miał więc właściwie wyboru.

Luma pełnym galopem pędziła w stronę przejścia. Na wschodzie nadal kotłowały się ciemne chmury, jednak w górze na zachodzie, na wprost przed nim, niebo było czyste. Zachodzące słońce nadawało mu fioletowy odcień, jakby przejście burzy pozostawiło parę siniaków. Opadające słońce było już zbyt nisko, by je dojrzeć, ale swymi promieniami nadal rozświetlało świat.

Księżyc wzeszedł już na niebie - gruby sierp, karmazynowy niczym kropla krwi.

Droga niebawem stała się kamienista, a trawa rosła coraz rzadziej - zbliżał się do wzgórz stojących na straży górskiego pasma. Po obu stronach ścieżki piętrzyły się ogromne głazy granitowe i błyszczące łupki.

Wkrótce znalazł się w wąskim przesmyku. Kamienne półki strzelały wysoko w niebo, a wieczorne światło spadało na nie niczym wody wodospadu, nadając całemu wąwozowi bladofioletowy odcień. Naturalne tarasy wznosiły się nad głową jeźdźca, niknąc w wieczornej mgiele.

Wraz z nadejściem nocy kamienne ściany zdawały się zaciskać wokół niego; tarasy w górze rozszerzyły się, pozostawiając jedynie wąziutki skrawek nieba.

Ślady przejeżdżającej karawany stały się bardziej wyraźne. Najpierw myślał, że to za sprawą ścian wąwozu, osłaniających ziemię przed wiatrem i deszczem. Przyglądając się uważniej, zrozumiał jednak, że ślady były po prostu świeższe. Dotarł bliżej swojego łupu, niż podejrzewał.

Okolica wydawała się pozbawiona wszelkiego życia. Nad głową Moichiego nie latały żadne ptaki, nie było padlinożerców ani nawet jaszczurek czy robaków. Uczucie odosobnienia tak bardzo się nasilało, że niemal przybierało materialne kształty. Zmieniły się także otaczające Moichiego skały. Zatrzymał się zaciekawiony i zapalił pochodnię ze ściśle splecionych sznurków pokrytych smołą. W migoczącym świetle zobaczył, że kamienie przecinały żółte i siarkowopomarańczowe żyłki. Ich poskręcane kształty przywoływały na myśl bolesny okres kształtowania się tych starych gór.

Zatrzymał wierzchowca i wyciągnął miecz.

Za zakrętem przed sobą dojrzał blask innej pochodni. Czekał, nie wiedząc, czego się spodziewać.

W jego stronę jechała konno samotna postać; gdy się zbliżyła, rozpoznał w niej kobietę. Była niesamowicie wysoka, miała wąską czaszkę i głęboko osadzone oczy. Ubrana w prosty chłopski strój z burej bawełny, nie nosiła broni.

- Witaj - powiedziała, a w ciasnej przestrzeni przesmyku jej wzmocniony przez echo głos zdawał się dobiegać z zaświatów. - Witaj - odrzekł Moichi.

- Słyszałam, że nadjeżdżasz - oznajmiła. - Ostatnio tak rzadko ktoś mnie odwiedza... Byłam ciekawa, kim jesteś. Mam nadzieję, że moja obecność ci nie przeszkadza.

- Ani trochę - odparł. - Ale boję się, że nie mam w tym momencie czasu na miłą, niezobowiązującą rozmowę. - Spieszysz się. Tak. - Pokiwała głową. - To dla mnie oczywiste. Masz do wypełnienia ważną misję. Czy będzie ci przeszkadzać, jeśli potowarzyszę ci do końca tego wąwozu? Potem będziemy mogli spokojnie porozmawiać.

Moichi kiwnął głową i ruszył naprzód. Kobieta obróciła swego wierzchowca i jechała tuż za nim. Miejsca było wystarczająco, by dwa wierzchowce mogły iść obok siebie. Brzęk uprząży odbijał się tajemniczo od skalnych ścian.

- Dokąd podążasz? - spytała. - Dobrze znam ten kraj. Mogę ci wskazać drogę do celu. Wyraźnie widać, że nigdy tu jeszcze nie byłeś. Powracała mgła, choć deszcz chyba już odszedł na dobre. -

Wiem, jak jechać, dziękuję - odparł na tyle grzecznie, na ile był w stanie. Szczerze mówiąc, nie był zachwycony, że ktoś odwraca jego uwagę w miejscu tak doskonale nadającym się na pułapkę. Jeśli kobieta słyszała, że nadjeżdża, to równie dobrze inni też mogli to usłyszeć.

- Wskazówki, które masz, mogą być błędne - powiedziała rozważnie kobieta. - To zdarza się dość często w dzisiejszych czasach. Ludzie nie są tak skrupulatni jak dawniej. To już chyba niemożliwe, choć nie wiem zbyt wiele o wielkim świecie. Kto wskazał ci drogę?

Moichi spojrział przelotnie na kobietę. Coś nie podobało mu się w wyrazie jej twarzy. Niepewne światło pochodni nie pozwalało jednak przyjrzeć się dokładnie.

- Przyjaciel - odparł krótko.

- Przyjaciel - powtórzyła. - Tak, to oczywiste. Cóż, nawet przyjaciołom zdarza się popełniać błędy, szczególnie gdy minęło wiele czasu.

Moichi już chciał prosić, by to wyjaśniła.

- Boję się, że zbyt późno opóźniłam twoją podróż. - Ponagliła wierzchowca, który zaczął niezgrabnie galopować. Po chwili zniknęła we mgle gęstniejącej przed Moichim.

Chciał ją zatrzymać, gdyż zdziwił go nieco jej monolog. Musiałby ją jednak zawołać, a tego nie mógł ryzykować. Jechał dalej dawnym tempem i po pewnym czasie bardziej poczuł, niż zobaczył, że ściany przesmyku się rozszerzają. Uniósłszy do góry pochodnię, z trudem dojrzał, że stoki nie są już tak ostro pochylone. Ponaglił lumę i po chwili wyjechał z przesmyku.

Z tej strony wąwóz otwierał się na długą dolinę. Niebo ponad nią było usiane gwiazdami. Ziemia pod stopami wydawała się płaska i jednolita niczym świeżo zaorane pole. Pędził po rozległych łąkach, czując, jak chłodny i orzeźwiający wiatr smaga jego twarz. Zachwycony otwartą przestrzenią, doznawał wrażenia, jakby obudził się właśnie z koszmaru, w którym jakaś mroczna siła więziła go w trumnie.

Niedługo potem zobaczył przed sobą promyk światła. Zbliżał się z wielką ostrożnością. Ślady karawany były coraz świeższe, na miejscu ostatniego postoju odchody wielbłądów pozostały jeszcze ciepłe. W końcu dojrzał niewielką chatę stojącą nad brzegiem wolno płynącej na zachód rzeki, która niecałe pół kilometra za domem skręcała w kierunku południowym.

Moichi zatrzymał lumę, wsłuchując się w głosy cykad i żab rzecznych. Wiszący nad nim księżyc był ogromny, jakby widziany przez powiększającą soczewkę. Jego powierzchnia czerwieniła się jak krew.

Zsiadł z wierzchowca i poprowadził go naprzód. Zajrzał przez okno. Wewnątrz, plecami do niego, siedziała stara kobieta. Nagle ooo uświadomił sobie, jak bardzo jest zmęczony, więc podszedł do drzwi, otworzył je i wkroczył do środka.

Stara kobieta pochylała się nad kamiennym paleniskiem usta-wionym na podwyższeniu pośrodku izby.

- Zamknij drzwi - powiedziała, nie odwracając się. - Prze-szkadza mi zimne nocne powietrze. - Jej głos brzmiał niczym kreda skrzypiąca na tablicy.

Gdy się odwróciła, zobaczył jej chudą twarz, jak gdyby złożoną z kawałków błyszczącej skóry, poprzecinanych i ponownie za-szytych szwami czasu. Na obwisłych wargach szerokich ust niedbale rozmazała czerwoną farbę. Świeące malutkie oczy były po-zbawione białek, jak u ptaka.

- Czy jesteś głodny? - spytała. Nie czekając na odpowiedź, ustawiała na stole prosto wyrzeźbione miski i sztuce. - Bigos jest już prawie gotowy.

Rzeczywiście, w chacie roznosił się aromatyczny zapach jedzenia. W ustach zaczęła mu się zbierać ślina. Za plecami kobiety zobaczył wielki czarny kocioł wiszący nad płonącym w palenisku ogniskiem.

- Czy widziałaś przejeżdżającą tędy karawanę? - spytał.

- Chodź - odparła. - Siadaj i jedz.

Nakładała do misek gorący i gęsty bigos. Na drewnianej desce leżał bochen ciemnego chleba, a obok niego nóż. Usiadł.

- Cały dzień nie wychodziłam na dwór - stwierdziła. - Ostatnimi czasy nie robię tego za często.

- Nie widziałaś więc też pojedynczego jeźdźca?

- Jeźdźca?

- Kobiety. Dziwnie wyglądającej. Bardzo wysokiej. Musiała tędy przejeżdżać.

- Myślę, że spotkałaś moją córkę.

- Nie ma jej tutaj.

- Oczywiście. Pojechała na polowanie.

- Nocą?

- To jedyny sposób w tej okolicy. Wszystkie zwierzęta wychodzą z nor tylko nocą. - Kobieta wskazała na wciąż pełną miskę. - Czy moje gotowanie jest aż tak niedobre?

Spróbował bigosu. Zdawał się w ogóle nie mieć smaku. Powąchał jedzenie. Pachniało wyśmienicie.

- Więc jedziesz za karawaną? - spytała staruszka. Kogoś mu przypominała. - Wyraźnie widać, że nie jesteś podróżnikiem. Jakiś nieokreślony szczegół w jej wyglądzie nie dawał mu spokoju. Nie mógł też sobie uświadomić, co dokładnie mu przeszkadza.

- Nie jesteś głodny? Oczywiście, że jesteś. Jedz, no już. Co to było? Czas zdawał się biec nieco wolniej. Słyszał własny oddech, ciężki niczym oddech smoka. Miał kłopoty z poruszaniem się, powietrze było gęste niczym galareta.

- No już, dalej. Jedz. Jedz.

W kąci oka, miliony mil s-t-ą-d... Zarejestrowanie tego zabrało mu chwilę. Płomienie tańczą, ładne wzorki. Jeszcze raz skupił umysł. Odpływał, odpływał s-t-ą-d... Płomienie. To nie płomienie. Pod nimi błyszczące niczym morze rozświetlone w księżycową noc pamiętaj 0 czasie na miłość boską obudź się proszę co się dzieje kolory z-1-e-w-a-j-ą się ze sobą coś ważnego tam jest promienie księżycyca rozcinają wodę na tysiące f-r-a-g-m-e-n-t-ó-w-w-w w bierz się do kupy człowieku i skon-cent-ruj-się. Skoncentruj. To nie jest koło. To właśnie jest to, nie pozwól sobie o tym z-a-p-o-m-n-i-e-ć-. Nie, przestań! Przestań! Palenisko nie miało okrągłego kształtu. To był pentagram. Pentagram, półgłówku, nie rozumiesz tego? Zrozumiał.

Rzucił się ponad stołem na starą kobietę, złapał dłoń, której nie zdążyła odsunąć, kolory przelatowały obok niego niczym pęcherze piór wachlujące gorące i wilgotne powietrze lepki i spocony po całym dniu pracy na słońcu niesamowicie spragniony język przykleja się do podniebienia opuchły i tak suchy że jedyne o czym mógł pomyśleć... Złap ją! - krzyknął do siebie. Przekręcił rękę i poczuł, jak ramię staruchy pęka niczym sucha szczapa. Stara kobieta zatoczyła się do tyłu dom zatrzęsł się potknęła się chata zafalowała upadła rozplynęła się w powietrzu. Oszołomiony Moichi usiadł na trawie. Miał ochotę zwymiotować. Wokół niego noc wypełniały zwierzęce odgłosy. Panował taki spokój, jakby nic się nie zdarzyło. Kilka kroków dalej stały lumy i z pochylonymi łbami zadowolone żuły trawę. Cóż, zwierzęta nigdy niczego nie rozumiały.

Gwałtownie zwymiotował. Osłabiony, położył się na plecach i patrzył na nie kończącą się rzekę gwiazd, błyszczących i tak bardzo bliskich. Czuł, że ich blask dodaje mu sił. Światło księżycyca raniło jego oczy, więc je zamknął. Zorientował się, że oddycha tak, jak gdyby skończył bieg na

długim dystansie. Wiedział dobrze, że biegł o wiele dłużej. Biegł przez całe swoje życie. Uratowały go słowa Tsuki.

Spotkał Sardonyx i niemal został pokonany. Niemal. Jakiej informacji tak bardzo od niego pragnęła? Co jej zdradził? Niewiele, tego był pewien.

Podszedł do lummy, czując się nieco lepiej. Wskoczył na wierzchołek i pojechał ponownie na północny zachód, za karawaną, pod błyszczącą rzeką gwiazd.

Oko Demona

N,

I a jej widok kamień spadł mu z serca.

Przykucnęła za osłoną wielkiego granitowego głazu jakieś tysiąc metrów od obozowiska. Na pozór tylko jeden cień więcej. Natychmiast zsiadł z lummy i zbliżył się do niej, prowadząc za sobą zwierzęta. Lummy były dotychczas zupełnie cicho i nie wątpił, I że teraz także nie wydadzą z siebie głosu. Dobrze wiedziały, że wróg jest blisko.

Chiisai odwróciła się błyskawicznie, trzymając w dłoni krótki miecz. W świetle gwiazd szybko jednak rozpoznała Moichiego. Radośnie przytulili się do siebie.

- Dzięki bogom, wreszcie przyjechałeś - szepnęła, a jej piękna owalna twarz szybko spoważniała. - Mój koń zeszłego wieczoru I nie wytrzymał wysiłku. Od tego czasu podążam za nimi pieszo. Szybko jej wytłumaczył, o co chodzi.

- Strasznie się cieszę, że Martynę nic się nie stało. Cały czas martwię się o jej zdrowie. Jeśli chodzi o Aufeyę, to chyba jest już za późno.

- Dlaczego? - Moichi wyraźnie się zdenerwował. - Czy ' Hellsturm ją zabił? Czemu go nie powstrzymałaś? - Uspokój się - przerwała Moichiemu. - Rozumiem, że się o nią niepokoisz. Wiem jedynie tyle, że nie ma jej już w karawanie. - Nie ma jej tutaj? Ale jak to możliwe?

- Nie jestem tego pewna, Moichi, ale sądzę, że Sardonyx już ją ma.

- Jest więc w Mistralu razem z Sardonyx.

- W Mistralu?

- To dziwny zamek. Tsuki mi o nim powiedziała. Na północno--zachodnim brzegu jeszcze dziwniejszego jeziora zwanego Morzem Śmierci.

- Rozumiem. - Chiisai zmarszczyła brwi, pogrążając się w zadumie. - Zdaje się, że mamy do czynienia z planami wewnątrz planów. - Powiedz mi, co wiesz. Martynę mówiła...

- Tak. Kraina Opałowego Księżyca. Nie chciałam uwierzyć, gdy to usłyszałam. - Oparła plecy o kamień i spojrzawszy w stronę obozu, ciągnęła dalej: - Słyszałam kiedyś legendę, chyba nie bujuńską. Być może jej źródła leżą w czasach, gdy Ama-no-mori była jeszcze częścią kontynentu człowieka.

- Masz na myśli czas wojen magów.

- Tak. Mówią, że w tamtym okresie powstało miejsce, w którym czas przestaje istnieć, gdzie zlewa się w jedno. Otwór w naszym wszechświecie, niczym nacięcie uczynione przez skalpel chirurga. Możliwe, że był to efekt uboczny okrutnych czarów, jakie wtedy wywoływano. Mogły to też uczynić siły zupełnie nieznane w naszym świecie. W każdym razie oko czasu, gdy zostało odkryte, uczyniło możliwymi straszne rzeczy. Ktoś, kto by się przez nie prześliznął, mógłby powrócić do swoich czasów, znając wszystkie tajemnice przyszłości; mag, który pierwszy przeszedłby przez oko, miał zapewnione zwycięstwo. Nie było to jednak proste zadanie, gdyż oko było wrogiem ludziom i nawet potężne czary nie zapewniały ochrony przed śmiertelnym wirem czasu. Miejsce zostało więc opuszczone i w końcu zapomniane. Potem mówiły o nim już tylko legendy. - Chcesz powiedzieć, że Sardonyx się dowiedziała, gdzie znajduje się to oko czasu? - Chiisai pokiwała

głową. - Ale po co jej ta wiedza? Teraz przecież jest przyszłość, do której przybyliby dawni magowie. Nie znaleźliby tu niczego.

- Nie o to chodzi, Moichi. Jeśli Sardonyx uda się tam dostać, będzie mogła cofnąć się do okresu Kai-fengu lub nawet dalej; do czasów, gdy magia była jeszcze potężna. Mogłaby sprowadzić ze sobą...

- Wystarczy! - Uniósł dłoń. - Rozumiem, o co ci chodzi. Czy chcesz mi jednak powiedzieć, że oko czasu znajduje się tutaj, w Kintai? Chiisai znów pokiwała głową.

- Według legendy oko mieści się w krainie, gdzie księżyc jest zawsze w pełni, a gdy na niego spojrzysz, jest okrągły niczym kula, a nie płaski jak w innych miejscach. Nie jest srebrny jak na północy ani złoty jak na wschodzie, nie jest też niebieski jak na zachodzie ani pomarańczowy niczym na południu. Nie, łączy w sobie wszystkie te kolory i jeszcze wiele innych. Opałowy księżyc. Moichi odruchowo spojrzał do góry.

- Chiisai, popatrz tylko na niebo. Nie ma wcale pełni, a księżyc jest czerwony jak róża.

- Tak - szepnęła. - Tak właśnie jest. Legenda głosi jednak, że jedyne wejście do Krainy Opałowego Księżyca znajduje się za równiną rozświetloną przez ninso-waru, Oko Demona. - Właśnie tu jesteśmy.

- Tak.

- W takim razie, jeśli Sardonyx ma swój zamek niedaleko stąd, to wie o tym już od dawna. Nie to chciała wydobyć z Cascarasa i Aufei. - Nie. Niestety, to jeszcze nie koniec historii - westchnęła Chiisai. - Gdy skończyły się wojny magów, pojawiła się historia o potężnym talizmanie. Zaczęto ją równocześnie opowiadać w wielu miejscach, co świadczy o jej autentyczności. Podobno gdzieś znajduje się klucz do zagadki oka czasu. Niektórzy twierdzili nawet, że go widzieli, ale każdy podawał inne miejsce, a żadne z nich nie okazało się prawdziwe. Większość ludzi odrzuciła więc możliwość istnienia tego klucza. Inni jednak marzyli dalej i za-chowali w pamięci jego miano. Do dziś mówią o Ognistej Masce. Od strony wąskiej kamiennej półki dobiegł uszu Moichiego cichy syk.

Nie ruszając się, popatrzył prosto w małe rubinowe oczy jaszczurki, która ze swym grzebieniem wyglądała niczym przedpo-topowy stwór. Zwierzę wysunęło rozwidlony język, którym badało okoliczne kamienie. Cały czas ze zdziwieniem przyglądało się mężczyźnie. Powolny puls był widoczny na obwisłej fałdzie skóry w miejscu, gdzie dolna szczeka łączy się z szyją. W końcu zwierzę przebiegło obok niego i schowało się w szczelinie skalnej ściany. Moichi spojrzał w górę. Pierzaste chmury, łagodnie świecące, przepływały nad jego głową, omijając krwawy księżyc. Starał się zapomnieć o bólu w klatce piersiowej. Wytężał słuch, łowiąc każdy podejrzany dźwięk. W dole znajdował się zleb, więc zdawał sobie sprawę, że ciche podejście jest wręcz niemożliwe. Uznał, że mogło być dużo gorzej. Hellsturm nie jest przecież jhindo - w przeciwnym wypadku nie miałby żadnych szans, gdyż ci zamaskowani wojownicy są panami nocy. Hellsturm jest jedynie adeptem koppo. Moichi zaśmiał się w głębi duszy, choć specjalnie nie miał z czego. Nie był przecież Dai-Sanem, a miał stawić czoło człowiekowi, który zabił Kossoriego.

Czekając, przykucnął na kamiennej półce, sam pośród nocy. Miał dużo czasu, mógł się w spokoju zastanowić. Zaczęło się pomyślnie. Razem z Chiisai zdecydowali, że nie mogą pozwolić karawanie dotrzeć do celu, którym był zamek Mistral. Hellsturm zdobył już połowę potrzebnej mu informacji, Sardonyx zapewne też; tylko Aufeya znała drugą połowę. Zdawali sobie sprawę, jak niebezpieczna jest ta wiedza. Rozważywszy wszystko to, co Martynę opowiedziała o Cascarasie, a Aufeya o Hellsturmie, nie mieli żadnych wątpliwości. Cascaras i Aufeya odnaleźli miejsce ukrycia legendarnej Ognistej Maski. Teraz oni musieli przechwycić to, co Hellsturm wiozł do Mistralu.

Nie mieli innego wyjścia.

Karawana rozbiła obóz w płytkiej kotlinie, otoczonej z lewej strony gęstym dębowym lasem, a z prawej i z tyłu - naturalną kamienną ścianą.

W obozie znajdowało się czterech tudeskańskich wojowników. Hellsturma osłaniał jeszcze jeden mężczyzna, niski, lecz umięśniony niczym byk. Nie był to Tudeskanin. Moichi rozpoznał w nim Tulka, członka tajemniczej rasy z północy. Tulkowie żyli pośród ośnieżonych stepów, nosząc skóry drapieżników - wilków i nie-dźwiedzi. Wodzowie wkładali dodatkowo czaszki tych zwierząt, przesłaniając nimi do połowy twarz. Moichi spotkał Tulka, kiedy drugi raz w życiu zaciągnął się na statek. Nigdy się nie dowiedział, co ten człowiek robił tak daleko od swego domu. Nie spytał o to Tulka, gdyż nie chciał rozmawiać o przyczynach, dla których sam opuścił dom. Tulkowie byli gwałtownym ludem, pod wieloma względami nie w pełni cywilizowanym. Nie potrafił zrozumieć, co jeden z nich robi na służbie u Hellsturma.

W sumie mieli sześciu przeciwników.

- Uczciwa proporcja - szepnęła Chiisai, uśmiechając się.

Moichi nie podzielał jej optymizmu.

Tudeskanie w jednej chwili zerwali się gotowi do walki, choć Moichi i Chiisai zbliżyli się do nich najciszej, jak tylko potrafili. Mieli za to innego rodzaju przewagę. Tudeskanie wyraźnie lekceważyli wojującą kobietę. Dopóki Chiisai jednym ciosem dai-katany nie pokonała wojownika wysłanego, by ją zabił. Wystarczyło uchylić się przed atakiem Tudeskanina i przebić go na wylot tuż poniżej obojczyka. Przeklinając, Hellsturm nakazał kolejnym dwóm zbirom uporać się z Bujunką.

Stając naprzeciw rywali, Chiisai była spokojna niczym woda w stawie. Zamarła, trzymając oburącz długą rękojeść broni tak, że czubek miecza dotykał ziemi.

Tudeskanie rozdzielili się, nacierając z dwóch stron. Napastnik z prawej zbliżył się nieco wcześniej i zaatakował mieczem z ukosa. Obaj byli tak potężni, że wyglądali jak dwaj olbrzymi toczący się w jej stronę. Wojownik ciął z lewa w prawo. Chiisai uniosła dai-katanę, blokując cios tak dokładnie, jak gdyby trzymała w dłoni drewniany kij, a nie miecz o wąskiej krawędzi. Nie przerywając ruchu, zamachnęła się poziomo mieczem. Ostrze opadło, w porę blokując cios drugiego wojownika, po czym wyskoczyło naprzód i w mgnieniu oka rozcięło Tudeskanina od prawego boku aż po kręgosłup. Upadający na ziemię mężczyzna upuścił broń.

Kucnęła, unikając ciosu pierwszego przeciwnika, i pochyłona OM sprooowata ciąć do tyłu. Tudeskanin odparował jednak cios, a jego kontratak był tak silny, że Chiisai niemal straciła równowagę. Odzyskała ją w porę, by odbić uderzenie wycelowane prosto w szyję. Płaz ciężkiego miecza uderzył ją jednak w ramię. Chiisai szybko opanowała rozedrgane ciało i pchnęła ostrze dai-katany w górę, tak że miecz przeciął szyję przeciwnika tuż ponad jabłkiem Adama i wbił się w mózg.

Moichi w tym czasie walczył z czwartym napastnikiem. Mężczyzna trzykrotnie zaatakował, aż w końcu udało mu się wytrącić broń z ręki Moichiego. Nawigator przeklinał siebie za to, że w młodości nie był pilnym uczniem. Fechtunek nigdy go zbytnio nie interesował. Szkoda, że wtedy nie przewidział obecnej chwili.

Dziki grymas pojawił się na twarzy Tudeskanina, który zbliżał się, by zabić bezbronnego przeciwnika. Wyraz ten pozostał na jego twarzy na zawsze. Nie zauważył nawet ruchu, jaki wykonała lewa dłoń Moichiego. Dlatego też zdziwił się, widząc miedzianą rękojeść sztyletu wystającą z klatki piersiowej. Kaszlnął i przewrócił się do tyłu. Pozostał już tylko Hellsturm. Oraz Tulk. Ten ruszył w stronę Chiisai, a Moichi odwrócił się, by stanąć oko w oko z Hellsturmem. Daluzyczyk odrzucił do tyłu kaptur płaszcz; Moichi po raz pierwszy ujrzał jego twarz.

Okazała się niesamowicie piękna. Dotyczyło to nie tyle po-szczególnych jej fragmentów - nos był zbyt prosty, usta nieco za szerokie, wargi zaś duże i zmysłowe - ile ich wyjątkowej kombinacji.

Miał w sobie coś ze zwierzęcia, niebezpiecznego, przebiegłego i amoralnego. Emanował z niego męski magnetyzm, który przyciągnął zarówno Tsuki, jak i Aufeyę. Głęboko osadzone oczy były równie czarne jak całe jego ubranie. Skórzany hełm miał kolor hebanu, podobnie kolczuga, spodnie i wysokie buty. Malutkie symbole na hełmie i sprzączce szerokiego pasa zakłócały jednolitość ubioru. Były to krwistoczer-wone krzyże otoczone okręgami tej samej barwy. Moichi podniósł sztylet, ocierając ostrze o płaszcz martwego Tudeskanina, po czym chwycił swój miecz. Nawet na moment nie spuścił wzroku ze stojącej przed nim postaci. Schował sztylet, a miecz trzymał przed sobą, czubek nieco wyżej niż rękojeść. Hellsturm zbliżał się z uśmiechem na twarzy. Białe zęby błyszcząły w świetle księżyca, ostre, wilgotne, otoczone różowymi dziąslami. Gdy szedł, schowany w pochwie miecz kołysał się lekko. - Wiesz, kim jestem. - Po raz pierwszy usłyszał głos Hellsturma. Brzmiał niczym łagodny powiew letniego wiatru. Kontrast między wyglądem a głosem zaskoczył Moichiego. Hellsturm mówił tak, jakby rozmawiał z kochanką. Natychmiast przypomniały mu się Aufeya i Tsuki.

Miał szansę przeżyć, jeśli sprowokuje Hellsturma do wyciągnięcia miecza. Jeśli nie... Rzucił się naprzód, udając atak, ale przeciwnik tylko odskoczył zwinnie na bok, kiwając głową i cmokając ustami, jakby był starą kobietą.

- Och, nie - powiedział. - Nie, nie, nie.

Potem uniósł ręce tak, jakby wyprostowane dłonie były ostrzami. Moichi schował bezużyteczny już miecz i ustawił się bokiem, aby stanowić mniejszy cel. Na niewiele to się zdało - Hellsturm był zbyt szybki. Gdy zaatakował, Moichi myślał już tylko, jak parować trzy, cztery, pięć uderzeń nadchodzących jedno po drugim. Wycofał się, lecz Hellsturm szedł za nim. Moichi zdążył zablokować śmiertelny cios w oczy, ale tylko częściowo obronił się przed kolejnym atakiem. Wydało mu się, że ktoś przebił jego klatkę piersiową rozgrzanym prętem. Tylko jedno mu pozostało, jeśli chciał ocalić swoje życie. Zaczął biec. Ma twarz podobną do łasicy - pomyślała Chiisai. 1 głowę nieproporcjonalnie dużą w porównaniu z torsem, choć i ten jest niemały. Wyglądał jak jakiś wybryk natury. Miał małe oczy, ledwo zarysowany nos i ogromne nozdrza nadające mu zwierzęcy wygląd. Płatki niewielkich uszu były wydłużone, prawdopodobnie przez osadzone w nich kamienie. Ubrany w wilcze skóry, koszmarnie śmierdział.

Pozwoliła, by Tulk zaatakował pierwszy.

Potężne uderzenie rzuciło ją na kolana. Ostrze dai-katany zostałooby rozbite na kawałki, gdyby wykonano je gdzie indziej niż na Ama-no-mori.

Nie dając jej się podnieść, atakował raz za razem. Ciosy nie miały wyraźnego rytmu, przez co obrona stawała się coraz trudniejsza. Za każdym razem, gdy zdawał się wpadać w pewien rytm, natychmiast go zmieniał. Chiisai czuła się coraz bardziej zdezorientowana i bezbronna.

Zaczynały ją boleć ramiona, a ból stawał się tak silny, że z wielkim trudem unosiła miecz ponad głowę.

Tulk ciągle nacierał, a zwierzęcy grymas wykrzywił jego twarz. Nieraz widziała już takie twarze. Zrozumiała, co ten człowiek z nią zrobi, zanim ją zabije.

Chwila namysłu wystarczyła, by nie zauważyła ciosu. Ruch musiał być bardzo szybki. Za późno. Uderzyły w nią rozmyte kontury ostrza. Jakby ktoś wetknął jej prawe ramię do ognia. Krzycząc, zatoczyła się do tyłu. Potknęła się, a dai-katana wypadła jej z dłoni. Upadła na ziemię, chwytając zdrową dłoń za ramię w miejscu, gdzie wbił się ogromny ówiek. Małe ostrze odczepiło się od rękojeści miecza Tulka, zwolnione przez ukrytą sprężynę. Teraz stał nad nią z kamiennym wyrazem twarzy. Potem odrzucił miecz i wyciągnął coś spod grubej warstwy futer. Chiisai, gdy tylko zobaczyła nową broń Tulka błyszczącą w świetle księżyca, wiedziała, że nadszedł koniec.

Jaszczurka o suchej i chłodnej skórze odbiegła, a jej odgłos zastąpił cichy, nasilający się dźwięk. Moichi wiedział, że zbliża się Hellsturm.

Nadal nie miał żadnego planu. Wiedział tylko, że musi trzymać się z daleka od tej maszyny śmierci, znaleźć jakąś osłonę. Starał się przypomnieć sobie wszystko o koppo, co mu pokazał lub opowiedział Kossori. Nie popadł jeszcze w rozpacz, choć wiedział, że walczy z przeciwnikiem, który zabił jego przyjaciela. Moichi zawsze uważał, że Kossoriego nie da się pokonać. Ponownie usłyszał ten dźwięk, cichutki odgłos skóry ocierającej się o kamień. W ciemnościach dojrzał zarys sylwetki, dużo bliżej, niż się tego spodziewał. Nie zostało już wiele czasu. Powstrzymał się przed wykonaniem jakiegokolwiek ruchu. Był niemalże pewien, że Hellsturm go jeszcze nie zauważył, choć szedł w dobrym kierunku. Bezsensowne byłoby zwiększanie przewagi Tudeskanina. Kłopot w tym, że jego mózg był zupełnie pusty. Nadal nie miał pomysłu, jak... Nagle zarys Tudeskanina zniknął mu z oczu. Przed chwilą jeszcze tam stał, zaraz potem już go nie było. Gdzie jest Hellsturm? - zastanawiał się zdesperowany. Zapadła zupełna cisza. W uszach Moichiego rytm wybijał jednak ogłuszający dźwięk. Zrozumiał, że wsłuchuje się we własny puls. Uważnie obserwował ciemność przed sobą.

Bardziej czując niż słysząc cokolwiek, zaczął się odwracać, gdy otrzymał pierwszy cios, który cudem ześliznął się po jego głowie. Potem toczył się, na wpół oszołomiony, wiedząc, że gdyby nie zaczął się odwracać, to uderzenie rozplątałoby jego głowę równie łatwo jak dojrzały melon.

Próbował stanąć, ale wyrzucił się, gdy Hellsturm kopnął go w bok. Po chwili napastnik był już nad nim, uniemożliwiając mu powstanie. Nawigatorowi pozostało jedynie blokować serię okrutnych uderzeń miecza wycelowanych w mostek, co było dość trudne w pozycji leżącej. Pot zalewał mu oczy, więc potrząsnął gwałtownie głową, by go strząsnąć. To tylko zwiększyło ból. Ostre kamienie wbijały mu się w plecy, a unoszący się pył zatykał nos. Hellsturmowi prawie udało się przycisnąć Moichiego do ziemi. Wiedział, że wtedy wszystko się skończy - umrze, jeśli choć na moment przestanie się ruszać.

Walczyli na krawędzi półki skalnej. W pewnej chwili Moichi poczuł, że staczają się z niej, zawisają na moment w powietrzu, jak gdyby zaczepieni, po czym lecą ku ziemi z zastraszającą szybkością. Ogromnym wysiłkiem udało mu się rozprężyć. Hellsturm nadal był jednak nad nim i gdy wylądowali, połączony ciężar dwóch rozpędzonych ciał wbił prawe ramię Moichiego w kamienny grunt. Tak jakby ktoś włożył mu bark w imadło. Krzyknął czując, jak rozrywają mu się tkanki. Potem kość wyskoczyła ze stawu. Ból nie był już tak wielki, ale nawigator wiedział, że ma zwichnięty bark. Wiedział też, że nie ma już szans. Żadnych szans. Widziała kiedyś taką broń. Długą drewnianą rękojeść wieńczyło metalowe ostrze w kształcie sierpa. Z drugiego końca zwisał łańcuch zakończony nabitą grubymi kolcami kulą. Widok broni przeraził ją i miała ku temu wystarczające powody. Chiisai była shunjinem - wielkim mistrzem sztuk walki. Jedynie shunjin mógł nosić dai-katanę. W historii narodu bujuńskiego niewiele kobiet osiągnęło taki poziom umiejętności. Znała jednak smak porażki, choć zdarzyło się to tylko raz.

Jej przeciwnik walczył wtedy tą samą bronią co Tulk. Strach sparaliżował dziewczynę. Nigdy nie pokonała tej broni i dobrze wiedziała, że tym razem nie będzie inaczej. Łańcuch ze świstem ciął powietrze, zataczając szerokie koła. Potem z piorunującą prędkością poleciał w jej stronę. Tulk uśmiechał się. Wrzasnęła, gdy łańcuch owinał się wokół jej szyi, wydając odgłos podobny do kłapania głodnego wilka. Nie mogąc zaczerpnąć oddechu, dusiła się, a jej krzyk był już jedynie cichym charkotem w głębi gardła. Niczym w koszmarze sennym otwierała usta, ale nie mogła wydobyć z nich żadnego dźwięku. Zaczęła wpadać w panikę. Dławiąc się, widziała okrutnie uśmiechniętą, bezzębną i spoconą twarz Tulka tuż nad głową. Grube i brudne łapy z wolna zaciskały łańcuch wokół jej gardła. Wojownik podrzucił niedbale swoją broń do góry, po czym złapał ją za rękojeść i raz za razem wymachiwał nią nad ciałem Chiisai. Sierpowate ostrze zbliżało się powoli do próbujących schwytać powietrze piersi.

Chciała odepchnąć się nogami do przodu, ale Tulk przyciągnął ją z powrotem, trzymając za łańcuch, jak gdyby była schwytaną rybą. Wydawało jej się, że lada moment pękną jej płuca. Do umysłu wdzierала się ciemność, powoli niczym gęsta mgła otaczając jej świadomość. Wiedziała, że śmierć jest blisko. Zahip-notyzowana, przestała się ruszać; patrzyła jedynie do góry, przeko-nana, że tak naprawdę spotkało to kogoś innego, a nie ją, nie Chiisai. Potem, jedną dłonią ciągle zaciskając łańcuch, z drugiej wypuścił rękojeść broni i ostrożnie, nie odwracając wzroku od dziewczyny, rozpiął pas. Po chwili sierpowate ostrze opadło, rozcinając rzemyki napierśnika Chiisai, który zaraz potem odrzucił na bok. Pozostała tylko cienka warstwa ubrania. Śliniąc się, obserwował prześwitujące przez jedwab ciało. Rozpiął spodnie, które zsunęły się wzdłuż włochatych nóg. Na ten widok zbudziła się w Chiisai wściekłość, która wytrąciła ją z otępienia. Nie myślała już o swej jedynej przegranej ani o dziwnej broni, która do niej doprowadziła.

Liczyło się teraz życie, tylko życie.

Wróciła do podstaw. Pozostało już tylko iai, ruch, którego nauczyła się przed cięciem, blokiem czy pchnięciem. Znów usłyszała głos swego instruktora, Henjo, gdy mówił: „Jeśli w porę go nie wyciągniesz, to nie ma potrzeby uczyć się reszty. Rozumiesz?” Wtedy, szczerze mówiąc, niezbyt rozumiała. Mimo to nauczyła się iai; nauczyła, i to dobrze, gdyż Henjo był najlepszym iaijutsu wśród Bujunów. Po latach zrozumiała słowa nauczyciela, którego w myślach błogosławiła. Tulk nawet nie zauważył nagłego ruchu. Dopiero co miał dziewczynę pod sobą, odsłoniętą i zdaną na jego łaskę, gdy chwilę później ostry ból rozpalil jego pachwinę i podbrzusze. Oczy wyszły mu na wierzch, a ślina ściekała w dół otwartych na oścież ust. Upuścił broń. Stracił czucie w nogach, na których nie miał już siły ustać. Upadł na kolana, okraciem nad nogami Chiisai. Trzęsącymi] się dłońmi próbował upchnąć wyciekające organy z powrotem do rozciętego ciała. Przed nim, niesamowicie blisko, stykały się uda kobiety. Patrzył na nie z utęsknieniem, gdy chłód ogarnął jego ciało, chłód zimniejszy od wszelkich mrozów, jakie kiedykolwiek przeżył. Pomyślał I o ogromnych wilkach śnieżnych żyjących na zmrożonych stepach IATk i o niemal orgastycznej radości polowania, o gorącej czerwonej krwi rozlewającej się po nieskazitelnie białej ziemi, czyste] i na swój sposób świętej. Teraz, z każdym uderzeniem serca, jego własna krew przelewała mu się między palcami na zapyłoną ziemię. Zdążył jeszcze tylko dostrzec fragment swego ciała leżący przed nim na ziemi. Sięgnął po niego, jak gdyby to mogło pomóc mu schwytać uciekające życie. Nieżywy przewrócił się na ziemię. Chiisai desperacko ciągnęła za duszący ją łańcuch. Broń zaklinowała się pod ciężkim ciałem Tulka, które musiała przetoczyć, by osłabić nacisk na szyję. Gdy wreszcie się oswobodziła, za-krwawione dłonie były niemal całkiem pozbawione paznokci. Łzy napłynęły jej do oczu, gdy płuca samoistnie nabrały powietrza. Kręciło jej się w głowie i nie miała odwagi się unieść. Leżała na wilgotnej ziemi, z trudem łapiąc oddech, czując, że nie zdąży nabrać w płuca wystarczająco dużo tlenu. Czuła klucie szpileczek, drętwiejący nos, policzki i usta. Wiedziała dobrze, że zbyt prędko zbiera się w niej dwutlenek węgla. Zmusiła się do zwolnienia oddechu. Wolno i głęboko. Głęboko i wolno. Wydawało się, że mija wieczność, a jej wystarcza tylko głęboko oddychać, by być zupełnie szczęśliwą. Niczego więcej nie po-trzebowała. Leżała wpatrzona w wirujące powoli lodowate iskierki gwiazd, krążące wokół krwistego księżycy. Płakała, wiedząc jednak, że wszystko będzie już dobrze.

Atak nadszedł niespodziewanie, od tyłu. Odsuwał się, ale zbyt wolno - cios koppo trafił go ponad prawym uchem, w którym natychmiast utracił słuch. Boże - pomyślał - on nie jest człowiekiem, lecz jakimś potworem.

Zatoczył się jak pijany i odbił od ogromnego głazu. Hellsturm nieugięte za nim podążał. Czując za plecami twardy granit, Moichi wiedział już, co musi zrobić. Zaciskając zęby, by zwalczyć ból i szok, uderzył prawym barkiem w chropowatą skałę pod kątem, który wydawał mu się odpowiedni.

Białe światło wypełniło jego pole widzenia i omal nie zwymio-tował z bólu. Poczul jednak, jak kość wskoczyła mu w staw. Fala bólu zalała jego ciało, gdy szok przestał otępiac zmysły; grzmot

pędzący tuż za błyskawicą. Przeszedł go dreszcz i cały zaczął się pocić. Przetarł oczy zdrowym ramieniem, zaczerpnął głęboko powietrza i odsunął się od kamienia.

Czuł, że Hellsturm jest tuż za nim. Pobiegł w ciemność, wspinał się, jak gdyby to mogło go uratować.

Bóg jest moim zbawcą - często tak myślał. Nieustannie mnie obserwuje. Ojciec zawsze to mówił, gdy Moichi szedł spać. Odkrył, że nie uważa już tego za powiedzenie, z którego można sztydzić. W końcu nabrało dla niego sensu. Miał w sobie wewnętrzną siłę, dzięki której nie poddawał się rozpaczce. Odgłos za plecami uświadomił mu, że Hellsturm zmniejsza dzielący ich dystans. Parowanie ciosów, ciągły ruch na nic się już nie zdadzą - czuł bowiem, że z każdym krokiem traci siły. Wiedział, że od początku nie miało to sensu, było jak odsuwanie na później czegoś, co musiało się zdarzyć. Jak mógł myśleć, że ma jakąkolwiek szansę w walce z tym diabłem? To prawda, walczył u boku największego bohatera tego świata, ale co go skusiło do uznania siebie także za bohatera?

Jednak nadal piał się do góry. Dusza nie chciała przyznać się do porażki, choć jej ziarno unosiło się nad Moichim. Był coraz bliżej gwiazd oraz krwistego Oka Demona, wiszącego nad nim niczym sycząca się widokiem jego porażki, chciwa twarz Sardonyx. Krawędź, po której biegł, zakręcała ostro w lewo. Moichi nie przerywał wspinaczki, szukając dłońmi drogi wzdłuż skalnej ściany, odpychając się nimi do przodu, potykając się, podnosząc, biegnąc ponownie. Płuca pracowały z największym wysiłkiem, a gardło było tak suche, jakby zasypał je piach. Pot, sączący się obficie z przemęczonego ciała, dodatkowo umniejszał zasoby siły. Woda. Potrzebował wody. Nagle wydało mu się to najważniejsze, ważniejsze nawet niż ucieczka przed Hellsturmem. Nie zastanawiając się, zeskoczył z kamiennej półki na zbocze wzgórza. Zerwał sobie przy tym dwa paznokcie. Podązał wreszcie w górę, z dala od rozciągającej się w dole równiny. Nieustannie się wspinał, omijając głazy i krzaki, zdobywając czas - jedyną rzecz, która była mu jeszcze przydatna.

Ledwo żywy dotarł na szczyt wzgórza i zmusił się do zwolnienia oddechu. Potem biegł już w dół po drugiej stronie wzgórza, aż wreszcie znalazł się na dole, wśród bujnej roślinności. Po raz pierwszy gdzieś w głębi niego zajaśniała nadzieja, wreszcie bowiem poczuł zapach wody.

Zawadził stopą o wystający kamień lub korzeń i potoczył się w dół zbocza. Po chwili klęczał już na wąskim brzegu, zagarniając zimną wodę strumienia i łykając ją łapczywie, dopóki się nie opamiętał. Przestał pić, choć jego ciało pragnęło więcej, a wargi nadal były suche. Ostatni łyk zatrzymał w ustach. Pochyliwszy głowę ochlapał jeszcze twarz i barki. To zmniejszyło nieco ból. Wypluł resztkę wody, wiedząc, że jeśli wypije za dużo, to przy pierwszej próbie szybkiego biegu wszystko zwymiotuje. Powstał i przekroczył ostrożnie strumień, który choć szeroki, był dosyć płytki - bulgocząca woda nie sięgała wyżej niż do kostek. Dno pokrywały ostre i śliskie kamienie, a Moichi nie chciał ryzykować upadku.

Wreszcie osiągnął drugi brzeg i wszedł do gęstego sosnowego zagajnika. Wspiął się na szczyt i podążył nim, dopóki nie znalazł odpowiedniego miejsca. Doskonale widział strumień, choć sam był ukryty w zaroślach. Przykucnął i czekał. Z każdą chwilą wracało mu więcej sił. Wiedział jednak dobrze, że tym razem sama siła fizyczna nie wystarczy.

Oparł plecy o pień drzewa, czując silną woń warstwy brunatnych igieł sosnowych pokrywającej żyzną ziemię wokół niego. Wysoko nad głową usłyszał smutny bek lelka siedzącego wśród konarów. Patrząc w górę, dojrzał nieopodal brązowobiałą sowę. Coś za-skoczyło Moichiego w wyglądzie ptaka. Spojrzał ponownie. Miała zamknięte oczy. Prowadziła nocny tryb życia, więc o tej porze nie powinna spać. Czemu więc było inaczej?

Szybko znalazł odpowiedź, a zarazem zrozumiał, jak może zwyciężyć. Wiedział, że ma szansę. Jedną na dziesięć tysięcy. Lepsze to jednak niż zupełny brak szansy. Potrzebował tylko czasu, by wszystko przemyśleć.

Chodziło o księżyc. Nie był w pełni, ale w tej dziwnej krainie błyszczał i tak wystarczająco silnie, aby zmusić sowę do zamknięcia oczu.

Księżyc oświetlający wodę strumienia.

Na powierzchnię świadomości wypłynęło wspomnienie, jak gdyby ktoś otworzył drzwi jego umysłu.

- Jeden z powodów, dla których tak trudno opanować koppo, to potrzeba całkowitego zaangażowania umysłu w walkę. - Kossori wytłumaczył mu to pewnego razu. - Trzeba nauczyć się być „tak spokojnym jak światło księżyca”. Chodzi o pozbawienie się wszelkich emocji, o uświadomienie sobie otoczenia zarówno w ogólności, jak i w drobnych szczegółach. Adept koppo jest właściwie nie do pokonania, dopóki zachowuje tę postawę. Wystarczy jednak jeden rozpraszający element, który zakłóci równowagę umysłową. Podobnie jak ciemna chmura przepływająca przed twarzą księżyca spowija świat w ciemnościach, tak i adepta koppo można wtedy pokonać. Oko Demona rozbłysło tysiącem iskier, gdy Hellsturm wsoczył do strumienia i przedostał się na drugi brzeg. Zatrzymał się tam, próbując wszystkimi zmysłami wyczuć swą ofiarę. Nie ruszając reszty ciała, Moichi przeszukiwał ręką iglasty dywan, dopóki nie znalazł potrzebnej mu rzeczy. Uniósł ją w lewej dłoni, oceniając ciężar, po czym wetknął sobie za pas na plecach, tak by nie była z przodu widoczna.

Gdy to robił, jego łokieć natrafił na miejsce, gdzie światło księżyca prześwitywało przez gałęzie. Niczym ogar na polowaniu Hellsturm skierował piękną twarz w stronę nawigatora, wiedząc już dobrze, gdzie ten się chowa.

Tudeskanin wspinał się po zboczu zwinnie, niż Moichi uważał to za możliwe. Długie, umięśnione nogi pracowały jakby wbrew sile grawitacji.

Śmiercionośne dłonie trzymał uniesione. Na ich widok Moichi się cofnął. Potknął się jednak; upadał jeszcze, gdy nadeszło pierwsze uderzenie napastnika.

Siła Tudeskanina była przerażająca, nawet po tak długiej walce. Moichi czuł, jak omal puściły mu nerwy, gdy bronił się zaciekle przed demonicznym napastnikiem.

Nie miał już wiele czasu. Coraz słabiej przeciwstawiał się atakowi i coraz więcej ciosów trafiało w jego ciało. Czuł, że za chwilę zostanie całkiem wbity w ziemię. Zaciskając zęby, użył prawego ramienia, tego o zwichniętym stawie, do blokowania nawałnicy ciosów. Ból wydawał się żywą istotą, wżerającą się w jego ciało. Nie mógł nic na to poradzić, lewa ręka była mu potrzebna do czegoś innego. Sięgnął za siebie, zacisnął palce na chłodnej i twardej powierzchni, po czym wyciągnął ukryty przedmiot. Teraz.

Głowę rozpałiło nie w pełni zablokowane tygrysie uderzenie.

Teraz, teraz, teraz.

- Tsuki - zawołał. - Tu jestem! Szybko!

Był to desperacki akt, sztuczka używana kiedyś tak często, że dzisiaj nikt już nawet jej nie próbował.

Hellsturm gwałtownie odwrócił głowę, otwierając nieco szerzej oczy.

Ręce na moment zatrzymały się, chmura zasłaniająca twarz księżyca. Leżący w cieniu Moichi zamachnął się w górę z całą pozostałą w ramionach siłą, wbijając ostrym kamieniem, który trzymał w dłoni, prawą dłoń Hellsturma w pień drzewa. Kość pękła równie głośno co łamiące się pod ciosami drwa drzewo. Zdarłszy już skórę, Moichi z całej siły wgniatał kamień w odsłoniętą kość. Krew tryskała spod pękających jedna po drugiej kostek. Hellsturm na powrót zwrócił głowę w stronę Moichiego, a zmysłowe wargi odsłoniły rząd zębów. Białka jego oczu świeciły, a w powietrzu unosił się smród potu Tudeskanina. Nadal miał lewą rękę wolną i wykorzystał ją, by wytrącić kamień z dłoni Moichiego. Używał ręki jak maczugi, nie zwracając uwagi na ból.

Moichi kopnął w górę, trafiając Hellsturma w brzuch. Kolczuga wydawała się jednak łagodnie uderzenie, gdyż Tudeskanin dalej atakował. Udało mu się schwytać prawe ramię Moichiego i wbić palce w uszkodzony wcześniej staw.

Ból był jak koc spowijający ciało. Moichiemu łzawiły oczy, z gardła wydobył się przejmujący krzyk. Porażone bólem ramię wisiało u jego boku, zdrętwiałe i bezużyteczne. Lewą ręką natrafił jednak na rękojeść jednego ze sztyletów. ficial go wyciągnąć, ten jednak w czasie walki zaplątał się w materiał koszuli.

Twarz Hellsturma stała się pełną nienawiści i żądy krwi maską, a jego dłoń nadal wbijała się w skórę ramienia Moichiego; jednocześnie ciągnął go za rękę. Nawigator wiedział, że lada moment kość znów wyskoczy ze stawu i ból stanie się nie do zniesienia. Jeśli zemdleje teraz...

Udało się! Sztylet został oswobodzony, więc nie myśląc, ciął nim w górę, nawet nie wycelowawszy - nie miał na to czasu. W tej samej chwili poczuł, jak kość ponownie wysuwa się ze stawu. Uzbrojona w sztylet dłoń skoczyła w górę, a błyszcząca żywym srebrem krawędź rozcięła twarz Hellsturma od prawego oka, przez zwieńczenie nosa, aż do końca lewego.

Tudeskanin ryknął niczym zwierzę, a jego ciałem wstrząsnęły konwulsje. Zatoczył się do tyłu, podnosząc kikut dłoni do rozoranej twarzy. Potknął się i próbował odzyskać równowagę, ale nachylenie zbocza było zbyt wielkie, a jego ciało pokrywało zbyt wiele krwi. Oślepiła go, zalewała uszy i usta, pozbawiała równowagi. Poleciał bezwładnie w dół, a jego kręgosłup pękł, gdy uderzył o pień sosny. Siła uderzenia rzuciła go dalej w dół stoku; wreszcie zataczając się, wpadł do pędzącego strumienia, z hukiem uderzając o wodę i skryte pod jej powierzchnią ostre kamienie. Krwistoczerwona poświata Oka Demona oblała martwe ciało, dodając jeszcze jeden element do harmonijnego karmazynowego krajobrazu. Kowadło z ja równiną rozciągał się las, a za lasem błyszczały brzegi Morza Śmierci.

Leśną gęstwinę opuścili dopiero nazajutrz w południe. Przy-gnębające miejsce było labiryntem splątanych krzaków, grubych lian i kolczastych drzew. Ziemię między nimi porastały groźnie wyglądające grzyby, białe jak śnieg. Zaskakiwała niewielka ilość zwierzyny. Widzieli jedynie nocne ptaki żyjące w wyższych partiach drzew. Znikały one z oczu wędrowców w chwili, gdy słońce unosiło swój ciężar ponad horyzont.

Oboje z ulgą opuścili ciemny i ponury las.

Widok, który ujrzeli, zadziwił ich. Morze Śmierci było bowiem głęboką suchą raną na powierzchni ziemi, gnijącym szkieletem pozbawionym ciała i skóry.

Było co najwyżej pyłem i wirującym popiołem, błyszczącym w ostrym świetle słonecznym. Nagrzane strome brzegi dna przypomniały ściany pieca.

Zatrzymali się na skraju jeziora. W oddali, na drugim brzegu, wśród unoszących się oparów pyłu, majaczyły ledwo widoczne wieże i mury zamku Mistral, domu Sardonyx.

Szybko postanowili, że dostaną się tam najkrótszą drogą - po-przez Morze Śmierci. Rozpadlina była dwa razy szersza niż dłuższa, co oznaczało, że droga okrężna zabrałaby im niemal cztery dni. Temperatura gwałtownie rosła, gdy zjeżdżali w dół. Moichi przez moment rozważał, czy nie powinni się wycofać, ale nie i odważył się wypowiedzieć swoich wątpliwości. Myślał ciągle o Aufei zdanej na łaskę Sardonyx, co tylko wzmagало jego ' determinację.

Wokół siebie widzieli tylko pył i rozkładające się szczątki. Nie była to jednak ropiejąca zgnilizna, jaką napotykało się w głębi gęstej dżungli lub w cuchnącym bagnie. Szczątki były wysuszone, niemal skamieniałe, jak gdyby cała wilgoć została z jeziora wyszana. Im głębiej zjeżdżali, tym bardziej nieznośny stawał się żar, suche gorąco, które narastało, aż poczuli się tak, jakby ktoś piekł ich na rożnie. Tylko dzięki całkowitemu brakowi wilgoci jazda była w ogóle możliwa.

Białe, rozżarzone słońce wisiało pozornie nieruchomo nad ich głowami. Moichi dobrze znał takie warunki - przyzwyczał się do koszmarnych upałów podczas flauty, która często się zdarzała na południu. Obwiązał więc głowę zapasową koszulą, radząc Chiisai, by zrobiła to samo. Nie chciał, aby któreś z nich dostało udaru słonecznego i zemdłało.

Rozmawiali z rzadka, porozumiewając się pojedynczymi sylabami. Z powodu upału wszelki trud wydawał się nie do zniesienia. Były też inne powody ku temu.

Tuż po dwunastej zjedli pospieszny posiłek, choć nie mieli za bardzo apetytu. Chiisai najchętniej zrezygnowałaby zjedzenia, lecz Moichi nalegał, by coś przełknęła. Promienie słońca zbyt szybko pozbawiały ciało sił.

Dno Morza Śmierci wyrównało się, choć nadal jechali przez jego płytszą część. Potem, opuszczając pradawny szelf, zsunęli się w poprzek stromego zbocza na sam dół jeziora. Po południu zatrzymali się na moment, by napić lumy, które jak wielbłądy potrafiły przechowywać dużą ilość płynu. Chiisai przociągnęła dwa łyki letniej wody, a Moichi zrezygnował z picia. Zmniejszywszy wysiłek, wiedział, jak wykorzystywać zmagazynowane w ciele płyny, by ograniczyć do minimum spożycie wody. Jadąc dnem, minęli szkielet jakiejś morskiej istoty, piętrzący się ponad wysokość sporego domu. Wysuszone kości tworzyły wąskie skarpowanie cieni, pasy światła i cienia przecinały morskie dno. Na wpół zasypana pyłem ogromna czaszka miała długą, wąską szczękę o dwóch rzędach zębów i bardzo mało miejsca na mózg.

Wędrując dalej, dotarli do rozpadającego się trupa innego stwora. Ten musiał mieć skrzydła, gdyż rozciągnięte po obu stronach tułowia kości były delikatne i doskonale okrągłe. Brak wilgoci powodował, że dno Morza Śmierci doskonale konserwowało istoty, które wyginęły wieki temu.

Zupełnie bezchmurne niebo było białe wokół słońca, stopniowo przechodząc w błądy błękit. Moichi zauważył, że między nimi a drugim brzegiem unosi się coś w rodzaju mgły. Potrząsnął głową i osłonił ręką oczy, sądząc, że jest to tylko sztuczka spowodowana falowaniem rozgrzanego powietrza. Szturchnął Chiisai, która spojrzała tam, gdzie wskazał palcem, i pokiwała tylko głową. Chmura wisiała tak nisko, że zdawała się dotykać dna Morza Śmierci. Jej czubek nie wznosił się ponad poziom brzegu. Odnieśli wrażenie, że się porusza. Ciągły ruch rozmywał jej kontury, gdy podążała w stronę dwójki wędrowców. Potem dotarła do nich; nagle znaleźli się w środku chmury ogromnych owadów. Uszy wypełniało buczenie, ale same owady leciały zbyt szybko, by mogli się im przyjrzeć. Były jak plamki chaotycznie przelatujące przed oczami. Żaden z insektów nie zbliżył się nawet do ciał jeźdźców, najwyraźniej były zupełnie niegroźne.

Ponagliwszy swe lumy, szybko wydostali się poza zasięg roju. Odwrócili się, by popatrzeć, jak przesuwa się po dnie Morza Śmierci. Moichiego zastanowiło, czym żywią się owady - na pustkowiu nie było nic do jedzenia.

Zmrok nadszedł wcześniej. Dla wędrowców słońce schowało się już za wysokim zachodnim brzegiem, choć nad nimi świat był skąpany w jego promieniach. Zmierzch okazał się istnym błogosławieństwem, temperatura bowiem zaczęła spadać, gdy tylko cienie pojawiły się na pylistym dnie. Piasek najwyraźniej nie utrzymywał zbyt długo zebranego w dzień ciepła. Dostyc wcześniej przystanęli i rozbili obóz. Byli zmęczeni | nie tylko całodzienną jazdą, ale i trudami zeszłej nocy. Od rana Moichi trzymał zranioną prawą rękę tuż przy boku, przedramię opierając o udo. Ciepło promieni słonecznych zdawało się przyspieszać gojenie rany.

Nad ich obozem, niczym łuki kościelnego sklepienia, wznosiły się gigantyczne zebra dawno umarłej istoty, z której szerokiej i grubej czaszki sterczał długi, prosty róg.

Temperatura gwałtownie spadała, a w pobliżu nie widzieli niczego, na czym mogliby rozpalić ognisko. Trudno było sobie wyobrazić, że jeszcze niedawno powietrze i pył drgały od upału. Lumy przytuliły się do siebie, parszkając, a ich oddechy tworzyły malutkie chmurki pary. Moichi i Chiisai

wzięli przykład ze swych wierzchowców, przytulając się do siebie, by dłużej utrzymać ciepło. Po niewielkim posiłku mieli czas na rozmowę, ale oboje nie byli do niej skłonni. Moichi widział, co Chiisai zrobiła z Tulkim, ale nie miał pojęcia, co on wcześniej jej zrobił. Znał ją wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że z natury jest dosyć rozmowna, cisza była więc tym bardziej niepokojąca. Mimo to sam także się nie odezwał. Instynktownie czuł, że ważne jest, aby to ona zaczęła rozmowę.

Coś chodziło jej po głowie - to Moichiemu wydawało się oczywiste.

- Jak twoje ramię? - Jej głos był łagodny i przyciszony.
- Bardzo boli?
- Już nie tak strasznie. Ciepło słoneczne bardzo mu pomogło.
- Powinieneś mieć je na temblaku.
- To nie najlepszy pomysł, biorąc pod uwagę cel naszej podróży.
- Tak czy inaczej nie na wiele ci się przyda.
- Jutro spróbuję unieść je ponad głowę.
- Oszalałeś.
- Tak. Możliwe.

Zaśmiała się. Śmiech utknął jej jednak w gardle i już po chwili płakała, przytulając się do ramienia Moichiego. Łzy spływały jej po policzkach.

- Już po wszystkim, Chiisai - powiedział, choć własne słowa wydały mu się głupie.

- Czym jest strach, jeśli nie twarzą naszych lęków - szepnęła. - Jest takie powiedzenie wśród Bujunów. Słyszałam je wiele razy, ale do zeszłej nocy nie w pełni rozumiałam. Bywałam już twarzą w twarz ze śmiercią, Moichi, ale nie bałam się. Ale ten Tulk... - Zamilkła na chwilę, a on wiedział, co ją gryzie, rozumiał powód jej milczenia. Ich ciała pokrywały pasy czerni i czerwieni, rzucające przez księżyc prześwitujący między ogromnymi żebrami, pomiędzy którymi siedzieli skuleni. - Tulk chciał mnie zgwałcić. Żywą lub martwą, chyba nie robiło mu to różnicy. Może nawet chciał widzieć, jak umieram, gdy on wciąż... - przerwała, przez długi czas nie będąc w stanie mówić dalej. Poza tym zdawała się panować nad sobą, jej ciało było spokojne. Jednak ramionami coraz silniej obejmowała Moichiego, który wiedział, że jeszcze nie doszła do najtrudniejszego dla niej momentu. - Nigdy jeszcze... nie byłam z mężczyzną. Więc gdy zobaczyłam go stojącego nade mną... stojącego tak i... nie mogłam pozwolić, by do tego doszło. Bałam się i teraz się tego wstydzę. - Ostatnie słowa wymówiła tak szybko, jakby podjęła decyzję, że mu o tym powie, ale lękała się, że wycofa się w ostatniej chwili. - Straciłam panowanie nad sobą. - Nie - powiedział. Byli tak blisko siebie, że jego niski głos zdawał się wywoływać delikatne drgania poniżej poziomu słuchu. - Dzięki temu żyjesz. Nie ma więc się czego wstydzić. - Nie jestem zdolna do życia wojownika, nie jestem godna tytułu shujina.

- Posłuchaj mnie, Chiisai. - Moichi przytrzymał jej twarz, chcąc, by patrzyła mu prosto w oczy. - Wcześniej się nauczyłem, że strach jest nieraz jedyną rzeczą, która utrzymuje nas przy życiu. Pomyśl tylko, jesteś teraz ze mną tutaj. Gdybyś się nie bała...

- Zatrząś się.

Chiisai jednak dalej milczała. Może potrzebowała tylko czasu. - może nie. Nie mógł tego wiedzieć. Walka, którą sam stoczył, także była ciężką próbą. Dzięki niej wypędził z siebie niektóre z dręczących go upiórów. Wiedział jednak, że inne nadal tkwią gdzieś w głębi.

I jej nocy śnił o powrocie do domu. Nie były to nagle przebliski lub dziwne, bezsensowne sceny. Nie był to pozbawiony upływu czasu, malowniczy język snów. Czuł się jak na jawie, wspominając wydarzenia z przeszłości.

Wiatr mu to powiedział. Przynajmniej zawsze w ten sposób o tym później myślał.

Obudził się z nadejściem godziny kormorana i wyszedł na pokład. Płynął na „Biyhee”, swoim pierwszym okręcie. Morze było spokojne, gładkie niczym lustro, a słońce wisiało tuż nad wschodnim horyzontem, odpychając bladym światłem ciemność nocy.

Nie wszystko było jednak takie samo jak zeszłego wieczoru. Zmienił się wiatr. Podczas krótkiej nocy musiał w pewnej chwili zawrócić, gdyż teraz wiał od południa.

Zaczerpnął głęboko powietrza, czując powiew unoszący się nad wodą niczym niewidzialna mgiełka. Podszedł do poręczy rufowej na prawej burcie i opierając się o nią, zlustrował horyzont. Nie widział nic oprócz morza i nieba. Nieba i morza. Jednak nadal tam był.

Odwrócił się i nakazał sternikowi zmienić kurs. Potem wydał komendę załodze i po chwili wszystkie żagle zostały poprawione. Chwilę później pierwszy oficer wyszedł na pokład i Moichi powiadomił go o zmianie kursu.

Nie było go - jak sądził - bardzo długo, ale być może było to tylko subiektywne odczucie. Iskaelskie miasto portowe, z którego wypłynęli, tętniło życiem. Manewrując „Biyhee” w stronę pomos-tów, widział tu i tam nowy budynek lub plac w miejscu, które pamiętał zarośnięte i zaniedbane. Nie było się czemu dziwić, wszystkie zdrowe kultury muszą się z czasem rozwijać. Przynajmniej wysokie cieniste palmy nadal stały nad brzegiem w równym szeregu przed linią budynków.

Gdy jako chłopak opuszczał miasto, ojciec był ostatnią osobą, którą widział. Pamiętał, jak obrócił twarz, by przyjąć szorstki pocałunek, który zawsze wydawał mu się przejawem bardziej tradycji niż emocji.

Teraz ojciec sprowadził go z powrotem do domu. Wiatr przyniósł bowiem wiadomość, że umiera.

Tak rzeczywiście było. Główny korytarz rodzinnego domu rozświetlał blask niezliczonych białych świec śmierci. Zbliżało się południe i w domu niewiele się działo. Nikt nie zwrócił na niego uwagi, dopóki jego brat, Jesah, nie otworzył cedrowych drzwi, które - jak dobrze pamiętał - prowadziły do pokoju ojca.

Służący w pośpiechu przechodzili obok, a oni stali w korytarzu, patrząc na siebie, tak różni, zarówno z wyglądu, jak i charakteru. Moichi zazwyczaj uchodził za potężnego, jednak był niczym w porównaniu z młodszym bratem, który wydawał się prawdziwym olbrzymem. Poza tym Jesah szedł we wszystkim w ślady ojca. Zawsze z góry patrzył na zainteresowania starszego brata, uważając je za niegodne osoby, która mogła... nie, raczej powinna... przejąć odpowiedzialność jako przyszła głowa rodziny. Jesah przeczyścił gardło.

- Cóż, wróciłeś do domu, Moichi. Wybrałeś świetny moment, by się pojawić.

- Przybyłem, ponieważ on umiera, Jesah.

- Ach, tak. - Jesah zacisnął dłonie. Uwielbiał ten gest, uważając, że nadaje nim sobie niemal liturgiczną powagę. Według Moichiego przypominał raczej pedantycznego nauczyciela. - Z jakiej to odległej krainy przybywasz?

- Byłem na otwartym morzu, siedemnaście dni od Bylanteanu.

- To daleko stąd. Jestem zaskoczony, że ci się udało.

- Jest moim ojcem.

- Dobrze o tym wiem.

- O co ci chodzi?

- Długo cię nie było, ale widzę, że nic się nie zmieniło. - Zrobiłem jedyną rzecz, która mi pozostała. Trzeba było wybrać: ja albo ty. Nigdy nie byłbyś w stanie się obronić. Chłopak został zabity. Jeden z nas musiał wziąć na siebie winę i opuścić Iskael.

- Chciałeś wyjechać! - W głosie Jesaha wyraźnie słyhać było urazę. - Marzyłeś o zrzuceniu odpowiedzialności na ojca oraz na mnie i dziewczynki. Nigdy nie obchodziła cię rodzina. Niech Jesah się tym zajmie, myślałeś, przecież i tak uwielbia to robić. Moichi patrzył na brata. Po raz pierwszy zrozumiał, że być może Jesah nie jest wcale zachwycony swoim życiem. - Jesah, ja... - zaczął.

- Ojciec ciebie wzywał - przerwał mu brat.

- Pójdę go zobaczyć.

- W porządku. - Jak gdyby dawał zgodę obcej osobie. Odsunął się na bok, by Moichi mógł wejść. Dorastając, wielokrotnie przebywał w pokoju ojca. Gdy był dzieckiem, tu mieszkali jego rodzice. Dopóki matka nie zmarła na chorobę, której nie potrafił określić żaden lekarz. Ojciec uznał to oczywiście za znak od Boga i nakazał rodzinie rok modlitw i surowej dyscypliny, jakby wspólnie popełnili grzech, za który każdy musiał odpokutować.

W całym domu nie było drugiego takiego miejsca. Na przykład kuchnia o kamiennych i ceglanych ścianach była przestronna i jasna, z licznymi oknami wychodzącymi na pastwiska. Pokój gościnny był ciemny i przepastny, z ogromnym kominkiem, którego palenisko wydawało się małemu Moichiemu ustami Boga. Uważał, że płaskie kamienie unoszące się do sufitu prowadziły o wiele dalej, do samego środka nieba. Ojciec nie wpoił Moichiemu tego groteskowego i absurdalnego pomysłu, ale nie czynił też niczego, by chłopiec się go pozbył. Sypialnia, którą dzielił z Jesahem, zawsze wydawała mu się wygodna i przytulna (pokoje dziewcząt 9.57 były w drugim skrzydle i nigdy ich nie widział). Za to pokój ojca był rozległy, zapewne największy w domu, większy nawet od pokoju gościnnego czy kuchni, gdzie stał długi cedrowy stół, przy którym cała rodzina zbierała się trzy razy dziennie. Ze wszystkich pokoi w domu ten tylko miał pochyły strop - był częścią pierwotnej siedziby, którą wraz z powiększaniem się rodziny ojciec był zmuszony znacznie rozbudować. Wchodząc do pomieszczenia, wiedziało się dobrze, że jest stare. Nie była to starość związana ze śmiercią i stęchlizną - ale raczej swoisty rodzaj dostojnej długo-wieczności, którą Moichi uwielbiał, choć nikomu się do tego nie przyznawał. Była niczym ciepły szal zarzucony na ramiona w zimowy wieczór. Gdy był bardzo mały, ubóstwiał potajemnie zakradać się do pokoju, by po prostu siedzieć w nim, nie ruszając się, nie dotykając niczego, nawet szczególnie się nie rozglądając. Wystarczyło mu, że siedział w wielkim, podniszczonym, drewnianym krześle ojca, które mogło przechowywać w sobie wszystkie tajemnice minionych wieków. Pozwalał wtedy, by aura pokoju powoli go obejmowała. Nawet gdy dorósł, cicha atmosfera tej komnaty potrafiła go uspokoić, uwalniając umysł od kłopotów, z którymi musiał się codziennie mierzyć. Jak gdyby pokój był żywą istotą.

Obecnie wiele się tam zmieniło. Przechodząc przez próg i zamykając za sobą drzwi, poczuł wprawdzie znowu odwieczną aurę spokoju, ale towarzyszył jej nastrój smutku.

Przeszedłszy przez pustą przestrzeń wypolerowanej podłogi, Moichi zbliżył się do mosiężnego łoża. Wydało mu się nagle, że jest bardzo wysoki. Spadzisty strop dotykał jego głowy, tak że odruchowo zgarbił się nieco.

Leżący na łóżku człowiek rzeczywiście był bardzo słaby. Moichi uświadomił sobie, że zbyt długo myślał o ojcu, jako o młodym mężczyźnie. Świadomie odrzucił wpływ czasu i zupełnie jak dziecko nie wierzył, że ludzie się starzeją. Nie ten człowiek. Nie jego ojciec. Nie potrafił myśleć o nim jako o starcu, nawet teraz, gdy leżał umierający, zniszczony przez czas i chorobę. Ojciec był zawsze pełen życia. Fakt, że obecnie nie mógł wstać z łóżka, świadczył o tym, że stan jego zdrowia jest rzeczywiście poważny. Był jak ogier, jego potężna siła woli zgadzała się na unieruchomienie wyłącznie w wyjątkowych sytuacjach. Możliwe, że śmierć była dla ojca jedyną taką sytuacją.

Moichi pochylił się nad łóżkiem i wsłuchał w nieregularny zmer oddechu starca. Cichy charkot oznaczał, że w płucach zebrał się płyn. Przypomniał sobie czas, gdy jako dziecko nie spał w nocy, tylko patrzył, jak księżyc niemiłosiernie wolno wspina się po swojej drodze niczym szkuner na

morzu gwiazd. W łóżku obok spał Jesah, oddychał płytko. Śnił zapewne o nieznanym morzu, objającym się z łoskotem o odległe brzegi Alarat. Ojciec miał zamknięte oczy, a pokryte siecią żyłek powieki były cienkie i niemal przezroczyste. Wokół oczu zarysowały się niebieskie koła, jak gdyby ciało zostało wyżarte od wewnątrz i powolnie pompowana krew mogła teraz płynąć bliżej powierzchni. Bulgotała, grożąc przebicciem się przez wrota śmiertelności, które przez całe życie nie pozwalały wydostać się na zewnątrz. Całe życie.

Gdy tak milczał, stojąc nad ojcem, uświadomił sobie, że widzi nie znaną sobie osobę. Człowiek o starej i zmęczonej twarzy był mu właściwie obcy.

Ojciec zmarł o zachodzie słońca. Odszedł w spokoju, nie otworzywszy oczu ani ust. Płytki oddech zamarł w gardle, gdy odległe słońce zsunęło się za pasmo gór na zachodzie. Ich szczyty były tak wysokie, że zdaniem niektórych nawet kamienie się tam poddały i zamieniły w szczyry lód.

Ciemność opadła na nich obu, przez okno wkradły się cienie, szybcy posłańcy nocy. Zdał sobie sprawę, że stało się to tak szybko - albo może tak subtelnie - iż nie zauważył momentu śmierci ojca. Odwrócił się i wyszedł z pokoju.

Jesah, jego trzy siostry i ich mężowie - dwie z nich założyły rodziny - minęli go i weszli do pokoju. Żadne z nich nie odezwało się do niego nawet słowem.

Długim, szerokim korytarzem przeszedł do kuchni, nadal roz-palanej odbitymi promieniami słońca, które zaszło już za horyzont. Wyszedł na dwór przez tylne drzwi. Przywitały go wysokie tony cykad i sporadyczne gardłowe nawoływania szarych siewek. W cieniu kolczastego krzewu dojrzał brązowobiałego zająca, który przysiadł na potężnym zadzie, patrząc na Moichiego. Przez długą chwilę obaj trwali w bezruchu. Potem zając pokręcił nosem, odsłaniając długie zęby. Zupełnie jak postać z książki, którą czytała Moichiemu matka, kiedy był mały. W mgnieniu oka zniknął wśród wysokiej trawy.

Moichi usłyszał jakiś odgłos i wiedział dobrze, że ktoś wysliznął się za nim z domu. Nie odwrócił się, a przez chwilę był nawet zły, że ktoś odważył się widzieć to, co on widział, słyszeć to, co on słyszał, wkroczyć do jego prywatnego świata.

Chude, ale silne palce owinęły się wokół jego prawego ramienia. To była Sanda, najmłodsza z jego siostr. Obserwował jej kruczoczarne, rozwiane przez wiatr włosy oraz ogromne ciemne oczy, rozstawione szeroko w jej twarzy. Była niesamowicie piękna, rysy miała delikatne, ale wskazujące na siłę ducha. Ze zdziwieniem zauważył, że z całej rodziny najbardziej była do niego podobna. - Dobrze, że wróciłeś - rzekła bardzo melodyjnym głosem. - Tym razem już nie odjedziesz, prawda? - Oparła głowę o ramię Moichiego. Była wysoką dziewczyną, ale brat górował nad nią wzrostem. Nie potrzebowała odpowiedzi, zadała więc następne pytanie: - Pamiętasz, jak sadzałeś mnie sobie na ramiona i brałeś na przejażdżkę? - Tak, pamiętam to dobrze.

- Ojciec tak bardzo się temu sprzeciwiał.

- Byłaś wtedy dużo młodsza.

Sanda wcisnęła nagle głowę w jego klatkę piersiową i gwałtownie zaszlochała. Moichi przytulił ją mocno do siebie, pełen smutku, lecz nie z powodu ojca, obcego człowieka leżącego w pokoju rodziców. Był smutny z powodu Sandy, tej młodej kobiety; żałował lat, które spędził z dala od domu i małej dziewczynki, którą kochał i za którą strasznie tęsknił.

- Wiesz, zawsze cię za to kochałam - powiedziała. - Zawsze byłam strasznie dumna, że wystarczająco mnie cenisz, by stanąć w tej sprawie po mojej stronie, przeciw ojcu i Jesahowi. - Mocno trzymała ramię Moichiego. - Byłeś jedynym, który traktował mnie jak człowieka, a nie jak tę, która zawsze jest ostatnia w kolejce. Tę, która dostaje ubranie, gdy wszyscy już je znoszą, którą uważano za głupią, gdyż wszyscy dawno wiedzieli już iztzej, o których ona próbowała się dowiedzieć. - Sanda przetarła mokre oczy. - Wiesz, że nigdy mnie nie drażniłeś? Za to kocham cię najbardziej. - Nigdy nie potrafiłem ci odmówić. - Moichi zaśmiał się łagodnie. - Pamiętasz, jak nie

mówiąc nikomu, zabrałem cię do Alarat, a ty, przechodząc, zobaczyłaś w witrynie sklepu jakąś biżuterię? Tak bardzo chciałaś to mieć, a ja śmiałem się z ciebie i powiedziałem, że będziesz mogła to mieć, gdy będziesz kobietą. - Pamiętam. Gdy zaczęłam płakać, wróciłeś i kupiłeś to. - Nie potrafiłem cię zranić. Wiesz, jakie są dzieci. Chcą wszystkiego, co zobaczą, a dzień później zapominają nawet, gdzie to położyły. Wiedziałem jednak, że cię zraniłem, i nie mogłem tego znieść. Pamiętam, że potem codziennie nosiłaś tę biżuterię, a gdy ojciec spytał, skąd ją masz, powiedziałaś, że dał ci to jeden z chłopców w szkole.

- Nadal ją noszę. - Jej oczy zabłysły. Zgrabną dłonią wysunęła spod bluzki niewielką gwiazdę zawieszoną na łańcuszku. - Czyżbyś nie miała mężczyzny, który dawałby ci biżuterię?

- powiedział z udawaną surowością.

- Jeszcze nie. - Sanda mocno przytuliła się do brata. - Zresztą i tak nie zdejmę tego nigdy, jakiegokolwiek prezenty bym dostała. To pamiątka wielu szczęśliwych dni.

Pogrzebu nigdy nie potrafił sobie dobrze przypomnieć. Tak jakby jego świadomość zaciągnęła zasłonę nad uroczystością. Nawet teraz, we śnie, było to wydarzenie tak mgliste, jak gdyby nigdy nie uczestniczył w tamtej ceremonii.

Później, zgodnie z iskaelskim zwyczajem, odbyła się uroczysta stypa dla rodziny i przyjaciół ojca, kończąca siedmiodniowy post. Moichi siedział obok Sandy. Miejsce z jego lewej strony zajmowała wysoka, dosyć elegancka kobieta. W pewnej chwili, gdy Sanda dokądś odeszła, Moichi zauważył, że kobieta patrzy na niego. Odwrócił się i po raz pierwszy na nią spojrział. Miała czarne oczy i równie czarne włosy owinięte misternie wokół głowy. Sukienka z błyszczącego zielonego materiału odsłaniała jedno ramię oraz górny fragment jędrnych piersi.

- Proszę wybaczyć, że tak się panu przyglądam - powiedziała lekko zmysłowym głosem. - Jest pan drugim synem, tym, który żegluje po morzach, prawda?

Na chwilę ich spojrzenia się spotkały.

- Jestem Elena. Żona Justee - dodała widząc, że jej nie kojarzy. Moichi był zaskoczony. Śmierć syna Justee w pojedynku była przyczyną nagłego wyjazdu Moichiego z Iskael dawno, dawno temu. Syn Justee sprowokował Jesaha do walki, podczas której wyciągnął nóż. Nie umiejący walczyć Jesah zginąłby zapewne, gdyby Moichi nie interweniował. Justee, którego ziemie graniczyły z posiadłością rodziny Moichiego, był trochę młodszy od jego zmarłego ojca.

- Niestety, jest chory - powiedziała Elena. - Inaczej byłby tu ze mną, by żegnać najbliższego przyjaciela i sąsiada. Gdy wyzdrowieje, przyjdzie na pewno na grób twego ojca i odmówi modlitwy za bezpieczną podróż i wieczny odpoczynek.

- Czy dobrze znałaś mego ojca, pani?

- Nie, ja nie. Jestem żoną Justee od niedawna. Wziął mnie za żonę po śmierci poprzedniej. - Takie postawienie sprawy wydało się Moichiemu nieco dziwne. - Tak mi przykro z powodu pańskiego ojca. Proszę przyjąć moje najgłębsze...

- Proszę mi wybaczyć - przerwał jej Moichi, podnosząc się.

Ogarnęła go nagła klaustrofobia. Poczuł, że musi wyjść z pokoju. Poszedł do kuchni, była jednak pełna kucharzy i kelnerów. Widział Sandę, jak w rogu pokoju przegląda z jednym z kelnerów zapasy wina. Nadal każą jej wykonywać całą pracę - pomyślał. Wyszedł na dwór, a noc była cicha i spokojna. Wzrokiem szukał gwiazd, Krzyża Południa i gwiazdozbioru Lwa. Niebo jednak się zachmurzyło, i nawet najjaśniejsze gwiazdy pozostawały niewidoczne. Księżyc był jedynie rozmazaną jasną plamką na jednej z chmur. Z południowego wschodu wiał wiatr, niosąc ze sobą ciepło i korzenną suchość Wielkiej Pustyni. Pomyślał znów o ojcu, ale tym razem bez jakichkolwiek emocji. Nic do niego nie czuł.

- Nie tęsknisz nieraz za tym krajem? - usłyszał głos za plecami. Odwróciwszy się, zobaczył Elenę. Stała tuż za nim, a jej sylwetkę obrysowywało żółtawe światło wpadające przez otwarte drzwi do kuchni. W jednej chwili wydała mu się chłodna i arystokratyczna, a zarazem całkowicie bezbronna.

- Przykro mi, że przeze mnie musiałeś wyjść. Chciałam ci powiedzieć - przerwała, jak gdyby zmieszana. - Czy masz coś przeciwko temu, bym powstała chwilę obok ciebie? - W jej głosie dał się słyszeć jedynie smutek.

Pokiwał w milczeniu głową i odwrócił się, nie wiedząc dobrze, czemu się zgodził. Powinien był odesłać ją z powrotem do domu. Usłyszał odgłos jej ud ocierających się o materiał sukni, potem poczuł delikatny zapach, ciepło jej ciała.

- Zawsze tęsknię za Iskael - stwierdził po jakimś czasie.

- Więc czemu go opuszczasz?

Słyszac szelest w wysokiej trawie, wyobraził sobie, że to brązowobiały zając powrócił.

- Najbardziej ze wszystkiego kocham morze - powiedział, zaskoczony ciepłem w jej głosie. - Ale można mieć przecież więcej niż jedną miłość.

- Tak, rozumiem. - Uniosła rękę, by odgarnąć kosmyk, który opadł jej na twarz. Cisza zaczęła narastać, dopóki Elena znów się nie odezwała. - Pewnie zastanawiasz się, czemu wyszłam za Justee. Nie mówił nic, wiedząc, że każda odpowiedź byłaby zbyt cenna.

Był pewien, że Elena i tak mu powie, po to przecież tu przyszła. - Był dla mnie taki dobry. Przybyłam tutaj z południa, gdzie do dzisiaj trwają starcia graniczne. - Mówiła o walkach między Iskaelczykami i ich sąsiadami z Adenu. Odwieczny zażarty konflikt zrodził się, jak mówiono wśród Iskaelczyków, w Adenie. - Tak zginęła moja rodzina. Moi rodzice, moje siostry. - Przerwała na chwilę, by oblizać usta. - Przybyłam tutaj bez środków do życia, a Justee mnie przyjął. Nie byłam żebraczką, ale prawdę mówiąc nie wiedziałam, do kogo innego mogłabym się udać. Mój ojciec kiedyś mi o nim opowiadał, ale dawno temu, gdy byłam jeszcze małą dziewczynką. Justee nigdy mnie nie spytał, jak długo zostanę, nie spytał nawet, czy zamierzam kiedykolwiek wyjechać. - Księżyc wychylił się na moment zza chmur, lecz już po chwili jego twarz przysłoniło kolejne pasmo. - Żona Justee była wtedy chora. Już od jakiegoś czasu wymagała opieki, a jej ciągłe narzekania łatwo wyprowadzały go z równowagi. Ja więc się nią zajęłam, nieustannie jej towarzyszyłam. A kiedy umarła, on poprosił mnie o rękę. - Czy zrobiłaś to z wyrachowania?

- Wyrachowania? O co ci chodzi?

- Dla jego pieniędzy.

- Oczywiście, że nie. - Choć wyraźnie była zdumiona, nie obraziła się. Wzruszyła tylko ramionami.

- Być może potrzebowałam wtedy ojca.

W głosie Eleny słychać było frustrację, która się w niej nagromadziła.

- Teraz jednak już nie potrzebujesz.

- Nie chcę go skrzywdzić - ciągnęła. - Ale teraz... potrzebuję czegoś innego. - Chłodna dłoń, którą dotknęła szyi Moichiego, szybko ogrzała się pod wpływem ciepła jego ciała. Miała delikatny dotyk i dobrze wiedziała, gdzie położyć dłoń. W jednej chwili nie wydawało mu się to już absurdalne ani złe. Sądził, że to najzwyczajniejsza rzecz na świecie. Poza tym także tego pragnął.

- Tam. - Zaprowadził ją w wysoką trawę.

Razem osunęli się na ziemię.

- Jestem taka samotna - powiedziała, dotykając ustami jego warg, tak że nie tylko słyszał, ale i czuł jej słowa. Powoli zsunęła z siebie wieczorową suknię. Skóra Eleny błyszczała w ciemności niczym światło wskazujące drogę - drogę do czego? Pocieszenia? Zbawienia? Może było to coś bardziej przyziemnego, przyjemność na przykład.

Nigdy nie dotykał skóry tak delikatnej i wilgotnej. Mógłby uwierzyć, że trzyma w dłoniach nocny kwiat pokryty rosą. Spędził z nią dużo, bardzo dużo czasu. Może nawet całe życie. Elena bez przerwy szeptała czułe i ciche słowa, wypłakane pytania i senne odpowiedzi. Tę rozdzierającą duszę rozmowę pamiętał lepiej niż dotyk jej skóry, zmysłowy kontakt, który wydawał się mało istotny, choć w gruncie rzeczy też był ważny. Potem dojrzał łzy na jej policzkach. Płakała, gdyż otrzymała od niego wielki dar. Wysłuchał jej intymnych zwierzeń podczas jednego z najprostszych aktów. Pomógł jej zasypać przepaść. Był to zaiste wyjątkowy prezent.

Pozostał wśród śpiewającej nocy jeszcze długo po jej powrocie do domu. Po tym, jak całowała jego usta, policzki i oczy. Leżał i rozmyślał. Oprócz wielkiej przyjemności czuł też, że wyzwolił narastające w nim napięcie. To był początek: wiedzieć, że robił to właśnie z nią, rozumieć dobrze, kogo zdradzała. Jednak z jej powodu, z powodu tego, kim była, wszystko szybko stało się jedynie dziecinną fantazją. Była w niej szczerość, która go poruszyła, wykraczająca poza okoliczności, w których się znaleźli. Podeszła do tego bez wstydu, nie owijając swych zamiarów w bawełnę. „Czy możesz mi to dać? - spytała milcząco swymi palcami i ustami. - A to? I jeszcze to? A ja w zamian dam ci...”

Więcej, niż kiedykolwiek mógł się spodziewać. Poczul, że wzbiera w nim jakieś dziwne uczucie. Wstał więc i zagłębił się w pole trawy, ciągle nagi. Zapomniał o ubraniu tak samo, jak to mu się zdarzało w dzieciństwie. Ojciec wołał zazwyczaj, by założył coś na siebie, a matka kiwała jedynie głową, śmiejąc się, i pozwalała mu odejść. Oddalił się tak bardzo, że dom stał się jedynie czarnym cieniem nakropkowanym punktami światła. Moichi odwrócił się na moment, a blask z kuchennych okien wydał mu się tak odległy, jak gdyby dzieliła go od nich ogromna zatoka. Tak samo czuł się zawsze w pokoju ojca - spłynęło na niego ciepło, poczucie bezpieczeństwa było jak koc, którym mógł się otulić. Zrozumiał wreszcie to uczucie, a długa i krwawa historia Iskaelczyków stała się namacalna i potężna, jak gdyby była żywą istotą. Wiedział, że należy do nich, a oni do niego. Stanął plecami do domu, przodem do odległych i niewidzialnych w ciemności gór, wśród których boża ręka wyrzeźbiła najwyższy szczyt, by poprowadzić Iskaelczyków tutaj, do ich domu. Noc żyła wokół niego. Wysoka trawa ocierała się o łydki, cykady zawodziły, drzewa cedrowe wydzielały swój aromat, a w oddali wysokie brzozy, rozstawione wśród pastwisk, mierzyły w niebo niczym drogowaskazy. Ponad tym wszystkim czuć było obecność gór. Odniosł wrażenie, że otarł się o... - Dobry wieczór - szepnął.

- Widzę, że wróciłeś.

- Wiatr mnie przyprowadził. Powiedział mi, że umierasz. - Wiatr? - Głos brzmiał karcąco. - To był Bóg. Bóg ci powiedział.

- Wiatr. Bóg. Czy to jakakolwiek różnica?

- Mówisz jak cudzoziemiec. - Głos nabrął gorzkiego tonu. - Ale nie musiałeś opuszczać domu, by zacząć tak mówić. Twój brat... - Chciałbyś więc, bym był taki jak Jesah?

- Jest wierny Iskael.

- Jest nieszczęśliwy.

- Jest wierny.

- Ja także.

- Jesteś wierny jedynie sobie samemu.

- Tym się różnię od brata. Uważam, że to dobrze. Ty sądzisz inaczej.

- Już dawno temu odwróciłeś się do mnie plecami. - Nie. Do ciebie nigdy. Jedynie do osoby, którą chciałeś, żebyś się stał.

- Wiedziałem, co jest dla ciebie najlepsze.

- Nie, nie mogłeś tego wiedzieć. Moje miejsce jest na morzu.

Tam jestem szczęśliwy.

- Zawsze mi się sprzeciwiałeś!
- Sprzeciwiałem się jedynie wodzom, na których próbowałeś mnie przy sobie utrzymać. Ludzie nie są zwierzętami. Nie możesz ich zaprząć, by robili to, co im rozkażesz. To wynika z historii Iskaelczyków.
- Nie bluźnij!
- Więc uważasz, że to robię? Choć raz mnie posłuchaj, choć raz, proszę cię.
- Dziecko ma obowiązki względem ojca. Musi go szanować. Posłuszeństwo jest oznaką tego szacunku.
- Ale ty nigdy nie zrozumiałeś, że na szacunek trzeba sobie zasłużyć. Gdybyś mnie posłuchał, dowiedział się, co mam do powiedzenia, zrozumiałbyś, że jestem odrębną osobą, a nie twoim przedłużeniem. Iskaelczycy wyzwolili się z niewoli w Adenie. To jesteś gotów przyjąć. Nie widzisz, że z nami jest dokładnie tak samo? Musiałem mieć prawo sam wybrać swoje przeznaczenie. Na jakiś czas zapadła cisza. Nawet cykady zamilkły.
- Zawsze byłem uparty. Nie chciałem, byś mnie opuścił.
- Nigdy tego nie zauważyłem.
- Nie potrafiłem tego wyrazić.
- Pewnego dnia znów powrócę do Iskael, być może by zostać tu na zawsze.
- Nigdy nie zostaniesz tu na długo. Ale teraz znam twoje serce.

Wystarczyło, że wróciłeś... mój synu.

Stał sam pośród nocy, z oczami mokrymi od łez i myślał:

Odszedł, odszedł, odszedł. Ojciec odszedł.

Sardonyx

o

zmroku osiągnęli przeciwległy brzeg Morza Śmierci. Zbliżając się do Mistralu, przejechali przez ciągnące się w nieskoń-czoność pole falujących żonkili i jaskrów, których ciężkie, chwiejące się na wietrze kielichy zwiastowały nadejście nocy. W ciemności, która nagle zapadła, ich wspaniała żółć zbladła w promieniach księżyca. Wokół kwiatów unosiły się chmary robaczek święto-jańskich.

Pole skończyło się raptownie i dojechali do kamiennego mostu, pod którym jakieś sześć metrów niżej toczyła się spieniona rzeka. Za nią stał zamek Mistral.

Zbudowano go na szczycie wzniesienia, choć dalej na północny zachód, za stepami, wznosiły się jeszcze wyższe góry. Sam Mistral można było z daleka wziąć za turnię, gdyż fundamenty wykonano z zielonkawej odmiany granitu, która nadawała budowli naturalny wygląd. Zamek postawiono na planie czworokąta. Jednak mnogość wznoszących się w górze wieżyczek, blank i upstrzonych otworami strzelniczymi wałów przyprawiała o ból głowy, gdy się za długo na to patrzyło. Krata w bramie była uniesiona, toteż wjechali za mury. Ogrom zamku sprawiał, że czuli się zupełnie bezbronni. Opustoszały wewnętrzny dziedziniec wypełniała muzyka, na pozór dobywająca się z czystego powietrza. Patrząc w górę, Moichi zrozumiał, że to wiatr przelatujący przez iglice wieżyczek i otwory strzelnicze tworzy rezonanse i harmonie pośród murów. Wydawało się, że to zamek śpiewa swoją smutną pieśń.

Przed nimi stały otworem kamienne drzwi prowadzące do głównego korytarza. Nieomal zapraszały do środka. Zsiadli z wierzchowców i wspięli się po szerokich schodach. Ponad głową Moichi ujrzął ogromne atrium wznoszące się aż do najwyższego piętra budynku. Zrozumiał, że to ono nadawało kamiennej konstrukcji wrażenie lekkości.

W końcu korytarza wąskie schody wyrzeźbione w błyszczącym obsydianie zwieszały się niczym nić ogromnej pajęczyny. Odwrócił się do Chiisai, chcąc jej powiedzieć, że...

- Spodziewano się was - odezwał się Mistral.

Moichi sprintem ruszył w stronę podwójnych drzwi, które nagle wydały się strasznie odległe. Biegając zobaczył, jak się zamykają z hukiem, który oznajmiał, że nie ma już stąd wyjścia. Zatrzymał się. Wewnętrzna strona drzwi była pozbawiona klamek i uchwytów. Chiisai zniknęła. Jak to możliwe? Był pewien, że weszli do środka razem.

- Nie uciekniesz tamtędy - oznajmił głos. - Ani żadną inną drogą, jeśli ja nie wyrażę na to zgody.

- Gdzie jesteś?! - krzyknął. - Pokaż się!

- Tu jestem.

Odwrócił się. Rzeczywiście, w miejscu, z którego dobiegał głos - na pierwszym poziomie wijących się schodów - stała jakaś postać. Moichi przeszedł do końca korytarza i zaczął się po nich wspinać. Spotkał dziewczynkę może dziesięcioletnią, szczupłą, o jasnych oczach i pięknej twarzy pozbawionej ostrych rysów, przepelnionej miłosierdziem. Była uosobieniem niewinności.

- Gdzie jest Chiisai? - zapytał.

- W innym miejscu - odparła, uśmiechając się słodko. - Całkiem zdrowa, ale niezdolna nam przeszkodzić.

- Przeszkodzić w czym?

Dziewczynka zignorowała pytanie, wyciągając rękę.

- Chodź - powiedziała. - Chodź ze mną.

- Chcę zobaczyć Aufeyę.

- Zabiorę cię do niej.

Oczywiście łagodnymi i pełnymi życia patrzyła na niego tak, jak gdyby nie wierzyła, że odważy się wziąć jej rękę. Moichi w końcu to zrobił, a ona poprowadziła go schodami w górę.

Gdy szła, jej długie błyszczące włosy falowały delikatnie. - Zobaczysz swoją Aufeyę w odpowiednim momencie. Najpierw jednak musisz zobaczyć inne rzeczy, po których, kto wie, może nie będziesz chciał jej więcej zobaczyć.

Zatrzymali się na kolejnym poziomie i dziewczynka podprowa-dziła Moichiego do okutych żelazem drzwi, na pozór szczelnie zamkniętych. Ale wystarczyło jedno skinienie, by bezgłośnie się otworzyły.

- Patrz i podziwiał!

Stojąca na wysokiej półce lampa olejna o pękatym kloszu oświetlała pokój niczym ogromny świetlik. Pomieszczenie było po brzegi wypełnione szlachetnymi kamieniami wszystkich możliwych rodzajów, zarówno oszlifowanymi, jak i surowymi. Wielkie błyszczące brylanty i grube krwiste rubiny, diamenty bez skazy o nie-zliczonej liczbie karatów i szafiry niebieskie niczym niebo w połu-dnie. Między nimi leżały mniej cenne: ogromne i ciemne topazy, tłące się ametysty, ogniste opale i błyszczące perły. W odległym kącie na szczycie kopca klejnotów leżał przezroczysty, zielony królewski nefryt Fasui, najrzadszy na świecie. - Co na to powiesz? - spytała dziewczynka. - Co cię może obchodzić jedna kobieta, gdy tu leży całe to bogactwo i czeka, aż zrobisz z nim to, co zechcesz? Cóż, za takie kosztowności mógłbyś chyba kupić miasto Alaarat!

- Alaarat? - Moichi obrócił się gwałtownie w stronę dziewczynki. - Co wiesz o Iskael?

Ale dziewczynki już nie było. Na jej miejscu stała kobieta z głową ibisa. Jej wspaniałe ciało zakrywała szata z mieniących się wielobarwnych ptasich piór. Głowę miała białą niczym śnieg. - Chodź - powiedziała, ponownie biorąc dłoń nawigatora i prowadząc go jeszcze wyżej.

Za drzwiami na następnym poziomie zobaczył swój dom w Iskael. Widział go od tyłu, jakby stał tuż przed kuchnią. Ujrzał Sandę i Jesaha. Najwyraźniej się kłócili, nie słyszał jednak ich słów. Jesah uderzył siostrę w twarz. Odwróciła się i wybiegła w ciemność nocy. - Co wiesz o moim

domu? - spytał. - Jak tworzysz takie obrazy? Kobieta-ibis schyliła głowę i uśmiechnęła się, co nie było łatwe dla kogoś o ptasiej twarzy.

- Zdziwiłbyś się, jakie to się staje proste po pewnym czasie. - Już jestem zaskoczony. - Moichi cały czas uważnie przyglądał się kobiecie. - Zeszłej nocy miałem sen.

- Śniłeś o domu.

- Tak. Czy to przez ciebie?

- Jak miałabym to zrobić? Przecież to niemożliwe. - Jednak wiesz o moim bracie, mojej siostrze Sandzie, moim domu.

- Tak, wiem coś o tym.

- Skąd?

- Jak już powiedziałam, nie jest to takie trudne po jakimś czasie. - Odwróciła się i skinieniem zamknęła drzwi. - Chodź. Wspięli się na sam szczyt schodów, sięgając niemal dachu atrium. Dziwna muzyka była w tym miejscu głośniejsza, miała też inną barwę.

- Co...

Stał obok wysokiej kobiety, którą zamiast skóry pokrywała warstwa cienkich łusek. Włosy były platynowymi nićmi, a zamiast oczu świeciły wielkie rubiny. Paznokcie mieniły się przezroczystymi szafirami, a do połowy przysłonięte piersi - opalami. Suknię miała uszytą z platyny - nie potrafiłaby jej utkać zwykła prządka. Niskie sandały były ozdobione futrem srebrnych gronostajów. Głowę przykrywał platynowy hełm, spiczasty, z dwoma rogami po bokach.

1

- Byłam w wielu miejscach. - Głos kobiety zmienił się, nabierając metalicznego pogłosu. Czy ten głos był wreszcie prawdziwy? Skąd można mieć pewność?

Szli wzdłuż wąskiego balkonu, a przed upadkiem chroniła ich jedynie niska kamienna barierka, sięgająca ledwie do kolan. Przeszli przez łukową framugę i znaleźli się w swego rodzaju salonie. Na kamiennej podłodze stała duża pluszowa kanapa oraz kilka krzeseł o wysokich oparciach, przed którymi leżały futra gronostajów. Na lewo od kanapy wycięto w ścianie kilka bardzo wąskich okien, które dawały tak mało światła, że większość pokoju wypełniało ciemność. Moichi nie miał pojęcia, jak daleko salon się ciągnął ani co się znajdowało w dalszej jego części.

Ledwie weszli, kobieta wyciągnęła się na kanapie. - Chętnie zaoferowałabym ci coś do jedzenia lub picia, ale, jak widzisz, nie ma tu nic takiego - stwierdziła bez nuty żalu w głosie. - Czemu więc czegoś nie wyczarujesz? - Moichi trzymał dłoń na rękojeści miecza.

Uśmiechnęła się, jakby nieco zbity z tropu.

- Ciekawy pomysł. - Przyłożyła do ust palec, który wyglądał jak smukły, podłużny klejnot. - Masz intrygujący charakter. Chciałabym cię lepiej poznać.

- Nie sądzę, by do tego doszło. - Moichi przeszedł przez pokój, usiadł na skraju kanapy i wyciągnął dłoń.

- Co robisz?

- Czy to wszystko jest prawdziwe? - Wskazał wokół siebie. - Równie prawdziwe jak wszystko inne. - Jej pełen powagi głos kontrastował z uśmiechem rysującym się na ustach. - Ty jednak nie jesteś.

- Ja? - Kobieta udawała zdziwienie. - Jestem nie mniej prawdziwa niż ty. Chodź, dotknij mnie, jeśli nie wierzysz. Ręka Moichiego zawisła niezdeterminowana w powietrzu. - Spodziewasz się jakiejś pułapki? - Roześmiała się, odchylając głowę.

- Wydaje mi się, że wszystko tutaj jest iluzją. - Moichi rozejrzał się. - O nie. - Kobieta położyła głowę na oparciu kanapy. - Krzyw-dzisz mnie, mówiąc takie rzeczy. - Złotą dłonią wzięła rękę Moichiego i przycisnęła jego palce do jednej ze swoich piersi. Ze zdziwieniem odkrył, że biust jest ciepły i elastyczny; kobieta była jednak z krwi i kości. Czuł nawet bicie jej serca. - Co na to powiesz? - Jej głos był ledwo słyszalnym szeptem. Powoli zaczęła poruszać dłonią Moichiego, zataczając koła wokół piersi. Po chwili czuł już palcami jej stwardniałą brodawkę.

Moichi zabrał rękę i podniósł się. Leżąc na kanapie kobieta patrzyła na niego omdlewającym wzrokiem.

- Czemu boisz się pokazać, jak naprawdę wyglądasz?

- Bać się? Nie boję się niczego.

- Boisz się prawdy, Sardonyx.

- Podoba mi się sposób, w jaki wymawiasz moje imię. - Uniosła się, stając obok nawigatora. - Udowodnię ci więc, że nie boję się prawdy. Spytaj mnie o cokolwiek chcesz.

- Gdzie jest Aufeya?

- Tutaj. Nad nami.

- Czy jeszcze żyje?

- Ależ oczywiście.

- Czy torturowałaś ją?

- Mój drogi panie, za kogo mnie masz?

- Wolałbym na to nie odpowiadać.

- Tak. - Jej twarz wykrzywił uśmiech. - Podobasz mi się.

- W jakich interesach byłaś w Iskael?

- Cóż, moje interesy, jak to ładnie ująłeś, są takie same wszędzie, gdziekolwiek bym się wybrała. Targowałam się, han-dlowałam...

- Grabiłam - dokończył za nią Moichi.

- Rzeczywiście, jestem korsarzem. - Pokiwała głową. - To od wieków szanowany zawód.

- Także czarodziejką.

- Kto ci to powiedział? - Zaśmiała się.

- Dowiedziałem się tego... od przyjaciela.

Twarz kobiety nagle przybrała poważny wyraz, a w jej głosie pojawił się cień złości.

- Może była to przyjaciółka z Corrunii?

- Być może.

- Jakich kłamstw naopowiadała ci o mnie ta semata?

- Tsuki chce tylko, byś zostawiła ją w spokoju - odparł szczerze.

- Powinna była o tym pomyśleć dawno temu, mój przyjacielu.

Teraz jest już za późno, dużo za późno.

- Nie ma potrzeby, aby...

- Nie bądź głupcem - skarciła Moichiego. - Nie pasuje to do ciebie. - Położyła się z powrotem na kanapie. - Ja pozostanę tym, kim jestem. - Wyraźnie spoważniała. Poruszyła udami tak, że jej suknia rozsunała się nieco, odsłaniając nogi aż do bioder. Moichi odwrócił się i podszedł do jednego z wąskich okien. Wyjrzał przez nie, ale że nie było za bardzo na co patrzeć, spojrzął ponownie na kobietę. Ani trochę się nie poruszyła. - Skąd jesteś? - spytał.

- Co to za różnica? - parsknęła.

- Skoro spytałem, to najwyraźniej ma to dla mnie jakieś znaczenie.

- Mam poważne wątpliwości, czybyś mi uwierzył. - Dałaś słowo, Sardonyx, więc teraz powiedz mi prawdę. Nawet czarodziejki mają chyba jakieś zasady.

- Dobrze. - Pokiwała głową. - Nie różnimy się tak bardzo, jak byś się tego spodziewał. - Gdy wciągnęła głęboko powietrze, jej biust uniósł się pod platynową suknią. - Urodziłam się w kraju Aden.

- Aden - powtórzył zdumiony. - Na południe od Iskael. To nasi odwieczni wrogowie.

- Kraje sąsiadują ze sobą. - Była gotowa przyznać mu zaledwie tyle racji. - Ja urodziłam się jednak w górach, z dala od granicy. Moi rodzice byli biedni, a matka kaleka i niezdolna do pracy. Bardzo wcześnie zostałam więc sprzedana w niewolę. - Wzruszyła ramionami. - Rzecz dość często spotykana wśród tamtych ludzi. - Moichi zauważył, w jaki sposób mówiła o swoim narodzie. - Sprzedano mnie mężczyźnie, kupcowi tak bogatemu, że przez wiele sezonów nie musiał w ogóle pracować. Miał zbyt dużo wolnego czasu i był już zupełnie znudzony życiem. Zajął się więc kupowaniem kobiet, dziewcząt, jeśli mam być dokładna. Myślę, że kobiety zbyt by go przerażały. - Wyciągnęła się, unosząc ramiona za głowę. Ta poza bardzo rozpraszała Moichiego, gdyż jeszcze bardziej uwydatniała jej biust. - Lubił mnie związywać, by później bić przez długi czas. Cóż, nie muszę chyba wchodzić w szczegóły. Możesz sobie wyobrazić, co się potem działo. Wystarczy stwierdzić, że było to wyjątkowo... nieprzyjemne.

- Uśmiechnęła się. - Na początku oczywiście nie stawiałam oporu. Jak już powiedziałam, niewolnictwo jest powszechne w tamtych rejonach...

- Iskaelczycy wiedzą to wyjątkowo dobrze, Sardonyx. - Tak. Oczywiście, masz pełną rację. Iskaelczycy powstałi i zerwali łańcuchy, a potem opuścili Aden.

- Z pomocą Boga.

- Boga Iskaelczyków. - Popatrzyła na Moichiego, jakby chciała go przejrzeć na wylot. - Jak bardzo ci tego zazdroszczę. - Nie wiedział tylko, czy chodzi jej o wiarę, czy wolność. Być może o jedno i drugie. - Po pewnym czasie odkryłam, że mam zbyt wiele szacunku dla siebie, by to ciągnąć - opowiadała dalej. - Więc za dnia, gdy on bawił się innymi swoimi zabawkami, ja wyszukiwałam potrzebne mi rzeczy. Pewnej nocy, gdy zadowolony i zmęczony spał już chrapiąc, wyciągnęłam długi i mocny konopny sznurek, który udało mi się zdobyć, i przywiązałam przeguby jego rąk i nogi w kostkach do mosiężnych prętów łóżka. Miał głęboki sen, więc wiedziałam, że się nie obudzi, jeśli będę ostrożna. Gdy już to zrobiłam i wiedziałam, że więzy trzymają mocno, zdjęłam dolną część jego jedwabnej piżamy i wzięłam się do roboty. - Przerwała, przyglądając się Moichiemu. - Mam nadzieję, że moja opowieść nie jest dla ciebie zbyt sugestywna?

- Możesz dalej mówić - odparł Moichi.

- Oczywiście obudził się, wraz z przyjemnością, która w nim wzbierała. Otworzył oczy i zaczął mi się przyglądać. „Nie przerywaj”, powiedział władcym tonem. „Nie przerywaj. Nie przerywaj. Nie wiedziałem, że tak bardzo to lubisz”. - Uśmiechnęła się. - Nie wiedział nawet, jak celne są jego słowa. Użyłam wreszcie zębów. - Strząsnęła niewidoczną dla Moichiego drobinę kurzu ze złotej skóry uda. - Nie mogę być oczywiście pewna, ale wydaje mi się, że utonął w końcu we własnej krwi.

Moichi przyglądał się jej twarzy, jakby oczekiwał, że rubinowe oczy zdradzą coś, co pominęły słowa.

- Uciekłam w góry, w których się urodziłam. Tam czułam się najbezpieczniej.

- A potem natrafiłaś na starą kobietę mieszkającą z dala od innych ludzi, która uczyniła z ciebie czarodziejkę. - Moichi wyraźnie ironizował.

- Masz niezłe poczucie humoru, chyba zdajesz sobie z tego sprawę. - Zaśmiała się. - Ale tak dzieje się tylko w historiach dla dzieci. W moim przypadku nic takiego się nie stało. Wysłano za mną pościgi i w końcu mnie dopadli. - Wzruszyła ramionami. - Może było to dla mnie

błogosławieństwo. Głód i zła pogoda sprawiły, że gdy mnie znaleźli, byłam ledwo żywa. Niewiele wtedy już ze mnie pozostało. - Kobieta wyprostowała się, kładąc ręce na swym łonie, jak gdyby była jakąś pruderyjną dziewczicą. Rozcięcie sukni w jakiś sposób znalazło się pod jej udami. - Wrzucili mnie do celi i pozostawili w niej, bym zgniła. - Ponownie wybuchnęła śmiechem. - Jak sądzę, zbliżyłam się wtedy niebezpiecznie blisko do tego stanu. Ale nie mogłam zbyt narzekać. Każdego dnia dostawałam jedzenie i wodę, poza tym nikt mnie nie napastował. Było mi tam dobrze, dopóki nie odzyskałam sił. Wtedy zapragnęłam się wydostać.

- I uczyniłaś to.

- Oczywiście. Inaczej by mnie tu nie było.

- Jak to zrobiłaś?

- Przekupiłam strażnika. Własnym ciałem.

- Wydaje mi się, że to nie tłumaczy jeszcze wszystkiego - zauważył Moichi.

- Oczywiście, że nie. Nie sądzisz chyba, że dziewczyna zdradzi chłopakowi wszystkie swe tajemnice. Przynajmniej nie od razu. - W jej oczach pojawił się dziwny błysk. - A my ledwo co się poznaliśmy. - Powstała. - Teraz wybac mi, muszę cię na chwilę opuścić. Bądź dobrym chłopcem i nie wychodź stąd. Miejscami jest tu niebezpiecznie. - Odwróciwszy się, skręciła w lewo i zniknęła w ciemnościach.

Przez jakiś czas Moichi stał bez ruchu, słuchając śpiewu Mistralu.

Potem, jak gdyby nagle podjął decyzję, ruszył za Sardonyx.

Doszedł do rogu i skręcił.

Nie było w ogóle światła. Czuł się tak, jakby nagle zleciał z kamiennej półki prosto w morskie odmęty i opadł na dno. Odwrócił się, ale tam, skąd przyszedł, były teraz ciemności. Żadnej ściany, żadnych okien. Wyciągnął rękę, chcąc wybać drogę. W pobliżu jednak niczego nie było. Za plecami usłyszał śmiech, więc odwrócił się szybko. Stał tam Hellsturm, z jedną dłonią niedbale opartą o biodro, i beztrudnie przyglądał się Moichiemu. Drugą dłoń uniósł do góry i wskazał mu gestem, aby się zbliżył.

Cóż to jest - pomyślał Moichi. Kolejna iluzja? A może - poczuł, jak jego ciało oblewa zimny pot - w lesie stoczyłem walkę i zabiłem jedynie jego czarodziejski obraz?

Zaczął biec w stronę Hellsturmu, a wysoki mężczyzna rzucił się do ucieczki, pozostawiając za sobą falę upiornego śmiechu. Moichi wyciągnął miecz i ciął biegnącą postać. Gdy spojrział w dół na rozplątane ciało, stwierdził, że należało ono do Aufei. Patrzył przerażony, jak dwie połowy pełzną na boki niczym węże i znikają w ciemności.

Wtedy zrozumiał. Schował broń i stanął spokojnie, czekając. Po krótkim czasie usłyszał jej sandały, a po chwili poczuł dłoń, chłodną i mocną. Schwyciła go za rękę i wyciągnęła z cienia. Ponownie znalazł się w salonie.

- Kazałam ci przecież tu czekać.

- Co to za miejsce?

- Pokój. Nic więcej, zwykły pokój.

- Pokój, w którym wyczarowujesz obrazy.

- Sny raczej. - Wzruszyła ramionami.

- On jest więc martwy.

- Hellsturm? - Zaśmiała się. - Mój Boże, mam nadzieję, że tak. Chyba nie mógł przeżyć tego, co z nim zrobiłaś. Tak, Hellsturm jest całkowicie martwy. - Uśmiechnęła się. - Bardzo ci zresztą za to dziękuję.

- Wybacz pani, jeśli się mylę, ale wydaje mi się, że ten diabeł jest na twoich usługach. - Moichi spojrział sceptycznie na kobietę. - „Był” to, jak sądzę, bardziej odpowiednie słowo. Spełnił swoje zadanie. Jego skuteczność psuło coraz większe przywiązanie do tej dziwki z Corrunii. Stawał się zanadto kłopotliwy. Od dawna nie był już dla mnie przydatny, i tak by zginął z chwilą prze-

kroczenia progu Mistral. Szczęśliwie nie dotarł tak daleko. - Zabiorę teraz Aufeyę, to będzie moja nagroda. Złota bogini roześmiała się i zniknęła. W jej miejsce pojawiła się kobieta o płaskiej twarzy i wysokich kościach policzkowych. Miała sięgające ramion włosy koloru miedzi i oczy niczym odłamki kobaltu. Delikatna ciemna skóra była typowa dla mieszkanki Adenu i Iskael. Na błyszczący pancerz włożyła starą skórzaną kurtkę. Mięciutkie spodnie z czarnej sarniej skóry miała wetknięte w sięgające kolan myśliwskie buty. Z okalającego biodra wąskiego skórzanego pasa zwisał długi myśliwski nóż w pochwie. Kobieta była zadziwiająco niska.

- Czy widzę wreszcie prawdziwą Sardonyx?

- Jeśli tak sobie życzysz.

- W kółko mnie czymś zaskakujesz.

- Nie bardziej niż każda inna kobieta.

- Czy możesz już to skończyć? - powiedział nieco ostrym tonem, zbliżając się ku niej.

Sardonyx była wyraźnie spięta.

- Co skończyć?

- Popisywanie się przed wieśniakiem.

Jej twarz spochmurniała na moment, jak gdyby Moichi trafił w jakiś czuły punkt, ale gdy Sardonyx się odezwała, jej głos był nadal bardzo łagodny.

- Mogę cię zapewnić, że niczego takiego nie zamierzałam.

- Takie sprawiałaś wrażenie.

- W takim razie przykro mi. Naprawdę jest mi przykro. Moichi nic nie odparł, choć sądził, że Sardonyx spodziewa się po nim przyjęcia przeprosin; więcej - potrzebuje tego. Może jednak był to tylko jego wymysł. Czemu bowiem miałoby jej zależeć na tym, co on sobie myśli.

- Chcę Aufei.

- A mnie? Mnie wcale nie pragniesz?

- To byłoby zbyt łatwe. Czy to naprawdę ty?

- To nie gra żadnej roli - powiedziała łagodnie, dotykając jego ramienia. - Mogę być, kimkolwiek zechcesz.

- Sandą?

- Tak. - Stała się Sandą.

- Eleną.

- Tak. - Po chwili była już Eleną.

- Tsuki?

Chwilę się zastanawiała, ale zaraz stanęła przed nim Tsuki.

- Nawet nią, jak widzisz.

- To zbyt wiele - stwierdził. - A może zbyt mało.

Znów była kobietą z włosami koloru miedzi.

- Bałam się, że coś takiego powiesz. - Wydawała się zawie-dona. - Zbyt bogata jak na twoją krew.

- Może innym razem...

- W innym miejscu.

I - Kto może to przewidzieć?

- Wyjdź stąd tak, jak tu przyszedłeś. - Uśmiechnęła się ponownie. - Tylko jedne schody prowadzą piętro wyżej. Aufeya jest tam, razem z Bujunką.

- Więc wszystko skończone - stwierdził Moichi, trzymając znów dłoń na rękojeści miecza. - Nie przeszkodzisz nam opuścić tego miejsca?

Miedziane włosy zatrzęsły się, gdy przecząco pokręcił głową.

- Nie. Nie tym razem. Możesz stąd wyjść, kiedy tylko chcesz. - Sardonyx odeszła od okna i po chwili zniknęła w panującej w głębi sali ciemności. - Żegnaj, Moichi Annai-Nin z Iskael. N iemal natychmiast wyszedł z pokoju. Wiedział już, że nie ma po co za nią iść. Jedynie Sardonyx potrafiła kontrolować siły drzemiące w ciemności. Dla niego byłaby to tylko strata czasu. Na wyższym

piętrze najpierw zobaczył Chiisai. Klęczała nad leżącą bez ruchu postacią, ale uniosła się, gdy wszedł do pokoju. - Moichi. - Wyraz ulgi pojawił się na jej twarzy. - Dziękuję bogom, że jesteś bezpieczny. Nie miałam pojęcia, co się z tobą stało. Gdy przekroczyłam próg... cóż, nagle zaczęłam się błąkać w zupełnej ciemności. Potem, równie nagle, znalazłam się tutaj. Gdzie... - Byłam u Sardonyx. - Moichi przewidział jej pytanie. - Więc ją pokonałeś - stwierdziła zachwycona. - W takim razie nie musimy się już martwić o Ognistą Maskę.

- Ognistą Maskę? - Moichi skrzywił się. - Zapomniałem o niej.

- Jak mógł zapomnieć o czymś tak ważnym?

- Moichi, gdzie ona teraz jest? - Dziewczyna schwyciła nawigatora za ramię. - Co się stało z Sardonyx?

- Bardziej interesuje mnie stan Aufei. - Odsuwając na bok Chiisai, ukląkł przy Daluzyjce. Jej twarz była blada i wychudzona, a ciemnoniebieskie łuki pod oczami wyglądały jak wielkie sińce. Podłożył jedną dłoń pod jej głowę, unosząc ją nieco.

- Aufeyo - powiedział łagodnie. - Aufeyo.

- Moichi, gdzie jest Sardonyx? - dopytywała się klęcząca obok Chiisai.

- Odeszła - odparł niedbale, myśląc tylko o Aufei. - Nie wiem dokąd. Jakie to zresztą ma znaczenie?

Aufeya otworzyła oczy. Z początku jej wzrok był rozmyty, ale szybko się skupił i dziewczyna wyraźnie zdziwiła się, widząc nawigatora.

- Moichi. - Było to tylko leciutkie thcnienie.

- Jestem tutaj, Aufeyo.

- Powiedziała mi, że nie żyjesz. Powiedziała, że Hellsturm, że on... - Łzy pojawiły się w kącikach jej oczu. - Już wszystko dobrze - pocieszył ją Moichi. - Teraz tu jestem.

Wszystko będzie dobrze.

Aufeya jednak dalej łkała, próbując jednocześnie mówić. - Nie, nie rozumiesz. Nie jest dobrze. Gdy przyszła do mnie i powiedziała... powiedziała mi, że nie żyjesz, straciłam całą nadzieję. - Ich spojrzenia się spotkały; oczy Aufei zdawały się błagać o wybaczenie. - Moichi, ja jej zdradziłam... zdradziłam swoją połowę informacji. Ona wie... wie już... Więc tam poszła Sardonyx - pomyślał Moichi.

- Teraz ma już Ognistą Maskę. - Głos Chiisai był jak dźwięk ciężkiego dzwonu. - I zamierza jej użyć.

Opalowy księżyc

M<

Loichi zatrzymał lumę na skraju rozciągającego się za zamkiem stepu, przeklinając się za to, że pozwolił Sardonyx odejść. O dziwo, nie czuł wobec niej żadnej złości - w końcu czarodziejka go nie oszukała. Jej plan był wystarczająco przejrzysty, a on miał wiele okazji, by go zrozumieć. Jego umysł był jednak zajęty czym innym.

Stojąca obok niego Chiisai spojrzała w górę. Żadne z nich nie mogło teraz zrobić wiele dla Aufei. Więc choć Moichi chciał, by została z Daluzyjką, to uszanował jej prośbę i pozwolił, aby mu towarzyszyła.

- Spójrz. - Wskazała do góry. - Miałam rację.

Jadąc dalej, Moichi uniósł wzrok i spojrzał na niebo ponad stepem. Wysoko na firmamencie widniał księżyc w pełni, który zeszłej nocy był jeszcze tylko cienkim sierpem. Nie wydawał się też już płaski. Był kulą, przypominającą twarz olbrzyma, migającą na srebrno, różowo, niebiesko,

mrugającą w stronę Moichiego. Ten opuścił wzrok i spojrzął w surową twarz Chiisai. - Legendy ozywają dzisiejszej nocy, Moichi - powiedziała Bujunka. - Nie mamy już wiele czasu.

Jedynie gwiazdy mogły wskazać im drogę przez niebezpieczny step wznoszące się za nim i potężne, czarne niczym onyks góry. Ich zarys odcinał się wyraźnie od morza gwiazd przecinającego wstęgą niebo; światło gwiazd bladło jednak w opalizującej po-świacie księżyca.

W pewnym momencie ciszę nocy przerwało odległe wycie, na które ich lumy, zazwyczaj nie znające strachu, zareagowały panicznym rżeniem. Odgłos się jednak nie powtórzył, a oni galopowali naprzód przez step, dopóki nie dotarli do stromych zboczy gór. Nad sobą ujrzeli iskierkę światła, która na moment rozświetliła ciemności, ukazując zarysy półki skalnej jakies czter-dzieści metrów w górze. Błysnęła jeszcze raz, po czym zgasła. - Szybko, chodźmy. - Chiisai zsiadła z wierzchowca.

Na lewo od nich zaczynała się niewyraźna droga na szczyt.

Najszybciej, jak potrafili, ruszyli w górę ścieżką upstrzoną głazami. Zanim osiągnęli wierzchołek, Moichi zatrzymał Chiisai, szepcząc jej do ucha.

- Pójdę pierwszy, Sardonyx spodziewa się mnie. Jeśli tylko uda mi się odwrócić jej uwagę...

Chiisai pokiwała głową, po czym pochyleni ruszyli dalej.

W chwili gdy dotarli na szczyt, iskierka znów się pojawiła. Moichi krzyknął, przestraszony, że może już być za późno. Jeśli zdążyła przejść, to nikt na tym świecie nie mógł już jej przeszkodzić. - Sardonyx! - zawołał ponownie, a echo powtórzyło głos, jakby kpiło z nawigatora. - Musimy zawrzeć naszą umowę! Zastanowiłem się nad tym i zmieniłem zdanie! - Gotów był powiedzieć wszystko, byle tylko choć na chwilę ją powstrzymać.

Szedł wzdłuż występu, dopóki znów nie błysnęło światło. Wtedy dojrzał jej sylwetkę, ciemniejszą niż sama noc. Podszedł jeszcze bliżej, ponownie ją wołając, aż w końcu czarodziejka usłyszała. - Za późno, Iskaelczyku. Niestety, jest już za późno. Jej głos brzmiał dziwnie. Gdy się odwróciła, nawigator bezwiednie westchnął. Coś wewnątrz jego umysłu krzyczało: Uciekaj stąd, głupcze! Uciekaj, póki jeszcze możesz!

Twarc czarodziejki zasłaniała Ognista Maską.

Była obrzydliwa i bluźniercza, jej kształty przywodziły na myśl największe potworności. Straszna ponad ludzką miarę, tak obca, że umysł Moichiego nie potrafił przyswoić obrazu, który rejestrowały jego oczy. Maskę pokrywała dziwna lustrzana substancja. To dzięki niej rozbłyskiwała w świetle księżyca, rozświetlając ciemno-ści. Czarodziejka stała jednak ciągle na skalnym występie. Za jej plecami ziało czernią wejście do pieczary: wielka rozdziawiona paszcza, na której dnie znajdowało się oko czasu. Czemu więc zwlekała? Skoro włożyła już Ognistą Maskę, wiedziała przecież, że żaden śmiertelnik nie pójdzie za nią do jaskini. - Miałam nadzieję, że nie spotkamy się w takich okolicznościach - stwierdziła spokojnie. Jej głos był dziwnie zniekształcony przez maskę, którą nosiła. - Nie chcę, by tak było. Nie mam ochoty z tobą walczyć. Jest wręcz przeciwnie, jeśli mam być szczerą. - Zastanawia mnie, czemu ani trochę mi to nie pochwlebia. - Moichi powoli przesuwał się w jej stronę. W dłoni trzymał miecz, do połowy już wysunięty z pochwy. Czuł jednak opór przed wyciągnięciem go do końca.

- Żartujesz sobie ze mnie. - W jej głosie był smutek. - Przecież nie zasłużyłam na twoją pogardę.

- Czemu nie zadowala cię bogactwo? A twoje... zdolności? - Czym jest bogactwo, jeśli nie doskonałą iluzją? - Zaśmiała się z goryczą. - Rozumiem tę prawdę lepiej niż ktokolwiek inny. Jedynie, co mi dało bogactwo, to smutek.

- Czegóż innego się spodziewałaś, zamknięta w Mistralu?

Przecież istnieje ogromny świat, który na ciebie czeka. - Świat nie chce mieć ze mną do czynienia. To ludzie wygnali mnie do Mistralu, Moichi, nie wiedziałeś? Czy twoja przyjaciółka, ta daluzyjska suka, nie opowiedziała ci o tym? - Nic o tym nie wiem.

- Nie jest to odpowiednia pora na taką opowieść. - Sardonyx zbliżyła się o krok do otworu jaskini.

Rozległ się szept metalu, gdy Moichi wyciągał z pochwy miecz.

- Nie próbuj mi przeszkodzić, proszę cię.

- Nie mogę pozwolić, byś tam weszła. - Moichi uniósł broń.

- A więc nadszedł czas ostatecznego pojedynku.

- Ty masz swój cel, ja także go mam.

- Jakże prawdziwe są twe słowa - powiedziała ze smutkiem, po czym uniosła ramiona.

Moichi odskoczył szybko do tyłu. Jego serce biło w zawrotnym tempie, przed nim bowiem nie stała już Sardonyx, tylko istota rodem z najstraszniejszego koszmaru.

Potwór zatrzepotał ogromnymi skrzydłami i otworzył aż za bardzo ludzkie usta, które wypełniał jednak rząd zębów równie ostrych jak bujuńskie miecze. Z gardła dobył się niehumaniczny ryk mrozący krew w żyłach. Zimny pot zlał twarz i szyję Moichiego, a włosy stanęły mu dęba.

Tuż przed nim stał olbrzymi człowiek-nietoperz, o którym mówiła daluzyjska mitologia. Z jakich odległych piekieł Sardonyx go przyzwała?

Diablura, cesarz świata umarłych.

W jednej chwili Chiisai stała już obok niego.

- To coś jest tylko iluzją, Moichi. Takie rzeczy nie istnieją.

- Mówiąc to, wyciągnęła jednak miecz.

- Może być nawet i iluzją, Chiisai. - Moichi potrząsnął głową.

- Czymkolwiek jest, wygląda na wyjątkowo wytrzymałe... - Nie wierzę. - Chiisai minęła Moichiego i rzuciła się na diablurę.

- Zaczekaj! - krzyknął, ona nie zwracała jednak uwagi. Istota uniosła się na metr, ostrożnie łopocząc skrzydłami, by nie zawadzić o kamienną ścianę. Dziwny szum, jaki wydawały skrzydła, odbijał się od chropowatej ściany, wzmagając i powracając echem, dopóki nie wypełnił nocy, okropnym niczym zawrodożenie demona. Diablura uniósł dolne odnóża, zrogowaciałe stopy z czterema palcami zakończonymi zakrzywionymi pazurami.

Potwór zaatakował Chiisai, klekocząc pazurami, ta zaś cięła jego słabo opancerzoną dolną połowę ciała dai-kataną. Bestia ryknęła, zęby błysnęły w opalizującym świetle księżyca, a uzbrojone w pazury łapy wzięły zamach w stronę dziewczyny. Chiisai chciała ciąć ponownie, ale nie dała rady, gdyż diablura był zbyt silny. Pazury ze świstem przecięły powietrze i zaorały się głęboko w jej lewe ramię. Próbowwała przetoczyć się w tył, na bezpieczną odległość, ale była nadziana na pazury niczym na haki i nie mogła się wyswobodzić. Dalej walczyła wolnym ramieniem, a ostrze jej miecza raz po raz wgrzyzało się w futrzastą skórę. Zrozumiała, co musi zrobić, ale schwytana w szpony bestii nie mogła się odpowiednio ustawić. Po chwili i Moichi to zauważył. Podbiegł do wiszącej w powietrzu istoty, uniósł miecz wysoko ponad głowę i ciął w dół, poprzez cienką chrząstkę prawego skrzydła, która rozdarła się niczym żagiel w czasie sztormu. Diablura stracił na moment równowagę i krzyżując opadł w dół, jednocześnie rzucając Moichim o skalną ścianę. Nawigator zakaszłał, gdyż wokół niego unosił się gęsty pył. Potem zamachnął się ponownie, tym razem rozcinając górną część kostnego skrzydła. Bestia zatrzęsała się i wymachując łapami, próbowała ponownie unieść się w powietrze. Chiisai została wyrzucona w górę, po czym upadła na wystający głąz. Moichi ruszył w jej stronę, widząc, jak dziewczyna mdleje, a miecz wypada jej z ręki. Biegając, rzucił mieczem niczym włócznią w potwora, ale ten odbił się od kościstej klatki piersiowej i upadł na kamień. Głupie posunięcie. Moichiego interesował jednak tylko stan Chiisai. Objął ją jednym ramieniem, a drugą ręką wyzwał jej bark z wbitych w niego pazurów.

Uwolnwszy dziewczynę, położył ją na ziemi i odwrócił się, by stawić czoło diablurze. Piekielna istota nadal wymachiwała bez-użytecznym już skrzydłem, próbując polecieć, unosząc się i opadając na przemian.

Wszystko miał dobrze wyliczone; gdy diablura zbliżył się do niego, wskoczył potworowi na plecy. Szybko wyciągnął jeden ze sztyletów i rozciął gardło. Diablura zawył i uniósł się, wyżej, coraz wyżej. Leciał w stronę gwiazd, cienkiej smugi błyszczącego gwiazdnego pyłu, przecinającej niebiosy. Po chwili Moichiemu zdało się, że z tej wysokości potwór mógłby schwytać opałowiy księżyc i ściągnąć go na ziemię.

Potem diablura wykonał nagły obrót i zaczął gwałtownie spadać. Leciał w dół z przerażającą zwinnością. Potem uderzył raz, drugi w zbocze góry. Za trzecim razem Moichi nie zdołał utrzymać się na ciele potwora i koziołkując, spadł w dół.

Moichi wyciągnął ciało, aż udało mu się chwycić górnej krawędzi ściany. Wisiał tak, kiwając się, i próbował wbić paznokcie w skałę, gdyż zaczynał się ześlizgiwać. Całymi plecami czuł, jak powietrze drga od śmiertelnych wstrząsów oszalałego diablury, który nadal poruszał się w nie kontrolowany sposób, spazmatycznie trzepocząc skrzydłami niczym nabity na szpilkę motyl. Potwór zaczął wreszcie nieodwołalnie spadać, spiralnym lotem zbliżając się ku ziemi, lecz do ostatniej chwili próbował zachować panowanie w powietrzu. Moichi zaczerpnął głęboko powietrza i podciągnął się do góry, usiłując przełożyć prawą nogę ponad krawędzią zbocza. Za pierwszym razem nie trafił. Spróbował ponownie i udało mu się. Po chwili leżał już na półce skalnej.

Przez dłuższą chwilę pozostał bez ruchu, próbując złapać oddech, dopóki nie przypomniał sobie o Sardonyx i Ognistej Masce. Musiał przewrócić się na lewą stronę, by wstać, gdyż ogromny wysiłek ponownie nadwreżył zwichnięte prawe ramię. Dojrzał Sardonyx stojącą przed wejściem do jaskini. Czemu jeszcze nie weszła? Podążył w jej stronę.

W powietrzu rozbrzmiał stuk młotów uderzających w tysiąc kowadeł, klekot chmary chrabąszczy, dęcie wielkich baranich rogów, skwierczenie krwistego mięsa nad ogniem, szmer drobinek kurzu tańczących w słońcu, ryk słoni, trzaski i grzmoty potężnej burzy, echo odbijające echem inne echo.

Było goręcej niż wewnątrz ognistej kuli słońca. Zatoczył się. Ktoś chwycił go i zaczął ciągnąć, dopóki Moichi nie ruszył się, choć nogi miał jak z ołowiu. Wreszcie odsunął się od wejścia do pieczary. Próbował złapać oddech, płuca miał rozpalone, oczy zalane, mózg atakowany przez pełzające robaki. Sardonyx, z twarzą zakrytą lustrzaną potwornością, Ognistą Maską, trzymała go mocno, nie pozwalając, by upadł. - Jak możesz być tak głupi - powiedziała delikatnie. - Jeszcze chwila i byś zginął.

Patrzył na nią, nadal nie mogąc złapać tchu.

- Nie rozumiem cię - wydusił wreszcie.

- Nie ma tu czego rozumieć. - Czarodziejka poklepała go po ramieniu. - Mówiłam już, że cię lubię.

- Chyba oszalałem.

- To niczego nie rozwiąże.

- Zdejmij to.

- Właściwie mogę to zrobić, nie potrafię tego uruchomić.

- Sardonyx odpięła maskę.

Ponownie zobaczył kobietę z ciemną skórą i włosami koloru miedzi.

Stał między nią a wejściem do jaskini.

- Nie wiem, co jest nie w porządku. - Sardonyx przyglądała się masce, którą obracała w rękach.

Moichi zobaczył, że maska od środka była czarna i matowa, ciemniejsza niż sama noc. - Nie zapewnia najmniejszej ochrony.

- Może jest zbyt stara - zauważył Moichi. - Może nie ma w niej już żadnej magii. Ale jeśli to wszystko...

- Oczywiście, że to nie wszystko. - Nadal poszukiwała klucza do zagadki. Opalizujące światło księżyca ponownie padło na chwilę na powierzchnię maski, która rozbłysła światłem. - Podobno pozwala otworzyć oko czasu lub na zawsze je zamknąć. Moichi już wiedział. Od samego początku miał przed oczami błyszczący klucz. Jeszcze raz się zastanowił i uznał, że nie może być pewien. Podejrzywał tylko. Gdyby to była jakaś historyjka, toby się nie wahał. Ale tu chodziło o życie, jego życie. Życie, które bardzo cenił. Chciał zobaczyć jeszcze wiele rzeczy, udać się do odległych krain, spotkać tylu ludzi. Nie był gotów umierać. - Jeśli na nic się już nie przyda, to pozwól, że się jej przyjrzę. - Po moim trupie. - Sardonyx przyglądała się podejrzliwie nawigatorowi.

- Dobrze. - Wzruszył ramionami i zaczął się oddalać. - Idę zobaczyć, co się stało z Chiisai.

- Co kombinujesz?

- Moja droga Sardonyx, wiem o wiele mniej o przedmiocie, który nazywasz Ognistą Maską, niż ty - powiedział, zatrzymując się. - Jak więc mógłbym coś kombinować?

- Nie wiem, ale...

Szybkim ciosem dłoni uderzył ją z boku głowy, tuż pod prawym uchem. Sardonyx upadła, nie wydając najmniejszego dźwięku. - Teraz jesteśmy kwita - wyszeptał Moichi, łapiąc omdlałe ciało. Położył czarodziejkę na skalistym podłożu, wyjmując jej z rąk Ognistą Maskę. - Cieszę się, że nie musieliśmy walczyć, Sardonyx.

Obrócił maskę, krzywiąc się na widok ohydny kształtu. Na jej wzniesieniach i wgłębieniach rysowała się groteskowa kopia jego własnej twarzy. Widział ją jakby z wielkiej wysokości, z której mógłby swoje oblicze uznać za cały świat.

Nie widział niczego, czym można by maskę przymocować, lecz mimo to uniósł ją ku twarzy. Czuł, jak jego organizm gwałtownie reaguje, krzycząc, walcząc o przetrwanie. Moichi dobrze wiedział, że miał obowiązek to zrobić, toteż nie pozostało mu nic innego, jak zignorować własne ciało.

Zbliżając Ognistą Maskę do twarzy, poczuł się tak, jak gdyby twarz miał z metalu, a maska była potężnym magnesem. Sama się przyciągnęła, przyklejając się niczym druga skóra. Przez moment zdało mu się, że nie może oddychać; potem odkrył na to sposób i już wszystko było dobrze.

Rozejrzał się dokoła. Nic się nie zmieniło. Oczywiście. Księżyc świecił jakby jeszcze mocniej, jeśli to w ogóle było możliwe. Moichi zaczerpnął głęboko powietrza, wiedząc, że jest to zapewne ostatni moment, gdy może jeszcze sięgnąć i zderzyć z twarzy bezbożny przedmiot.

Zamiast to zrobić uniósł oblicze do góry, w stronę opalizującego światła księżyca.

Gdy tylko księżycowe promienie uderzyły w maskę, Moichi poczuł się tak, jak gdyby trafił go piorun. Zachwiał się na nogach, ręką szukając oparcia w skalistej ścianie za plecami. Poczuł pulsujące ciepło przesączające się przez Ognistą Maskę, wnikające w jego skórę, mięśnie i kości. Ciepło, które rozchodziło się po całym ciele. Pojawiły się drgania i przez chwilę Moichi myślał, że zaczyna się trzęsienie ziemi. Potem zorientował się zdziwiony, że wszystko to działo się jedynie wewnątrz jego ciała. Dziwne światło opałowego księżyca było tutaj kluczem. Moichi wiedział, że teraz Ognista Maską została już uruchomiona. Niczym magiczna gąbka, Ognista Maską ciągle wchłaniała księżycową energię. Moichi czuł, że zebrana w niej moc może go roznieść na strzępy.

Okręcił się, zauważył nieruchomą Chiisai i nieco bliżej Sardonyx, obie nieprzytomne. Potem odwrócił się od nich w stronę zięjącego otworu jaskini. Mógł się już domyślać, co się w środku znajdowało, wiedząc, czym groził nawet chwilowy kontakt z tkwiącymi tam mocami, jeśli się nie miało odpowiedniej ochrony. Zbliżył się do otworu.

W środku nie było już ciemno. Czerń nocy rozpuszczała się, oddziałując już na dotyk, a nie wzrok.

Wchodząc do środka, natychmiast usłyszał dźwięki dobiegające z oka czasu. Chrzęst błyszczących owadów, trzepotanie ptasich skrzydeł, wirowanie podwodnych prądów, melodie płynące z ludzkich instrumentów rozbrzmiewały nieprzerwanie. Zaskoczony, zatrzymał się na moment. Był pewien, że mając na sobie Ognistą Maskę, nie będzie słyszał tych dźwięków. Mylił się, wszystkie dźwięki nadal dobiegały z dołu, nie tworząc już jednak kakofonii mogącej doprowadzić do szaleństwa, uderzającej potężnymi falami w bębenki i umysł. Ognista Maska przynajmniej częściowo filtrowała te dźwięki.

Zrozumiał to, posuwając się ostrożnie. Było zupełnie ciemno, więc z braku kolorów istotne się stały dźwięki, ich siła i ton mogły pokierować Moichiego w stronę oka czasu.

Nie było pod nim solidnej podłogi, nie było strony prawej ani lewej, nie było góry i dołu. Kroczył przez cierniste krzaki. Panowało gorąco, więc zdjął koszulę i poczuł, jak promienie słoneczne osuszają pot na jego skórze. Przebijał się z trudem krok za krokiem, coraz dalej. Ryk wokół niego wypełniał pozbawiony kolorów świat świstem wirów powietrznych, brzęczeniem much, a on siedział w ławce w dużej wiejskiej szkole pachnącej sosnową żywicą, pszczelim woskiem i czereśniowymi deskami. Był jeszcze zbyt młody, by jeździć na objazd rodzinnej ziemi. Już niedługo ojciec miał to zmienić, wyrwijąc go ze szkolnego środowiska i dając w zamian opiekuna. Słyszał jego głos dobiegający z daleka niczym buczenie uspionych dymem owadów. Wszystko było we mgle jak zroszony świt, srebrna noc, złoty księżyc, ametystowy zmierzch, jedna noga przed drugą. Słyszał zawrozczenie fal, klekot szczypiec langust wzdłuż morskiego dna, szelest skrzydeł ważek, cichy szmer oddychającego lasu. Stał na wzgórzu, a niebo wisiało nad nim niczym niebieski marmur z białoszarymi żyłkami; obracając się na północny wschód i przysłaniając oczy, widział ze swojego punktu obserwacyjnego, czyli najwyższego miejsca w okolicy, rozrzucone nieregularnie zabudowania Alaarat, a za nimi srebrzące się morze, wołające go, zielone w zagłębieniach, do których nie docierało światło słońca, jakby szmaragdy rozsypano na jego powierzchni. Och, morze, moje morze! Szedł naprzód, wkraczał w góry, pokonawszy lęk przed Bogiem; choć trzęsły mu się kończyny, ciało przechodziły dreszcze, pęcherz mógł lada moment pęknąć, padając na kolana chwalił spokój, który wypełnił go wreszcie, gdy statek opuścił port w Alaarat i zabrał go z Iskael. Stojący na pomoście ojciec był wielkości owada. Ojcze, czy ty płaczesz? Wreszcie na morzu, morzu, które trzymało go przy życiu przez wszystkie ciężkie dni i noce. Jednak nie zawsze tak było; przypominał sobie czasy, gdy śmiejąc się, biegł triumfujący przez sady jabłoni, z Sandą na ramionach. Toczyli się po miękkiej ziemi, objimali o pnie drzew, trzęśli gałęziami, a dojrzałe owoce spadały na ich głowy niczym deszcz; o innej porze roku chodził z nią między drzewami pełnymi chmur białych i bladoróżowych kwiatów, powoli wirujących w powietrzu, osiadających jak pył na ich włosach i ubraniach, przykrywających trawę i ziemię niczym zesłany z niebios dywan. Odwracając się od tej krainy, od Sandy i przepysznych sadów, które nie mogły go teraz zobaczyć, ani w tym roku, ani w następnym, ani też...

Schodzi w dół i czuje wreszcie grunt pod nogami, jakiś przyładek we mgle, która jednak mgłą nie jest. Echo nadal odbija się w jego głowie niczym fale, obrazy spoza czasu, prądy pochodzące z oka czasu, nasilające się z każdym krokiem.

Widzi przed sobą wir oka czasu, zlewający się, dzielący, rozmnażający, łączący. Granica nie zamknięta, ale też nie otwarta. Czeka jąca. Oko czasu.

Wejście do wszystkich wczoraj i każdego jutro. Teraz ciągnie Moichiego w swoją stronę, pozbawiając go woli sprzeciwu. Zahipnotyzowany ciągłym otwieraniem i zamykaniem otworu w czasie, nawigator zatrzymuje się niemal w ostatniej chwili. Kształty zmieniają się, tworzą, przelewają, opadają, wysysają, zgniatane przez siłę tak pierwotną, że jej nazwa mogłaby powstać jedynie w języku, który ją poprzedza, mogłaby być wyrażona jedynie skomplikowanymi symbolami umysłu. Bezpośrednio. Dźwięki zmieniły się nieznacznie, nagle natarły na jego bębenki z taką siłą, że zadawały ból mimo osłon Ognistej Maski. Zatyka uszy dłońmi, ale niczego

to nie zmienia, jedynie dźwięki przestają być bolesne, i czuje ekstazę, jakiej jeszcze nigdy nie doznał, ciepło i podniecenie, które potrafi porównać tylko z podnieceniem erotycznym, choć wie, że jest to żalosne odniesienie. Wyciągniętymi dłońmi, narkotycznie podekscytowany i ożywiony, zamyka kos-miczny wir. Gdy się zbliża, pojedynczy ton przecina wszystkie inne dźwięki, drgające palce zbliżają się do wiru, gotowe pieścić go niczym kochanka, a oko czasu zaczyna się otwierać, odsłaniając... Nie!

Gdzieś w głębi siebie, tak głęboko, że nie dotarły tam dźwięki oka, krzyczy do Moichiego głos rozsądku. Użyj jej! - woła. Użyj Ognistej Maski!

Najpierw nie rozumie. Jest tak blisko kinetycznej konstrukcji, że może zrozumienie nie jest już możliwe.

Zamiera, odepchnięty przez niewidzialną moc. Dobrze słyszy jednak falę o niezmierzonej sile i czuje się tak, jakby próbował zatrzymać obracające się niebiosa.

Myśl!

Użyj jej! Teraz!

Koncentruje się. Wszystko zaczyna się w mózgu rozpalonym dźwiękami muzyki sfer, która niemal zmaterializowała się przed jego oczami.

A teraz nadchodzi.

Zmagazynowana energia opalizującego światła księżycowego, kierowana przez Moichiego. Grzmoci i błyska poprzez skórę Ognistej Maski niczym piorun kulisty. Tworzy się ciepło, tak samo, jak zbierało się na zewnątrz, na skalistej półce tak daleko stąd. Huk pioruna.

Ogień trawi jego twarz.

Światło kosmicznej latarni.

Energia wylewa się z niego i po raz pierwszy widzi prawdziwą istotę wiru, jego ostateczną, złowrogą naturę. Wtedy niczym chirurg ostrożnie zaszywa rozdarcie w czasie. Powoli, powoli, z wielką dokładnością, pocąc się nawałnicą wychodzącej z niego skwierczącej energii, skupiony na zadaniu, które jest wreszcie zakończone.

Pozwala odpocząć ciału i umysłowi, ale zaczynają się już wibracje, a wraz z nimi wybuchy. Wie dobrze, że w okolicach oka zebrało się tyle księżycowej energii, iż niedługo nie będzie już w stanie jej kontrolować. Naciska i trzęsąc się z wysiłku, wygasza pole energii. Powoli, bardzo powoli ciepło uchodzi z Ognistej Maski i jego twarzy. Zataczając się jak pijany, Moichi odwraca się od gęstej, intensywnej ciszy.

Teraz już biegnie, by wydostać się z jaskini, z ciszy, prosto w objęcia przepelnionej błyskami gwiazd nocy.

CZĘŚĆ 4

LEW

O ZMROKU

Idylla

Zaraz po wyjściu z jaskini zorientował się, że zniknęła. Sięgnął gwałtownie w stronę twarzy, chcąc ściągnąć Ognistą Maskę, ale ta była już tylko warstwą szarego pyłu pokrywającą skórę.

Szybkim krokiem przeszedł wzdłuż skalnej półki, ale po Sardonyx nie było ani śladu. Chiisai siedziała oparta plecami o zbocze góry. Udało jej się poszarpać dolną połowę koszuli na pasy, którymi obandażowała ranne ramię.

Wstała, widząc Moichiego, który zmęczony szedł w jej stronę, i uśmiechnęła się.

- Już po wszystkim. - Własny głos wydał mu się bardzo dziwny. Podała mu miecz i pomagając sobie wzajemnie, zeszli wijącą się ścieżką.

Pokrótkie opowiedział jej, w miarę swych możliwości, co się wydarzyło w jaskini.

- Czy widziałas Sardonyx? - spytał.

- Musiała odejść, zanim odzyskałam świadomość. Nie widziałam jej tutaj.

Lumy cierpliwie czekały na nich u stóp góry, z zadowoleniem przeżuwać trawę. Gdy byli gotowi do drogi, Moichi po raz ostatni spojrzął za siebie. Czuł, że czegoś jeszcze brakuje: nie mógł odnaleźć trupa diablury, choć wiedział, że potwór spadł na tę stronę zbocza. Przed nimi majaczył Mistral; Moichi pragnął teraz jedynie zabrać Aufeyę i wyjechać z tej krainy.

Zamek milczał, gdy wjechali na dziedziniec. Zsiadając z lumy, nawigator usłyszał jednak dudnienie wysoko nad głową. Spojrzął w górę i zobaczył, jak fragment wysokiej wieżyczki pęka, śląc w stronę ziemi grad kamieni i zaprawy.

Moichi uchylił się przed spadającym gruzem i wbiegł do głównego holu. Wspinając się po spiralnych schodach, przeskakiwał po trzy stopnie naraz.

- Aufeyo! - nawoływał.

Zamek zatrzęsł się ponownie. Boże - pomyślał Moichi - wszystko lada moment rozleci się na kawałki. Tumany pyłu wypełniły obszerne atrium, a ściany cały czas się trzęsły. Wreszcie dotarł na górę. Znalazł Aufeyę tam, gdzie ją zostawili.

Choć ciągle blada, wyglądała nieco lepiej.

Schwycił ją w ramiona i biegiem ruszył w stronę schodów. Tymczasem pokój tuż obok eksplodował, a gryzący w oczy pył rozniósł się po okolicznych salach z rykiem tysiąca demonów. Zimny północny wiatr wdarł się poprzez otwory w ścianach i wył teraz pośród rozsypujących się murów. Na drugim poziomie fragment zewnętrznej ściany wydał się na zewnątrz, a drzwi do sali z klejnotami rozdarły się na oścież. Komnata była pusta, jeśli nie liczyć lampy. Wbiegł do głównego holu i po chwili był już na zewnątrz. Wyskakując, czuł, jak drży konstrukcja. Na zewnątrz stała Chiisai, trzymając obie lumy gotowe do drogi. Moichi wrzucił Aufeyę na siodło swego wierzchowca. Cała przednia ściana Mistralu zaczęła sypać się do wewnątrz. Kamienie spadały obok nich, bzyząc niczym wściekłe osy.

Moichi wskoczył na lumę, usiadł za Aufeyą, a potem pędzili już razem z Chiisai przez strzaskaną bramę wjazdową, przeskakując nad rozrzuconym gruzem.

Za ich plecami Mistral rozpadł się na pół, a jego rozsypane szczątki wzniosły się do góry niczym stos pogrzebowy, przesłaniając na jakiś czas krwistoczerwony rogaty księżyc. W drodze na północ Aufeya wyszeptala Moichiemu wszystko na ucho, oczyszczając się z koszmaru, w którym tak długo żyła. - Stawałam się kolejno coraz to innymi ludźmi. Najpierw były to osoby, które znam lub znałam, potem zaczęli to być nieznajomi, coraz bardziej dziwni, zupełnie inni niż ja i... wrodzy. To było wystarczająco straszne i wtedy pomyślałam sobie, głupia, że mogę znieść wszystko, tylko nie to. Potem było jednak jeszcze gorzej, gdyż stawałam się różnymi zwierzętami o umysłach tępych i wodnistych niczym błoto. Próbowałam myśleć, ale nie potrafiłam. Potem nadeszły gady, na zmianę pogrążone w letargu i żywe; czułam się, jakby mną zawładnęła jakaś koszmarna postać depresji maniakalnej. Mój gadzi umysł pracował, ale myślał jedynie o jedzeniu, którym wypełni wielki żołądek; rządził mną śmiertelny instynkt, którego nie dało się powstrzymać. Następnie były owady, w których mózgach bzycały tysiące widoków i zapachów, nad-rabiając niedorozwój pozostałych zmysłów. Chciałam myśleć, ale zbyt wiele rzeczy mnie rozpraszało. Wreszcie na koniec byłam rybą, leniwie pływającą, z pustą głową. Kim byłam? Zdawało się, że nic już ze mnie nie pozostało. Czy naprawdę byłam rybą? A może ptakiem albo innym zwierzęciem, albo... moje

ludzkie ja już nie istniało, a jego strata tym bardziej mnie przerażała, że nie pamiętałam już, co utraciłam. Nie byłam nawet wężem śniącym o tym, że jest człowiekiem. Nawet tego zostałam pozbawiona. Zaczęłam więc krzyczeć i nie przestałam, dopóki Sardonyx nie przyszła po mnie i nie wyciągnęła z wody. Wtedy to zdradziłam jej to, co chciała wiedzieć - powiedziała Moichiemu na ucho. - Wiesz, co było w tym najdziwniejsze? Nie jest mi z tego powodu przykro. Chciałam odzyskać swoje człowieczeństwo. Zapłaciłabym za nie każdą cenę, i to z największą radością. Moichi bardzo dobrze ją rozumiał i nie potrafił jej za nic winić. - Powiedz mi - poprosiła - co się stało w świetle opałowego księżyca.

Opowiedział jej o wszystkim, co zaszło. Najbardziej fascynowały ją wydarzenia, które miały miejsce w głębi jaskini czasu. Moichi chętnie opowiedział tę część historii dokładnie, czując, że dzięki temu choć na chwilę odciąga Aufeyę od wspomnień. Opowiadając, poczuł nagle, że kobieta otwartymi ustami dotyka skóry jego szyi, a potem, dokładnie i naiwnie jak dziecko, wylizuje słony pot. Czyniąc to, rozwiewała wszelki lęk Moichiego o jej bezpieczeństwo, jak gdyby w tak prosty sposób wyzwoliła zarówno jego, jak i siebie z więzów litości.

Zadbał, by w drodze powrotnej nie spieszyli się zbyt.

Wprowadzie pragnął powrócić do Corrunii, a stamtąd do

Sha'angh'sei, ale wszyscy troje byli poważnie ranni, uznał więc, że rozsądnie będzie nie marnować ostatnich zapasów energii. Zamiast forsownej jazdy wolał spokojną i przyjemną podróż, podczas której mogli odzyskać siły. Zapewne nie dopuszczał do siebie myśli, że po prostu chce być z Aufeyą, a instynkt mówił mu, że po dotarciu do Corrunii będą musieli się pożegnać.

Chiisai natomiast dobrze o tym wiedziała i w nie kończące się popołudnia, gdy odpoczywali - jechali jedynie w chłodzie poranka lub w świetle padających z ukosa, rozproszonych promieni słonecznych pod wieczór - zazwyczaj oddalała się pod jakimś pretekstem, zostawiając Moichiego i Aufeyę samych. Zwykle badała ruiny minionych cywilizacji, które dość często spotykali w tej okolicy. Aufeya wszystko rozumiała, dziękując w myślach Bujunce za to, że jest tak spostrzegawcza, wyrozumiała i ani trochę nie zazdrosna. Zachwycała ją możliwość codziennego przebywania sam na sam z Moichim. Jak na ironię, tylko on nie pojmował sieci ludzkich emocji, w której się znalazł.

Zalani ciepłymi promieniami słońca niczym miodem, trzymali się za ręce i rozmawiali o przeszłości. Aufeya z wielką czułością wspominała swego ojca, pamiętając wyraźnie każdy pobyt na pokładzie jednego z jego statków. Pewnego dnia zabrał ją w podróż w górę wybrzeża Daluzji, do miasta Puerto Chicama, skąd - jak później odkryła - kierował nielegalną siecią handlu ruumą obejmującą cały interior.

- Cóż, ten napój tak naprawdę nie jest niczym złym - tłumaczył jej pewnego dnia. - Jest nielegalny tylko z powodu zakazu Palliatu. Czy myślisz, że przez to miałby być niedostępny? Nie. Jest tylko droższy, gdyż trzeba posmarować więcej dłoni - mrugnął do niej porozumiewawczo - wliczając w to kilku zakonników, których mógłbym wymienić.

Później wybrała się w głąb kraju i odkryła, że jej ojciec mówił prawdę. Niemal wszyscy pili ruumę bez jakichkolwiek skutków ubocznych, jeśli nie liczyć krótkiej drzemki, którą sobie potem ucinali w ciepłe popołudnia.

- A twoja matka? - spytał Moichi pewnego dnia. Wiązka nieprzetłumaczalnych inwektyw, która padła z jej ust, nie zostawiła miejsca na dyskusję, szybko więc zmienił temat. Ten moment był jedyną gorzką nutą podczas dni, które razem spędzili. Dnie i noce zlały się w jedno. Tak samo ciała całej trójki zasklepiły się i zaleczyły, a po odniesionych wcześniej obrażeniach pozostały już tylko czerwone blizny. Ból powracał bardzo rzadko - po nieco cięższym dniu lub gdy na

horyzoncie przetoczyły się niskie burzowe chmury, przez co powietrze stawało się bardziej wilgotne i spadało ciśnienie.

Nocą spali oddzielnie, jedno obok drugiego, przy wesoło trzaskającym ognisku. Za to popołudniami, gdy Chiisai wyruszała na swoje wyprawy archeologiczne, Moichi i Aufeya aż do znużenia kochali się namiętnie, by potem nagrzewać gołe ciała w promieniach słońca. Często kąpali się też w pędzących strumieniach, których było coraz więcej, w miarę jak jechali na południe. Moichiemu wydawało się, że nigdy nie będzie miał jej dosyć - może dlatego, iż wiedział, że ich wspólny czas szybko się skończy. Jednego był pewien; zbliżający się dzień rozstania wyraźnie wyostrzył wszystkie jego zmysły.

Chiisai zawsze wracała w chwili, gdy powinni już wyruszać, dając im możliwie najwięcej czasu. Pewnego dnia jednak zdążyli się już spakować, a jej jeszcze nie było. Słońce zniknęło za horyzontem; gdy czekali tak na nią w niewygodnej ciszy, Moichi zrozumiał, jak nieuczciwie zachowywali się wobec Bujunki.

Zmierzch przechodził już w noc, gdy Chiisai pojawiła się wreszcie na niskim pagórku, upstrzonym tu i ówdzie platanami. Na lewym ramieniu niosła niewielkiego dzika, którego zapewne upolowała. Od dawna nie jedli świeżego mięsa, zadowolając się zazwyczaj zebranymi owocami i orzechami lub rybami złowionymi, jeśli nadarzyła się ku temu okazja.

Urządzili więc sobie małe święto. Szybko opalili skórę ze szczeciny, rozcięli brzuch i wypatroszyli zwierzynę. Pozwolili Chiisai rozpalic ognisko, gdy sami tymczasem zajęli się krwawą i cuchnącą, ale radosną pracą. Najpierw opiekli dziczyznę z ze-wnątrz, a potem nadziali mięso na rożen, który zawiesili nad ogniskiem. Zapach był tak aromatyczny i silny, że wątpili, czy doczekają, aż mięso w pełni się upiecze. Aufeya poszła oplukać wnętrze dzika w strumieniu i poszukać orzechów i jagód na farsz. Moichi w tym czasie zajął się obserwowaniem gwiazd, zimnych i odległych. Krainę krwawego księżyca zostawili daleko za sobą i Moichi z radością powitał swego starego przyjaciela, który teraz rządził nocą na niebiosach, srebrny i płaski niczym moneta, w trzech czwartych pełny.

Chiisai siedziała z drugiej strony ogniska, ostrząc dai-katanę. Nawigator wstał i podszedł do niej, podziwiając wprawę, z jaką wykonywała swoją pracę. Odkalsznął, na co Chiisai skierowała wzrok w jego stronę. Jej dłonie zawisły nad ostrzem miecza. Światło ogniska migotało na jego powierzchni, oświetlając długie, doskonale zaostrzone krawędzie. Miecz był nad wyraz wspaniałym narzędziem.

- Obawiam się, że razem z Aufeyą zachowywaliśmy się ostatnio nieco samolubnie.

- Czemu tak mówisz? - Chiisai przetarła długie ostrze i schowała miecz do pochwy. - Z dużą przyjemnością odkrywałam tajemnice krainy, przez którą jedziemy. - Zaśmiała się. - Poza tym dałabym ci do zrozumienia, gdyby taki układ mi nie odpowiadał. - Jednak...

- Zresztą, szczerze mówiąc, potrzebowałam nieco czasu na osobności. Po powrocie do Sha'angh'sei muszę podjąć parę ważnych decyzji i chcę być pewna, że jestem na to gotowa. - Więc wszystko dobrze?

Chiisai podniosła się i stając na czubkach palców, pocałowała Moichiego.

Tej nocy, gdy księżyc był już wysoko na niebie, rozpoczęli orgię jedzenia. Nie zjedzona część, podzielona na porcje, starczyła im aż do Corrunii.

W ostatnich dniach podróży coraz więcej czasu spędzali w drodze, jak gdyby magnetyzm miasta wzrastał wraz ze zbliżaniem się do jego serca. Za dnia niewiele rozmawiali - za to nocami, w świetle gwiazd i księżyca, Chiisai opowiadała historie o Ama--no-mori i Bujunach.

Zarówno Moichi, jak i Aufeya nie mieli nastroju do rozmowy, co Chiisai tłumaczyła tym, że niedługo będą musieli się rozstać, być może na zawsze. Nie zdając sobie z tego sprawy, zaczęła współczuć Moichiemu.

Wiedziała, że go kocha, ale na sposób bujuński, nieuchwytny dla cudzoziemca. Była to miłość, jaką jeden wojownik żywił wobec drugiego, gdy łączyły ich wspólnie przeżywane przygody i niebez-pieczęństwa; stawali się wtedy sobie bliżsi niż członkowie jednej rodziny czy nawet kochankowie. Wiedziała na przykład - i Moichi nie musiał jej tego mówić - że nie uważał się za bohatera. Ona jednak sądziła, że nim jest. Napędzała go osobista wizja, która pchała go naprzód. Był swoją własną moralnością, własną mocą, własną chwałą, własnym światem. Sądziła początkowo, że będzie zazdrościł Moichiemu jego bohaterstwa, ale odkryła że tak nie jest. Jedyne jeszcze bardziej go za to kochała.

W pewnym sensie była więc zadowolona, gdyż wydawało jej się, że wreszcie zrozumiała, czemu Dai-San zaproponował jej podróż do Sha'angh'sei i spotkanie z Moichim. Może w gruncie rzeczy nie wiedział o Ognistej Masce, Sardonyx czy nawet oku czasu, ale musiał wiedzieć o karmie swego przyjaciela. Była wdzięczna, że mogła stać się częścią tej przygody. Jednak wielokrotnie, podczas długich sennych popołudni pośród syjących się wspaniałych ruin na kresach Daluzji, gdy spacerowała otoczona przez motyle, czując ciężar promieni słonecznych opadających na nią niczym plastry miodu i oświetlających pozostałości tajemniczej cywilizacji, zaczynała się zastanawiać, czy na tym wszystko się dla niej kończyło.

A potem, jak każdemu Bujunowi, który snuł podobne myśli o niepewnej przyszłości, pozostawało jej tylko wrzucić ramionami. Była gotowa przyjąć wszystko, co miało ją jeszcze spotkać.

Karma - pomyślała.

Sieroty

^jachodnią bramę Corrunii minęli zaraz po południu, a potem szybko przejechali przez dzielnicę magazynów. Cambujo roz-biegali się na boki, a handlarze, z ciemnymi, błyszczącymi od potu twarzami i gęstymi kręconymi brodami, potrząsali w ich kierunku dłońmi, żli, że się im przeszkadza w pracy. Przepelnione złością okrzyki odbijały się echem od monotonnych ścian magazynów.

Wreszcie dojechali na spokojny Plaža dell' Pesquisa. Kopyta wierzchowców stukwały głośno o kamienie, którymi go wyłożono. Dwaj starcy w nieskalanie białych daluzyjskich strojach siedzieli, jak zazwyczaj, na ławce w cieniu drzew oliwnych. Bujna roślinność zasłaniała ustawioną pomiędzy drzewami fontannę, ale zsiadając z wierzchowców, trójka podróżników usłyszała cichą melodię pluskającej wody.

Gdy wreszcie dojechali na miejsce, Moichi zaczął się martwić, jak Aufeya zareaguje na powrót do domu. Wiedział, że ma obowiązek przywieźć ją tutaj. Nie mógł nic w tej sprawie zrobić, więc przez ostatnie dni odpychał od siebie myśl o konsekwencjach tej chwili. Tsuki - był tego pewien - chciała, by córka wróciła do domu. Ale co o tym myślała Aufeya?

Wziął ją za rękę i poprowadził w górę schodów do drzwi frontowych. Otworzyły się, zanim zdążył zapukać. Na progu stał Chimmoku, na którego twarzy rysował się serdeczny uśmiech.

- Witaj w domu, Aufeyo!

Powiedział to z taką miłością w głosie, że Moichi natychmiast się uspokoił. Może będzie to dużo łatwiejsze, niż sądziłem - pomyślał. Ludzki umysł miał zadziwiającą umiejętność wyolb-rzymiania faktów.

- Wejdźcie, wejdźcie wszyscy do środka! - Mówiąc to, Chim-moku cofnął się, by wpuścić ich do domu. - Modliliśmy się za wasz bezpieczny powrót.

Moichi zaprowadził Aufeyę w głąb holu i zatrzymał się u stóp schodów ozdobionych rzeźbą dziobową statku. Spojrzał w górę.

Tsuki stała nieruchomo na piętrze, jedną dłonią trzymając się za gardło. Zachowała królewską postawę, lecz jej oczy, rozglądające się niepewnie na boki, zdradzały wszystko.

- Aufeyo - westchnęła.

Córka nie odezwała się ani słowem.

- A Sardonyx? - Tsuki spojrzała na Moichiego.

- Odeszła - odparł. - Pokonana.

- Dziękuję ci za zwrócenie mi córki. Dziękuję wam obojgu. - To nie było nic wielkiego, pani. - Moichi żartobliwie wykonał formalny ukłon.

- Aufeyo, przepraszam cię za wszystko. - Tsuki uniosła rękę w stronę córki. - Witaj znów w domu, kochanie. - Idź - szepnął Moichi Aufei do ucha i poklepał ją lekko po plecach.

Odwróciła się na moment w jego stronę i posłała mu spięty uśmiech.

- Zaczekaj na mnie - szepnęła. - Zaraz zejść z powrotem. - Potem powoli wspięła się po schodach, jedną ręką przejeżdżając po wypolerowanej poręczy.

Tsuki objęła ramieniem córkę i obie zniknęły Moichiemu z oczu, odchodząc w głąb holu. Chwilę później drzwi sypialni Tsuki zamknęły się cicho.

- Nie wiem, jak mamy wam dziękować - stwierdził Chimmoku, gdy pozostali sami. - Senhora nie była sobą od czasu, gdy wyjechaliście. Winiła się za pozostanie tutaj, choć czuła, że byłaby tylko kłopotem. - Służący w zamyśleniu rozczesywał palcami długie włosy. - Na wiele sposobów Aufeya jest podobna do swego ojca, ale w tej kwestii jest zupełnie taka jak senhora. Moichi zaśmiał się.

- Zapomniałeś chyba, że kiedyś senhor zabrał ją w górę wybrzeża do Puerto Chicama.

- Słucham? - Chimmoku zdawał się nie rozumieć.

- Gdy pojechał sprzedawać ruumę.

Chimmoku gwałtownie się wyprostował, a jego głos nabrał nagle ostrego tonu.

- Senhor, Milhos Seguillas y Oriwara nigdy nie zgodziłby się mieć cokolwiek do czynienia z tym wysoce szkodliwym nar-kotykiem. Nie poniżyłby się do wykonywania takiej czynności, a już na pewno nie w obecności ukochanej córki. Moichi poczuł nagły skurcz żołądka; wydało mu się, że całe powietrze uciekło mu z płuc. Jednak musiał się upewnić. - Chyba się mylisz, ja...

- Senhor, mogę pana zapewnić, że Aufeya nigdy nie była z ojcem w Puerto Chicama. Może po tym, jak opuściła dom... Moichi wyminął już służącego i biegł w stronę schodów. Jego ciało przeszło chłód, a on myślał tylko: Kiedy to się stało? - Senhor, sądzę, że nie powinieneś przeszkadzać!

- Chiisai! - zawołał Moichi przez ramię, ignorując Chimmoku.

- Idź na zewnątrz! Pod okno sypialni senhory! Chiisai odwróciła się i popędziła wzdłuż holu, otworzyła drzwi wejściowe i wybiegła na dwór.

Tymczasem Moichi znalazł się już na piętrze. Drzwi na końcu korytarza były zamknięte, a ze środka nie dobiegały żadne odgłosy.

Nacisnął klamkę, ale ktoś zamknął drzwi na zamek. Cofnął się więc i mocno kopnął - zamek jednak trzymał dalej. Kopnął więc ponownie, wkładając w to całą siłę. Zamek roztrzaskał się, a drzwi z hukiem otworzyły się do wewnątrz. Moichi wpadł do środka.

Pokój skrywały ciemności, grube zasłony były bowiem zaciąg-nięte. Na pierwszy rzut oka pomieszczenie wydawało się puste. Po chwili jednak oczy nawigatora przyzwyczyły się do ciemności i zobaczył postać leżącą na łóżku. Natychmiast do niej podbiegł.

Była to Tsuki. Krew wyciekła z kącika jej ust, zalewając podarte na strzępy ubranie. Kobieta przyciskała do piersi podusz-kę, jak gdyby była dzieckiem, które właśnie obudziło się z koszmaru.

Moichi wiedział jednak, że Tsuki obudziła się, by przeżyć koszmar.

Rękojeść sztyletu o zębatym ostrzu wystawała z poduszki w miejscu, pod którym znajdowało się serce.

Najbardziej przerażające były jej oczy; wiedział, że ich widok będzie go dręczył przez długi, długi czas. Widać w nich było, że Tsuki nie mogła zrozumieć tego, co zaszło.

Moichi zbliżył się do łóżka, objął dłońmi ciało kobiety i powoli je kołysał. Pokój był pusty, a przy zamkniętych drzwiach okno stanowiło jedyną drogę na zewnątrz. Nie musiał nawet do niego podchodzić, by być pewnym. Pozwolił Chiisai zająć się morder-czynią.

Najpierw ostrożnie zamknął oczy kobiety, jeszcze zanim wyjął sztylet z jej piersi. Nagle zaczął płakać. Nie zasłużyła na to. Nie na taki los. Zginęła ze świadomością, że zamordowała ją własna córka. Co najgorsze, była to nieprawda. Uczyniło to ciało Aufei, ale był już pewien, że kierowała nim Sardonyx. Od jak dawna - pomyślał - kochałem się z nią?

Okazało się więc, że ponownie mu się nie udało. Tsuki była pierwszą miłością jego przyjaciela. Miał więc obowiązek ją chronić. Tak jak pozwolił, by zginął Kossori, tak też nie uratował Tsuki od śmierci. W samym ziarnie swej duszy wiedział, że jest dla siebie zbyt surowy. Nic go to jednak nie obchodziło. Usłyszał, jak gdyby z bardzo daleka, uniesione głosy, spośród których wyróżniało się wołanie Chiisai.

Zignorował je, wpatrzony w spokojną już twarz Tsuki, w upadły księżyc, który wreszcie zaszedł.

JVLoichi i Aufeya stali nad grobem oddaleni od siebie. Widząc to, Chiisai westchnęła cicho.

Trumna, gładka niczym szkło, była właśnie opuszczana do nowo wykopanego grobu, tuż obok kamienia nagrobnego Milhosa Seguillasa y Oriwary. Bujunka nie zwracała zbyt wiele uwagi na słowa don Hispete, intonującego modlitwę za umarłych.

Nie miała kłopotu z obezwładnieniem Aufei, która z okna na piętrze zsunęła się do ogrodu. Było już jednak za późno. Dziewczyna stała się znów Aufeyą, zdziwioną, że jest już w Corrunii, a tym bardziej - że stoi w ogrodzie własnego domu. Dopiero po jakimś czasie byli gotowi jej powiedzieć, co się stało. Przyjęła wszystko ze stoickim spokojem, czego nie można było powiedzieć o Moichim, który wyszedł w połowie opowieści. Aufeya wiedziała więc, że coś zaszło między nim a jej matką. Z tego powodu przez dwa dni nie odzywali się do siebie.

Don Hispete wykonał nad opuszczoną trumną znak Palliatu. Chiisai z ulgą przyjęła koniec ceremonii. Napięcie sięgało już szczytu i wydawało jej się, że spędziła dobre pół dnia w cieniu cmentarnego drzewa, choć przecież wiedziała, że pogrzeb trwał dużo krócej. Z zadowoleniem przyjęła też słowa Moichiego, że wyruszają do Sha'angh'sei tego popołudnia, tuż po zakończeniu obrzędów pogrzebowych. Miała już dość ponurego domu rodziny Seguillas y Oriwara, wypełnionego obrazami przedstawiającymi pokutujących grzeszników i prze-syconego atmosferą zagłady. Poza tym podjęła już decyzje co do swej przyszłości i nie mogła się doczekać powrotu do Sha'angh'sei. Spojrzała na chmurną twarz Moichiego i dyskretnie się uśmiechnęła. Szybko zmieni swoje nastawienie, gdy odkryje, co na niego czeka w Sha'angh'sei.

Wszyscy oprócz ich trojga odeszli już od grobu, więc Chiisai także opuściła Moichiego i Aufeyę. Czuli, że jej obecność nie jest już pożądana. Usłyszała jednak, że ktoś za nią biegnie, więc zatrzymała się i odwróciła.

- Wracasz do domu? - spytała Aufeya.

- Nie. Idę do mercada. Przed odjazdem chcę się pożegnać z Martynę.

- Kiedy... jak szybko zamierzacie... odjechać?

- Dziś po południu. Niemal zaraz.

- Nie wiedziałam. - Aufeya zmartwiona potrząsnęła głową.

- Ja...

- Gdybyście ze sobą rozmawiali... - Chiisai nagle poczuła, że ma już wszystkiego dość. W ciągu ostatnich kilku dni powiedziała już wystarczająco wiele. - Wybacz mi, ale się spieszę. - Z tymi słowami odeszła.

Moichi stał jeszcze samotnie nad grobem, patrząc, jak grabarz przysypuje trumnę. Początkowo grudki ziemi dudniły o wieko, ale z czasem usypana warstwa stłumiła odgłos.

Potem grabarz także odszedł i Moichi pozostał sam.

Wydało mu się, że wszystko wokół zamarło.

- Przepraszam cię, Tsuki. - Wypowiadając te słowa, wiedział, jak niewiele one znaczą. Czuł wstyd tak wielki, że gdyby był innej narodowości, zabiłby się na miejscu. Był jednak Iskaelczykiem i nie tak postępował jego naród. Będzie musiał żyć ze swoim wstydem. Na tym polegała pokuta.

Uśmiechnął się smutno do siebie, rozpoznając głos ojca i jego ojca, i tak dalej, aż do początków.

Nie dało się uciec od historii Iskaelczyków. Równie dobrze mógł próbować przestać oddychać, gdyż historia płynęła w każdej cząstce, każdej komórce jego ciała, wypełniając krew i kości, mięśnie i ścięgna, mózg i serce.

Na moment przypomniał sobie, jak poznał Chiisai na pomoście w Sha'angh'sei. Jakie to dziwne... myśleć teraz o tamtej chwili. Potem zrozumiał, co wywołało to wspomnienie. Shindai i jej przepowiednia. Czego się wtedy dowiedział?

Słońce: znak wielkiej zmiany.

Przeszłość: to cię wspomaga. Przedstawiono ją jako postać na noszach. Tsuki była częścią przeszłości, a teraz nie żyła. Wszyscy: na to natrafisz. Sardonyx.

Jak miał to rozumieć? Nijak. Nic z tego nie wynikało.

Poczuł, że ktoś za nim stoi.

- Nie ma niczego. - Słowa utknęły jej w gardle i musiała gwałtownie przełknąć ślinę. Aufeya tak się bała, że zupełnie wyschły jej usta. Zdała sobie sprawę, że czeka ją teraz naj-trudniejsze zadanie. Coś w głębi niej z całą siłą się temu sprzeciwiało, jakieś rozszoszczone, protestujące dziecko. Zagryzła jednak mocno zęby i ciągnęła dalej, czując, że to jej jedyna szansa, że bez tego jest skazana na zagładę, przykuta do tego miejsca na zawsze. - Nie ma niczego, co miałyby ci wybaczyć.

Moichi patrzył na nią, przyglądał się jej twarzy, widząc, jak dzikie zwierzę w ciele dziewczyny z każdą chwilą cofa się coraz głębiej. Nagle zrozumiał, jak wielkie są pokłady jego litości dla samego siebie.

- Chyba rozumiem, o co ci chodzi.

Popatrzyła chwilę na świeży grób, po czym znów spojrzała na Moichiego, który stał naprzeciwko, obserwując ją bez słowa. - Jeśli chodzi o drugą sprawę... - zaczęła łagodnym głosem. - Jaką sprawę? - Dobrze wiedział, co miała na myśli, ale chciał, by ona pierwsza to powiedziała.

- Chodzi o ciebie i matkę...

- To nie było tak, jak sobie wyobrażasz, Aufeyo. Nie była taka... - Nic mi o tym nie mów - poprosiła. - Tylko o to proszę, bo zawsze czułam... - Jej głos załamał się, a oczy zaszyły łzami. - Była taka piękna, tak bardzo piękna.

Moichi objął ją ramieniem i razem opuścili cmentarz. Wiosną trawa porośnie ciemną brązową ziemią, której nikt nie uklepał. Było to obojętne Tsuki Seguillas y Oriwarze. Mogło mieć znaczenie najwyżej dla tych, którzy przyjdą ją odwiedzić.

A wszystkie gwiazdy
będą mnie prowadzić

Sha'angh'sei, nieśmiertelne Sha'angh'sei - pomyślał Moichi - gdy jego statek manewrował między miriadami większych statków kupieckich u wejścia do portu. Jaką radością napawa moje serce twój widok. Jednak teraz czeka na mnie Iskael. Wtedy dopiero znów będę w domu.

Wyraźnie zdenerwowana Chiisai stała u jego boku. Z drugiej strony stała Aufeya.

- Pojechałabym z tobą do Sha'angh'sei - powiedziała mu wtedy.

- A co z rodziną? Z domem?

- Tak naprawdę nie ma żadnej rodziny. Już tylko ja zostałam. Jestem ostatnią z rodu Seguillas y Oriwara. Ponieważ matka umarła, Chimmoku nie chce tu pozostać. Ja także już tu nie pasuję. - Nie zostanę w Sha'angh'sei na długo, Aufeyo.

- Czy to jakieś ostrzeżenie? - Uśmiechnęła się.

- Chcę tylko, byś o tym wiedziała. - Spojrzał na nią z powagą.

- Co wtedy zrobisz?

- Po kolei, nie wszystko naraz, Moichi. Dobrze? Gdy tylko przycumowali, nawigator wysłał gońca kubaru, by powiadomił Aerenta o ich powrocie.

Zbliżał się zmierzch. Ogromne miasto spowiło się w dymną sieć, którą samo zrodziło. Mgliste niebo miało kolor ametystu. W zapa-dającym zmroku co chwila zapalał się cytrynowożółty punkcik ulicznej lampy. Wysoko na wzgórzu dachy luksusowych domów bogatych kupców z otoczonej murami dzielnicy były już częściowo zasłonięte przez mgłę. Zdawały się należeć do jakiegoś innego, magicznego świata.

Szli wzdłuż pełnego życia nabrzeża, dopóki Moichi nie zatrzymał przejeżdżającej rikszy. W jednej chwili wciągnął ich do swego wnętrza chaotyczny wir, jakim nawet pod wieczór było Sha'angh'sei. I miejsca na podłużnym balkonie ze wspaniałym widokiem na port, w wysoko położonej gospodzie. Pod nimi brązowe fale omywały stojące w tym miejscu od wieków słupy, a kiwające się na falach społeczeństwo tasstanów było chmurą światła pływającego na wodzie. Kubaru zaczęli zmywać po wieczornym posiłku. Aerent westchnął głośno i rozsiadł się na krześle.

- Miło znów cię widzieć. - Poklepał przyjaciela po plecach.

- Brak nam ciebie było.

- Wiem, że to nieprawda - odparł Moichi, ocierając usta serwetką.

- Och, bogowie, on mówi prawdę, Moichi. - Llowan odezwał się zza stołu, częściowo przesłonięty półmiskami, talerzami i pus-tymi już dzbanami. - Bez ciebie handel nie idzie za dobrze. - Teraz już wiem, że obaj oszaleliście - zaśmiał się nawigator. - Co teraz zrobisz, Chiisai? - spytał Aerent. - Powrócisz na Ama-no-mori?

- Nie, regencie. - W jej oczach dał się widzieć błysk. - Nie chcę jeszcze opuszczać kontynentu człowieka. Nie miałam nawet okazji, by dobrze poznać Sha'angh'sei.

- To mi się podoba, pani! - powiedział Llowan, unosząc puchar. - Dobrze powiedziane! Piję za wasze postanowienie oraz stalowe nerwy. - Zaśmiał się donośnie. - Możesz, jeśli chcesz, zamieszkać tam, gdzie wcześniej żył Moichi.

- Zaczekaj chwilę - wtrącił się nawigator. - Powiedziałem wprawdzie, że wyruszam do Alaaat, ale, jak wszyscy dobrze wiecie, to nie będzie tak proste. Nadal nie ma statków, które mogłyby mnie tam zabrać.

- Och. - Aerent uśmiechał się. - Wyślemy cię tam prędko, już ty się o to nie martw.

- Muszę jednak mieć okręt z prawdziwego zdarzenia - stwierdził Moichi. - Do Iskael jest stąd daleko i nie mam ochoty wiosłować całą drogę.

- Cóż, jeśli wszyscy już zjedliśmy, to chodźmy może na spacer - zaproponowała Chiisai, wstając. - Nie miałam jeszcze okazji zobaczyć Sha'angh'sei nocą. Moichi zbyt szybko mnie stąd porwał. W taki to sposób Chiisai przekazała Moichiemu drugi dar od Dai-Sana. Odkąd tu przybyła, stał cały czas w porcie, czekając cierpliwie.

- „Tsubasa” - powiedziała, uśmiechając się. - Teraz to twój statek.

- Mój? - Moichi nie był w stanie w to uwierzyć.

- Tak. Możesz już płynąć do domu.

- Do domu, do Iskael - westchnął. - Aufeyo, a co będzie z tobą? - Chcę płynąć z tobą do Iskael. - Dziewczyna stała blisko nawigatora.

- Co? Wydaje mi się, że nie przemyślałaś tego dobrze. Nie jest to decyzja, którą...

- Wręcz przeciwnie - przerwała mu. - Od jakiegoś czasu tylko o tym myślę.

- Ale, Aufeyo...

Zobaczył rysujący się w jej oczach ból i już wiedział, że popełnił błąd.

- Dobrze! - wybuchnęła. - Masz rację. To był dziecinny pomysł. Nie wiem, skąd przyszło mi do głowy, że będziesz chciał mnie zabrać! - Moichi chciał jej dotknąć, ale dziewczyna odsunęła się; pragnęła już tylko jednego: zranić go tak mocno, jak on ją zranił. - Powiedz to! Powiedz przy swoich przyjaciółach. Jestem pewna, że zrozumieją. Nie chcesz mnie. Nigdy mnie nie chciałeś. Cały czas chodziło o moją matkę! Jesteś taki sam jak cała reszta, która przychodziła do mego domu. Wchodzili i widzieli ją. Zawsze ją, moją matkę! Czemu nikt nie zwracał na mnie uwagi? - Odłączyła się od grupy, wbiegając na pomost Trzech Baryłek. Zapadła ciężka cisza, jak gdyby ktoś zrzucił na nich gruby dywan tłumiący wszelkie dźwięki. Moichi przez chwilę patrzył na Chiisai, czując się bezradny i samotny, ale Bujunka była zajęta obserwowaniem sęków w deskach pomostu.

Nawigator chrząknął więc i udał się za Aufeyą. Świat stał się lasem czarnych masztów, za którymi prześwitywał ogrom falującego morza.

Podszedł do niej i stanął obok. Nie dotykał dziewczyny, wiedząc instynktownie, że nie zniosłaby tego teraz. Nadciągający znad morza wiatr smagał jej twarz i zwiewał do tyłu włosy. Światło księżycy rozświetlało jej twarz; nigdy jeszcze nie oglądał Aufei tak pięknej, nigdy jeszcze nie było tak wyraźnie widać, czyją jest córką. - Przepraszam - powiedział delikatnie. - Zupełnie mnie zaskoczyłaś i...

- Tak, i zawsze będę dla ciebie jedynie córką swojej matki - odparła gorzko. - Słuchaj, może byś mnie wreszcie zostawił w spokoju?

- Chcę, byś pojechała ze mną.

Aufeya nie odpowiedziała. Na prawo od nich, za „Tsubasą”, na pomoście Czterech Wiatrów, rozbrzmiała słodko-gorzka pieśń kubaru. Nie widzieli śpiewaków, ale ich głosy, czyste i silne, wznosiły swój niepokromiony hymn.

- Twoja matka bardzo cię kochała, bardziej niż kogokolwiek na tym świecie.

- Tak, lubiła mi o tym mówić - odpowiedziała złośliwie. - Po jakimś czasie same słowa już wiele nie znaczą. - Jej życie straciło sens, gdy odeszłaś.

- Myślisz, że ci uwierzę?

- Aufeyo, posłuchaj mnie. Chciała wrócić do Hellsturmu, by zapewnić ci bezpieczeństwo. - Nie zamierzał jej o tym powiedzieć, ale teraz nie miał już wyboru.

Aufeya była tym wyraźnie zszokowana.

- Dihos, nie! - krzyknęła. - Nie zrobiłaby tego! - Wręcz przeciwnie, wszystko było już ustalone. Doszłoby do tego, gdyby Sardonyx nie zdradziła Hellsturma. Aufeyo, twoja matka nie nienawidziła nikogo tak bardzo jak Hellsturma. - Owszem, przynajmniej tego dowiedziałam się w Mistralu. - Kochała cię z całego serca. - Mówiąc to, zrozumiał, że te słowa dotyczyły też jego samego i ojca.

Wtedy dotknął Aufei i trzymali się za ręce, jak gdyby pierwszy raz w życiu. Obok nich załoga „Tsubasy” przygotowywała okręt do rejsu.

Owit.

Aerent i Llowan stali już na nabrzeżu, pożegnawszy się. Moichi obrócił się w stronę Chiisai.

- To nie koniec, jak kiedyś powiedziałem Dai-Sanowi.

- Oczywiście, że nie - potwierdziła Chiisai. - Rozumiem.

Przytulili się do siebie.

- Życzę ci szczęścia, Moichi.

- Tego samego życzę tobie. We wszystkim, co przyjdzie ci robić.

Chiisai pocałowała Aufeyę, a potem zeszła z pokładu. Trap został wciągnięty i Moichi dał sygnał.

Marynarze w po-śpiechu wybierali cumy, podniesiono kotwicę.

- Cumy rzucone, pilocie! - krzyknął stojący na śródkręciu pierwszy oficer.

- Aye - odparł Moichi, wspinając się po schodach na pokład rufowy. - Postawcie żagle, jak tylko wyjdziemy z portu. - Tak jest, kapitanie! - Pierwszy oficer odwrócił się i wydał serię krótkich komend załodze, która natychmiast wspięła się na wanty.

Moichi pokierował „Tsubasą” w skomplikowanym labiryncie, jaki tworzył basen portowy w Sha’angh’sei. Aufeya tymczasem zeszła do kabiny, by założyć swój strój żeglarski. W końcu oddalili się od innych okrętów i nawigator posłyszał głośną komendę pierwszego oficera. W mgnieniu oka załoga postawiła żagle. Dobry z niego oficer - pomyślał Moichi - od-wracając się w stronę sternika, by podać mu kurs. - Południe-południowy wschód.

- Aye, kapitanie!

Statek skoczył naprzód, unosząc dziób wysoko ponad fale. Za rufą pozostawiał gęsty kremowy kilwater.

Przed nimi słońce wschodziło ponad wodami, a w jego pobliżu granatowe dotychczas morze stało się białe. Niebo było bezchmurne, daleko nad zachodnim horyzontem blade księżyc w pełni prześwitywał nad dachami znikającego prędko za ich plecami Sha’angh’sei.

Moichi zostawił sternika samego i oparł się o balustradę na rufie. Zachwycił się swoim nowym statkiem, kołysaniem i zapachem morza oraz władzą, którą miał zarówno nad jednym, jak i nad drugim.

- Czy to nie dziwne, że księżyc jest jeszcze widoczny o tej porze? - Kobięcy głos dobiegał zza jego pleców. Melodyjny i głęboki, zdawał się kpić z Iskaelczyka.

Moichi natychmiast się odwrócił. Za nim stała jednak tylko Aufeya. Miała na sobie wysokie i błyszczące marynarskie buty, luźną koszulę i spodnie. Szła w jego stronę przez pokład rufowy, a słońce oświetlało jej twarz i rysujący się na niej uśmiech.

f,

Spis treści

PROLOG..... 7

Na ulicy Zielonego Delfina..... 9

CZEŚĆ 1 MIASTO CUDÓW..... 21

Rubinowe nogi..... 23

Koppo 51

Cyrk dusz.....	87
Porwanie.....	110
CZEŚĆ 2 ŚCIGAJĄC DIABŁA.....	125
Lorcha.....	127
Opowieści wodnika.....	145
Fuga	164
Na skraju wód.....	202
CZEŚĆ 3 OGNISTA MASKA.....	221
Wskazówki.....	223
Oko Demona.....	233
Kowadło.....	250
Sardonyx.....	268
Opalowy księżyc.....	282
CZEŚĆ 4 LEW O ZMROKU.....	295
Idylla.....	297
Sieroty.....	305
A wszystkie gwiazdy będą mnie prowadzić.....	313